

Linda Nagata

Struktor Bohra

(The Bohr Maker)

Przekład Mariusz Seweryński

Mojemu mężowi Ronniemu, którego wsparcie i wiara w moje siły uczyniły tę książkę realną.

ROZDZIAŁ 1

Wczesnym rankiem rzeka przyniosła trupa mężczyzny. Prąd skierował ciało w stronę starego magazynu, gdzie utknęło na jednym z prowizorycznych więcierzy do połowu meszku, rozpiętym przez Arifa między pordzewiałymi palami, na których wspierał się budynek. Phousita odkryła je, gdy wyszła zebrać nagromadzony przez noc meszek. Twarz topielca była skierowana w dół, a długie, czarne włosy unosiły się na powierzchni wody, falując w porywach rzecznej nurty niczym otaczająca głowę jedwabna, żałobna woalka.

Dziewczyna nerwowo obejrzała się za siebie i podniosła wzrok ku mrocznemu otworowi w podłodze głównej hali, przez który wydostała się z opuszczonego magazynu. Metalowa płyta wjazdu wisiała tak, jak ją zostawiła. Przyszło jej na myśl, że z łatwością mogłaby niepostrzeżenie zsunąć się do wody, uwolnić głowę trupa z uchwytu więcierza i pchnąć ciało z nurtem rzeki.

Arif nigdy nie dowiedziałby się, co zaszło tego ranka, a ona dłużej nie przejmowałaby się, kim był ten człowiek i jakie złe duchy wciąż mogły krążyć wokół jego doczesnej powłoki. Niech martwi się tym ktoś inny, ten, kto wyłowi go w dole rzeki...

Jednak nie mogła tego zrobić, nie pozwalało jej na to sumienie.

Na powierzchni wody pod magazynem padało niewiele światła, zwłaszcza o brzasku, lecz nawet w tych warunkach wyraźnie widziała, że mężczyzna był bogaty. Niewielu stać na tak eleganckie ubranie. Nieszczęśnik nadal mógł mieć przy sobie pieniądze lub klejnoty, a przecież członkowie klanu przymierali głodem.

Jeszcze raz zerknęła na otwarty wąż.

– Sumiati – zawołała, tłumiąc głos, aby usłyszało ją jak najmniej osób.

Zatrzeszczały przeżarte przez termyty deski i w otworze wjazdu pokazała się Sumiati. Trzymała w rękach pusty koszyk, który miała podać Phousicie.

– Ależ szybko dzisiaj poszło! Napełniłaś już pierwszy koszyk? Wiedziałam, że w końcu zaczniemy łapać więcej meszku!

– Nagle dojrzała unoszące się na wodzie ciało. Otworzyła szeroko ciemne oczy i aż pisnęła z wrażenia. – Phousita, ten tuan nadal ma na sobie ubranie! Trzymaj go! Nie pozwól, żeby porwał go prąd! Zaraz zejść na dół. Jakie piękne szaty, spójrz tylko. Och, czy to możliwe, że znaleźliśmy go pierwsi? Jak myślisz?

Odstawiła na bok koszyk. Odwróciwszy się plecami do otworu, chwyciła zwieszający się z osłony wjazdu izolowany przewód i niezdarnie opuściła się na dół. Nabrzmiaty z powodu zaawansowanej ciąży brzuch sprawił, że gdy przez moment zwiślała na końcu liny, przypominała apetyczny, dojrzały owoc jakiegoś rzadko spotykanego gatunku drzewa. Zaraz potem opadła na wąską płytę, ułożoną tutaj przez Arifa. Metal zadygotał pod wpływem uderzenia.

Phousita pomogła jej utrzymać równowagę. Sumiati należała do kobiet o drobnej budowie ciała, lecz nawet przy niej Phousitę można było wziąć za filigranową dziewczynkę. Często doświadczała takich pomyłek i doszła do wniosku, że główną przyczyną jest wzrost: wyglądała na siedem, osiem lat, podczas gdy w rzeczywistości miała niedługo skończyć dwadzieścia pięć. Mimo niskiego wzrostu, jej ciało miało kształty i proporcje typowe dla dojrzałej kobiety, lecz zaokrąglone biodra i pełne piersi robiły wrażenie nienaturalnie zminiaturyzowanych. Ze swą piękną, krągłą twarzą, czarnymi oczami i gęstymi włosami w tym samym kolorze, starannie upiętymi na karku, mogła uchodzić za eterycznego duszka, żywcem wziętego z jakiejś zapomnianej mitologii.

Kiedyś jej niezwykła aparycja przyciągała wielu klientów z dzielnicy handlowej, jednak Arif wymógł na niej obietnicę, że więcej nie będzie tak zarabiać. Skutek: głód stał się dokuczliwszy niż kiedykolwiek przedtem, dusił ich, odbierał chęć do życia, ani na chwilę nie pozwalał o sobie zapomnieć. Tak więc powinna się cieszyć. Za ubranie tego martwego mężczyzny kupią dużo, dużo ryżu.

Pomimo perspektywy rychłej poprawy warunków materialnych, wciąż się wahała. Z łatwo zdobytym bogactwem często szło w parze nieszczęście.

– Nie podoba mi się to wszystko. Nie sposób przewidzieć, jakie złe fluidy otaczają tego tuana – powiedziała, instynktownie używając tradycyjnego tytułu grzecznościowego. – Załatwmy to szybko, a potem zepchnę go z powrotem do rzeki.

Sumiati nie była pewna, czy to właściwy plan.

– Może powinniśmy zawołać Arifa.

– Nie! – zaprotestowała Phousita tak ostro, że Sumiati podskoczyła na metalowej kładce. – Nie – powtórzyła łagodniej, spoglądając przez ramię na zwłoki. – Po co go budzić?

Damy sobie radę.

Ściśle dopasowany do ciała sarong krępował ruchy. Zawinęła jego spód powyżej kolan i zsunęła się do wody. Poczwała pod stopami szorstkie ziarenka piasku, pokrywającego

wybetonowane dno rzeki. Chłodny prąd omywał rozgrzane snem ciało, nasączał wilgocią ubranie, nieoczekiwanie wydobywając głębię barw z wyblakłego, niegdyś błękitnego materiału.

Pomogła Sumiati podążyć w jej ślady, a potem wzięła pusty koszyk na meszek i ruszyła w stronę topielca, jedną ręką przytrzymując się prowizorycznego więcierza.

Arif sklecił je zaraz po przeprowadzce klanu do opuszczonego magazynu. Udało mu się zebrać wiele rzadkich okazów starych, plastikowych butelek, z rodzaju tych, które nie rozpadały się po kilku tygodniach. Poprzecinał je na pół i przymocował do deski, zerwanej z dachu nowej siedziby. Częściowo zanurzone w wodzie, unosiły się na powierzchni niczym wielkie, otwarte dłonie, chwytając w pułapkę swego wnętrza meszek spływający w dół rzeki. Pomysł sprawdził się i przez kilka miesięcy przysporzył klanowi wymiernych korzyści. Przysparzałby ich dalej, gdyby zasoby meszku na rzece nie uległy uszczupleniu... Albo gdyby wzdłuż rzeki gnieździło się mniej głodnych ludzi. Od pewnego czasu systematycznie znajdowali we wnętrzu butelek coraz skromniejsze porcje meszku. Tego ranka Phousita wypatrzyła ledwie cieniutką kieskę brązowej piany. Przygnębiający połów. Nie starczyłoby tego dla trójki ludzi, a w klanie czekało nań trzydzieści dziewięć pustych brzuchów. Czterdzieści, uwzględniając dziecko Sumiati, które już wkrótce będzie oglądać ten ponury świat własnymi oczami. Lepiej nie myśleć, co będzie dalej.

Słońce wznosiło się nad miastem coraz wyżej, zalewając stary magazyn rzeczny gorącymi promykami żółtego światła. Phousita dotknęła głowy martwego mężczyzny. Pomiedzy czarnymi włosami dostrzegła przeblyski białej kości i poszarpanego, różowego ciała. Zabójca zadał potężny cios, który wyrwał z tyłu czaszki niemały otwór. Z rany wciąż jeszcze sączyła się krew, zmywana przez przepływającą wodę – mężczyzna mógł znajdować się w rzece nie dłużej niż kilka minut. Chwyciła jego głowę za włosy i ostrożnie uniosła do góry. Miał zamknięte oczy, rysy bladej twarzy wskazywały na Europejczyka. Na policzku połyskiwało przyćmionym, luminescencyjnym blaskiem pojedyncze czerwone kanji. Nie potrafiła go odczytać.

– Spójrz, ktoś go okradł – powiedziała do zaglądnącej zza jej pleców Sumiati. Na poparcie swych słów pokazała rozerwane płatki uszu, w których musiały znajdować się kolczyki.

Przyłożyła do szyi mężczyzny otwartą dłoń. Chiński lekarz, ucząc ją zasad szukania pulsu, nalegał, aby stosować tę osobliwą ceremonię nawet wówczas, gdy właściwie nie ma już żadnych szans, by w pacjencie tliła się choćby iskierka życia. Może dzięki temu przerażona dusza mogła ostatecznie opuścić pułapkę ciała?

Nie miała pewności.

Sumiati z trwogą obserwowała towarzyszkę. Napięcie zniknęło z jej twarzy dopiero wówczas, gdy Phousita przecząco pokręciła głową.

– Nawet jeśli tuan został ograbiony, nadal ma na sobie ubranie – zauważyła z uśmiechem. – Może złodzieje coś przeoczyli.

Pośpiesznie przeszukała kieszenie, ale nic nie znalazła. W tym czasie Phousita była zajęta rozpinaniem szaty. Dwie, trzy minuty później mogła odetchnąć z ulgą i odsunąć się od nagiego ciała topielca.

Na widok koszyka wypchanego pierwszorzędną tkaniną, oczy Sumiati rozblęły radosnym podnieceniem.

– Szybko, zepchnij go i wracajmy – popędziła Phousitę. – Musimy z tym pójść na jarmark przy świątyni. To daleko, ale dostaniemy tam najlepszą cenę. Możemy też wziąć na sprzedaż trochę wody, a potem kupimy ryż. Dużo ryżu! Będziemy jeść, jeść, jeść, aż brzuchy zaczną pękać w szwach! Powinno jeszcze wystarczyć na jakieś szmatki. Henri i Maman potrzebują nowych ubrań.

Oczywiście, koniecznie musimy kupić lekarstwa. Będiesz wiedzieć, co nam się przyda. Zresztą, chyba i tak zajrzałybyśmy do lekarza. Ten stary Chińczyk naprawdę cię lubi...

Nerwowe szczebiotanie Sumiati wprowadziło Phousitę w dobry nastrój. Z uśmiechem pomyślała, że martwy mężczyzna rzeczywiście przyniósł im szczęście. A teraz mogła go odesłać w dalszą drogę. Złapała trupa za ramię i pociągnęła go, chcąc uwolnić z butelkowego więcierza. Za pierwszym razem nie udało się, ale jeszcze chwila, jeszcze jedno zdecydowane szarpnięcie i pozbędzie się problemu. Na pewno. Tylko jedno szarpnięcie. Już miała je wykonać, gdy rozległ się okrzyk:

– Phousita!

Cofnęła rękę jak oparzona. Z poczuciem winy spojrzała na Arifa, który właśnie zeskakiwał z otworu wjazdu na metalową kładkę. Szczupły, muskularny mężczyzna miał na sobie jedynie znoszone szorty. Natychmiast po wylądowaniu na kładce instynktownie przyjął postawę bojową. Tak, Arif ani na chwilę nie przestawał być wojownikiem, pomyślała z goryczą. Zrobiłby wszystko, absolutnie wszystko, żeby utrzymać się przy życiu.

Fioletowe oczy Arifa, w których odbijała się dusza drapieżnika zdolnego do największego okrucieństwa, uderzająco kontrastowały z rysami pełnej, promieniującej własnym światłem twarzy, zaokrąglonej jak u dziecka, wesołkowatej jak u trefnisia. Tylko oczy zdradzały jego

prawdziwą naturę, demaskowały kotłujące się w jego umyśle kłęby złego humoru. Sumiati zdawała się ślepa na wszelkie znaki świadczące o nastroju mężczyzny. Dobrodusznie zaczęła snuć barwną opowieść o znalezieniu w rzece prawdziwego skarbu. Arif przerwał jej w pół słowa.

– Phousita! – warknął. – Co tam robisz?

Dziewczyna opuściła wzrok na martwego obcokrajowca. Pozbawione ubrania ciało wydawało się nierealne, jak blady, półprzeźroczysty duch.

– Sumiati, zabierz koszyk – powiedziała spokojnie. – Arif mi pomoże.

Sumiati kiwnęła głową, zmieszana. Chwyciła wyciągniętą rękę Arifa i wspięła się na kładkę. Mężczyzna przepuścił ją, a kiedy stanęła pod liną zwieszającą się z otworu w podłodze magazynu, rzekł:

– Zamknij za sobą włącz.

Nie spuszczał oka z Phousity. Zalegające pod magazynem cienie sprawiały, że jego spotworniała, ohydnie napuchnięta twarz, świeciła jaśniej niż zwykle.

Sam bez oporów przyznawał, że od urodzenia jest skażony złem. Podobno matka sprzedała go czarownikowi, który rzucił na niego zaklęcie i od tamtej pory grzechy pokazywały się na twarzy niczym namacalny, fluorescencyjny wyrzut sumienia. Ze swym śmiesznie długim nosem, wysuniętym podbródkiem, policzkami zaokrąglonymi i pełnymi jak przejrzałe owoce gwajawy oraz żółtą, palającą własnym światłem cerą, przypominał komicznego służącego z teatru wayang. Podobieństwo byłoby niemal idealne, gdyby nie oczy.

Rozległ się niemiły dla ucha pisk i trzask pociętego metalu.

Arii” obejrzał się, jakby chciał nabrać całkowitej pewności, że Sumiati zamknęła włącz. Słyszał jej kroki, cichnące w miarę oddalania się w głąb magazynu. Kiedy uznał, że znalazła się poza zasięgiem głosu, powiedział:

– Phousita, ten człowiek to żywność. – Podeszedł na skraj mostka i rzucił retoryczne pytanie:

– Dlaczego wyrzucasz nasz posiłek?

W następnej chwili znajdował się już w wodzie, rozcinając ją jak promień słonecznego światła, wystrzelony z metalowej kładki, ciągnący za sobą warkoczyk grubych, czarnych włosów, spiętych z tyłu głowy w koński ogon. Wynurzył się obok Phousity, opryskując ją wodą. Dostrzegłszy wyraz jej twarzy, odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

– Nie ma się czego bać – zamruczał kojąco, przygarniając dziewczynę. – Ta stara wiedźma naopowiadała ci jakichś bzdur, nafaszerowała kłamstwami. To tylko ciało, duch tuana opuścił je

dawno temu.

Phousita zadrżała, a chłód wody przyczynił się do tego tylko w niewielkim stopniu. Przyłgnęła do Arifa, szepcząc mu do ucha:

- Przecież nawet nie wiesz, jakim był człowiekiem.
- To nie ma znaczenia.
- Ma, jeśli zamierzamy... zjeść jego ciało.
- Nic zjemy ciała, tylko meszek, który z niego powstanie.

Przedtem sama pomagałaś mi to robić z innymi, a potem bez oporów jadłaś meszek.

Położyła głowę na jego piersi. Owszem, pomagała mu. Wówczas dała się przekonać.

– Sutedjo i Piet należeli do klanu – stwierdziła. – Dobrze ich znaleźliśmy, z całą pewnością nie życzyli nam źle. Ten mężczyzna jest kimś obcym, mógł uczynić za życia wiele zła...

- Zabrał je ze sobą w zaświaty.
- Jego duch nadal może krążyć w pobliżu ciała.

Arif stracił cierpliwość.

– Jego duch? – prychnął lekceważąco. – Duch gnieździ się w głowie, a jego głowa jest roztrzaskana jak skorupa orzecha. Ty głupia wieśniaczko, on nie żyje!

Zanurkował. Po chwili wynurzył się po drugiej stronie urządzenia do połowu meszku, złapał trupa za nadgarstki i ściągnął z więcierza.

– Byłoby lepiej, gdybyś nigdy nie spotkała tej cholernej wiedźmy! Przewróciła ci w głowie. Chcesz być czarodziejką, jak ona? Odbiło ci! To była tylko stara, głupia jędza z gór. Cieszę się, że wyciągnęła kopyta. Żałuję tylko, że nie miałem okazji zamienić jej w nawóz, jak tego faceta!

Phousita uderzyła dłonią o powierzchnię wody.

– Przestań, Arif, natychmiast przestań! Próbujesz zgrywać wszechwiedzącego, ale nic nie wiesz. Nic! Ludzie plotkują na ulicy, a ty bierzesz to za szczerą prawdę. Nowa, cudowna magia...

Może i jest cudowna, ale nawet ci nowomodni czarownicy nie wiedzą wszystkiego. Arif!

Nie słuchał jej. Odwrócił się do niej plecami i zaczął holować zwłoki w górę rzeki. Phousita nabrała powietrza. Nie umiała pływać. Arif obiecał, że ją nauczy, ale na obietnicy się skończyło.

Nerwowo zanurkowała pod więcierzem. Poczowała na twarzy zimne macki rzecznej prądu i ogarnął ją paniczny strach, że już nigdy się nie wynurzy. Na szczęście nadspodziewanie szybko osiągnęła powierzchnię wody i już po chwili ponownie oddychała wilgotnym powietrzem. Dlaczego tak się denerwowała? Zachowywała się jak rozkapryszona panienka. Arif chciał tylko

jej dobra, szukał najlepszych rozwiązań dla klanu. Głośno wyrażane wątpliwości uraziły go.

Zrównała się z nim i pomogła ciągnąć ciało pod prąd. Kiedy dotarli na skraj magazynu, Arif zatrzymał się. Woda była tutaj na tyle przezroczysta, że spojrzawszy w dół, Phousita widziała porzucane na dnie, niedaleko jej stóp, białe drzazgi kości. Szczątki doczesnej powłoki Sutedjo, które jeszcze nie zdążyły zmienić się w meszek.

Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie fiołkowych oczu.

– Ta stara wiedźma wcale cię nie uzdrowiła. Wyleczył cię chiński lekarz. Czasy starej magii odeszły – stwierdził kategorycznie Arif, po czym ponownie zanurkował, ciągnąc za sobą nogę martwego mężczyzny.

Phousita użyła swego drobnego ciała jak kotwicy, zapobiegając porwaniu zwłok przez prąd rzeki. Arif tymczasem przywiązał nogę trupa do leżącego na dnie betonowego bloku i wynurzył się, aby powtórzyć operację z drugą nogą.

W ciągu kilku najbliższych dni zwłoki stopniowo ulegną rozkładowi, powstanie mnóstwo meszku, który wypłynie na powierzchnię i poruszając się z prądem, wpadnie w pułapkę wiewiórcy. Reszta klanu nigdy się nie dowie, czemu zawdzięczają nagły wzrost plonów. Przypiszą to szczęściu, uśmiechowi kapryśnej fortuny.

Kiedy jeszcze żyła stara kobieta z gór, świat nie znał meszku.

Po raz pierwszy pojawił się zaledwie kilka lat temu. Phousita dobrze to pamiętała. Miała wówczas dwadzieścia jeden lat i świadomość, że los skazał ją na uwięzienie w dziecięcym ciele. Rzeka była śmierdzącym ściekiem, zabójczym rezerwuarem wszelkiego, produkowanego przez miasto plugastwa. Z początku, gdy na brzegu zaczęła się zbierać brudnoszara piana, nie zwrócili na nią uwagi. Uznali ją za jakiś nowy rodzaj skażenia. Potem Arif zauważył, że jedzą ją szczury...

Teraz rzeka całkowicie zmieniła swe oblicze. Woda w niej była czysta, zdatna do picia, mimo że wraz z każdym deszczem nadal dostawały się do niej miejskie nieczystości.

Arif pokazał się na powierzchni i chwytając prawe ramię mężczyzny, szorstko zwrócił się do Phousity:

– Pomożesz mi wepchnąć go pod wodę.

Dziewczyna skinęła. Czekając na znak, obserwowała, jak Arif przeciąga ramię trupa za głowę, schyla się i wzrokiem szuka na dnie kamienia, do którego chciał zakotwiczyć kończynę. Musiał go dojrzeć, bo rzucił jej porozumiewawcze spojrzenie i zawołał:

– Teraz!

Phousita wbiła nadgarstki w zimną, śliską pierś martwego mężczyzny i z całą siłą naparła, pchając zwłoki pod wodę.

Coś poruszyło się pod jej prawą dłońią. Nie zwróciłaby na to uwagi, gdyby nie dziwny, metaliczny odgłos. W piersi trupa pojawiło się pęknięcie, jakby otworzyło się tam trzecie oko.

Z głębi otworu wystrzeliła złota igła, by natychmiast zagłębić się w ciele Phousity. Na jej ubraniu pojawiła się plamka krwi. Dziewczyna w panice rzuciła się do tyłu, przyciskając dłonie do piersi, gdzie zniknęła igła. Przewróciła się, woda zamknęła się nad jej głową. Klatka piersiowa paliła ją żywym ogniem. Krzyczała, krzyczała jak przerażone, zdezorientowane dziecko.

Uwolnione od jej ciężaru zwłoki, sprężyste wyprostowały się, poddały prądowi rzeki. Zanim legły twarzą na powierzchni wody, Phousita spostrzegła na bladej piersi trupa niewielką, białą łzę. Przeniosła wzrok na Arifa. W oczach mężczyzny odbijało się jej własne przerażenie.

Wstrzyknięta przez igłę trucizna szybko opanowywała system nerwowy.

„Pomóż mi, pomóż...”

Próbowała to powiedzieć, ale drętwiejące wargi odmówiły jej posłuszeństwa. Miała wrażenie, że język spuchł i wypełnia całe usta. Śpiewny szum płynącej wody stawał się coraz głośniejszy, zamykał ją w swym wnętrzu, coraz bardziej odcinał od świata, aż przekształcił się w pozbawione sensu, chaotyczne bzyczenie.

Wzrok stracił ostrość, świat zrobił się płynny, zdeformowany.

Przez mgłę zobaczyła, jak Arif wyciąga ku niej ręce, jednak rzeka okazała się szybsza. Phousita poczuła zamykające się wokół niej zimne dłonie rzecznej prądu, dłonie czeszące jej włosy i delikatnie pieszczące rozpaloną twarz. Chwilę później odpłynęła w mrok.

ROZDZIAŁ 2

– Godność? – spytał program odzwierny.

Nikko, który – tak naprawdę – sam również był tylko programem, współczesną odmianą ducha, elektroniczną istotą, będącą duplikatem umysłu swego oryginału, nie miał cierpliwości do Sztucznej Inteligencji Niższego Rzędu.

– Nazywam się Nikko – prychnął, demonstrując swe poczucie wyższości. – Rymuje się z „dziko”. Nikko Jiang-Tibayan.

Byłem tutaj tylko jakieś kilkaset razy, ty żalosna namiastko sekretarza.

Usłyszał śmiech Kirstin, dobiegający skądś spoza elektronicznego horyzontu. W ograniczonym środowisku sensorycznym programu odzwiernego był to tylko stłumiony, z trudem dający się rozróżnić pogłos.

– To jak, wpuścisz mnie, czy nie? – burknął.

– Oczywiście, sir, proszę. Pani czeka.

Ścieżka dostępu otworzyła się i elektroniczny wzorzec formujący widmo Nikko wśliznął się do umysłu Kirstin. Fizycznie, znalazł się w atrium, dodatkowym organie wewnętrznym, który wytworzono sztucznie, pobudzając do wzrostu tkankę włóknistą mózgu. Atrium wypełniło swe zadanie i stworzyło dla gościa sferę oddziaływania psychicznego, która była wierną kopią pokoju zajmowanego przez Kirstin. Z jej punktu widzenia Nikko był nakładką na rzeczywistość, wirtualnym towarzyszem, niewidzialnym dla wszystkich poza nią. Mimo że był tylko widmem, mogła go przyjąć w prawdziwej scenerii swego domu, widziała go, czuła jego zapach, mogła go dotknąć, poczuć smakiem... jak czyniła to wcześniej wiele, wiele razy.

Jednak dzisiaj przyniósł ze sobą nastrój pośpiechu, przykrą świadomość przemijania, uciekającego czasu. Zgodnie z tym, co mówił jej ojciec, Nikko zostało najwyżej kilka tygodni życia.

Mniej więcej kilka tygodni. Końca nie można było przewidzieć z większą precyzją, ale zbliżał się nieuchronnie. Nikko sam czuł bliskość śmierci. Manifestowała się niezgrabnością, pogłębiającą się od chwili, gdy w wyniku zaprogramowanej skazy genetycznej jego system nerwowy zaczął rozpadać się jak domek z kart. Niezgrabnością znakomicie powielaną przez funkcjonujące w sieci widmo.

Kirstin wyciągnęła do niego rękę, na tle hebanowej skóry jej długich, proporcjonalnych palców wyraźnie odcinało się złoto błyszczących pierścieni. Na jej twarzy pojawił się chłodny, zaborczy uśmiech, będący reakcją na dotyk – a raczej na symulację dotyku, halucynację stwarzaną przez atrium pod wpływem obecności w umyśle Kirstin elektronicznego widma.

Zamknął jej dłoń w swojej. Jego równie niezwykle długie, jasnoblękitne palce konwulsyjnie zadrgały. Kirstin zauważyła ten oczywisty ślad niedyspozycji, ale na razie pozostawiła go bez komentarza.

Mimo to gość odczuwał jej pogardę. Miał ochotę odplacić kwaśną miną, lecz twórca jego twarzy nie przewidział takiej możliwości. Nikko był tylko modelem eksperymentalnym, jedynym istniejącym prototypem wariantu sztucznego człowieka, który został objęty zakazem produkcji na terenie całej Wspólnoty.

Pozostał unikatowym okazem dziwoląga. Dziesiątki tysięcy drobnych płytek, składających się na jego emaliowaną skórę, mogło niezdarnie imitować większość ludzkich grymasów i z pewnością mogłoby robić to znacznie lepiej, ale ojciec nie przykładął dużej wagi do tego aspektu swego wynalazku. Nerw czaszkowy, kontrolujący u człowieka mięśnie twarzy, wykorzystał do obsługi kiszera, symbiotycznego organu, izolującego usta, nos i uszy przed zgubnym wpływem próżni oraz zaopatrującego organizm w tlen. Nikko nie przejmował się tym, że mimiką twarzy nie może wyrażać negatywnych odczuć. Zimne, paralizujące spojrzenie całkowicie mu wystarczało.

– Cały tydzień próbowałem się z tobą skontaktować. Bezskutecznie – powiedział z wyrzutem w głosie.

Gładził grzbiet jej dłoni, a potem zamknął palce wokół nadgarstków, starając się jednak nie napinać mięśni ramion, gdyż atrium natychmiast zrealizowałoby symulację zacisku. Współczynnik ciężenia sztucznej grawitacji w domu Kirstin był mniejszy od normalnego, spadający obiekt potrzebował ponad dwóch sekund, aby przebyć jeden metr odległości. Wystarczyłoby lekko szarpnąć i gospodyni znalazłaby się w jego ramionach, jednak Nikko nie był w nastroju do takich igraszek.

– Może znajdę sobie inną kochankę – powiedział – skoro ty nie chcesz dzielić ze mną ostatnich dni życia.

– Ach, Nikko... Czarujący, jak zawsze – mruknęła, unosząc jego dłoń i przykładając do swego policzka.

Nie uważał jej za piękną, ani nawet ładną. Ciemny kolor skóry i grube, kręcone włosy miedzianej barwy, unoszące się nad ramionami niczym kapryśna chmura, nie pasowały do topornej, północnoeuropejskiej twarzy, w której raził masywny, kartoflowaty nos. Na tle skóry, oczy koloru kawy z mlekiem wydawały się przesadnie jasne. Stanowczo, uroda nie była najmocniejszą stroną Kirstin. Nie przygnała go do niej miłość, a ona dobrze o tym wiedziała.

Nagle otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Na ścianie pokoju gościnnego wisiał jego portret! Bez pudła poznał, że jest to jej dzieło.

– Beznadziejny, tandetny kicz – zawyrokował, podchodząc do ściany, aby rzucić okiem z bliska.

– Dlaczego? – wykrzyknęła Kirstin. Jej głos był dziwną mieszanką gniewu i rozbawienia. – Myślałam, że ci się spodoba.

Nikko przyjrzał się obrazowi. Gdyby został uwieczniony w środowisku, gdzie istnieje tlenowa atmosfera i normalne ciśnienie, kisser leżałby na barkach, przypominając krótką pelerynkę.

Niestety, Kirstin umieściła go w próżniowym lesie celofanowych drzew, które rosły na zewnątrz Domu Lata, przez co organ respiracyjny był uaktywniony, szarą woalką zakrywał usta, nos i uszy.

W postawie Nikko było coś zwierzęcego. Znajdował się w przysiadzie, palce stóp obejmowały gałąź, a oczy uporczywie wypatrywały czegoś poza przestrzenią obrazu. Rozpostarł ramiona, jakby szykował się do skoku lub odparcia ataku.

– Tak mnie postrzegasz? – spytał. – Widzisz we mnie zwierzę? A to jest mój „żywiol”?

– Potraktuj to jak komplement, Nikko.

– Nawet jeśli jest oczywista zniewagą?

Portret sugerował, że nie jest człowiekiem. Oskarżał o podszywanie się pod człowieka, stwarzanie pozorów podobieństwa. Proszę, oto dowody obciążające, widoczne jak na dłoni. Niby ludzka, gładka, pozbawiona włosów głowa z wysokim czołem, płaski, azjatycki nos, skryte pod kisserem nieduże uszy. Brak brwi.

Ojciec zastąpił je dramatycznie wygiętym łukiem czarnej farby.

Niebieskie oczy, które mogły uchodzić za zwyczajne, ludzkie, ale trudno było je dostrzec za ochronnymi, kryształowymi soczewkami. Smukłe, zgrabne ciało niby-mężczyzny, jak zwykle. Ciało podobne do monumentalnej rzeźby, ponieważ każdy centymetr skóry przykrywa żywa

zbroja, zaprojektowana do ochrony przed próżnią, lśniąca odcieniem błękitu zwanym Nikko. Pomocniczy organ przypominający przepaskę, okrywającą narządy płciowe i odbył, pełniący funkcję dodatkowej ochrony przed zerowym ciśnieniem, a jednocześnie zapewniający wypełnienie norm obyczajowości.

– Jestem historykiem – powiedział oschle. – Nie rób ze mnie zoologicznego okazu.

Kirstin objęła go w pasie i przywarła do jego pleców. Kobięce piersi przy pancernej skórze zdawały się kwintesencją miękkości i delikatności, jednak już ukłucia twardych sutków powinny stanowić ostrzeżenie, iż pod tą subtelną powłoką skrywa się opancerzona dusza.

– Jesteś piękny – stwierdziła – i już niedługo bezpowrotnie znikniesz z mojego życia. Dlaczego miałabym nie pamiętać cię takim, jakim naprawdę jesteś?

Wyraz jego twarzy nie zmienił się, ale wzgardliwy ton głosu jednoznacznie wskazywał na kipiące w nim emocje:

– Skoro tak, dlaczego nie namalowałaś mnie, jak rznął cię w twoim własnym łóżku?

Uśmiechnęła się.

– Miałabym przyznać się przed całym światem do zoofilii?

– Nie jestem zwierzęciem! – krzyknął, odtrącając jej rękę.

Był kimś, kim powinien być każdy mieszkaniec tysiąca miast Wspólnoty, rozsianych po całym Układzie Słonecznym – pełną wdzięku istotą, znakomicie przystosowaną do nowego środowiska, dobrze czującą się w korytarzach orbitujących miast oraz zdolną funkcjonować w próżni bez skafandra i butli tlenowych.

I właśnie dlatego Wspólnota z pogardą odwróciła się od niego – był przyszłością, której nie potrafili zaakceptować.

Kirstin zmierzyła go chłodnym wzrokiem.

– Nie złość się na mnie, Nikko. Nie ja cię wymyśliłam, tylko twój stary, kochany ojczulek, Fox Jiang-Tibayan. Sądził, iż jest zdolny wprowadzić ulepszenia w planie stworzenia, uważał się za mądrzejszego od samej Bogini. Wielka szkoda, że nie przewidział konsekwencji swych czynów.

Nikko czuł, jak jego długie palce zamykają się w pięść. Bogini!

Pieprzona Matka Ziemia była zgrzybiałą tyranką. Mogłaby skorzystać z drobnej pomocy w kontynuowaniu procesu ewolucji, jednak Kirstin nie widziała tego w taki sposób. W świetle wyznawanej przez nią filozofii wszelkie próby ingerencji w fizjologię człowieka i sztucznego

pobudzania gatunku do rozwoju w określonym kierunku, zasługiwały na potępienie. Pogląd ten skwapliwie podzielali świeccy prawnicy Wspólnoty.

Kirstin ponownie zbliżyła się do niego, kładąc mu na piersi dwa złożone palce.

– Jesteś historykiem – powiedziała, zakreślając na gładkiej skórze nierówne kółko. – Studiowałeś u Marevic Chun i strawiłeś życie na wszczynaniu awantur. Nieźle się bawiłeś, prawda? Ujawniałeś dowody korupcji, wywoływałeś skandale, robiłeś wszystko, żeby dopiec korporacjom rywalizującym z Domem Lata.

Atakowałeś nawet policję, lecz nigdy nie wejrzałeś we własną historię.

– Mylisz się – zaprotestował, wyraźnie nie mając ochoty na kontynuowanie tematu. Odwrócił się do niej plecami i dodał: – Znam to na pamięć.

– Zapewne, ale tylko z jednego punktu widzenia. Wiesz, że Fox mógł cię stworzyć, ponieważ otrzymał zezwolenie na prowadzenie badań. Czy jednak powiedział ci, że uzyskał to pozwolenie, wykorzystując polityczne układy, rozdając łapówki i zastraszając tych, którzy okazali się nieprzekupni? Jesteś historykiem, Nikko.

Powinieneś znać fakty. Byłam przeciwna udzieleniu zezwolenia, lecz mojej opinii nie wzięto pod uwagę. Fox znał wszystkich właściwych ludzi. – Uniosła głowę, jakby chciała przyjrzeć się sufitowi, i na wspomnienie tamtych czasów wybuchnęła śmiechem. – Powinieneś go widzieć, jaki był z siebie zadowolony!

Nigdy się nie zastanawiał, co będzie, gdy zezwolenie wygaśnie.

Działająca przy Kongresie naukowa komisja doradcza wydała pozwolenie na okres trzydziestu lat. Fox został zobowiązany do wbudowania w prototyp urządzenia, które doprowadziłoby do samodestrukcji po przekroczeniu wyznaczonego przez komisję terminu. Wówczas nie widział w tym żadnego problemu. Przypuszczał, że po trzydziestu latach sztuczni ludzie będą spotykani na każdym kroku i bez kłopotu otrzyma zezwolenie na rozbrojenie bomby tykającej w ciele Nikko. Jednak w miarę upływu czasu bigoteria Wspólnoty zamiast maleć, coraz bardziej przybierała na sile. Obecnie nie było najmniejszych szans na przedłużenie zezwolenia, dzięki któremu Nikko znajdował się pośród żywych.

Jeszcze kilka tygodni i straci ważność.

Kirstin uniosła dłoń, pieszczotliwie przesunęła palcami po powierzchni kiszera, z rozmysłem dążąc do wzbudzenia podniecenia u Nikko. Zdawała sobie sprawę, że przyszedł do niej, gdyż uważał ją za ostatnią deskę ratunku. Ją, Kirstin Adair, naczelnik policji Wspólnoty,

odpowiedzialną za wychwytywanie wszelkich wykroczeń przeciw prawu do ograniczonego stosowania nanotechnologii, do której obowiązków należało czuwanie, by ludzkość nie zatraciła oryginalnych cech gatunku, by pozostała sobą.

Wiedział, że jest władna odroczyć wykonanie zaleceń komisji Kongresu.

Nikko był historykiem. Wykształcenie zawdzięczał Marevic Chun, jednej z założycielek Domu Lata. To ona nauczyła go, jak wysledzić użyteczne ścieżki dostępu do danych, jak nurkować pod powierzchnię wizerunków ukazywanych w sieci przez większość ludzi i korporacji, jak wynajdywać i przeglądać zapomniane zapisy cyfrowe, raporty, notatki, sprawozdania, meldunki i protokoły, jak naciągać na wywiad osoby lub widma, a wszystko po to, by uchylić zasłonę, za którą skrywały się starsze i nowsze tajemnice, przy odrobinie szczęścia dopiec Wspólnocie i policji, ujawnić ich przekupność, wywołać ferment i podjąć próbę zepchnięcia pociągu historii z torów naturalistycznej tyranii, co zaowocowałoby bardziej liberalną polityką wobec jednostek takich jak on, Nikko.

Nie udało mu się zmienić klimatu politycznego, ale odniósł sukces w kilku innych sprawach. Między innymi wykorzystał swoje umiejętności do wysledzenia przeszłości Kirstin. Na długo przed ich pierwszym spotkaniem znał ją jak najlepszego przyjaciela.

Bez zbędnych słów skierowali się do sypialni. Nikko nie mógł sobie odmówić obejrzenia dekoracji, zawieszanej na ścianie nad łóżkiem. Stanowił ją unikalny collage, impresjonistyczny zlepek zębów, kości, włosów i kawałków skóry w ostrych, nienaturalnych kolorach, wyeksponowany na tle jakichś niemożliwych do odczytania wzorców genetycznych, nagryzmołonych farbą z natryskiwacza.

Kirstin zdążyła wyswobodzić się z sukni, która bardzo powoli opadała na podłogę. Położyła się na łóżku i zapraszająco wyciągnęła ręce w stronę kochanka. Miała ponad sto dwadzieścia lat, ale każda nastolatka mogła pozazdrościć jej ciała.

Skorzystał z zaproszenia. Przyciągnęła go do siebie z właściwą sobie szorstkością, wczepiła się paznokciami w jego plecy. Bez słowa protestu zanurzył się w ciepłe kobiecego ciała, szukając ustami gorących warg Kirstin. Wiedział, co czuła w tej chwili.

Musiało to być tak, jakby całowała gładką, śliską statuetkę z chińskiej porcelany, z wolna budzącą się do życia pod wpływem jej magicznego dotyku. Różnica polegała na tym, że porcelana byłaby zimna i nieczuła, a jego usta i język, wrażliwsze niż zwykłego człowieka, bo złożone z morza brodawek czuciowych, zwykle czepiających się aktywnego kiszera, rozpalala

autentyczna namiętność.

Kiszer leżał na jego karku, zrolowany jak chusta. Kirstin musnęła go językiem, prowokując do otwarcia. Nikko zadrżał, zdradzając ogarniające go podniecenie. Położył dłonie na szyi kobiety, głaskał ciemną, aksamitną skórę, czując pod wrażliwymi opuszkami palców rytmiczne pulsowanie krwi w żyłach.

Nagle, bez ostrzeżenia, Kirstin zatopiła zęby w kischerze. Nikko krzyknął z bólu, instynktownie wzmacniając nacisk na krtań kochanki. Musiała potraktować to jako ostrzeżenie, choćby dlatego, że jego palce były wystarczająco długie, by całkowicie opasać szyję.

– Przestań! – syknął wprost do jej ucha.

– Nikko – odpowiedziała mu jadowitym szeptem – to ty mnie potrzebujesz!

Dobrze wiedziała, co robi. Przez cały czas kontrolowała rozwój wydarzeń. Znajdowali się w jej atrium i w każdej chwili mogła go stąd wyrzucić.

Wgryzła się głębiej. Ból stawał się dla Nikko nie do zniesienia, ale mógł zrobić tylko jedno: poddać się. Nienawidził jej w tej chwili, nienawidził i jednocześnie wnikał w słodkie ciało, pozwalał, by nad nim zapanowało, a na koniec, w przedłużonej, druzgoczącej eksplozji rozkoszy napelnił je swym sterylnym nasieniem.

Później, tamując krew sączącą się z kischerza, uświadomił sobie, że żadne z tych przeżyć nie jest prawdziwe. Był przecież tylko widmem rezydującym w atrium Kirstin Adair, nakładką na jej rzeczywisty świat, niczym więcej.

Cybernetyczne widma nie były jednak normalnymi fantazjami, majakami, których działania pozostawały bez wpływu na życie ich pierwowzoru. Wracając z podróży po sieci, przynosiły wraz z sobą urazy i nie zagojone blizny. W ciągu lat wiele widm w ogóle do Nikko nie wróciło. Z pewnością niektóre z nich zwyczajnie zostały wymazane, ale podejrzewał, że część poranionych widm świadomie skazała się na banicję, żeby ustrzec go przed cierpieniem.

Ułożył się na miękkim, wygodnym posłaniu, głęboko odetchnął. Kirstin przytuliła się i jakby chciała wynagrodzić mu doznany ból, delikatnie głaskała go po brzuchu. Uwielbiała go dotykać.

Otoczył ją ramieniem. Zdawał sobie sprawę, że wypadaloby powiedzieć coś ciepłego, ale obawiał się, iż żadne słodkie słówka nie przecisną mu się przez gardło.

Utkwił wzrok w znajdującym się nad łóżkiem collage'u. Od dawna miał swoje zdanie na jego temat, zdanie nie najlepsze, bo czyż można podziwiać „dzieło”, walcząc z mdłościami? Ohyda!

Tylko Kirstin mogła wpaść na tak perwersyjny pomysł. Zbierane przez lata trofea – odebrane przestępcom nielegalne części ludzkiego ciała – formowały jakiś zagadkowy wzór, który przy odrobinie dobrej woli można było wziąć za artystyczną wizję poszarpanych stoków, porośniętej drzewami góry. Na jej szczycie pysznił się diamentowy ząb. Piękna zdobycz. O, a tam pęk szczerozłotych włosów, imitujący mgłę snującą się nad wierzchołkami drzew. Srebrnoszare płyty sztucznej skóry kształtowały parowy i źleby, błękitny nabłonek imitował pastelowy baldachim nieba.

Całości dopełniał biegnący w poprzek tej niezwyklej krainy, wszędobylski jak leśne duszki, wijący się, półprzeźroczysty strumyk genetycznego kodu, opisujący modyfikacje ludzkiego genomu, które wykraczały poza granice prawa.

Kto jak kto, ale Kirstin mogłaby długo i barwnie opowiadać o najróżniejszych próbach łamania prawa.

Prawo... Co kryło się za tym krótkim słowem? Nikt chyba nie potrafiłby podać prostej, zrozumiałej definicji. Prawo Wspólnoty, zbudowane na przesądach i ludzkiej zachłanności, było przesycone głęboko humanitarnymi treściami, ale jednocześnie pełne zawilości, ślepych zaułków, sprzeczności i luk zdolnych pomieścić dowolne interpretacje. Zdawało się żywym organizmem, który bezustannie ewoluuje i ulega modyfikacjom mającym przybliżyć go do odpowiedzi na fundamentalne pytanie: kim jest CZŁOWIEK? Tymczasem lata mijały, a odpowiedź na to pytanie stawała się coraz trudniejsza.

W przeciwieństwie do swych przodków, współczesny człowiek potrafił wymknąć się ze szponów starości. Starzenie się skreślono z listy naturalnych procesów charakterystycznych dla gatunku, uznano za skutek defektu w ludzkim genomie. Naukowcy bez problemów mogli naprawić tę usterkę, lecz prawo zabraniało wszczepiania sztucznych struktur genetycznych. Oczywiście przewidziano wyjątki. Zapisano klauzule. Podwaliny systemu prawnego pozostały jednak niewzruszone. Poszczególne artykuły wyraźnie mówiły: możecie przebierać i mieszać ludzki materiał genetyczny, jak wam się żywnie podoba, przerabiajcie sobie kolor skóry lub oczu, zmieniajcie swój wzrost, rysy twarzy, zastępujcie geny odpowiedzialne za starzenie się i odporność na choroby ich lepszymi odpowiednikami, jednak nie łączcie ludzkich wzorów genetycznych ze zwierzęcymi lub sztucznie wytworzonymi kodami.

Nie wolno wam kojarzyć ludzkiego umysłu z inteligencją maszyny.

Prawo miało wiele do powiedzenia na temat inteligencji innej niż ludzka. Społeczeństwo

Wspólnoty nie mogło normalnie funkcjonować bez ogromnej armii maszyn, wyposażonych w sztuczną inteligencję niższego rzędu, armii stworzonej do realizowania prostych zadań, polegających na nadzorowaniu, analizowaniu i regulowaniu standardowych procesów. Jednak maszyny zdolne do adaptacji, obdarzone wolną wolą lub świadomością, traktowano jako element wrogi, stanowiący zagrożenie. W świetle obowiązującego we Wspólnocie prawa, maszyny takie nie mogły istnieć.

W świetle obowiązującego we Wspólnocie prawa, twórczym umysłem mógł być tylko umysł człowieka.

Dla Kirstin prawo Wspólnoty było świętą wyrocznią.

– Przypominasz mi Leandera Bohra w ostatnich dniach życia – powiedziała, kładąc mu dłoń na barku.

Nikko wzdrygnął się. Leander Bohr... Wspomniała o nim chyba tylko po to, by zadać mu dodatkową torturę! Bohr był terrorystą, fanatycznym wyznawcą kultu Gai. Do dzisiaj uznawano go za największego inżyniera molekularnego w historii świata. Legenda głosiła, iż był samoukiem, sierotą, genialnym wychowankiem berlińskich slumsów. Wielu ludzi znających Bohra z tamtego okresu przysięgało, że przed zaprojektowaniem struktora nie umiał czytać. Nauczyła go tego stworzona przez niego maszyna molekularna, w nielegalny sposób przekształcając układ nerwowy człowieka.

Kirstin miała kilkanaście lat, gdy została najpierw jego protegowaną, a potem kochanką.

Legalne odmiany strukturów należały do rodziny programowalnych maszyn molekularnych, wyposażonych w zasoby sztucznej inteligencji niższego rzędu, które pozwalały wykonywać tylko jedną czynność albo co najwyżej serię czynności prowadzących do jednego, ściśle określonego celu, jak skonstruowanie kadłuba statku lub zaprojektowanie nowej kolekcji strojów na zbliżający się sezon. Struktor Bohra był inny. Wbudowanie nielegalnych układów samoprogramujących zapewniło mu zdolność adaptacji do organizmu nosiciela.

W zasadzie był to tylko mikroskopijny pakiet instrukcji, nic więcej. Jeśli jednak doszło do zainicjowania procesów zapisanych w pakiecie, struktor Bohra rozpoczął tworzenie molekularnej sieci połączeń, oplatającej całe ciało i umysł nosiciela. W efekcie dochodziło do głębokich zmian w organizmie, nosiciel w jednej chwili stawał się ekspertem w dziedzinie inżynierii molekularnej, otrzymywał nie tylko podręcznikową wiedzę, ale i praktyczne umiejętności.

Większość odmian struktorów potrafiła doskonalić oprogramowanie bazowe, jednak tylko struktor Bohra miał zdolność rozwijania zupełnie nowych funkcji programistycznych, nieskrępowanego uczenia się i to w stopniu dalece przewyższającym najwspanialsze ludzkie umysły. W świetle obowiązujących przepisów, struktor Bohra nie mógł istnieć nie tylko z powodu zdolności samodoskonalenia. Groźniejsze było to, że jego funkcjonowanie zaburzało fizjologię człowieka.

– Dziwne uczucie – szepnęła Kirstin, owiewając oddechem kiszer. – Jakby żal, głęboki żal. Ostatni raz czułam coś takiego w ostatnich godzinach życia Leandera.

Nikko wydawało się, że po jego brzuchu wędruje armia mrówek, złośliwie tupiących lodowatymi nóżkami. Miał ochotę wyskoczyć z łóżka i strząsnąć je z siebie.

– Bohr wiedział, że ma umrzeć? – zapytał, z trudem panując nad głosem.

– Nikko, najdroższy, wówczas nie byłam jeszcze tak zepsuta. Nie mam pojęcia, czy o tym wiedział. Ja wiedziałam – odparła z pobłażliwym uśmiechem. – Zupełnie jak teraz, w twoim przypadku.

Bawiła się nim. Prowokowała do błagania o odroczenie, ale tylko po to, by z przyjemnością mu... odmówić.

Odsunął się od niej i leżąc na wznak oglądał collage. Z trudnością oddychał, miał wrażenie, iż potężna siła wciska go w posłanie i paraliżuje najdrobniejsze ruchy, a przecież mieszkanie obejmowała sfera zmniejszonego ciężenia. Może pomogłaby mu odrobina współczucia. Niestety, Kirstin cechowała wrażliwość kamienia.

– Cieszę się, że do mnie wpadłeś – powiedziała słodkim głosem. – Miałam potworny dzień.

– Nie mów? Cóż było w nim tak okropnego? Zabrakło dzieci mutantów na przekąskę?

– Żeby tylko! – Roześmiała się. – Gdybym mogła pozbyć się niektórych ludzi z naszej jednostki, wszystko byłoby w najlepszym porządku. Szczególnie takiego Jensena Van Nessa.

Nikko poczuł się jeszcze gorzej. Serce zaczęło mu walić w piersi, twarz paliła żywym ogniem. Nazwisko Jensena Van Nessa na pewno nie padło przypadkowo. Czyżby jednak w końcu skojarzyła go z tym człowiekiem?

– Van Ness – mruknął, udając umiarkowane zainteresowanie. – To ten sam Van Ness, który pracował w policji, kiedy wystawiłaś im Leandera Bohra? Był wówczas członkiem zespołu dochodzeniowego, prawda?

Kirstin kreśliła długim paznokciem kółka na skórze jego przedramienia.

– Masz rację. Dlaczego nigdy nie zrobiłeś z nim wywiadu?

– Kto powiedział, że tego nie zrobiłem?

– Mam na oku te sprawy, sam wiesz.

Podparła się na łokciu i zmierzyła go przenikliwym spojrzeniem, jakby wierzyła, że samą siłą woli potrafi wydobyć z niego prawdę. Wyraz twarzy Nikko był jednak nieprzenikniony.

Jak zawsze.

– Powinieneś umówić się z Van Nessem na spotkanie – mówiła dalej. – Myślę, że go polubisz. Macie ze sobą coś wspólnego. Jako obywatele Wspólnoty, obaj nie macie przed sobą żadnych perspektyw.

– Wyobrażam sobie – stwierdził gorzko. – Musi mieć grubo ponad sto lat. Powinien wreszcie zmądrzeć i palnąć sobie w łeb.

Udała, że nie usłyszała ostatniej uwagi.

– Van Ness po raz kolejny nadepnął mi dzisiaj na odcisk.

Skurwiel! Publicznie rozgłasza, że tylko dzięki niemu unieszkodliwiono Leandera i to on wydobyl z przysmażonego ciała tkankę nerwową, z której później wyizolowano struktor Bohra. Wielka sztuka! Każdy mógł to zrobić, bo Leander wtedy już nie żył. Beze mnie Van Ness nawet by go nie znalazł, ale za każdym razem, gdy wystosowuję petycję o zniszczenie wszelkich dokumentów i dowodów rzeczowych związanych ze sprawą Bohra, natychmiast wynajduje dziesiątki dowodów na to, iż żądam unicestwienia I unikalnych materiałów do badań naukowych. – Uśmiechnęła się z politowaniem. – Boi się wymazania z historii swego największego osiągnięcia. Żalodne.

Potrząsnęła głową, wzniecając burzę miedzianych włosów.

– Struktor Bohra powinien być zniszczony, jest zbyt niebezpieczny. Ma wszelkie możliwe atuty, a policyjne struktory nie mogą się z nim równać. Taki, który mógłby mu zagrozić, musielibyśmy stworzyć od zera, łamiąc przy tym strzeżone przez nas prawo o systemach sztucznej inteligencji. Jeśli utracilibyśmy nad nim kontrolę, mógłby zachwiać równowagą sił we Wspólnocie równie łatwo, jak było to z przeobrażeniem mózgu Leandera. Van Nessa w ogóle to nie obchodzi. Prędzej wystawi na szwank bezpieczeństwo Wspólnoty, niż zrezygnuje z wymarzonej nagrody.

– Nie winie go za to – powiedział Nikko ściszym głosem.

Kirstin obrzuciła go karcącym spojrzeniem. Wiedziała, jak bardzo chciałby położyć łapę na

tym struktorze. Próbował dotrzeć do niego za jej pośrednictwem i było wielce prawdopodobne, że szukając dojścia, trafił do Van Nessa.

– Jak już mówiłam, żaden z was nie ma przed sobą perspektyw – powtórzyła ostrym, nieprzyjemnym tonem.

Nikko zdławił westchnienie. Rozmowa przybrała niekorzystny, bardzo niekorzystny obrót. Nic tu po nim, powinien pomyśleć o powrocie do domu.

Nie! Na to jeszcze ma czas. Zebrał siły i podniósł się z posłania.

– Ubierz się i chodźmy na balkon – powiedział.

Nie mógł poruszać się po mieszkaniu bez Kirstin. Był tutaj tylko widmem, cieniem na twardej powłoce rzeczywistego świata, całkowicie zależnym od zmysłów gospodyni.

Bez słowa sprzeciwu włożyła suknię i wzięła go za ramię.

Ledwie dotykając stopami pluszowych dywanów, niczym para eterycznych kochanków, popłynęli ku drzwiom balkonowym.

Bursztynowe, elektroniczne oko zamka łypnęło na nich i w następnej sekundzie szklane tafle rozstały się.

Kirstin mieszkała w Zamku, mieście będącym siedzibą rządu Wspólnoty, zawieszonym w przestrzeni kosmicznej bezpośrednio nad Indiami. Ponieważ od kilku dziesięcioleci nie kursowały rakiety atmosferyczne – również zakazane przez prawo – Ziemię łączyły z orbitalnymi miastami jedynie kosmiczne windy.

Policja skrzętnie wykorzystywała to komunikacyjne wąskie gardło. Na obu końcach linii znajdowały się śluzy, przez które musieli przejść wszyscy podróżni, a funkcjonariusze mieli wówczas okazję skontrolować ich tożsamość oraz legalność materiału molekularnego. Kiedy rozpoczynano budowę wind, krytycy drwiąco nazywali projekt Cesarską Autostradą. Jak to często bywa, nazwa przyjęła się i z czasem straciła ironiczny wydźwięk.

Nikko uchwycił się poręczy szklanej klatki balkonu i spojrzął w kierunku Autostrady. Dzielił go od niej niecały kilometr. Majestatyczna wstęga czarnego szkła z nanizanymi guziczkami bursztynowych świateł wyrastała z najeżonej setkami szklanych i ceramicznych wież powierzchni ogromnego sztucznego satelity, łagodnie przenikała przez przezroczystą kopułę, która otulała cały ten bajkowy świat, a potem rozcinała smolistą czerń próżni i niknęła w mrocznej dali. Cesarska Autostrada rozciągała się na długości ponad sześćdziesięciu tysięcy kilometrów, nim ostatecznie osiągała powierzchnię Ziemi.

W Indiach była noc.

Co pół godziny przed jedną z sześciu bram Zamku pojawiała się gwałtownie hamująca kabina windy wielkości kamienicy czynszowej. Piętnaście minut później inna kabina opuszczała się ku Ziemi. Nikko mógłby odbyć taką podróż tylko jako widmo, ponieważ jego ciało zaprojektowano dla warunków panujących w Domu Lata, a w mieście tym sztuczna grawitacja nigdy nie przekraczała trzech czwartych ziemskiego ciężenia. Ziemia nie była mu przeznaczona, nigdy nie stanie na jej powierzchni. Niewielu rzeczy żałował, ale tego akurat tak.

Z przyjemnością odetchnął aromatycznym powietrzem. Na balkonie było cieplej o kilka stopni niż wewnątrz mieszkania, co przypominało mu balsamiczną atmosferę Domu Lata. Czuł, jak ulatniają się ponure myśli. Może jednak znajdzie w sobie siły i spróbuje podziałać na Kirstin osobistym czarem.

Swobodnie opadł na krzesło obok gospodyni. Na balkon wtoczył się mechaniczny kamerdyner wraz z dzbankiem herbaty i filiżankami ustawionymi na jego płaskim grzbiecie. Zatrzymał się między krzesłami, służąc za stolik.

Kirstin uniosła dzbanek i ostrożnie nalala gorącego płynu do porcelanowych filiżanek z dziurkowanymi wieczkami, przez które wydostawała się pachnąca para.

Nikko sięgnął po swoją filiżankę. Biała porcelana zadźwięczała w zetknięciu z jego palcami, po wirtualnym ciele rozeszła się fala przyjemnego ciepła. Delektując się wonią naparu, podniósł naczynie ze stolika. Gdyby towarzyszył im ktoś trzeci, widziałby teraz Kirstin samotnie popijającą herbatę i dodatkową filiżankę, wciąż stojącą nieruchomo na podstawie. Elektroniczne duchy nie mogły oddziaływać na świat materii, nawet jeśli ich zamiarem byłoby nieznaczne poruszenie drobnego, porcelanowego naczynia.

Jednak wirtualne odosobnienie, w jakim znajdowali się Nikko i Kirstin, stwarzało dla obojga idealną iluzję, że długie, błękitne palce zamykające się na porcelanie, naprawdę należą do Nikko Jiang-Tibayana. Nagle przez jego rękę przebiegł groteskowy, spazmatyczny skurcz. Wrzący płyn wylał się przez otwory w pokrywce i ciemną stróżką spłynął na nadgarstek. Nikko krzyknął z bólu, rozluźnił uchwyt i filiżanka wymknęła mu się z ręki, by jak pocisk pomknąć ku wykafelkowanej posadzce. Uderzenie rozerwało ją na drobne kawałki, które wyskoczyły w powietrze fontanną porcelanowych skorupiek.

Kirstin patrzyła, jak majestatycznie przepływają nad jej głową i łagodnym łukiem z powrotem opadają na posadzkę. Deszcz brązowych kropel herbaty dopełniał obrazu tego

iluzorycznego widowiska.

– Nikko, skarbie, ależ zrobiłeś się niezdarzy! – powiedziała z nie skrywaną odrazą. – Uważaj na moje antyki. Gdybyś nie był widmem tylko facetem z krwi i kości, chyba nie mogłabym spokojnie patrzeć na twoje wyczyny.

Przez jego rękę przebiegł kolejny skurcz. Nienawidził siebie.

Siedział sztywno wyprostowany w fotelu i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w nitkę Cesarskiej Autostrady.

– Czego się spodziewałaś? – Głos uwiązał mu w gardle. – Przecież umieram.

– Ależ... Proszę cię! To niesmaczne.

– Możesz to zmienić.

Ugryzł się w język, ale było już za późno. Nie chciał tego powiedzieć, inaczej zaplanował sobie to spotkanie, lecz nie zamknął w porę ust i stało się. Zerknął na Kirstin, chcąc ocenić efekt zdradliwych słów.

Jej twarz rozjaśniał triumfujący uśmiezek.

– Nareszcie, nareszcie! – mruknęła, świdrując go spojrzeniem brązowych oczu. – Nikko, skarbie, kocham cię za twój ośli upór. W końcu jednak i ty musiałeś pęknąć. Przychodzisz do mnie po... Ile to już? Dwa lata? Więc przychodzisz tutaj po dwóch latach spędzonych w moim łóżku, by ostatecznie zdjąć maskę obłudnego kochanka. „Kirstin, kochanie” – mówiła, naśladując jego głęboki głos – „pieprzyłem cię z wielkim oddaniem, to może dasz mi odroczenie?” – Roześmiała się. – Mój słodki żigolak.

Kiszer lekko zafalował, jakby tknięty powiewem kolejnej zniewagi, a potem legł bez ruchu na ramionach. Żigolak... Zbytek uprzejmości. Dziwka, męska dziwka – oto słowa, których mogła użyć.

– Jesteś starą hipokrytką – rzekł. – Już niedługo skończą się nasze łóżkowe przygody. Ciekawe, co powiesz, gdy mnie zabraknie. Gdy bezpowrotnie zniknę z twojego życia.

– Och, Nikko, pochlebiasz sobie. Wbij sobie do głowy, że jesteś tylko duchem. Tak naprawdę, nigdy nawet cię nie dotknęłam. A ty nigdy nie dotknąłeś mnie.

– Duch czy ciało... Oboje wiemy, co dzieje się naprawdę.

– Nie będziesz pierwszym kochankiem, który umarł w moich ramionach.

– Żaden z nich nie mógł się ze mną równać.

– To prawda. Świat nie widział drugiego takiego dziwołaga.

Nie mógł zapanować nad sobą, poderwał się na równe nogi.

Złapał poręcz szklanej klatki, która zamykała balkon, wyhamował impet, a potem zwrócił twarz w kierunku Kirstin. Drugą dłoń zacisnął w pięść, wspominając delikatną, miękką skórę jej szyi.

Nie mógł nic zrobić. Był tylko widmem.

– Wiesz, że cię potrzebuję – powiedział, przezwyciężając wstyd. – Co mam zrobić?

Uśmiechnęła się, pokazując rząd równych, białych zębów.

Nikko niemal czuł ich uchwyt na swej skórze.

– Masz błagać.

Był umierający. Nieuchronnie nadciągająca śmierć wymuszała desperackie kroki. Ma błagać? Będzie błagał. Puścił poręcz i ugiąwszy nogi, powoli opadł ku podłodze. Oczami wyobraźni widział siebie pokornie klęczącego i recytującego więźnącym w gardle głosem:

– Proszę, Kirstin. Jedyne ty możesz mnie ocalić. Proszę, daj mi odroczenie. Pozwól mi żyć.

– Nie. – Obrzuciła go triumfującym spojrzeniem, od czubka głowy po dotykające posadzki kolana. – Stworzenia takie, jak ty, nie mają prawa istnieć. Jesteś zniewagą rzuconą w twarz Matce Ziemi i nie pozwolę, by twoja egzystencja przedłużyła się choćby o minutę ponad dopuszczony przez prawo limit. Niezależnie od tego, jak dobry jesteś w łóżku.

Ponownie szarpnął nim dreszcz. W tej samej chwili ze stołu zniknął dzbanek z herbatą – teraz nic nie zasłaniało Kirstin widoku, mogła napawać się swym zwycięstwem, sycić oczy kochankiem wijącym się po podłodze.

– Przestań bawić się ze mną! – krzyknął. – Czego ode mnie chcesz?

– Niczego. Wzięłam sobie już wszystko.

– Nie możesz pozwolić mi umrzeć.

– Chciałam cię o coś zapytać... Może zapisałbyś mi w testamencie swą doczesną powłokę? Twoja czaszka byłaby wspaniałym dodatkiem do mojej naściennej kolekcji.

Drgnął. Jego palce powędrowały w górę uda Kirstin i na ciemnej skórze wyglądały jak nogi monstrualnego pająka. Tym razem posunęła się za daleko. Są zniewagi, których nawet dziwka nie może puścić płazem.

W porządku, powiedział sobie, tak nawet lepiej. Dobrze, że to powiedziała, ponieważ od tej chwili zmienią się reguły gry.

Gniew ustąpił miejsca radości. Teraz nie będzie już żadnych reguł.

– Ciesz się tą chwilą – powiedział. – Ciesz się, dopóki możesz, bo dopilnuję, żebyś nie pożyła dłużej ode mnie.

Roześmiała się, tak absurdalna wydała jej się ta groźba.

– Ach, Nikko... Będę za tobą tęsknić. Szczerze.

Puścił tę uwagę mimo uszu. Przygotowywał się do opuszczenia mieszkania, nie zwracając uwagi na drwiące spojrzenie Kirstin.

– Wrócisz – stwierdziła. – Zawsze będzie tliła się w tobie iskierka nadziei, że zmienię zdanie.

– Nie licz na to – rzucił na odchodne i zanurzył się w sieć komputerowych łączy, bez kłopotu odnajdując nitkę prowadzącą do domu.

ROZDZIAŁ 3

W umyśle Phousity szalała burza, wizje rozbłyskiwały i gasły, zupełnie jakby złośliwy wiatr porozrzucił kartki z książki jej życia.

Skrawki pamięci, na w pół zapomniane słowa i obrazy, czyste fantazje – wszystko to wirowało wokół niej, pokazywało się na moment, by zaraz ulecieć, zginąć gdzieś w czarnej studni, w pustce bez wymiarów. Żadnej z tych wizji nie mogła pochwycić, zatrzymać na dłużej. Całe życie, porwane na strzępy, przepływało obok niej rwącym strumieniem. Ale było w nim też coś, co nie było częścią jej przeszłości. Twarz. Pojawiała się i znikwała, upychana między wspomnienia, do których nie pasowała. Phousita nie mogła skojarzyć tej pięknej jak u anioła, krągłej twarzy z żadną znaną osobą. Nie знаła tych blond włosów, czoła i policzków jaśniejących białą skórą, nienaturalnie gniewnych oczu. Nie znała towarzyszącej wizerunkowi melodii. Kiedy wyciągała rękę, aby dotknąć anielskiego oblicza, rozplątało się w nicości.

Melodia nigdy całkowicie nie cichła. Wręcz przeciwnie, stawała się coraz donośniejsza, wzywała Phousitę do wyrwania się z ciemnej studni. Była tak natarczywa, że dziewczyna w końcu uległa i niechętnie uchyliła powieki.

Posłyszała śpiew Sumiati. Zaraz potem zorientowała się, że patrzy na znajome graffiti, namalowane na zagrzybionej ścianie, przy której wisiał jej hamak. Promienie popołudniowego słońca wnikały do środka przez szczeliny między deskami, rzucając jasne pasemka na palce zaplątane w nylonową siatkę hamaka.

Znowu kątem oka ujrzała twarz anioła. Zdawała się unosić na granicy widoczności, półprzezroczysta, niewyraźna. Strach, niczym trucizna, rozszedł się po ciele dziewczyny. Uniosła głowę.

Do wilgotnych policzków przylgnęły brudne, poskręcane włosy.

Ostrożnie spojrzała w bok, spodziewając się, że ponownie zobaczy anioła, tym razem w pełnej krasie.

Niedaleko hamaka przykucnęła Sumiati, zajęta gotowaniem ryżu na małym, gazowym ogniu. Śpiewała wpadającą w ucho, popularną melodyjkę, nieudolnie powtarzając słowa w języku, których nie rozumiał nikt prócz Arifa. Obok niej cicho bawiła się dwójka dzieci, nie zwracająca uwagi na dokuczliwy, popołudniowy upał. Walcząc z dreszczami, Phousita podniosła się

z hamaka.

Dopiero teraz poczuła, jak bardzo jest obolała. Co za wiedźma zesłała na nią ten straszny sen?

– Hej – zawołała przyciszonym głosem, odgarniając z twarzy przetłuszczone włosy. – Sumiati?

Dzieciaki przerwały zabawę i zaczęły z podnieceniem paplać coś we własnej, dziecięcej gwarze. Zaskoczona Sumiati nie mogła wydobyć z gardła ani słowa.

– Sumiati, nie czuję się najlepiej – rzekła Phousita.

Uniosła dłoń, aby wy badać miejsce na piersi, gdzie we śnie została zraniona. Przeszył ją ból, mimo że za ledwie musnęła ciało opuszkami palców. Opuściła wzrok i dojrzała na skórze okrągłą, jaskrawoczerwoną plamę.

– Phousita! – wrzasnęła Sumiati.

Wciąż siedziała przy ogniu i wpatrywała się w dziewczynę, jakby widziała zjawę nie z tego świata. Dzieci wybiegły.

– Phousita – szepnęła tym razem. – To naprawdę ty?

Dziewczyna przyjrzała się dłoniom.

– Miałam sen... O martwym mężczyźnie... i aniele.

– To nie był sen! Mówiłaś, że ciało tuana to zły znak. I miałaś rację. – Pomimo zaawansowanej ciąży Sumiati z wdziękiem podniosła się z podłogi. W jej oczach pojawiły się łzy. – Tuan był zły! Kiedy Arif wyniósł cię z rzeki, byłaś pogrążona w tak głębokim śnie, że nie mogliśmy cię docucić. Myśleliśmy, że tuan cię zabił i przywłaszczył sobie twoje ciało. Phousita... – Chwyciła dłonie dziewczyny, uścisnęła, pocałowała w policzek.

Jej oczy błyszczały. – Cieszę się, że to ty.

Phousita nie była tego pewna. Niepokoił ją uparcie tkwiący pod czaszką wizerunek anioła – to nie była twarz zabitego tuana.

Wyczuwała w sobie coś, czego jeszcze niedawno nie było, obecność jakiegoś obcego pierwiastka, rosnącego w siłę z minuty na minutę. Kucnęła przy garnku z ryżem i zapatrzyła się w błękitne języczki gazowego płomienia. Instynktownie dotknęła palcami rany na piersiach. Więc to nie był sen. W takim razie tuan musiał być czarownikiem. Jakież zaklęcie zaczęło działać, gdy wniknęła w jej ciało igła?

Sumiati przykłęka obok. Poprawiła wysokość płomienia, a potem spojrzała dziewczynie

prosto w oczy.

– Wiesz, nigdy nie widziałam, żeby Arif był tak wściekły.

– Po tym wypadku? – zdziwiła się Phousita.

– Tak – potwierdziła Sumiati. – Krzyczał, że albo wypędzi z twojego ciała ducha tuana, albo własnoręcznie cię zabije.

Dziewczyna rozejrzała się nerwowo.

– Nie ma go – uspokoiła ją Sumiati. – Zabrał ze sobą Nożowników i poszedł na jarmark przy świątyni, żeby sprzedać ubranie tuana. Ma zamiar przyprowadzić ze sobą chińskiego doktora, czy będzie chciał, czy nie...

Pokiwała głową.

Phousita szeroko otworzyła oczy. Chiński lekarz nigdy nie odwiedzał pacjentów w domu, nie opuszczał swego sklepika. Jak Arif miałby go przekonać, żeby tym razem uczynił wyjątek?

– Nie potrzebuję lekarza – powiedziała głośno, zdając sobie sprawę, że wydawanie pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży ubrań na poradę byłoby marnotrawstwem. Klan potrzebował gotówki na żywność! Musieli zakupić ryby i owoce dla dzieci, ryż, olej do smażenia. Musieli zaopatrzyć się w lekarstwa, na wypadek gdyby przez miasto miała przetoczyć się kolejna epidemia. – Pójdę go poszukać – dodała, wstając.

Sumiati gwałtownie potrząsnęła głową.

– Arif ostrzegł mnie, że możesz się obudzić i chcieć wyjść.

Powiedział, że mam cię zatrzymać. Zostawił nawet dwójkę Nożowników...

Zakłopotana urwała i spuściła wzrok.

– Sumiati!

Ciężarna kobieta nie podniosła głowy. Phousita tupnęła nagą stopą o przetartą, winylową wykładzinę i ruszyła w stronę drzwi.

Z pokoju, położonego na skraju magazynu, gdzie sypiała razem z Sumiati i najmniejszymi dziećmi, nie było innego wyjścia.

Z cienia wyszło dwoje dzieci. Zatrzymały się w progu, blokując drogę. Ich oczy iskrzyły się strachem, jednak pewnie ścisnęły w dłoniach noże i energicznie dźgały powietrze metalowymi ostrzami, które poruszały się tak szybko, że zdawało się, iż są w kilkunastu miejscach naraz. Stanowiły przeszkodę, z którą Phousita musiała się liczyć.

Przyjrzała im się. Mała Sri skończyła dopiero siedem lat, ale już była od niej wyższa.

Znalazła ją w porzuconym na ulicy kartonie, pewnego pochmurnego ranka, kiedy z nieba lał deszcz jak zapowiedź kolejnego ogólnoświatowego potopu. Maman był starszy o rok, może dwa – nikt nie znał jego wieku. Arif wyratował go z rąk strażnika miejskiego, spuszczonego mu łanie za spanie na chodniku po brzasku.

Phousita była dla obojga zastępczą matką. Wiedziała, że ją kochają. Zastanawiała się, czy rzeczywiście mogłyby zaatakować ją nożami. Nie wierzyła w to, ale dzieci błagały wzrokiem, aby nie wystawiała ich na próbę. To Arif był przywódcą, nauczył je zabawy w tę zabójczą grę i stłukłby na kwaśne jabłko, gdyby nie były mu posłuszne.

W przyływie gniewu zacisnęła dłoń w pięść. Żeby zmuszać dzieci do dokonywania tak przerażającego wyboru! Albo zadacie ból, albo same go poczujecie... Nie przyłoży do tego ręki, o nie!

Rozwarła pięść. Uśmiechnęła się przymilnie i przywołała maluchy.

– Chodźcie. Pomożemy Sumiati przygotować ryby.

Dzieci spojrzwały na Phousitę z wdzięcznością. Zrobiła krok do tyłu i noże zniknęły.

Przez resztę parnego popołudnia Phousita i Sumiati śpiewały chórem, a ich głosy mieszały się z szumem rzeki, toczącej swe wody pod zmurszałą podłogą magazynu. Pracy nie brakowało.

Były ubrania do wyprania, dzieciaki do wykąpania, więcej ryżu do ugotowania. Klan posiadał zaledwie jeden garnek i jeden palnik, toteż każdą ugotowaną porcję trzeba było przełożyć do dużej plastikowej miski.

Z ulicy docierały odgłosy miejskiego życia, leniwe pogawędki bezdomnych – byli głodni, ale czekali na zapadnięcie ciemności, aby podjąć próbę zbliżenia się do brzegi rzeki. Dwukrotnie straż klanu podnosiły alarm, wzywając Nożowników do obrony magazynu przed intruzami. Raz powietrze przeszył odgłos strzałów.

Phousita i Sumiati rzuciły się do okna i wyjrzały przez otwory w zasłonach zrobionych z kartonu.

Na wybetonowanym brzegu rzeki rozlokował się patrol Islamskiego Odrodzenia. Dwóch mężczyzn ze staroświeckimi strzelbami gotowymi do strzału czujnie się rozglądało, podczas gdy trzeci ostrożnie przeszukiwał splamione krwią ubrania wychudłego żebraka, przyłapanego na spożywaniu meszku. Islamiści głosili, że rzeka oczyściła się za sprawą diabelskiego zaklęcia, i zabijali na miejscu każdego, kto ośmielił się jeść diabłu z ręki. Już niedługo odkryją pod magazynem zbudowane przez Arifa więcierze i do cna spalą stary budynek. Klan z powrotem

wyląduje na ulicy.

Phousita obserwowała ich do chwili, gdy skopali ciało żebraka i zawlekli je do wody. Potem wzięła do ręki miotłę i wróciła do ścierania nie istniejącego kurzu, kątem oka łowiąc bliską obecność półprzezroczystej twarzy białego anioła. Ogólnie, było to spokojne popołudnie.

– Arif wrócił!

Ostrzegający szept obudził Phousitę. Zapadł już zmierzch.

Leżała w półmroku, odurzona dusznym, ciężkim od wilgoci powietrzem, jakie wypełniało budynek przez, cały, upalny dzień.

Leżała na twardej podłodze i teraz bolały ją plecy.

– Phousita? – ponownie rozległ się szept.

Z wysiłkiem usiadła i cicho powiedziała:

– Jestem tutaj. Rozumiem.

Postać przy drzwiach obróciła się na pięcie i zniknęła. Phousita rozejrzała się. Sumiati i dzieci gdzieś wyszły. Od drzwi frontowych dobiegał hałaśliwy, wesoły gwar podnieconych głosów, tradycyjnie towarzyszący powrotowi z miasta członków klanu odpowiedzialnych za zaopatrzenie. Dziewczyna pomacała śliską od potu skórę na piersi, w pobliżu rany. Nie czuła bólu, ale dokuczał jej głód, szarpiący wnętrznościami, szalejący w brzuchu jak zamknięta w klatce dzika bestia.

Sumiati zostawiła ostatnią porcję ryżu do ostygnięcia.

Phousita nie mogła skoncentrować się na głosach przybywających z miasta członków klanu. Całą uwagę absorbował garnek z ryżem. Stał tak blisko! Chyba znajdował się w zasięgu ręki.

Żołądek gwałtownie domagał się napełnienia, nigdy dotąd nie czuła takiego łaknienia. Pot wystąpił jej na twarz, słone kropelki ściekały po policzkach. Walczyła ze sobą, lecz stała na straconej pozycji. Nie potrafiła ignorować słodkiego aromatu gotowanego ryżu.

– Arif!!! – krzyknęła, uderzając dłońmi o podłogę. – Arif, chodź tutaj, uwolnij mnie! Umieram, umieram!

Przycisnęła policzek do popękane linoleum, nie zważając, że będzie miała podrapaną skórę. Garnek z ryżem znajdował się teraz bliżej. Nie mogła uwierzyć własnym oczom, a jednak działo się to naprawdę – garnek zbliżał się do niej. Dziewczyna próbowała odsunąć się od naczynia, czołgała się po podłodze, ale garnek okazał się szybszy. Pchany niewidzialną siłą wpadł do ręki, parząc palce. Phousita targnęła się do tyłu, odruchowo chwytając za pokrywkę,

która poleciała w powietrzu przez cały pokój i uderzyła o ścianę. Para poparzyła jej nadgarstki. Dziewczyna rozpaczliwie krzyknęła, uderzyła czołem o podłogę, uniosła głowę i uderzyła ponownie, a potem jeszcze raz, ale nawet pulsujący ból w czaszce nie odegnał głodu. Upadła na podłogę, z policzkiem przytulonym do osmolonego garnka, i zaniosła się histerycznym płaczem.

– Gdzie ona jest?

– Z drogi!

– To jakaś zaraza, wiedziałem!

Głosy mieszały się ze sobą, zlewały w jedno źródło, jaśniejące osłepiającym żółtym światłem. Czyjeś silne ręce uniosły ją i delikatnie przewróciły na plecy.

– Jedz, Phousita. Jedz.

Ktoś włożył jej do ust trochę ryżu. Przełknęła go bez przeżuwania. W miarę jak przełykała kolejne porcje, mgliste, rozmazane sylwetki coraz bardziej upodabniały się do znajomych ludzi.

Dojrzała twarze Sumiati i Sri. Karmił ją ktoś trzeci. Kto? Chwyciła rękę tej osoby za nadgarstek i powoli przeniosła wzrok wyżej, by stwierdzić, że patrzy w chłodne, brązowe oczy chińskiego lekarza.

Był młodym mężczyzną, z wyglądu niewiele starszym od Phousity. Gęste, czarne włosy nosił spięte w kucyk, przez co odsłaniał jasną twarz o cerze bladej, niemal przezroczystej.

– Jedz, Phousita – powtórzył.

Spojrzała na pełną ryżu dłoń, do ust napłynęła ślina. Z wysiłkiem ją przełknęła.

– Nikt oprócz mnie nie jadł – szepnęła.

– Nikt prócz ciebie nie jest chory. Jedz.

– Umieram?

– Tego jeszcze nie wiemy. Jedz.

– Arif...

Zmrużywszy oczy, szukała w otaczającym tłumie właściciela koszarnej twarzy.

– Jestem tutaj – rzekł Arif, dotykając jej łokcia.

Obróciła się, aby go widzieć.

– Uwolnij mnie – poprosiła szeptem. Opuszkami palców musnęła rękojeseć sztyletu, który Arif nosił w pochwie przymocowanej do pasa na piersi. – Nie marnuj żywności. Daj ją innym.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Ostatecznie pokręcił tylko głową przecząco, jednak w tym samym czasie sięgnął po sztylet.

– Nie! – Chiński lekarz odepchnął dłoń Arifa z dala od rękojeści broni. – Porwałś mnie. Kazaleś zabrać połowę laboratorium i przy wlokłeś tutaj. Skoro tu jestem, ja będę decydować!

Chcę dowiedzieć się, czym się zaraziła. Dopiero potem rozważymy użycie noża.

Odwrócił się do stojących za nim dzieci i rzucił kilka krótkich rozkazów. Sekundę później trzymał w rękach płaskie, niebieskoszare pudełko. Otworzył je, ukazując gapiom szklane okienko, wypełnione drobnymi, bursztynowymi symbolami. Phousita rozpoznała niektóre z nich. Regularnie odwiedzała sklep Zeke Choya.

Kiedys pokazał jej ten komputer, nauczył odczytywać literowe oznaczenia.

Doktor ostrożnie postawił urządzenie na podłodze, a następnie wziął od jednego z widzów niewielką torbę z rzemieniem. Otworzył ją, przejrzał zawartość i odstawił na bok. Rozejrzał się za trzecim elementem wyposażenia. Ktoś podał mu błękitną walizeczkę. Postawił ją obok siebie i delikatnie uchylił wieko. Po jednej stronie znajdowała się miniaturowa klawiatura i monochromatyczny wyświetlacz, po drugiej szklana szybka, a za nią tysiące mikroskopijnych tubek. Niektóre z nich zawierały kolorową ciecz, inne były puste. Rozległ się pomruk zachwytu. Chiński lekarz miał sławę wielkiego czarownika. W oczach klanu zasługiwał na ogromny szacunek, skoro panował nad tyloma zaklęciami...

Zeke Choy obrzucił zgromadzonych wściekłym spojrzeniem.

– Cholerni przesądni głupcy – mruknął.

Ktoś trącił Phousitę w łokieć. To Arif. Dziwny grymas, nadający jego twarzy jeszcze koszmarniejszy wygląd niż zwykle, odczytała jako uśmiech, którym chciał dodać otuchy. Pomógł jej usiąść. Była słaba jak niemowlę, z trudem utrzymywała ciało w pionie. Miała zawroty głowy, wciąż odczuwała dokuczliwe ssanie w żołądku, ale zignorowała wszelkie dolegliwości, by w skupieniu uczestniczyć w rozpoczętym przez lekarza rytuale.

Chińczyk wyjął z torby szklany pręcik i zwitek papieru, w którym ukryty był kawałek metalu, zwany przez niego skalpelem.

Phousita знаła przebieg badania. Sama wykonywała wszystkie te czynności, gdy ofiary epidemii były zbyt słabe lub tak niestabilne, że transport do sklepu Zeke Choya nie wchodził w rachubę. Bez wezwania uniosła rękę i odwróciła ją wnętrzem dłoni do góry.

Lekarz pochwycił ją, nakłuł skalpelem palec i pobrał próbkę krwi szklanym pręcikiem. Z tej kropelki krwi wywróży naturę przypadłości. Jeśli to jakaś stara zaraza, istnieje szansa, że ją wyleczy.

Jeżeli nie...

Dziewczyna śledziła wzrokiem szklany pręcik, znikający w otworze na panelu komputera. Cały klan szeptał słowa otuchy i wyrażał nadzieję na pomyślną przyszłość. Chińczyk był wielkim czarownikiem. Wszyscy o tym wiedzieli, choć on sam zawsze temu żarliwie zaprzeczał.

Rozbrzmiał dzwonek. Phousita zadrżała pod wpływem nagłego przecucia. Była już stara, miała prawie dwadzieścia pięć lat.

Nawet Arif był od niej młodszy. Większość członków klanu nie dożywała piętnastki.

Często wyobrażała sobie tę chwilę, próbując odgadnąć, jakie myśli i uczucia będą jej towarzyszyć, gdy wypełni się czas i stanie twarzą w twarz z bezlitosną śmiercią, która zabrała na jej oczach tak wielu ludzi. Serce waliło jak szalone, lecz zachowała milczenie. Wstrzymawszy oddech, wpatrywała się w Zeke Choya, studiującego na ekranie komputera tajemniczy wzór złożony z drobnutkich liter.

Wyraźnie zaskoczyło go to, co zobaczył. Jeszcze bardziej się nachmurzył, zmarszczył brwi. Phousita czuła spływające po twarzy zimne kropelki potu. Kolejna fala zawrotów głowy spowodowała, że całym ciężarem oparła się o Arifa. Przytrzymał ją, szczelnie objął ramionami. Członkowie klanu załkali, jakby przedłużające się zamyślenie lekarza było sygnałem do rozpoczęcia żałoby.

Chińczyk spojrział na nich z irytacją i zamachał w powietrzu szczupłą ręką.

– Dosyć! Natychmiast przestańcie! Nic jej nie jest.

Zapadła cisza.

– Jest zdrowa? – spytała Sumiati. Na jej krągłej twarzy odbijało się zdziwienie.

– Cholerne sępy – burknął lekarz.

Wszyscy odebrali to jako przekleństwo, lecz znaczenie słów pozostawało wielce niejasne.

– Tuan – zaczęła nieśmiało Phousita – to nie jest zaraza?

– Nie, oczywiście, że nie – warknął. – Nieszczęśnik, którego znalazłaś w rzece, musiał być facetem z klasą. Otrzymałaś zastrzyk powszechnie stosowanej, zarejestrowanej toksyny obronnej. To wszystko. Gość przyjechał pewnie z Unii Europejskiej, śmiertelnie trujące toksyny są tam zakazane. Ten narkotyk miał za zadanie obezwładnić napastnika, oszołomić do czasu przybycia policji.

– Policji Wspólnoty?! – wykrzyknął Arif, zaciskając dłoń na ramieniu Phousity.

Sumiati jęknęła ze strachu.

Zeke Choy parsknął śmiechem.

– Nie Wspólnoty, tylko miejskiej – wyjaśnił. – W Unii Europejskiej policja ma za zadanie chronić obywateli przed napaścią.

Phousita nie rozumiała, o czym Chińczyk mówi, ale wyczuwała, że słowa stanowią zasłonę, za którą skrywa jakieś znaczące odkrycie. Arif najwyraźniej miał podobne podejrzenia.

– Znalazłeś coś jeszcze – syknął, rozmyślnie pomijając grzecznościowy zwrot tuan. – Jej krew zawiera jeszcze jakąś klątwę. Jaką?

– Żadną! – burknął lekarz. – Daj jej suty posiłek i wróci do siebie. Phousita! – Dziewczyna podniosła wzrok, zaskoczona.

– Jesteś tu szamanką. Skoro twój wayang przywłókł mnie tutaj z drugiego końca miasta, mogę obejrzeć jeszcze kilka osób. Kto potrzebuje pomocy lekarza?

Przez następne pół godziny zbadał piątkę dzieciaków i Sumiati, a potem zjadł z klanem kolację. Od czasu do czasu ukradkiem przyglądał się Phousicie, lecz nic nie mówił. Mimo że po posiłku wróciły jej siły, dziewczyna coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, iż Chińczyk ukrywa jakąś istotną informację. Bała się.

Po kolacji Zeke Choy obwieścił zamiar wezwania taksówki.

– Ciągnąłeś mnie przez pół miasta, ale nie mam zamiaru wracać na własnych nogach. – Wyjął komputer, otworzył go i nacisnął kilka klawiszy. – Gdzie jesteśmy? – spytał po krótkim namyśle.

Arif wzgardliwie wzruszył ramionami.

– Nie mamy żadnego adresu.

– Nazwa ulicy, człowieku! Jak nazywa się ta ulica?

– Nad rzeką. To wystarczy.

Lekarz zaklął pod nosem. Gniewnie uderzał palcami w klawiaturę i patrzył na monitor. Rezultaty musiały być zadowalające, bo przysiadłszy na piętach, powiedział łagodniej: – Znają to miejsce. Zaczekam na ulicy.

– Niebezpiecznie jest stać tu na ulicy – wtrąciła szybko Phousita. Arif zaczął się z nią sprzeczać (jego Nożownicy mogli eskortować gościa), ale uciszyła go spojrzeniem. – Postoję z panem. Widząc mnie obok, nikt nie będzie pana niepokoił.

– Masz tutaj reputację krwawego rzeźnika, co? – zadrwił Chińczyk.

Urażona opuściła głowę.

– Ludzie z ulicy wiedzą, że należę do Arifa.

– Ach, tak.

Lekarz zebrał swoje bagaże. Dziewczyna pośpieszyła z pomocą, ale odsunął ją na bok. Żegnając go, wszyscy członkowie klanu pokłonili się do ziemi. Zeke Choy na koniec również przypomniał sobie o dobrych manierach i zanim skierował się w stronę drzwi, oddał pokłon.

W przejściu nie było światła. Lekarz zatrzymał się i zawołał:

– Phousita!

Arif stał przy drzwiach ze złośliwym uśmiechem na twarzy.

Kiedy dziewczyna skoczyła lekarzowi na pomoc, podał jej latarkę.

Włączyła ją i w korytarzu zrobiło się jasno.

– Tak lepiej – prychnął chiński lekarz. – Przez chwilę myślałem, że będę musiał wymacać drogę powrotną.

Phousita w milczeniu wyprowadziła go przed budynek. Minęli strażę i wyszli na ulicę.

Skraj drogi zajmowały prowizoryczne budy, sklecone z żalosnych szczątków plecionych mat, kartonów i plastikowych płyt.

Nawierzchnia była śliska od deszczu. Gdzieś, w pobliżu, kwiliło dziecko. Jego płacz mieszał się ze śpiewem piastunki, zawodzącej głębokim, gardłowym głosem.

– Jest taksówka – powiedział Zeke Choy, dojrawszy w oddali reflektory samochodu.

– Zostaliśmy sami – odezwała się Phousita. – Proszę, powiedz, co jeszcze odkryłeś w mojej krwi.

Lekarz wyglądał na zakłopotanego.

– Nie mogę ci powiedzieć – rzekł łagodnie. – Rzeczywiście, coś znalazłem, ale... Nie wiem, co to jest.

– Przecież komputer...

– Staram się uaktualniać bazę danych, lecz niemal codziennie pojawia się nowa zaraza. Sama wiesz.

– Więc to zaraza – stwierdziła dziewczyna z bijącym sercem.

Lekarz zaprzeczył gwałtownym ruchem ręki.

– Phousita, nie wiem, co to jest. Nadal mam próbkę twojej krwi. Daj mi trochę czasu, a dowiem się. Na razie...

Wzruszył ramionami.

Światła taksówki były już blisko. Lekarz uniósł w górę torbę, aby przyciągnąć uwagę kierowcy. Zaraz opuścił ją z powrotem, gdy z pobliskiej alei dobiegł histeryczny, kobiecy krzyk. Na całej ulicy zapadła złowroga cisza.

Phousita chwyciła mężczyznę za łokieć i ciągnęła go do tyłu, aż dotknęli plecami drzwi magazynu.

– Co się dzieje? – syknął.

Dziewczyna nie była pewna. Ciemności uniemożliwiały ocenę sytuacji. Wątle płomyki gazowe, gwiazdy i kilka słabych latarek dawało za mało światła, aby rozróżnić jakiegokolwiek szczegóły otoczenia, jednak nie widziała niczego, co mogło wywołać mrozący krew w żyłach krzyk.

Nagle z alei wypadły dwa wielkie psy. Zatrzymały się na środku jezdni i kręcąc opancerzonymi głowami to w jedną, to w drugą stronę, wietrzyły trop. W zalegającej nad ulicą martwej ciszy słychać było, jak wciągają w nozdrza powietrze.

– Psy policyjne – mruknął Zeke Choy i zabrzmiało to jak najgorsze przekleństwo.

Phousita wstrzymała oddech i zamarła w bezruchu. Zastanawiała się, kogóż to mogą szukać o tej porze dwa brytany znajdujące się na służbie policji Wspólnoty. Masywną głową sięgały człowiekowi do ramion. Kiedyś była świadkiem, jak taka bestia jednym kłapinięciem szczęki zmiażdżyła kobiecie głowę.

Psy powoli ruszyły skrajem jezdni, przystając przy niektórych budach. Pochylały głowy i zaglądały do wnętrza, by obejrzeć mieszkańców. Światła nadjeżdżającej taksówki odbijały się od pancernych łbów, słały srebrne błyski na okoliczne ściany.

– Parszywe wypierdki nauki – burknął Chińczyk.

Drepczący na przedzie brytan zatrzymał się na dźwięk ludzkiego głosu. Było to ogromne monstrum o czarnej sierści znaczonej brązowymi łatami. Jego oczy sprawiały wrażenie szklanych kulek, w których zatopiono czerń bezkresnej, pustej otchłani.

Phousita zdrętwiała, gdy ruszył w jej stronę. Instynkt nakazał jej wcisnąć się w płytę drzwi, szukać szansy ukrycia się przed drapieżnikiem. Wbrew zdrowemu rozsądkowi miała nadzieję, że stanie się niewidzialna. Jakże chciałaby teraz rozpuścić się w powietrzu, zwyczajnie zniknąć.

Tymczasem Zeke Choy był całkowicie opanowany. Stał spokojnie i pozwalał, by pies go obwąchiwał.

– Nie ma tu nic nielegalnego – mruczał, podczas gdy brytan skrupulatnie badał nosem dłonie,

ubranie i bagaże. – Każda cząsteczka jest zarejestrowana i na licencji.

Dziewczyna przyjrzała mu się, zbita z tropu. Nie zrozumiała tych słów, ale do tego już zdążyła się przyzwyczaić. Do kogo jednak mówił? Do... psa? Może jeszcze spodziewał się, że otrzyma odpowiedź? Owszem, był wielkim czarownikiem, jednak...

Przesunęła wzrok na zwierzę i nie dostrzegła nic, co sugerowałoby, że ma zamiar przemówić ludzkim głosem. Zamiast tego pies przeniósł zainteresowanie na nią, owiewając gorącym oddechem jej skórę. Jego kompan zatrzymał się kilka kroków z tyłu i przypatrywał się badawczo oczami, w których nie było ani śladu duszy.

– Zostawcie ją – rzucił lekarz ostrym tonem. – Nic tu po was.

Czyżby były mu posłuszne? Cofnęły się, choć nie zaprzestały podejrzliwego węszenia, jakby nie miały pewności, czy czegoś nie znalazły. W końcu odwróciły się i poszły kontynuować przeszukiwanie ulicy.

– Nie mają tu czego szukać – skonstatował Zeke Choy. – Ich rewir nie sięga aż tutaj. Nie pozwól im, żeby cię straszły.

Wspólnota nie interesuje się takimi ludźmi jak ty, czy ja.

Phousicie nigdy przez myśl nie przeszło, by stawiać się na równi z lekarzem, toteż pokłoniła się z wdzięcznością.

Taksówka zatrzymała się kilka metrów od nich. Kiedy psy poszły dalej, podjechała pod bramę magazynu. Chińczyk otworzył drzwiczki i wrzucił do środka bagaże.

– Zajrzyj do sklepu za kilka dni. Powtórzę badanie. I nie martw się... Zrobię to bez żadnych opłat.

Chciała zaprotestować, ale nie dał jej możliwości. Wsiadł do samochodu i nakazał kierowcy ruszać. Kiedy tylko światła taksówki zniknęły z pola widzenia, Phousita cofnęła się do bezpiecznego zacisza starego magazynu.

ROZDZIAŁ 4

– Znowu u niej byłeś, prawda?

Nikko drgnął. Nie spodziewał się wizyty. Oderwał wzrok od obiektywu kamery i spojrzął w kierunku drzwi. Na progu stał jego ojciec.

Bez słowa wrócił do pracy. Kamera z obiektywem o czterocentymetrowej ogniskowej była przyłączona do giętkiej macki, której drugi koniec tkwił w płycie urządzenia do archiwizacji danych.

Leżało ono w zasięgu ręki, na kanapie, obok płataniny pasków umożliwiających mocowanie kamery do ciała. Układy sztucznej inteligencji niższego rzędu automatycznie skierowały kamerę na człowieka przy drzwiach, utrwalając obraz Foxa.

– Dlaczego nadal się z nią widzisz, Nikko?

Jego widmo opuściło Kirstin i wróciło do Domu Lata prawie godzinę wcześniej. Nikko odczytał przyniesione dane, jak beznamienne wspomnienia z zamierchłej przeszłości, a teraz uzupełniał o nie podręczną bazę danych. Od kilku tygodni dokumentował swą kampanię przeciw zaprogramowanej śmierci. Czuł, że będzie to jego największe, najważniejsze dzieło. I choć nie dopuszczał do siebie tej myśli, miał przeczucie, że będzie to dzieło ostatnie.

Podniósł w górę ręce, żeby Fox nie mógł przeoczyć niekontrolowanego drżenia dłoni. Sztuczną grawitację generowano w Domu Lata przez obrót stacji wokół własnej osi. Na tym poziomie miasta miała wartość bliską dwóch trzecich normalnego ziemskiego ciężenia. Dłonie Nikko dygotały, jakby przez jego ciało przewalało się mikroskopijne trzęsienie ziemi.

– Mam tu materiał filmowy z Kirstin w roli gwiazdy – powiedział, spoglądając w obiektyw wiernej kamery. W jego głosie zabrzmiała nuta sarkazmu. – A ponieważ ma to być film dokumentalny o morderstwie na mojej osobie, popełnionym w majestacie prawa, czyż można sobie wyobrazić lepszą atrakcję niż występ nieodmiennie popularnej naczelnik policji Wspólnoty?

Jej udział gwarantuje największą widownię, o jakiej mógłbym marzyć.

– Nie zaszkodziś jej – stwierdził Fox. – Wszystkiemu zaprzeczy. Jak zwykle.

Macka przemieściła się, umieszczając Foxa w kadrze. Kamera utrwałała wysokiego, bladego mężczyznę z rzednącymi, czerwonymi włosami na głowie. Twarz tę znano w całej

ogólnoświatowej sieci i kojarzono ze znakomitym inżynierem molekularnym.

Jak na inżyniera specjalizującego się w poprawkach do ludzkiej fizjologii, wyglądał bardzo staro – na sześćdziesiąt lat. W rzeczywistości był znacznie starszy, według metryki skończył pięćdziesiąt siedem lat. Fox mógłby twierdzić, że świadomie wybrał „dojrzałość” podeszłego wieku. Nikko doszedł do wniosku, że jeśli jest to świadomy wybór, chodzi raczej o kolejny akt ojcowskiej pokuty. Jednak jeśli chodziło o Foxa, zgryźliwe uwagi zatrzymywał dla siebie.

– Nikko, spotykając się z nią, marnujesz czas. Ona wykorzystuje cię. Nieważne, co dla niej zrobisz. Nigdy nie da ci odroczenia.

– Wiem o tym, Fox. – Czuł, jak prawda skręca mu kiszki.

Musiał coś zrobić, żeby zredukować napięcie, więc pół żartem, pół serio zapytał: – A może ostatnio dołożyłeś do swego magicznego zestawu jakiś nowy struktor? Coś, co pomogłoby jej zmienić zdanie?

Nie powinien tego mówić. Pomijając nietypowe poczęcie w laboratorium, Fox wielokrotnie dowiódł, że jest typowym rodzicem, dręczonym przez wątpliwości i zamartwiającym się problemami związanymi z wypełnianiem trudnej roli ojca. Dużą część z ostatnich trzydziestu lat spędził na zamęczaniu siebie rozmyślaniami o zbliżającym się momencie wygaśnięcia zezwolenia na prowadzenie badań naukowych. Nikko nie powinien rozdrapywać tej nie gojącej się rany.

– Nikko, przecież wiesz, ile można wycisnąć z moich strukturów. Gdybym miał naprawdę dobry egzemplarz, już bym go użył.

– Hmm. – Kiszzer lekko zafalował na jego ramionach. – Mógłbyś skonstruować naprawdę wyjątkową sztukę. Jednak tego nie zrobisz.

To właśnie, według Nikko, było prawdziwym źródłem napięć między nimi, a nie przekłete zezwolenie na prowadzenie badań.

Fox reprezentował Dom Lata, miejsce słynące z tego, że stało się enklawą dla posiadaczy strukturów znajdujących się na granicy tolerancji, dla tych programowalnych maszyn molekularnych, które niebezpiecznie zbliżyły się do granicy nakreślonej przez prawo Wspólnoty. A prawo to sztucznie ograniczało swobodę najbardziej twórczych jednostek, podgrzewało atmosferę do stanu wrzenia. Ludzie mieli żywo w pamięci sukcesy z nie tak odległej przeszłości, – lecz przyszło im żyć w nowej rzeczywistości. Sytuacja była niestabilna, łatwo mogło dojść do

provokacji... której Fox za wszelką cenę chciał uniknąć.

– Kamera wyłączona – zarządził Nikko i tentacle opadła na płytę spoczynkową. Bębnił drżącymi palcami o udo, a gniewne staccato mieszało się z jego bezbarwnym głosem. – Naprawdę chcesz mi pomóc, Fox? W takim razie zaprojektuj Żniwiarza, struktor, którym dosięgnę Kirstin. Pomóż mi ją dopaść, zanim skończy się mój czas.

Ojciec zgromił go wzrokiem.

– Mam zaryzykować bezpieczeństwo Domu Lata dla prywatnej zemsty?

– Trzeba od czegoś zacząć. – Kiedy to mówił, kisser falował jak ogon rozdrażnionego kota. – Za długo starasz się być grzecznym chłopcem.

Wspólnota została proklamowana po to, by chronić społeczeństwo przed nowymi technologiami, strzec ludzi przed nimi samymi oraz współobywatelami. Początek Wspólnoty nie oznaczał końca egzystencji starych narodów Ziemi. Kalifornia, Unia Europejska, Unia Atlantycka, Australia, Japonia i setki innych krajów nadal funkcjonowało na arenie politycznej, miało własne zwyczaje i systemy prawne. Mimo to państwa Ziemi, podobnie jak nowo powstałe miasta orbitalne, scedowały część swych przywilejów na Wspólnotę Narodów. Rządy zgodnie zdecydowały, iż przepisy regulujące biologiczne i technologiczne aspekty inżynierii molekularnej będą egzekwowane przez sądy Wspólnoty, które surowo ukarzą każde wykroczenie.

Nie wszystkie państwa podpisały kartę Wspólnoty. Część narodów postanowiło zachować papierową niepodległość, a to z powodu silnego sprzeciwu nacjonalistów lub partii odwołujących się do etyki i przekonań religijnych. Jednak Wspólnota wymuszała stosowanie swego prawa nawet w tych krajach, podpisując z ich rządami odpowiednie umowy i porozumienia dwustronne, a jeśli się to nie udawało, zakładając na ich terenie gęstą siatkę szpiegowską. W żadnym razie nie można było dopuścić, by jakiegokolwiek niezależne jednostki mogły rozwijać zabronione technologie. Policja Wspólnoty byłaby wówczas całkowicie bezradna, a sama Wspólnota błyskawicznie zwałiłaby się w gruzy.

Może na początku sprawowanie ścisłej kontroli nad rozwojem zaawansowanych technologii miało sens, ale zdaniem Nikko trwało już stanowczo za długo. Wprowadzono za dużo zasad i norm, narzucono zbyt wiele ograniczeń, nakreślono za wiele granic w świecie, który nie powinien znać żadnych granic. Dlaczego przyjęto, że współczesny człowiek jest ostatnim ogniwem w łańcuchu ewolucji, podczas gdy zarysowało się tak wiele nowych możliwych

przemian gatunku? Nikko marzył o dniu, w którym za jego sprawą przestaną istnieć demagogicznie narzucane limity.

– Nie wygramy, wypowiadając wojnę policji – stwierdził Fox. – Musisz przestać rozumować jak dziecko.

– Nie chcę wojny z policją. Chcę ujrzeć koniec Wspólnoty.

– Ja też tego chcę! Przecież wiesz. I Wspólnota przestanie istnieć, ale jeszcze nie nadszedł właściwy moment.

– O jakim właściwym momencie mówisz? – wykrzyknął Nikko. Kiszer pofrunął w powietrze i przylgnął mu do twarzy jak maska, szczelnie łącząc się z miękką tkanką ust i nosa. – Tato, dla mnie nie będzie właściwszego momentu. Zrobiłem wszystko, co w było w mojej mocy. Ty zrobiłeś wszystko, co chciałeś zrobić.

Nie pozostało nic, tylko zamknięcie wszelkich rachunków.

Walczył z kiszerm, desperacko usiłując uspokoić jego rozfalowaną powierzchnię. Nienawidził go.

Fox nie zauważył tych wysiłków, całkowicie pochłonięty myślami.

– To jeszcze nie koniec – rzekł. – Ciągłe masz przed sobą kilka tygodni. Nikko, nie pokazuj się teraz, z niczym nie wyskakuj.

Potrzebuję tego czasu. Może mam sposób, żeby cię ukryć, ale...

– Odwrócił się i dając upust frustracji, wznosił ręce do rudych włosów. – Na Miłość i Naturę! Na razie nie jestem gotów o tym mówić.

Skierował się do wyjścia.

Nikko wyczuł jednak przedsmak czegoś zakazanego. Poderwał się z kanapy.

– Fox, nie zbywaj mnie. Nad czym pracujesz?

Mężczyzna potrząsnął głową i machnął ręką, jakby odpędzał natrętną muchę. Zrobił następne dwa kroki w stronę drzwi, lecz nagle zatrzymał się. Zwrócił się twarzą do Nikko i z dumą powiedział:

– Może będziemy mogli zakodować ci funkcję biogenetyczną.

– Funkcję biogenetyczną? – Nikko nie potrafił usunąć z głosu zjadliwej ironii. – To żaden ratunek. To czcza fantazja!

Badania nad funkcją biogenetyczną były oczkiem w głowie Foxa. Miały na celu stworzenie kompleksowej teorii zespołu kodów źródłowych, które w najdrobniejszych szczegółach

opisywałyby schemat konstrukcyjny każdej cząstki Domu Lata i jego środowiska wewnętrznego. Gdyby kody te zastosować w pakiecie struktorów i wprowadzić do odpowiedniego substratu, byłoby możliwe – przynajmniej teoretycznie – powielenie całego Domu Lata.

Teoretycznie.

– Fox, funkcja biogenetyczną nigdy nie będzie istnieć. To gigantyczny projekt, zbyt złożony, żeby go zrealizować w praktyce.

– Jego złożoność może być dla ciebie dobrą kryjówką – stwierdził Fox łamiącym się głosem, który zdradzał dręczącą mężczyznę niepewność.

– Nie chcę być ciągiem bitów kodu źródłowego! Chcę żyć.

Zrobię wszystko, żeby utrzymać się przy życiu.

Fox nachmurzył się.

– Wiem – rzekł, kiwając głową. – Udowodniłeś to, idąc do Kirstin.

Mężczyzna ruszył do wyjścia. Kiszler Nikko zadrzał z gniewu, lecz gorzka riposta zastygła mu na wargach, zepchnięta w milczenie przez nagłą falę zawrotów głowy. Jakby zwałił się na niego psychiczny cios, odbierający wszystkie siły. Bezradnie patrzył, jak Fox opuszcza pokój. Chciał zawołać, prosić o pomoc, jednak słowa uleciały mu z głowy. Drzwi otworzyły się, Fox przestąpił próg i drzwi zamknęły się. Nikko został sam na sam z kłębiącymi się pod czaszką pytaniami, w potrzasku dziwnej niemocy, która odbierała ochotę wypowiedzania ich na głos. Opadł na kanapę, poddawszy się słabości ciała i jałowości umysłu. Stan, w jakim się znalazł, napelniał go przerażeniem. Nie miał pojęcia, co o tym myśleć. Narzucała się tylko jedna refleksja: być może umrze wcześniej, niż mu się zdawało.

Przy drzwiach pojawiła się jakaś postać. Dojrzał ją kątem oka i natychmiast odczuł ulgę. Na pewno wrócił do niego Fox.

– Tato? – powiedział słabym głosem.

Zawroty głowy stopniowo ustępowały, lecz drżenie rąk jeszcze się nasiliło. Z wysiłkiem uniósł głowę. Przy drzwiach nie było Foxa. Stał tam niski dzentelmen, którego Nikko widział po raz pierwszy w życiu.

– Kim pan jest, do cholery? I jak się pan tu dostał?

Nieznajomy był drobnej budowy ciała, szczupły i gibki, z blond włosami i mlecznobiałą skórą, taką samą, jak skóra Sandora, młodszego brata Nikko. Wyprężył się i nadał pierś, przez co wyglądał na karykaturę postaci z filmów rysunkowych.

– Zabrałeś coś, co do ciebie nie należy! – powiedział władcym tonem. – Rozkazuję ci, oddaj to! Oddaj, albo...

Nikko wybuchnął śmiechem. Nie mógł się powstrzymać. Stojący przed nim człowieczek był równie groźny jak tygrysie szczenię naśladowujące dorosłego tygrysa.

– Matko Naturo, miej nas w swojej opiece – zakpił. – Spójrz na siebie. Kto ci zrobił taki kawał?

Groźna mina zniknęła z twarzy nieznajomego, a wojownicza postawa ulotniła się jak wczorajsze plotki. Toczył wzrokiem z lewa na prawo, jakby szukał wsparcia.

– Do diabła z tym! – Odwrócił się do Nikko bokiem, lewą dłoń nerwowo zacisnął w pięść. Na przypominającej księżyc w pełni twarzy pojawił się cień zakłopotania. – Nigdy nie potrafiłem załatwiać takich spraw – mruknął. – Nie nadaję się do tego. Cóż... A jednak muszę to zrobić. Oczywiście. Po to przyszedłem.

Z animuszem tupnął nogą i komicznie wysunąwszy do przodu dolną szczękę, z determinacją rzekł:

– Słuchaj, musisz tylko go oddać, nic więcej od ciebie nie chcę. Oddaj mi go i będziemy kwita. Przecież wcale go nie potrzebujesz.

– Co miałbym ci oddać? – zapytał Nikko. Kiszer lekko zafalował, tknięty załążkiem niepokoju.

– Struktor! Struktor, rzecz jasna. Ten, który ukradłeś. Znakomicie to zrobiłeś. – Pokiwał głową, co można było odczytać jako wyraz podziwu. – Wielu próbowało tego dokonać. Jasne, jasne... Nic nowego pod słońcem. Wszystko już było, tylko od czasu do czasu się powtarza. Tylu ludzi próbowało. Nie byłeś pierwszy, zapewne również nie ostatni. – Zmarszczył brwi. – Tylko że tobie się udało. Dlatego tu przyszedłem, dokładnie dlatego. Bo jesteś pierwszym, któremu się udało. Dobry w tym jesteś, ale...

Ponownie potrząsnął głową, tym razem w geście desperacji.

– Wybacz, że tak wpadłem... Wracając do struktora. Przyniesie ci same problemy. To właśnie chciałem ci powiedzieć.

Policja nie spocznie, dopóki cię nie dopadnie.

Wzmianka o policji sprawiła, że kiszer Nikko zastygł w bezruchu. Pomyślmy... O jakim struktorze mówi ten dżentelmen?

Skąd miałby go ukraść? Przeszukiwał pamięć, chcąc odnaleźć jakąś wskazówkę. Co prawda

rozesłał widma po sieci, aby śledziły postępy kilku projektów badawczych, ale ostatnio nie otrzymał żadnych nielegalnych materiałów. Przypatrywał się człowiekowi, całkowicie zbity z tropu, lecz jego twarz pozostała doskonale nieruchoma i bez wyrazu.

– Jesteś gliną? – zapytał spokojnie.

– Nie, oczywiście, że nie. Gdybym był gliną, nie zadawałbym sobie trudu i przychodził tutaj. Byłbyś już aresztowany.

– W takim razie kim...

Urwał, podskakując na dźwięk otwieranych drzwi.

Fox wrócił. Nikko miał nadzieję na wybawienie z kłopotliwej sytuacji, jednak srodze się zawiódł. Fox nawet nie spojrział na tajemniczego gościa. Wymierzył w Nikko palec i z czerwoną od gniewu twarzą ryknął:

– Znowu wciągasz Sandora w swoje brudne gierki! Właśnie miałem telefon z Zamku. Majstrowałeś przy jego terminarzu. Nie pozwolę na to, Nikko! Możesz ryzykować własną głową, jeżeli tak ci się podoba. Twoja sprawa. Nie mogę cię powstrzymać, ale nie ciągnij za sobą brata!

Nikko patrzył to na Foxa, to na dziwnego, małego dżentelmena.

– Nie widzisz go, Fox?

Jakaś nuta w głosie Nikko musiała poruszyć przybranego ojca, bo niespokojnie rozejrzał się po pokoju, jakby nagle wyczuł, że dzieje się coś niedobrego. Nie znalazł jednak nic, na czym mógłby zatrzymać spojrzenie.

Nikko poczuł, jak jego serce w panice zastyga. Kiedy ponownie zaczęło bić, waliło w piersi jak oszalałe.

– Nie wiedziałeś, że jestem widmem? – Człowieczek wyglądał na rozczarowanego. – Miałeś się zorientować, opierał się na tym cały plan! Jak miałbym cię zastraszyć we własnej postaci?

Cóż, w końcu się domyśliłeś. To dobrze. Możesz być absolutnie pewien, że jestem widmem.

Na dno żołądka Nikko spadł ciężki, lodowaty kamień strachu.

– Nie otworzyłem przed tobą mojego atrium – wyszeptał.

Człowieczek uśmiechnął się z ulgą.

– Właśnie! – wykrzyknął. – Sam sobie otworzyłem. Potrafię zarządzać twoim atrium. Widzisz, w tym cały sekret. Złamałem zabezpieczenia twoich struktów obronnych i w tej chwili mogę wprowadzić do twojego atrium wszystko, co mi się zamarzy. Mogę to wprowadzić do twojego umysłu. Mogę cię zniszczyć.

– Spojrzał pod nogi, jakby zawstydzony ostatnim zdaniem. – Słuchaj, nie chcę tego, ale jeżeli nie zwrócisz struktora, będę musiał to zrobić. I zrobię. Skończę z tobą.

Kiszer Nikko znowu wpadł w drgania. Wtargnąć do jego mieszkania to jedno, ale wdzierać się do umysłu, to zupełnie co innego. Podskoczył z kanapy na równe nogi.

– Nikko! – warknął Fox. – Co się z tobą dzieje?

Nikko rozkazał swemu atrium zamknąć ścieżki dostępu. Bez powodzenia. Nakazał wykasowanie zawartości. Nic się nie stało.

– To bezcelowe – odpowiedział nieproszony gość. – Nic nie działasz, dopóki nie oddam ci kontroli.

Nikko rzucił przybranemu ojcu błagalne spojrzenie. Fox na pewno zna sposób na pozbycie się tego śmiesznego pasożyta, potrafi konstruować najlepsze struktury obronne...

– Zostałem otruty – syknął przez zęby.

– Och, przestań! – prychnął nieznajomy. – Zatrzymaj to dla siebie. Nie pozwól, żeby wymknęło ci się z rąk. – Rozmyślnie przysunął się do Nikko i zatrzymawszy się tuż przed nim, spojrzał mu prosto w oczy. – Słuchaj. Mam jedno z twoich widm. To złodziej, ten sam, który ukrał mój struktor. Zrzucę go w twoje atrium. Muszę to zrobić, rozumiesz, żebyś wiedział, że naprawdę to potrafię. Pamiętaj, ja wrócę. Muszę dostać ten struktor.

Po tych słowach rozpląnął się w powietrzu.

Nikko gapił się w miejsce, gdzie przed chwilą znajdował się tajemniczy człowieczek. Nagle poderwał głowę do góry, gdy pod czaszką zabrzmiał ostry brzęczyk. Nigdy przedtem nie słyszał tego sygnału i dopiero po kilku długich jak wieczność sekundach dotarł do zaimplementowanych w pamięci danych o sygnalizacji alarmowej. Zbliżało się widmo i było jasne, że nie zatrzyma się w węźle Domu Lata, aby poczekać na zaproszenie. Wpadnie prosto do otwartego atrium i nie istniała siła, która mogłaby temu zapobiec. Brzęczyk miał charakterystyczną modulację, tylko Fox, Nikko i jego brat Sandor mieli ten kod ostrzegawczy.

– Nikko! – wrzasnął Fox, kładąc dłonie na ramionach syna.

– Co się z tobą...

I wtedy widmo wtargnęło do atrium, w zasięgu wzroku pojawiła się głowa pozbawiona reszty ciała. Nikko rozpoznał twarz młodszego brata i z całej siły otwartą dłońią uderzył się w udo.

– Sandor? – wychrypiął, nie mając jeszcze pewności, czy jego podejrzenia są słuszne.

Sandor miał zaledwie osiemnaście lat i po raz pierwszy znalazł się na Ziemi. Wyłącz go z tego! – wrzasnął w myślach Nikko.

Zostaw go, weź mnie!

Nikko stworzył wirtualnych posłańców z twarzą brata, chcąc wykorzystać jego ludzkie pochodzenie. Znacznie trudniej było ich wysledzić niż jego oryginalne widma. Sandor miał piękną twarz, ludzie instynktownie obdarzali go zaufaniem.

– Nie, to ja, Nikko! – burknęło widmo, odsuwając w cień jakiegokolwiek wątpliwości. – Mamy kłopoty...

Stała się rzecz niesłychana. Widmo prześliznęło się przez atrium i wlało się wprost do umysłu Nikko. Nie był to łagodny, powolny proces, jak w przypadku normalnego powrotu, kiedy atrium stopniowo nakłada wspomnienia widma na pamięć pierwowzoru. Było to straszne, przerażające przebudzenie, raptowne odkrycie wydarzeń z przeszłości, w których nie brało się udziału, i za które nie można wziąć odpowiedzialności.

W następnej chwili mózg znalazł się w stanie głębokiego niedotlenienia i Nikko zwałił się na podłogę.

Serce zwielowrotniło wysiłki, mające na celu dostarczenie mózgowi energii niezbędnej do podtrzymania świadomości, zalewanej przez powódź rozkawałkowanych wrażeń. Czuł na czole miękkie dotyk dywanu... Potem pod plecami. Tuż obok stała sofa, wyczuwał ją stopami. W oczy wpadało przytłumione światło.

Uszy raniły ostre, gniewne wrzaski Foxa, który potrząsał jego ramieniem...

Strefa Ziemi: poszukiwanie struktora Bohra.

A! Tak jest! Struktor Bohra!!! To jego miał na myśli niepozorny dżentelmen. W takim razie udało mu się, jednak mu się udało.

Podprowadził struktor prosto z policyjnego archiwum. Tak, ten człowieczek miał rację. Był w tym dobry. Jednak...

Niepowodzenie. Katastrofa.

– Nikko! – krzyczał jakiś obcy głos, wprost do jego ucha.

– Ocknij się! Odpowiedz! – Poczł mocne uderzenie w policzek, zaraz potem drugie. – Nikko!

– Zostawcie mnie! – jęknął, przewracając się na brzuch.

Podparł się na dłoniach i kolanach, lecz nie miał siły wstać.

W głowie nadal miał kompletną sieczkę. Na drżącym ramieniu dostrzegł aparat diagnostyczny.

– Proszę leżeć – powiedziała sanitariuszka, wywierając delikatny nacisk na jego bark. – Chcieliśmy tylko pana ocucić.

Nie zabierzemy pana do ambulatorium.

Niemal udało jej się położyć go na podłodze.

– Zostawcie mnie w spokoju! – ryknął, strącając rękę kobiety. Usiadł, dysząc jak po wielkim wysiłku. Nagle do ogółu przykrych wrażeń dołączyło jeszcze jedno: przenikliwy ból w przedramieniu, przypominający ukłucie złośliwego owada. Nikko natychmiast strzepnął z ręki aparat diagnostyczny. Po skórze spłynęło kilka kropel krwi.

– Cholera! – zakląła sanitariuszka, usiłując szybko założyć opatrunek na ranę.

Fox pochylił się nad nim i objął go ramieniem.

– Zemdlałeś – powiedział miękko. – Przez chwilę siedź spokojnie, bo znowu zemdlejesz.

– Zostawcie mnie – wyszeptał.

Dziwny człowieczek mógł wrócić w każdej chwili. Nikko miał wrażenie, że nie zniósłby jego następnej wizyty. Najchętniej raz na zawsze wyrzuciłby atrium ze swojej głowy. I to bez najmniejszej zwłoki, teraz. Mógł jednak tylko spróbować je odłączyć.

Wydał polecenie i...

Ku jego zaskoczeniu atrium zamknęło się, posłuszne jego nakazowi. Z ulgą oparł się o Foxa.

– Tak dobrze – mruknął przybrany ojciec, przytulając go.

– Rozluźnij się. Połóż się...

Nikko odsunął obejmujące go ręce i z wysiłkiem wstał. Miał struktora Bohra! Fox nie pochwaliby tego. Nie wolno zadzierać z policją. To zbyt niebezpieczne.

Nogi miał jak z gumy, mózg przypominał gąbkę. Przyłgął do ściany i zmusił się do śmiechu.

– Mówiłem, że zbliża się moja wielka godzina – powiedział, próbując obrócić incydent w ponury żart. – Taki atak może oznaczać tylko jedno: do drzwi już puka Kostucha.

Fox nie uwierzył.

– Syndrom nie daje takich objawów – rzekł. – Miałeś spotkanie z widmem.

– Nie. – Odepchnął się od muru. Podniósł z kanapy torbę z kamerą, przewiesił ją przez ramię i zataczając się, ruszył do drzwi. Z każdym ruchem utwierdzał się w złudnym przekonaniu, że

z żył wypompowano mu wszystkłą krew, a w jej miejsce wlano zwykłą wodę.

Fox chwycił go za rękę.

– Chcę, żebyś zgłosił się do szpitala.

– Nic mi nie jest! – stwierdził podniesionym głosem. Wyrwał rękę i poprawił torbę z kamerą.

– Jak powiedziałeś, tato, to moja sprawa.

Drzwi automatycznie otworzyły się. Objając się o ściany korytarza, powłókł się w stronę węzła transportowego.

– Nikko, daj sobie pomóc – błagał Fox.

– Nie tym razem, tato.

Zanurzył się w gęstej galarecie protoplazmicznej kolumny transportowej. Dom Lata natychmiast wygenerował wokół niego bąbel przewozowy, owalną komorę o miękkich ścianach w spokojnym, brązowo-cielistym kolorze, z siedziskiem, które miało za zadanie łagodzić skutki przeciążeń występujących przy przyspieszaniu i hamowaniu. Nikko przemógł się i uaktywnił atrium, tylko na krótką chwilę, potrzebną do przekazania systemowi operacyjnemu Domu Lata miejsca przeznaczenia.

– Gdziekolwiek na zewnątrz. Najszybszą dostępną magistralą.

Bąbel wystrzelił wzdłuż linii systemu transportowego, przeniósł Nikko przez miasto i dalej, obok dwóch gigantycznych zbiorników oceanicznych, w bezpośrednie sąsiedztwo powierzchni satelity. Narzucił kiszer na twarz. Organ respiracyjny połączył się z brodawkami nosa i ust, szczelnie okrył uszy. Zespoleniu towarzyszyło gwałtowne wydzielenie związków chemicznych, które w mniejszym natężeniu wprawiłyby go w stan euforii, a tak wywoływały trudny do opanowania odruch wymiotny. Fox nie potrafił tego naprawić. Na szczęście efekt był krótkotrwały, przewodem oddechowym już płynęła wezbrana fala słodkiego tlenu.

Odetchnął z ulgą. Tlen był czerpany z zalegającego we krwi dwutlenku węgla, w procesie napędzanym przez metabolizm organizmu Nikko. Teoretycznie cykl pozyskiwania tlenu mógł toczyć się w nieskończoność, pozwalając na wielotygodniowe przebywanie w próżni bez zasobników z tlenem. Nikko mógłby nawet ukryć się przed policją w celofanowych lasach. Chwilę zadumał się nad tą ewentualnością, lecz bez entuzjazmu. Wzbudzała w nim niechęć. Nie uważał siebie za stwora przystosowanego do życia w próżni, raczej postrzegał siebie jako stworzenie z pogranicza, swobodnie przemieszczające się pomiędzy światami powietrza i próżni. Poza tym, aktywny kiszer uniemożliwiał odżywianie. Wprawdzie organ genitalny wydajnie

przetwarzał produkty przemiany materii i ponownie włączał je do krwioobiegu, jednak cóż to byłoby za życie? Przypominałoby wegetację pacjenta, przyłączonego do aparatury podtrzymującej niezbędne funkcje organizmu. Nie może spędzić ostatnich tygodni życia, kryjąc się jak szczur. Nie zmusi go do tego ani policja, ani nikt inny. Nikomu nie pozwoli zapędzić się do dziury.

Rozbrzmiała ostrzegawcza syrena. Sekundę później Dom Lata wypuł bąbel transportowy w próżnię.

ROZDZIAŁ 5

Wylądował niemal na szczycie nie zamieszkanego obszaru Domu Lata. To tutaj, na ostrych zboczach stożkowatego siedliska, zaczynała się strefa podziwianego przez Kirstin, przystosowanego do próżni, celofanowego lasu. Podczas wielu lat las rozrósł się i pokrył niemal jedną czwartą trzydziestodwukilometrowego pasa, stanowiącego złącze siedliska z asteroidem.

Siedlisko i asteroid, będący typowym chondrytem, funkcjonowały jako przeciwwagi, ulokowane na dwóch końcach złącza.

Cały układ wykonywał jeden pełny obrót wokół osi w czasie pięciu i pół minuty, wytwarzając w siedlisku sztuczną grawitację, której wartość sięgała trzech czwartych grawitacji ziemskiej.

W oddali majaczył złotymi, metalicznymi błyskami cylindryczny kształt magnetycznej tuby startowej.

Nikko zagłębił się w las. Mimo że ciężenie na tej szerokości było mniejsze niż dwie trzecie normalnej ziemskiej grawitacji, poruszanie się sprawiało mu trudności. Z powodu drżących rąk czuł się jak kaleka. Toczył nieustanną walkę o to, by palce współdziałały ze sobą, zamiast sobie przeszkadzać, a jednak systematycznie posuwał się naprzód przez gąszcz drzew z czarnego szkła, pchany przez pierwotny, irracjonalny instynkt ucieczki. Nie mógł uciec przed prześladowcą odpowiedzialnym za otrucie go. Wiedział, że to bez sensu, ale musiał działać, zrobić coś, by spopielić strach, wypalić do cna przerażające poczucie bezradności.

W kilka minut dotarł na skraj siedliska. Wkroczył na łącznik, zostawiając za sobą strome zbocza. Powierzchnia stała się gładka jak stół, ale w krajobrazie nie zaszły większe zmiany – wciąż otaczał go próżniowy las.

Prawie godzinę wariacko parł przed siebie, zapuszczając się trzy kilometry w głąb łącznika, by ostatecznie paść bez czucia u podstawy jednego z czarnych, szklanych drzew. Jego palce drgały, trzęsły się, kurczyły i rozkurczały jak wrzucone w płomień robaki. Nie miał dość siły, by zwinąć je w pięść.

Ciężko oddychał powietrzem podsuwanym przez kiszer. Zaczął podejrzewać, że organ nie wytwarza wystarczająco dużo tlenu. Dusił się, pragnął zerwać kiszer z twarzy, by znowu oddychać normalną atmosferą, ale jednocześnie miał świadomość, iż pragnienie to z czasem

minie. Nie miał powodu, aby obawiać się próżni. Został dla niej stworzony. Musiał tylko się uspokoić...

Zignorował drżenie rąk i leżał nieruchomo na plecach, wpatrując się w liście w kształcie monet. Czekał, aż oddech się uspokoi. Umysł podsuwał niespójne, rwane fragmenty wspomnień, upodabniając myśli do rozsypanych okruchów snu... albo raczej koszmaru. Wizje piekła. Żebracy gnieźdzący się pod nędznym cieniem uschłego figowca. Rzucone w jego twarz popękane, plastikowe miski. Umundurowane zbiry, uzbrojone w kemwand.

On sam, uciekinier, uwięziony wśród kartonowych ścian klaustrofobicznego pokoju w jakimś brudnym hoteliku. I odczucia. Żar, skwar tak niewiarygodny, że miało się wrażenie zakopania po szyję w gorącym piasku, spiekota zatykająca oddech w piersi, uniemożliwiająca wykonanie najmniejszego ruchu. Rozpacz i lęk, od których gęstnieje powietrze. Hałaśliwy śmiech, dobiegający z sąsiedniego pokoju. Struktor Bohra.

Jak do tego doszło? Co poszło źle? Gdzie on był? Nie potrafił odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Na razie. Był zmęczony, mózg nie pracował dobrze, podsuwając przemieszane, wyrywkowe wspomnienia. Uspokój się, powiedział sobie Nikko. Odpręż się i wszystko wskoczy na właściwe miejsce.

Do tej pory tylko jedno było absolutnie jasne: został otruty.

Ktoś zainfekował go za pomocą struktora, który z łatwością poradził sobie z systemem obronnym organizmu i przeprogramował atrium, niszcząc zabezpieczające kody dostępu. Drzwi prowadzące do atrium zostały otwarte na oścież i każdy, kto tylko zechciał, mógł dostać się do środka. Kiedy o tym pomyślał, krew znowu zagotowała mu się w żyłach. Był wściekły. Nie bez powodu Dom Lata umieszczono na odległej orbicie, nachylonej względem ekliptyki pod wyjątkowo dużym kątem. Dostać się tutaj wcale nie było łatwo. Tajemniczy prześladowca potrzebował czasu, żeby umieścić struktora wewnątrz Domu Lata, prawdopodobnie snuł się spisku od wielu miesięcy. Jedna Matka Natura wie, od jak dawna obserwował ofiarę i bezszelestnie zbliżał się, a Nikko niczego nawet nie podejrzewał.

Kiedy serce przestało łomotać jak oszalałe i oddech wrócił do normy, zmobilizował się na tyle, by niezdarnie wdrapać się po śliskim pniu drzewa i położyć się brzuchem w dół na jednej z większych gałęzi.

Drzewa o czarnym pniu i srebrnych liściach były jednym z dwu gatunków, rosnących w próżniowym lesie. Wznosiły się pełnymi wdzięku łukami, wzrastając prostopadle do

powierzchni łącznika i gnąc korony w stronę przeciwną do kierunku rotacji satelity. Pomiędzy nimi wznosiły się łamliwe krzewy, stanowiące idealne środowisko dla populacji małych, płochliwych stworzeń, wyglądem przypominających jaszczurki. Nikko nie miał pojęcia, czego boją się te zwierzęta, ponieważ w próżniowym lesie nigdy nie było drapieżników. Najprawdopodobniej ich zachowanie wynikało z instynktu odziedziczonego po przodkach, instynktu dawniej bardzo użytecznego.

Zagłębił się w łącznik na trzy kilometry. Stanowiło to zaledwie ułamek jego długości, jednak wystarczająco duży, aby ze stanowiska na gałęzi drzewa ogarnąć wzrokiem znajdującą się w dole, zamieszkaną część Domu.

Dom był organicznym, żyjącym światem, kontrolowanym przez sieć złożoną z prawie dziesięciu tysięcy ośrodków nerwowych. Zewnętrzne ściany sekcji mieszkalnych tworzyły oceany, ogromne komory wypełnione wodą, imitujące wodne środowisko Ziemi. Przez nie do westybuli i korytarzy wpadało światło słoneczne, które biegło dalej, aż do wielkiego lasu deszczowego, wypełniającego rdzeń miasta.

Łącznik stanowił przedłużenie siedliska, wiążąc je ze spełniającym rolę przeciwwagi asteroidem, który z egzaltacją nazywano Skałą Matką. Nazwa dobrze oddawała zastosowanie asteroidu w powstaniu satelity, ponieważ połowę jego pierwotnej masy zużytkowano na stworzenie struktury Domu Lata. Obecnie był on jeszcze stosowany jako zapasowe źródło substancji organicznych.

Daleko, na drugim krańcu łącznika, lśnił w kosmicznej ciemni jak drobna, biała gwiazda, odbijając promienie słoneczne od lodowej powierzchni, skrywającej się pod warstwą stabilizującej farby, która ograniczała do minimum efekt parowania.

Mijały minuty i umysł Nikko uspokajał się. Wspomnienia stopniowo układały się we właściwej kolejności, odsłaniając prawdę o wydarzeniach, które na Ziemi stały się udziałem jego uprowadzonego ducha.

Pierwsze wypłynęło z głębin uczucie pogardy, jakie towarzyszyło mu, gdy patrzył na Jensena Van Nessa. Jeszcze kilka godzin temu był starszym inspektorem policji Wspólnoty, znakomitym inżynierem molekularnym, ustępującym sławą tylko Foxowi.

Teraz Van Ness był zbiegiem. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na brudnym dywanie w jakimś walącym się hoteliku w Spili, zapatrzony w pustkę przed sobą, z drżącymi ustami i ramionami bezwładnie opuszczonymi pod ciężarem przygnębienia. Zdawał się nie widzieć

mrowia pcheł, przeskakujących z dywanu na jego ubranie. Ale Nikko czuł ich obecność aż za dobrze.

Był wprawdzie tylko widmem w atrium Van Nessa, lecz sztucznie generowane środowisko miało bardzo wysoki współczynnik naturalności, symulując również ukąszenia pcheł w delikatną skórę na ludzkich kostkach, ludzkich, ponieważ Nikko – jak zwykle – przybył do Van Nessa ukryty pod postacią swego brata Sandora.

Znał swoją rolę.

– Wszystko będzie dobrze – skłamał, desperacko ignorując potworne swędzenie w okolicy kostek i okropny żar, wyciskający pot z każdego pora w skórze. – Wyjdziemy z tego.

Ostatecznie jednak żarłoczne pchły do spółki z dokuczliwym upałem odebrały mu resztki cierpliwości i nie panując nad sobą, wrzasnął:

– Weź się w garść, zanim zabijesz nas obu!

Van Ness nie zareagował. Zdradziecki skurwiel. Próbował ukraść struktor Bohra na własny rachunek, tylko dla siebie, bez wiedzy Nikko. Zabrał struktor i zaszył się w domu, ale wątpliwości i strach sprawiły, że ostatecznie wylądował w Spili.

Nagle Van Ness westchnął, jakby chciał pobudzić do oddychania płuca. Kiedy uniósł głowę, podbródek wyraźnie mu drżał.

Przeniósł zalęknione spojrzenie na Nikko.

Miał powierzchowność dwudziestolatka, choć w rzeczywistości musiał przekroczyć setkę. Czarne, lśniące włosy, zbyt nienagannie ufryzowane, by miały być naturalne, i wytatuowane na policzku czerwone kanji określały jego pozycję społeczną, lokując go wśród członków jakiegoś snobistycznego klubu, do którego miały prawo należeć wyłącznie wysoko postawione osobistości.

Włosy i tatuaż, tylko tyle szczegółów dostrzegł Nikko. Co do reszty, Van Ness mógłby być człowiekiem bez twarzy, wypranym z jakichkolwiek cech poddających się opisowi.

– Dlaczego? – jęknął. – Dlaczego mi to zrobiłeś?

Nikko nie potrafił wymyślić na poczekaniu dyplomatycznej odpowiedzi. Dla Van Nessa był mało znanym, lecz uzdolnionym, młodym historykiem z RedCamu, grupy korporacyjnej, leżącej daleko od Domu Lata zarówno pod względem geograficznym, jak też politycznym. Przyszedł do niego z propozycją, która musiała wydać się kusząca – chciał udokumentować osiągnięcia skromnych bohaterów wydziału badawczego. W rzeczywistości skontaktował się z Van Nessem

tylko dlatego, że miał on dostęp do struktora Bohra i, rzekomo, kilka słabostek, które można wykorzystać.

Przez ostatnie pięćdziesiąt lat zadaniem Van Nessa było stałe podnoszenie wydajności struktorów defensywnych znajdujących się na wyposażeniu policji, tak, by w każdej chwili wyprzedzały najnowsze osiągnięcia dowolnej korporacji. W ciągu tych lat ugruntował swoją pozycję, lecz popadł w rutynę i chyba poczuł się odrobinę znudzony. Kiedy zjawił się u niego młody, początkujący historyk z RedCamu, z radością podjął dialog. Nikko nie musiał długo czekać, żeby rozmowa zaczęła obracać się wokół Leandera Bohra.

Van Ness twierdził, że osobiście znał Bohra. Opowiadał, jak to udało mu się pobrać komórki z przypieczonego mózgu Leandera i posługując się nimi, odkodować pierwotny układ struktora Bohra.

Na terenie Wspólnoty nie miały prawa istnieć żadne egzemplarze urządzeń, obdarzonych sztuczną inteligencją ze zdolnościami przystosowawczymi. Sztuczna Inteligencja Niższego Rządu była czymś powszechnym, lecz maszynom dysponującym inteligencją, która mogła mierzyć się z ludzką, odmówiono prawa bytu.

Struktor Bohra był najśłynniejszym przykładem takiej maszyny.

Według Van Nessa, zakażenie tą maszyną molekularną było porównywalne ze stanem, w jakim człowiek staje się nosicielem pozbawionej osobowości, inteligentnej siły. Bohr przekazał jej swoje uzdolnienia inżyniera molekularnego, wzmacniając potencjał talentu gigantycznymi zdolnościami obliczeniowymi. Po pierwszym kontakcie z nosicielem rozpoczynał się proces uczenia się, w trakcie którego struktor automatycznie dążył do udoskonalenia i poszerzenia możliwości nowego środowiska. Na koniec poddawał się woli i osobowości nosiciela, który w jednej chwili stawał się jednym z największych inżynierów molekularnych świata, dodatkowo obdarzonym przez aparat, pozwalający dokonywać przemian na poziomie cząsteczek wewnątrz własnego ciała.

Nikko niczego tak nie pragnął, jak mieć struktor Bohra. Dzięki tej maszynie Bohr przez pięć lat skutecznie wymykał się policji.

Teraz mógłby pomóc Nikko w tym samym. Mógłby go uzdrowić i przebudować organizm do tego stopnia, że nie rozpoznałyby go policyjne struktury. Zaszyłby się gdzieś w rozległym, organicznym ciele Domu Lata i w ukryciu kontynuowałby prace nad planem doprowadzenia Wspólnoty do upadku.

Tak więc skrył się za twarzą brata i zdobył zaufanie Van Nessa.

Ludzkie widmo wielokrotnie składało wizyty w rezydencji położonej w południowo-zachodniej części Australii i w końcu Van Ness zasugerował: „Mógłbym otworzyć akta Bohra. A ktoś sprytny, ktoś taki, jak ty, mógłby z łatwością przemycić wzorzec struktora poza policyjne bariery, wywieźć go w świat”.

Tylko że Jensen Van Ness był starym człowiekiem, cierpiącym na przerost ego. Ubzdurał sobie, że sam dokona kradzieży.

Nikko dał nagle upust nagromadzonej frustracji i wykrzyknął:

– Dlaczego go zsyntetyzowałeś? Po co?! – Nie obawiał się, że mówi za głośno. Był tylko widmem i nikt poza Van Nessem nie mógł go ani usłyszeć, ani zobaczyć. – Miałeś wynieść wzorzec, a nie sam struktor!

Nikko mógłby z łatwością przemycić przez policyjne bramki dostępu elektroniczny kod, przy jednoczesnym przeprowadzeniu przez nie widma Van Nessa. Wcześniej, działając pod przybranym nazwiskiem, stworzył dla niego drugie, zastępcze ciało. Van Ness nawet odwiedził je w mauzoleum RedCamu, niecały tydzień wcześniej, kiedy tylko bawił się myślą o zdradzeniu policji.

A teraz okazało się, że nie wykradł wzorca. Zsyntetyzował kopię urządzenia i ukradł owoc swojej pracy, ponieważ nie ufał Nikko, nie wierzył w swoje zmartwychwstanie w nowym ciele.

Drań, tchórzliwy skunks. Był niezwykle ostrożny. Zaprojektował mikroskopijną kieszeń na struktor, składającą się z trzech oddzielnych komór: w jednej spoczywał rdzeń obliczeniowy, w dwóch pozostałych pierwotne manipulatory struktora. Komory przedzielały rozpuszczalne membrany. Wystawione na działanie wody miały zniknąć, umożliwiając automatyczne zespolenie części struktora i uaktywnienie go. Kieszeń znajdowała się w wydrążonej igle aparatu obronnego. Van Ness, wyjaśniając Nikko zasadę działania systemu, wydawał się szczególnie dumny właśnie z tego pomysłu. Pistolet igłowy, który nosił ukryty w piersi, był zarejestrowany w policyjnych aktach. Jego obecność nie powinna wzbudzić żadnych podejrzeń. Igła, podobnie jak kieszeń z trzema komorami, po kontakcie z ciałem człowieka lub innym podobnym środowiskiem zawierającym dużo wody, ulegała rozpuszczeniu i uwalniała toksyny. Dopóki igła pozostawała w komorze pistoletu, niewidoczna pod skórą, była sucha i bezpieczna.

Van Ness zaprojektował nawet nić połączeń nerwowych między rdzeniem obliczeniowym struktora a ośrodkiem Sztucznej Inteligencji Niższego Rzędu, który sterował pistoletem igłowym.

Ponieważ na bieżąco miał otwarty kanał łączności z tym ośrodkiem, pośrednio mógł komunikować się z rdzeniem obliczeniowym.

Bardzo dobry system. Sprawdziłby się, gdyby Van Ness zachował zimną krew.

– Wrobiłeś mnie! – krzyknął do Nikko. – To twoja wina.

Nie kochasz mnie. Jesteś zwyczajną dziwką. Zatruliłeś mnie jakimś behawioralnym wirusem, tak? Sam nigdy nie zrobiłbym czegoś równie głupiego. Nigdy, nigdy, nigdy! Nie dla ciebie. Dla nikogo.

Jak mogłeś mnie zostawić. Zrujnowałeś mnie! Moje życie, moja kariera leżą w gruzach. Policja rozszarpie mnie na strzępy! A ciebie nawet tutaj nie ma, jesteś tylko widmem. Już ja się postaram, żeby i ciebie znaleźli...

Spokojnie, tylko spokojnie, pomyślał Nikko. Popęłnił błąd, pozwalając sobie na wybuch gniewu. To przez tą spiekotę, powiedział sobie. Przez spiekotę i te przekłete pchły. Niech to szlag!

Jednak nie przypuszczał, że Van Ness domyśli się prawdy o wirusie. Użył go, żeby dodać Van Nessowi odrobinę odwagi, to wszystko. Wpocić mu nieco wiary we własne siły.

– Policja nawet nie wpadła na twój trop – zauważył łagodnie Nikko. Przykucnął obok Van Nessa i przytulił go, tłumiąc dreszcz wstrętu, wywołany przez dotknięcie rozgrzanego, wilgotnego od potu ubrania. Wokół mężczyzny unosiła się chmura odpychających woni, a dywan cuchnął moczem. Atrium Van Nessa znakomicie odwzorowywało najdrobniejsze szczegóły otoczenia, lecz teraz Nikko wolałby mniej doskonałą kopię rzeczywistości. Zbierało mu się na wymioty.

– Na Miłość i Naturę! – Westchnął. – Cóż to za ohydne miejsce. Gorąco jak w piecu i smród nie do wytrzymania. – Pieszczotliwie przesunął palcem po śliskim od potu policzku Van Nessa. – Wiesz, ciągle mamy szansę wywieźć struktor. Może się udać, tylko musisz mi zaufać.

Mężczyzna znieruchomiał, nienaturalnie napinając mięśnie.

Wpatrywał się w drzwi.

– Co to za dźwięk?

Nikko nadstawił uszu, ale usłyszał jedynie pijacki rechot, dobiegający z przyległego pokoju.

– Jaki? Nic nie...

– Sza!

I wtedy pochwycił coś jeszcze: szepty, przyciszone głosy, wypowiadające jakieś słowa

w lokalnym języku.

– Goście hotelowi – stwierdził, wruszając ramionami. – Żebracy. Kryminaliści. Kto inny zatrzymałby się w takim miejscu?

– Nie, to policyjny pies. Nie słyszysz, jak węszy?

Nikko ponownie wsłuchał się w docierające z otoczenia dźwięki. Były wśród nich dziwne odgłosy, ale węszenie? Zmysły Van Nessa otulała mgła strachu, nie można było im ufać. Jeżeli naprawdę pod drzwiami znajdował się pies, gra dobiegłaby końca.

Jednak żaden pies się nie pojawił.

– Ciągłe mamy szansę wywieźć struktora – powtórzył Nikko.

Tym razem Van Ness oderwał wzrok od drzwi. W jego przekrwionych oczach czaiło się szaleństwo, a nienaturalnie bladą twarz pokrywała sieć świeżych zmarszczek. Odepchnął Nikko i poderwał się na równe nogi.

– Nie obchodzi mnie, co się stanie ze struktorem. Chcę tylko wyjść z tego cało. Chcę wrócić do domu, do pracy, do życia, jakie prowadziłem, zanim poznałem ciebie. Przyjmą mnie z powrotem do policji, kiedy pokażę im wirus, który mi zaaplikowałeś. Policjanci mieli mnie chronić przed taką napaścią z zewnątrz! To ich wina, że znalazłem się w takiej sytuacji, nie moja. Wybaczą mi. Muszą.

Nikko stanął przed nim i rozmyślnie zmierzył mężczyznę surowym spojrzeniem. Trzeba było przywołać go do porządku.

– Nie wybaczą ci. Zlikwidują cię. Dobrze wiesz, że tak będzie. Jeśli chodzi o wykroczenia tego typu, prawo jest nieubłagane. Powinieneś oprzeć się wirusowi albo zwrócić o pomoc. Poza tym, jesteś przecież szefem wydziału odpowiedzialnego za doskonalenie defensywnych technik molekularnych i uszczelnianie policyjnych zabezpieczeń. To twoje własne niepowodzenie spowodowało, że znalazłeś się pod wpływem wirusa.

Dłonie Van Nessa zaczęły drżeć. Przeklął i okręcił się na pięcie, by rozpocząć nerwowe dreptanie z jednego końca pokoju w drugi: trzy kroki do jednej ściany, potem zwrot, trzy kroki do drugiej, zwrot i znowu trzy kroki.

– Skoro jesteś tak dobrym inżynierem molekularnym – wrzasnął – nie potrzebujesz struktora!

Nikko jednak nie był dobrym inżynierem molekularnym. Wirus pochodził z kolekcji Focha, a on... nigdy nawet nie rozważał stworzenia czegokolwiek tak potężnego, jak struktora Bohra.

– Potrzebuję – stwierdził spokojnie Nikko. – I chyba od początku wiedzieliśmy, że będziesz

musiał poświęcić tę doczesną powłokę. – Sięgnął, aby dotknąć ręki mężczyzny, lecz został odtrącony. Pozwolił, by ręce bezwładnie opadły i łagodnie przemówił: – Odwiedziłeś już w RedCam swoje drugie, nowe ciało.

Wiesz, że wszystko jest gotowe. Zaufaj mi. Pozwól, bym poprowadził tam twoje widmo.

– O, nie! – pisnął Van Ness, dziobiąc powietrze palcem jak nożem. – Nawet tego nie próbuj. Nie jestem głupi. Doskonale wiem, że znalazłem się w pułapce. Do tej pory policja na pewno przesłała mój wzorzec do bramek strażniczych. Moje widmo nie przejdzie kontroli.

– Twoje widmo wcale nie musi przechodzić kontroli na bramkach w elektronicznej sieci – zauważył Nikko. – Ustanowiłeś kanał łączności z rdzeniem obliczeniowym struktora. Możesz zapisać swoje widmo w pamięci struktora. Przechowaj je tam. Pozwól mi wywieźć stąd ciebie razem ze struktorem.

Van Ness zatrzymał się. Kiwał głową z boku na bok, jak ranne zwierzę, szukające drogi ucieczki.

– Zaufać struktorowi Bohra? – burknął, starając się opanować drżenie kolan. – Złóżę mój los w... to...

– Po co go syntetyzowałeś, skoro nie chcesz użyć? – syknął Nikko.

Van Ness miał zamiar wszczepić sobie ten struktor – tak przynajmniej powiedział Nikko – jak tytko Leander Bohr dokonał żywota wraz z oryginalnym modelem swego wynalazku.

Rzecz w tym, że Jensen Van Ness nie był Leanderem Bohrem. Bał się struktora. Bał się, że mu się wymknie, albo, co gorsza, zmieni go na tyle, że przestanie być sobą.

– To jest zupełnie czyste – mamrotał Van Ness tak przyciszonym głosem, że Nikko podejrzewał, iż mężczyzna mówi do siebie. – To dziewicza kopia. Zaprojektowano ją do pracy w ludzkim mózgu, pamięć nosiciela miała służyć za pierwotną bazę danych. Niczego jej nie nauczyłem. Nie będzie wiedzieć, jak ze mną postępować.

– W takim razie naucz ją – odpowiedział Nikko. – Niech czerpie z otwartego zbioru danych sieci komputerowej. Posłuż się nią. To dla ciebie jedyna szansa.

– Zrobię to – rzekł Van Ness – ale tylko przy zachowaniu kontroli nad całością procesu. Nie mogę powierzyć temu czemuś mojego życia.

Nikko jęknął.

– Musisz. Zapisz w nim swoje widmo. Pomyśl, to zadziała.

To urządzenie cię ochroni. Będziesz bezpieczny jak sam struktor.

Nie wyobrażam sobie bezpieczniejszego miejsca.

Na ulicy rozległ się czyjś okrzyk. Van Ness podskoczył, jak uderzony biczem elektrycznym.

– Nie zrobię tego! – wykrzyknął. – Widzę, co próbujesz osiągnąć i mówię ci: tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

Nikko zaczerpnął trzy głębokie oddechy, żeby uspokoić nerwy. Miał do zagrania jeszcze jeden atut. Już za chwilę Van Ness pozna jego siłę!

– Jutro będę przejeżdżał przez to miasto – rzekł. – Osobiście.

Mężczyzna otworzył szeroko oczy.

– Będziesz tutaj we własnej osobie?

Nikko ponuro przytaknął. Oczywiście, że kłamał. Nie będzie go tutaj ani jutro, ani kiedykolwiek. Nigdy nie odwiedzi Ziemi, ponieważ jego ciało nie zniosłoby warunków, panujących w tak głębokiej studni grawitacyjnej. Van Ness nie znał jednak prawdziwej postaci Nikko, tylko jego widmowe alter ego z twarzą Sandora. A Sandor był Ziemianinem.

Matko Naturo, miej mnie w swojej opiece! Wolałby nie mieszać do tego brata, ale nie widział innego sposobu. Musiał dalej ciągnąć to kłamstwo.

– Pracowałem na wyspach prawie trzy miesiące, ale właśnie wróciłem do Zamku. Jutro rano będę przejeżdżał przez miasto.

Mógłbyś zwyczajnie do mnie podejść i przekazać struktora razem ze swym widmem.

– Jakim nazwiskiem się posługujesz?

– Sandor Jiang-Tibayan.

Drgnął. Właśnie podpisał wyrok śmierci na własnego brata, jeśli policja przedwcześnie wpadnie na ich trop. Pragnął tego struktora. Pragnął go, jak niczego innego na świecie. Sandy zrozumiałby.

Prawie minutę Van Ness wpatrywał się w niego szklistymi oczami. Wykorzystał atrium do kontaktu z siecią komputerową, gdzie zweryfikował tożsamość Sandora.

– Jesteś z Domu – wymamrotał w końcu. – Wcale nie z RedCamu. Jesteś z Domu. – Zamrugał nerwowo. Powoli zaczynał rozumieć głębię oszustwa, którego padł ofiarą. – Kłamca!

– wrzasnął nagle. – Nie wróciłeś dzisiaj do Zamku. Zrobisz to dopiero jutro. Jutro! Nie wytrzymam tak długo, wytropią mnie policyjne psy. Ale... Kiedy odwołano cię do Zamku, sam poprosiłeś o dzień zwłoki! To była twoja prośba. Ty chcesz, żeby psy mnie znalazły!

Nikko pokręcił głową. Coś tu się nie zgadzało. Przecież odwołanie Sandora do Zamku to

jego robota, podrobić takie rozkazy to pestka. Szybko spenetrował własne pole danych w sieci i znalazł potwierdzenie faktów odkrytych przez Van Nessa. Sandor poprosił o odłożenie przeniesienia o jeden dzień. Niech to szlag!

Wszystko szło nie tak, jak zaplanował. Wszystko! Może nadeszła pora, aby wycofać się i zacząć zacierać ślady.

– Myślałeś, że mnie wykiwasz – powiedział grobowym tonem Van Ness. – Wydawało ci się, że zrzucisz na mnie całą odpowiedzialność za tę zbrodnię. Nie udało ci się. Masz, zrobiłem to. Właśnie zapisałem w pamięci struktora twoją tożsamość.

Nazwisko i twarz. Wpisałem te same dane do podręcznej pamięci atrium. Policja na pewno je znajdzie.

Tylko że tożsamość, o której mówił Van Ness, nie należała do Nikko, lecz do Sandora.

Nikko poczuł, jak włosy stają mu dęba. Van Ness oszalał, kompletnie mu odbiło. Mimo że nigdy nie spotkał na swej drodze szaleńca, instynktownie wyczuł otaczające mężczyznę opary oblędu. Nawet w tym stanie Van Ness mógł urzeczywistnić swoje pogroźki. Jeśli będzie miał tylko okazję.

Nikko musiał coś zrobić, kontratakować. Zaczął przeszukiwać nielegalne katalogi Spili, docierając do zbiorów informacji przez zajmowane pole danych. Był tylko widmem zamkniętym w atrium Van Nessa. Atrium mogło symulować fizyczny atak na Van Nessa, jednak Nikko wątpił, czy możliwe było pozbawienie życia swego gospodarza. A jeśli nawet symulacja posunęłaby się tak daleko, niszcząc Van Nessa, zniszczyłby również siebie, bez najmniejszych szans na dotarcie do zwłok, wykasowanie podręcznej pamięci atrium i przechwycenie struktora. Nie mógłby wówczas ukryć tożsamości Sandora, wpisanej do struktora i pamięci atrium.

W Spili można było wynająć pomoc. Wykonał kilka telefonów, gdy nagle rozległo się stukanie do drzwi. Van Ness usłyszał je i zamknął oczy, a potem zgiął się wpół, trzymając się za brzuch.

– Otwórz – rzekł Nikko. Mężczyzna podskoczył i energicznie pokręcił głową, wyrażając sprzeciw. Pukanie rozległo się ponownie, tym razem głośniejsze. Jakiś męski głos wypowiadał słowa w miejscowym języku. – Przestań zachowywać się jak uciekinier i otwórz – powtórzył Nikko rozkazującym tonem.

Van Ness podszedł do drzwi, chwiejąc się jak lunatyk. Uchylił je tylko na szerokość dwóch palców.

Akurat powstrzymałby w ten sposób policyjne psy, pomyślał Nikko. Zerkając przez ramię mężczyzny, dostrzegł ciemnoskórego, wychudłego tubylca, klęczącego na ulicy przed hotelem.

– Mam lekarstwo! Mam lekarstwo! – powtarzał raz za razem, wskazując na zawartość otwartej walizeczki, dowodzącej prawdziwości tego twierdzenia.

Nikko miał wielką ochotę zajrzeć do wnętrza walizeczki, lecz Van Ness zasłaniał mu widok, choć sam nie poświęcił medykamentom ani jednej chwili. Na dodatek brakowało dobrego oświetlenia.

– Jesteś szalony, tak? – rzekł tubylec, patrząc to na Van Nessa, to na otwartą walizeczkę. – Krzyczysz. Mówisz sam do siebie. Żaden problem! Mam lekarstwo, które natychmiast przegna złego ducha.

Nikko roześmiał się.

– To znachor! Myśli, że ci się pomieszało w głowie i chce pomóc.

– Wynocha! – wrzasnął Van Ness. – Wynoś się stąd!

Wziął zamach i z całej siły kopnął walizeczkę, przewracając ją do góry dnem. Fiolki rozsypały się po ulicy. Tubylec gniewnie podskoczył, ale Van Ness wysunął się z pokoju i kontynuował atak, częstując walizeczkę jeszcze jednym kopniakiem. Poleciała w powietrzu i wylądowała na ścianie prowizorycznego namiotu, wzniesionego w samym środku rynsztoka. Znachor miotał jedno przekleństwo za drugim. Prawdopodobnie był powszechnie znanym człowiekiem, a już na pewno ściągał na siebie uwagę. Ze wszystkich okien i drzwi na frontowej ścianie hotelu wysunęły się ciekawskie głowy. Śpiący na ulicy żebracy zaczęli podnosić się ze swych legowisk. Van Ness wpadł w panikę.

Rzucił się do ucieczki, poruszając się slalomem między tymczasowymi kryjówkami, które jak grzyby wyrastały na ulicy po północy. Biegł ulicą, rozpryskując kałuże deszczu i ekskrementów. Nikko bezradnie biegł za nim.

Groźne okrzyki wznosiły się za nimi i tuż przed nimi. Van Ness biegł na oślep, byle dalej od znachora. Zatrzymał się dopiero na rogu ulicy i zaryzykował spojrzenie za siebie. Ścigało go dwóch młodych mężczyzn o twarzach wykrzywionych uśmiechem szaleńca. Przed nim, blokując drogę ucieczki, stał jeszcze jeden młodzik, uzbrojony w kawałek metalowej rury. Van Ness rzucił się ku niemu, mając nadzieję, że uda mu się przebiec obok.

Sekundę później Nikko zorientował się, że został odcięty od świata, zamknięty w strasznym kokonie izolującym od jakichkolwiek bodźców zmysłowych. Nie widział, nie słyszał, nie czuł

zapachu, smaku, dotyku. Stało się tak dlatego, że Van Ness również niczego już nie czuł. Van Ness nie żył. Nikko zdążył podać adres domowy i opuścić atrium, zanim siadło wewnętrzne zasilanie.

Przez jakiś czas leżał nieruchomo, wpatrując się w położony trzy kilometry dalej, mieszkalny sektor Domu Lata. Doświadczenia zebrane przez widmo na Ziemi były jak sen, bardzo zły i okrutny sen, lecz z całą pewnością stanowiły wierne odbicie autentycznych wydarzeń. To stało się naprawdę, Van Ness był martwy. A kiedy policja znajdzie jego zwłoki i sprawdzi zapisy podręcznej pamięci atrium, za Sandorem zostaną rozesłane listy gończe.

Przeklął siebie w duchu. Jak mógł być tak głupi, żeby ujawnić tożsamość brata?

Uaktywnił atrium, nie dbając już o własne bezpieczeństwo.

Musiał przeprowadzić syntezę nowego widma. Wynająć muła, znaleźć ciało Van Nessa i zniszczyć je – zanim Snadorowi przyjdzie zapłacić za nie swoje zbrodnie.

ROZDZIAŁ 6

Kiedy się obudziła, wciąż jeszcze była noc. Podparła się na łokciu i spojrzała na dziwaczną, świecąca bioluminescencyjnym blaskiem twarz śpiącego Arifa, która stanowiła jedyne źródło światła w zalegającej dokoła ciemności. Słyszała oddechy pozostałych śpiących, szum deszczu i odgłos kapania z miejsc, gdzie poszycie dachu utraciło szczelność. Czuła woń potu Arifa i zataęchły smród magazynu.

Jednak sen, z którego pęt chciała się wyrwać, trwał dalej, jakby przebudzenie było tylko senną ułudą. Zamrugła i przetarła oczy.

Bez zmian. Widziała starą kobietę, klęczącą w jasny słoneczny dzień na brzegu świeżo utkanej maty, widziała porozkładane przed nią towary: proszek z wysuszonych kości kota, amulety wykonane z piór i kawałków plastyku, szczurze ogony, kawałki garbowanej skóry (staruszka utrzymywała, że to skóra węża), czarny pumeks, ostrożnie przechowywany w szklanym słoju (żużel ze spadających gwiazd), suszone płatki kwiatów, wazy z cuchnącymi cieciami, zmumifikowane jaszczurki, błyszczące żuki i inne owady, dla których trudno byłoby znaleźć nazwy. Kobieta wystawiała te medykamenty codziennie na placu targowym, oferując amulety i eliksiry na każdą okoliczność. Teraz znowu zajmowała swoje stałe miejsce.

Ale przecież wcale jej tu nie było!

Do świtu było jeszcze daleko, wewnątrz magazynu tonęło w ciemnościach, a Phousita czuła na ramionach i twarzy dotyk gorących promieni słońca. Staruszka uśmiechała się do niej, jak zwykła to czynić, gdy dziewczyna po południu wracała z wyprawy w poszukiwaniu żywności. Jak lekka czuła się w blasku tego uśmiechu!

Stara wiedźma potrafiła podnieść ją na duchu nawet w najtrudniejszych chwilach. Phousita kochała ją za to. Staruszka pozdrowiła dziewczynę, mamrocząc coś w dialekcie ludzi z gór, którego nikt tutaj nie rozumiał. Tak czy inaczej, Phousita uśmiechnęła się w odpowiedzi, z dumą pokazując kiść bananów, znaną w kupie śmieci za jakąś małą restauracją.

W mroku magazynu rozległo się buczenie komara. Phousita odruchowo machnęła ręką. Jak mogła jednocześnie znajdować się w dwóch miejscach? Jakim cudem mogła jednakowo wyraźnie postrzegać ciemność magazynu i oślepiającą jasność słonecznego dnia? Jak mogła żyć równocześnie w terażniejszości i przeszłości, jakby obecne i minione zdarzenia były tylko

dwoma widokami z tego samego pokoju?

Musiała krzyknąć, bo Arif nagle otworzył oczy i skupił na niej wzrok. Sama zamknęła oczy, zostawiając pod powiekami obraz starej kobiety, zapraszającej ją, by usiadła w cieniu kartonowego pudła, które służyło im obu za dom, jedyne schronienie na czas nocy, gdy zamykano targowisko.

– Arif! – jęknęła.

Chwycił ją za rękę i pociągnął na siebie. Rękojeść noża, zawieszona na jego piersi, boleśnie kłuła ją w piersi.

– Co się stało? – szepnął.

Wtuliła głowę w bark mężczyzny.

– Stara kobieta... Ona jest tutaj! – Gwałtownym ruchem uniosła głowę, ale straciła orientację i nie mogła odszukać właściwego kierunku. Dopiero po chwili wskazała na miejsce, gdzie jej zdaniem znajdowała się staruszka. – Widzę ją tak wyraźnie, jak ciebie – syknęła. – Częstoje mnie wodą, kupioną od woziwody, a ja odwdzięczam się znalezionymi w mieście bananami. Mówi, że to był dobry dzień. Jej talizmany cieszą się dużym wzięciem, wielu ludzi przychodzi na targowisko specjalnie po to, by je kupić.

Już niedługo będzie miała wystarczająco pieniędzy, aby zabrać mnie do chińskiego lekarza. Arif, widzisz ją?

Potrząsnął głową przecząco i zgrzytając zębami, powiedział:

– Głupia, stara wiedźma. Nie potrzebujemy jej. Powiedz, żeby sobie poszła.

I w tej samej chwili staruszka zniknęła. Phousita wydała okrzyk zaskoczenia, do jej oczu napłynęły łzy. Staruszka była pierwszą osobą, która okazała jej miłość...

– Arif! – krzyknęła. Złapała go za rękę, wpijając się paznokciami w skórę. – To ty. Teraz widzę ciebie.

– Oczywiście, że to ja – mruknął uspokajająco. Przewrócił dziewczynę na plecy i zaczął głaskać po brzuchu jak małe dziecko.

– Jestem przy tobie.

– Nie! – Patrzyła obok niego, w mrok, zauroczona nową wizją. – To pierwszy raz, kiedy ciebie zobaczyłam. Tamtej nocy byłeś z tuanem, twoim panem, w hotelu dla zagranicznych gości, niedaleko meczetu. Och, bałam się ciebie, chciałam stamtąd uciec.

Ludzie mówili, że jesteś opętany przez złego ducha. To była straszna noc! Nie dotykaj mnie!

Nie zachowuj się jak zwierzę.

Czuję woń kadzidła i zapach krwi, otacza mnie zewsząd, czuję twój gniew. Tuan wciąż trzyma nóż. Bili cię, krzyczałeś...

– Przestań! – wykrzyknął, zatykając usta dziewczyny otwartą dłonią.

Scena zniknęła sprzed jej oczu, rozplynęła się w ciemności.

Phousita leżała na podłodze, dygocząc jak drobna gałązka miotana wiatrem.

– Zgasło – wyszeptała.

Arif patrzył na nią z góry. Wyglądał na zawstydzonego i urażonego. Pamiętał te czasy, gdy wiodł życie niewolnika w burdelu na skraju placu targowego. Jego pan był strasznym człowiekiem, lecz wielkim czarownikiem. Stworzył ducha, który zapanował nad umysłem Arifa i wydawał rozkazy jego ciała. Zapewniało mu to pełną kontrolę nad Arifem, jednak tylko do czasu. Nadszedł dzień, w którym duch rozluźnił nieco więzy i Arif wykorzystał nadarzającą się okazję. Wyrwał swemu panu serce.

– Przepraszam – szepnęła dziewczyna, dotykając palcami ust Arifa. – Ale byłam tam, znowu.

Jęknęła, zginając się w pół. Ponownie dał znać o sobie potworny głód. Przetoczyła się na swoją połowę legowiska i powoli podniosła się, ciągle przyciskając dłoń do brzucha. Ból był nieznośny.

– Idziesz ze mną?

Podejrzliwie zmarszczył brwi, opuszczając w dół komicznie długi nos.

– Dokąd?

Oddychała szybko, płytko, desperacko starając się stłumić ból.

– Do hotelu dla zagraniczników. Kiedy pracowaliśmy razem, nigdy nie byliśmy głodni.

– Wczoraj umieściliśmy w wodzie następnego tuana – burknął. – Rano będzie mnóstwo meszku.

– Nie mogę czekać do rana! Muszę coś zjeść. Natychmiast!

I – Poderwała się na równe nogi. Rytm oddechów śpiących wokół członków klanu zmienił się. Wielu z nich musiało się obudzić i nasłuchiwało. Nie dbała o to. – Arif, chodź ze mną.

Pokręcił głową, z jego spojrzenia zniknęła pobłażliwość. Spróbował pochwycić dziewczynę za rękę, ale nie przewidział, jak szybka może być jej reakcja. Phousita zrobiła unik i uskokczyła na bezpieczną odległość. Słyszała otaczające ją oddechy, członkowie klanu udawali, że śpią. Odbierała dźwięki z otoczenia, a w jej umyśle rysowała się szczegółowa mapa pomieszczenia,

z oznaczeniem miejsc, zajmowanych przez wszystkich przebywających w nim ludzi. Zupełnie jakby jej uszy stały się oczami; wiedziała, gdzie jest każdy z nich, wiedziała, co robi w tej chwili. Ruszyła przed siebie i nieomylnie skacząc między posłaniami, dostała się do mrocznego korytarza. Słyszała za plecami Arifa wydającego jakieś niezrozumiałe rozkazy. Cokolwiek chciał uzyskać, było już za późno. Uderzyła przedramieniem drzwi i otworzyła je na oścież. Wybiegła na ulicę, nie zwracając uwagi na strzegących wyjścia dwóch Nożowników, którzy zdążyli tylko popatrzeć za nią ze zdumieniem na twarzach.

Zwolniła i spojrzała na nich. Co chciała zrobić? Przecież zawarła z Arifem układ: nigdy więcej prostytucji. Stał się on fundamentem, na którym zbudowali klan. Mogli żyć inaczej, a przy okazji uratować inne dzieciaki przed takim losem.

Jakby w odpowiedzi żołądek zwinął się w supełek, ból zgiął ją wpół i cisnął o ziemię. Klęczała z czołem przy ulicznym bruku, dyszała jak po wielkim wysiłku, miała wrażenie, że kona.

– Muszę coś zjeść – wymamrotała, gdy boleści nieco ustąpiły. Doskonale zdawała sobie sprawę, iż klan nie miał więcej żywności. – Muszę coś zjeść!!!

Nigdy nie mieli wystarczająco dużo żywności, w klanie było zbyt wiele gęb do wyżywienia. Wciąż było mało, mało i mało, nawet po obfitych zbiorach meszku powstałego z ciała tuana.

– Phousita!

W drzwiach magazynu pojawił się Arif. Dziewczyna natychmiast poderwała się na nogi i skoczyła mu na spotkanie. Ręka sama znalazła drogę do zawieszanej na piersi mężczyzny pochwy, dłoń zacisnęła się na rękojeści noża i wyrwała go na zewnątrz Phousita z osłupieniem wpatrywała się w broń, której ostrze dotykało piersi Arifa. Mężczyzna zamarł w bezruchu. Jego oczy płonęły, oskarżając o zdradę. Jeszcze raz z niedowierzaniem popatrzyła na nóż i trzymając go pewnie, wyprostowaną rękę Naprawdę miała zamiar użyć go przeciw Arifowi?

Owszem.

Pchnęła ostrze do przodu, naciskając nim na pierś mężczyzny.

Czuła zapach krwi sączącej się z rany.

– Kocham cię, Arif – wykrztusiła.

Po jej twarzy ciekły słone krople łez, ale nie mogła nic zrobić.

Nie panowała nad własnym ciałem. Coś żyło wewnątrz niej i było od niej silniejsze.

Było też bardzo, bardzo głodne.

– Arif, proszę, chodź ze mną. Za dwójkę zawsze płacą więcej.

Skinął, sztywno prostując się i napinając mięśnie aż do bólu.

Fioletowe oczy zdawały się wykopanymi w jego twarzy głębokimi jamami, w których jarzy się delikatny, lecz złowrogi blask gniewu. Czują bijący od niego zapach, woń wrzącej wściekłości i... miłosnego oddania. Odwróciła się od niego i pobiegła pustą, ciemną ulicą, kierując się ku światłom błyszczącym za slumsami.

Później, znacznie później, Phousita próbowała udobruchać Arifa.

– Przepraszam. Nic nie mogłam na to poradzić. To ten martwy tuan. Jest wielkim czarownikiem, wydaje mi rozkazy, muszę go słuchać. Nie mam wyboru.

Nastał świt. Stojący po przeciwnej stronie ulicy duży magazyn nie zdołał przesłonić słońca zalewającego aleje i chodniki, po których mimo wczesnej pory poruszały się tłumy przechodniów.

Sprzedawcy rozstawiali stragany, taksówki i ciężarówki pędziły ulicami, nie bacząc na pieszych. Jeśli ktoś chciał przejść na drugą stronę, musiał zatroszczyć się o swoje bezpieczeństwo. Ostrożności nigdy za wiele.

Arif siedział na chodniku obok plastikowej ściany kiosku z lampami i olejkami. Głowę wtulił między kolana i cicho płakał.

Phousita cierpliwie siedziała przy nim, czekała aż się uspokoi, ale prawie go nie widziała. Była zajęta oglądaniem szalonego tańca wizji, dzięki któremu poznała odpowiedź na pewne nurtujące ją pytanie. Arif zawsze płakał po takiej nocy (jakby wszystko działo się po raz pierwszy). Nigdy nie powiedział dlaczego.

Teraz wiedziała, znała odpowiedź.

Spojrzała na niego z sercem przepełnionym sympatią.

– Matka sprzedawała cię na ulicy, traktując to jako karę za twój niegodziwy wygląd. Dlatego za każdym razem ból powraca. Kiedy, sprzedajesz swoje ciało to tak, jakbyś przyznawał jej rację.

Po jego żółtych, wilgotnych policzkach wciąż ciekły łzy.

Obrócił głowę i rzucił jej gniewne spojrzenie.

– Kłamiesz.

Zamrugała, zbита z tropu. Mówiła prawdę! Ale skąd to wiedziała?

– Może nie była twoją matką – rzekła kojąco.

Opadł na kolana, złapał dziewczynę za gardło i zacisnął palce.

– Ona była moją matką! Słyszysz? Była moją matką! Kłamała mówiąc, że mnie znalazła. Nie byłem podrzutkiem! Nikt mnie nie porzucił. Nikt!

Phousita nie mogła oddychać. Na granicy pola widzenia zbierały się czarne plamy. Krztusiła się, dusiła, walczyła o dostęp do powietrza. Była tylko jedna szansa. Zmusiła mięśnie do zwiotczenia. Zwisła Arifowi w ramionach i przewróciła się na chodnik.

Wyswobodziła się. Leżała nieruchomo, kręciło jej się w głowie.

Przez chwilę miała wrażenie, że zwróci wszystko, co wrzuciła do żołądka. Na szczęście nudności minęły. Arif podał jej rękę i pomógł wstać. Wziął ją w ramiona, tulił jak dziecko.

– Przepraszam, przepraszam...

Kobieta sprzedająca na pobliskim straganie krzyknęła, żeby się stąd wynosili. Phousita pociągnęła Arifa i ruszyli przed siebie.

Przeszli ramię przy ramieniu grubo ponad kilometr, zanim Arif ponownie się odezwał.

– Skąd wiedziałaś o mojej matce?

– Nie mam pojęcia.

Patrzyła na płytki chodnika, wyczyszczone do czysta przez tych, którzy spali tu zeszłej nocy. Sama się nad tym zastanawiała. Jeszcze wczoraj z całą pewnością tego nie wiedziała. I nie usłyszała tego ostatniej nocy od Arifa.

– Wydaje mi się... Nie wiedziałam tego. Po prostu, słowa znalazły się na końcu języka i wypowiedziałam je. Może to zmarły tuan włożył mi je w usta. Musi być złym czarownikiem.

Zatrzymała się przed budą, w której sprzedawano grube pasy mięsa, pieczonego na metalowych szpikulcach. Wysupłała z saronga monetę i podała sprzedawcy. Mimo że brzuch miała pełny, już czuła pierwsze ukłucia głodu, jakby duch, który ją opętał, doskonale zdawał sobie sprawę, że po powrocie nad brzeg rzeki nie znajdą nic do jedzenia. Zaproponowała Arifowi kawałek mięsa, lecz odmówił z twarzą ściągniętą przez desperację. Przez całą noc nic nie jadł. Jedną z zasad życia w klanie głosiła, że zdobytą żywność przynosi się do siedziby klanu i dzieli na jednym, wieczornym posiłku. Tak więc zdradziła nie tylko Arifa, zdradziła wszystkich członków klanu. Owszem, miała poczucie winy, jednak przegrało ono z niebiańskim zapachem i smakiem pieczeni.

Skończyła mięso, a potem dokładnie oblizwała szpikuliec z najdrobniejszych śladów tłuszczu i oddała go sprzedawcy.

Ruszyli dalej. Po kilku minutach powiedziała:

– Wiem rzeczy, których nijak nie mogłam się dowiedzieć.

Arif spojrział na nią niepewnie.

– Wiem, że tuan, który kupił nas tej nocy, ma żonę i bardzo ją kocha. Ma też dwie dorosłe córki, obie zatrudniane przez Wspólnotę.

– To możliwe – przyznał.

– Ja nie zgaduję. Ja to wiem.

– Nie wydaje mi się.

– Ach...

Nie przeszkadzało jej, że wąpił. W umyśle dziewczyny bez przerwy rozpakowywały się kolejne pakiety wspomnień, jej własnych i innych ludzi, ludzi, których nawet nie znała. Uśmiechnęła się. Sprzedawca z kiosku z pieczywami był zafascynowany jej niezwykłą aparycją. Rzadko widywało się dojrzałą kobietę o smakowitych krągłościach i idealnych proporcjach, zamkniętą w ciele ośmioletniej dziewczynki.

– Myślisz że tuan zapłaciłby tyle za seks z takimi dziwolągami jak my? – zapytała.

– Kogo to obchodzi?

Wzruszyła ramionami, przypominając sobie twarz anioła. Nie była to twarz zmarłego tuana, którego znaleźli w rzece. A skoro tak, kim był ten anioł?

Nagle przyszło jej do głowy, że warto go poszukać.

Nieśmiało zerknęła na Arifa.

– Mam wrażenie, że staję się wiedźmą.

Czekała na jego reakcję, ale nic nie powiedział. Patrzył przed siebie, na drogę, starannie omijając rozłożonych na ziemi żebraków.

– Martwy tuan – spróbowała jeszcze raz – którego wyciągnęliśmy z rzeki, był złym czarownikiem i zamienił mnie w czarownicę.

Dochodziła do tego wniosku przez cały ranek. Teraz, gdy ostatecznie wypowiedziała go na głos, poczuła ogarniające ją zadowolenie. Zawsze podziwiała starą kobietę za jej umiejętności uzdrawiania ludzi eliksirami i talizmanami. Bardziej podziwiała tylko chińskiego lekarza. Uważała go za największego czarownika, niemal boga.

– Jeżeli stajesz się czarownicą, nigdy więcej nie będziemy musieli się kurwić – zauważył Arif.

Phousita uśmiechnęła się.

– Właśnie. O to mi chodziło.

ROZDZIAŁ 7

Kirstin Adair siedziała na balkonie i popijając herbatę przesłuchiwała automatyczną sekretarkę. Przez godzinę, którą spędziła w towarzystwie Nikko, nagromadziło się wiele połączeń. Uaktywniała je jedno po drugim, przełączając z pamięci programu odzwierne do jej atrium. Każdy urzędnik, pełniący kierownicze funkcje w administracji, potrafił obsługiwać jednocześnie wiele kanałów danych, a Kirstin, po niemal trzydziestu latach na stanowisku naczelnika policji, panowała nad nimi z wirtuozerią godną mistrzyni.

Pojedyncze przypadki rzadko zaprzętały jej uwagę, większość; nich należała do kategorii zwykłych wykroczeń. Czego tam nie było: próby sztucznego zapładniania z dodaniem niedozwolonego materiału genetycznego, próby wpisywania w geny wyjątkowych uzdolnień psychofizycznych, próby wprowadzenia w obieg strukturów ofensywnych, będących w zasadzie bronią biologiczną, ukierunkowaną na wywołanie u zaatakowanej jednostki zgubnych lub nielegalnie korzystnych mutacji, próby ataków terrorystycznych za pomocą strukturów, mających paraliżować najważniejsze części miast, korporacji, rodzin, pojedynczych ludzi, próby zastosowania strukturów do zadań w wywiadzie przemysłowym i do szpiegowania niewiernych partnerów, próby wprowadzenia do obiegu strukturów maskowanych układami powszechnie stosowanej sztucznej inteligencji albo posiadających własną osobowość i świadomość odrębności, albo zawierających nie zarejestrowane wirusy behawioralne, albo skonstruowanych w oparciu o niesklasyfikowane modyfikacje roślinne i zwierzęce, albo strukturów zdolnych do tworzenia sztucznych roślin i zwierząt, a nawet duplikatów człowieka, egzystujących w zsyntetyzowanym ciele.

Technologie molekularne pozwalały budować miasta zawieszane w przestrzeni kosmicznej, posłużyły do odtworzenia wielu ziemskich ekosystemów, jednak konieczne było ustalenie granic, w jakich można było korzystać z ich dobrodziejstwa. W żadnym wypadku nie można było dopuścić, aby każdy stosował je, jak mu się żywnie podoba, bez ograniczeń, hulaj dusza, piekła nie ma!

O nie, o piekło było bardzo łatwo. Jeden błąd mógł obrócić Gaję W proch, roztrzaskać na drobniutkie kawałki i tak je pomieszać, że nikt nie doszedłby z nimi do ładu. W tych czasach jedno z najważniejszych zadań polegało na niedopuszczeniu do takiej tragedii i zadanie to miała

wypełniać policja. Wojna o utrzymanie technologii w ryzach trwała na długo przed zawiązaniem Wspólnoty i już wtedy Kirstin brała w niej czynny udział.

Miała szczęście. Jej ojcem był zawodowy podróżnik, twórca filmów przyrodniczych, pisarz i domorosły filozof, z łatwością zdobywający sponsorów skorych do sfinansowania kolejnej ekspedycji. Miał w pogardzie bezpieczeństwo, wygodę, ciszę i ciepło ogniska domowego. Sześć miesięcy każdego roku spędzał z córką, zabierając ją w rozliczne podróże. Nauczył ją, jak być silną fizycznie, psychicznie i intelektualnie. Nauczył ją wrażliwości, zdolności wyczuwania obecności jakiejś nadrzędnej, potężnej istoty. Będąc w Ameryce Południowej, Nowej Zelandii, Antarktyce, Himalajach, nauczyła się wsłuchiwać w głos natury. Gaja przemawiała skomplikowanym językiem drapieżników i ich ofiar, językiem obfitych plonów i okresów uśpienia przyrody, językiem narodzin i migracji, zmian pór roku, burz, prądów morskich, a także językiem okrucieństwa i bezwzględności, ujawniającym się w nieodwołalności śmierci. Kirstin zaczęła postrzegać siebie jako cząstkę przyrody, jednostkę doskonale przystosowaną do warunków środowiska naturalnego, pojedynczą nitkę w pajęczynie rozpiętej na czterech wymiarach czasoprzestrzeni, pajęczynie trwającej od miliardów lat i będącej twórczym systemem o niezmiernych możliwościach.

Jednak sześć miesięcy szybko mijało i nadchodził koniec okresu, w którym opieka nad Kirstin przysługiwała ojcu. Dziewczyna wracała do zatłoczonego, zmechanizowanego mrowiska pasożytów, jakim było wielkie miasto. W szkole wyróżniała się spośród rówieśników jak kuna wśród trenowanych szczurów, ale jej indywidualność ginęła w morzu uczniów. Te miejskie szczury wiodły życie, skacząc między klimatyzowanymi promenadami a klimatyzowaną szkołą i klimatyzowanymi mieszkaniami, a wydawało im się, że są częścią przyrody, ponieważ organizują się w gangi, noszą broń i są specjalistami w okłamywaniu matki.

Rozłąka. Mroźną zimą ojciec przejechał osiem tysięcy kilometrów specjalnie po, to, aby się z nią zobaczyć. Teraz leżał na ulicy przed mieszkaniem jej matki, krew wylewała się z jego ust, i gardła poderżniętego przez tresowane szczury. Kirstin widziała, jak to się stało, ale nawet nie krzyknęła. Nigdy nie krzyczała, nigdy nie płakała. W tej strasznej chwili doznała iluminacji, uświadomiła sobie przerażającą prawdę: Gaja była wściekle atakowana przez sfory ludzkich szczurów, czerpiących pożywkę do swych poczynań z zamieszania, jakie siały nie kontrolowane eksplozje technologiczne, niczym pociski rozrywające ciało Bogini i niszczące wątłą pajęczynę życia.

Gaja była jednak bardzo stara, silna i przebiegła. Zawsze uruchamiała właściwe mechanizmy. Tym razem wybrała reakcję opartą na sprzężeniu zwrotnym – pojawienie się drapieżników.

Liczba szczurów, które należało usunąć, była zbyt duża, jednak wciąż istniała możliwość rozwiązania problemu. Po pierwsze, należało szczury rozbroić. Potem trzeba było je karmić, ochraniać i pozwolić im rosnąć. Upewnić się, że są dobrze odseparowane od świata, odebrać im zdolność wpływania na los Ziemi, osłabić na tyle, by nigdy więcej jej nie zagroziły. A co, jeśli jakieś szczury nie zechcą trzymać się swojej niszy ekologicznej? Kirstin uśmiechnęła się do siebie. Właśnie dzięki takim szczurom miała co robić.

Dzięki nim istniała policja. Tych, którzy nie potrafili zaadaptować się do warunków, trzeba przecież zręcznie wyluskać i usunąć, przywracając tym samym jedność ludzkiego stada.

I co z tego, że przy okazji czerpała zadowolenie z pracy? Czy wilk ścigający stado jeleni odczuwa wyrzuty sumienia, gdyż odbiera życie słabym i chorym jednostkom? Ależ skąd. Podobnie jak Kirstin, z radością wypełnia swoją rolę w spektaklu, którego reżyserką jest Bogini Gaja.

Kirstin nie działała w pojedynkę, to oczywiste. Trzymała się jednak z dala od rutynowych obowiązków policji Wspólnoty, pozostawiając rozwiązywanie bieżących spraw swoim podwładnym. Stojąc na czele policji, skupiała swą uwagę na odpowiednim sterowaniu politycznymi trendami w łonie Wspólnoty i robiła wszystko, by pierwsi obywatele miast oraz przywódcy narodów, zarówno tych należących, jak i nie należących do Wspólnoty, byli rozsądnymi ludźmi, przestrzegającymi zakazów w dziedzinie technik molekularnych. Co jakiś czas miasta próbowały wydawać miejscowe akty prawne, łagodzące przepisy wprowadzone w życie przez Wspólnotę, gdyż marzyło im się uzyskanie przewagi nad konkurentami na rynkach handlowych... Czasem korporacje wykraczały poza nakreślone przez prawo granice, aby wywrzeć wrażenie na potencjalnym kliencie... Mogło się zdarzyć również to, że jakiś kraj nie będący członkiem Wspólnoty, za namową wywrotowców przystąpi do prac nad stworzeniem nielegalnych strukturów.

Dlaczego? Po co? Obywatele Wspólnoty mieli wszystko, czego dusza zapragnie: idealne zdrowie, idealne ciała, bezpieczne środowisko naturalne, miłe domy, życie rodzinne, rozrywki, sztukę, prawo do nieskrępowanego podróżowania... Nie powinni pragnąć niczego. Jednak, jak zwykle, istniał pewien procent ludzi niezadowolonych ze świata, w którym przyszło im żyć.

Ludzi, którzy w wielkim widowisku Matki Natury wybrali sobie rolę węży w Rajskim Ogrodzie.

Jednym z najgorszych był Fox Jiang-Tibayan. Już sama myśl o stworzeniu czegoś takiego jak Nikko była odrażająca, a talent, który pozwolił mu przekonać bojaźliwych członków Kongresu do udzielenia poparcia projektowi, można określić słowem: diaboliczny. Kirstin upewniła się, by Fox zapłacił za ohydę, której się dopuścił. Trzykrotnie wytoczyła mu proces o wprowadzanie technologii znajdujących się na skraju tolerancji i postawiła w stan oskarżenia w dwunastu innych przypadkach. Zastraszenie podziałało. Fox przystał do konserwatywnego skrzydła naukowców.

Przynajmniej jawnie.

Najdziwniejsze, że powinna być mu wdzięczna. Kiedy o tym myślała, na jej usta wypełzał złośliwy uśmiezek. Przecież gdyby nie wydano pozwolenia na prowadzenie badań i utrzymanie Nikko przy życiu, nigdy nie byłaby zdolna wywołać potężnej fali publicznego oburzenia, na której wypłynęła na sam szczyt policyjnej hierarchii.

Roześmiała się wesoło. Fox dał jej Nikko – oto kolejny punkt rozszerzający dług wdzięczności.

Nikko nie był człowiekiem. Był dzikim zwierzęciem, całkowicie odartym z moralności, podążającym w ślepych pędzie za utrzymaniem się przy życiu. Przebywanie z nim podniecało Kirstin mniej więcej w taki sam sposób, jak podniecałyby ją igraszki z panterą. Czy uda się ją okiełznać? Kontrolować? Tak niewiele wyzwań oferował otaczający ją świat. Zabawy z kimś takim jak Jsfikko utrzymywały ją w formie, zapewniały drzemiacym w niej instynktom właściwą ostrość, tak potrzebną przy rozgrywce o znacznie większą stawkę, którą było zachowanie Wspólnoty w nienaruszonej postaci.

Jaka szkoda, że tym razem zabawa dobiega końca. Będzie za nim tęsknić. Odczuwała jego stratę jak... stratę ulubionego zwierzaka.

Nie zdążyła przejrzeć nawet połowy zapisów, gdy pojawił się kolejny i to opatrzony kodem bezwzględności pierwszeństwa.

Nadawcą był Allende, dyrektor służb bezpieczeństwa wewnętrznego policji Wspólnoty. Zmarszczyła brwi. Allende nie był jednym z jej ludzi, zajmował swoje stanowisko z nominacji Kongresu. Należał do tych samolubnych intrygantów, którzy mają tendencję do knucia za plecami szefa. Będąc naczelnikiem policji, Kirstin poparła zaproponowaną przez Kongres reformę urzędu prezydenta, która sprowadzała się do całkowitej likwidacji prezydenckiej

kancelarii i decentralizacji władzy, czyli przesunięcia wszystkich uprawnień prezydenta na członków Kongresu. Od tamtej pory stosunki na linii Kirstin-Kongres układały się dość dobrze, choć od czasu do czasu dochodziło do drobnych spięć.

Zdarzało się, że senatorów pochłaniały sprawy w rodzaju uaktualnienia istniejącego prawa, udzielenia zezwolenia na prowadzenie projektów badawczych w dziedzinie ledwie tolerowanej przez prawo lub oceny gotowości jakiegoś kraju do wstąpienia do Wspólnoty, jednak ich najważniejszym obowiązkiem było nadzorowanie pracy policji. Z tej to przyczyny, co jakiś czas odczuwali potrzebę zaznaczenia swojej niezależności od naczelnika policji.

Stworzenie cerbera w osobie Aliende należało do ich ostatnich pomysłów. Ukształtowała się nowa sytuacja, w której Kirstin czuła się wyjątkowo niezręcznie. Powinna ufać swoim oficerom – wszystkim bez wyjątku – ale Aliende zaufać nie mogła. Od miesiący próbowała się go pozbyć. Bez skutku.

– Proszę dalej, Aliende – powiedziała, zastanawiając się, którego z jej ludzi będzie nękał tym razem.

Atrium spełniało rolę przekaźnika, przekształcając docierający sygnał na wrażenie dźwięku i dostarczając go bezpośrednio do mózgu. Kirstin słyszała głos Aliende, choć jej uszy nie łowiły żadnych dźwięków.

– Naczelnik Adair, mamy kłopoty w naszym wydziale badawczym. Proszę o utajnione połączenie.

– Dobrze. Czekam na pana.

Wysłała mu formalne zaproszenie. Kilka sekund później przybyło jego widmo. Od tego momentu, cokolwiek Aliende powiedziała lub zrobiła, nie mogło być podsłuchane z zewnątrz.

Pojawił się w tym samym fotelu, który niedawno zajmował Nikko – tęgi, ciemnoskóry mężczyzna o wielkich łapskach i ociężałym spojrzeniu, ubrany w czarną tunikę i szorty od policyjnego munduru. Siedział sztywno wyprostowany, spięty. Najwyraźniej nie miał ochoty na tę wizytę.

Kiwnął głową na powitanie i z kamienną twarzą rzekł:

– Mamy poważny problem. – Rozejrzał się nerwowo, na jego policzki wystąpiły kropelki potu. – Jensen Van Ness, jeden z naszych starszych badaczy, zamieszkały w południowej Australii, użył swojej karty dostępu, aby dostać się do materiałów ze sprawy Bohra. Zsyntetyzował struktura Bohra, zniszczył całą dokumentację i zwiął. To było wczoraj. Teraz

minęło już trzydzieści dwie godziny. Śledziłem go, gdy przekraczał Bramę. Ostatniej nocy opuścił terytorium Wspólnoty i skierował się do południowej części Indii... albo do Sunda, tamtejszej strefy wolnego handlu.

Oczywiście psy są na jego tropie. Na wszystkich Bramach mają jego rysopis. Dowódcy poszczególnych sektorów zostali powiadomieni, uruchomiono procedury dekontaminacyjne.

Nie minie godzina i będziemy go mieć za kratkami. Tymczasem powinniśmy, moim zdaniem, uszczelnić nasze wewnętrzne zabezpieczenia. Ten incydent dowodzi, że w przeszłości miałem rację: nasz personel badawczy ma zbyt wiele przywilejów w zakresie dostępu do tajnych akt.

Kirstin słuchała rewelacji Allende w milczeniu. Struktor Bohra.

Czyż nie ostrzegała Komisji Kongresu ds. Prawa Molekularnego, że należy pozbyć się tych obscenicznych akt? Robiła to wiele razy, ale Van Ness zawsze stawał jej na drodze. Teraz Van Ness zniknął, ślad po nim zaginął, a Allende siedzi i próbuje zrzucić winę na szefa policji.

Pochyliła się ku niemu i świdrując go lodowatym spojrzeniem, powiedziała:

– Ty nadęty skurwielu! Próbowalesz załatwić to po swojemu, co? Od ilu godzin wiesz, że Van Ness zniknął?

Allende skurczył się w sobie, jakby chciał wtopić się w krzesło.

– Od ilu godzin?! – warknęła Kirstin.

– Od dziesięciu. – Wyprostował się i zebrawszy siły, dodał:

– Wiemy o tym od dziesięciu godzin. Od tej pory prowadzimy intensywne śledztwo, mój zespół wykorzystał wszystkie dostępne kanały i będziemy go mieć za kratkami...

– Nie przyszło ci do głowy, że powinnam dowiedzieć się natychmiast? Skradziono struktor Bohra, a ty w ogóle mnie nie poinformowałeś?

– Mój zespół...

– Chciałeś go złapać na własny rachunek, przyznaj się.

Chciałeś zgarnąć dla siebie trochę chwały, lecz zamiast tego sprowadziłeś na policję same kłopoty. Van Ness miał straszną broń. Zniszczył akta, więc nie możemy powielić struktora, nie możemy użyć go przeciwko Van Nessowi. Znaleźliśmy się w poważnym niebezpieczeństwie, a tobie nie przyszło do głowy, aby mnie powiadomić.

– Złapiemy go przed upływem godziny – upierał się Allende.

Kirstin wiedziała, że kłamie. Nie przyszedłby tutaj, gdyby zespół, o którym tyle mówi, wciąż

był na tropie zbiega. Van Ness ulotnił się jak kamfora, to pewne.

– Allende, lepiej sprowadź go do domu w ciągu godziny albo zagram w kręgle twoją głową.

Po tym jak widmo Allende opuściło atrium, Kirstin odłożyła nie przejrzone informacje na bok, przebrała się w policyjny mundur i poszła do biura.

Struktor Bohra. Na samą myśl o nim cierpła skóra. Był odrażający, wstrętny, niczym policzek wymierzony Matce Ziemi. Był bombą ewolucyjną, gotową wybuchnąć w ciele Gai, zniszczyć naturalny porządek i rozerwać na strzępy duszę Bogini, której spokojny żywot trwał od czterech i pół miliarda lat.

Leander rozumiał skalę zagrożenia. Nigdy nie wykonał kopii struktora, zatrzymał go wyłącznie dla siebie. Podobnie jak Kirstin, kochał i szanował Matkę wszelkiego stworzenia, używając struktora tylko w jej obronie. Leander Bohr był wielkim człowiekiem, jednak od pewnego momentu życie uciekiniera przestało mu odpowiadać. Zaczął opowiadać Kirstin o porzuceniu Matki, stworzeniu za pomocą struktora sztucznego świata, gdzieś daleko od Słońca, skromnego, niedużego świata, w sam raz dla nich dwojga...

Kirstin wydała go policji, ponieważ była niemal pewna, że struktor zostanie zniszczony. Van Ness od początku sprzeciwiał się temu ostatecznemu rozwiązaniu i teraz struktor ponownie wymknął się spod kontroli.

Jensen Van Ness nie miał zasad etycznych, które charakteryzowały Leandera. W jego rękach struktor już wkrótce mógł zacząć siać spustoszenie.

W biurze zastała Allende we własnej osobie. Od razu przekazał jej najświeższe wiadomości:

– Psy wyczuły w Sunda szczególnego rodzaju substruktory, które mogą być związane ze struktorem Bohra.

– Mamy w kartotece coś na ich temat – zauważyła Kirstin.

– Sprawdziliście dane z Sunda, porównując ze wzorcem w aktach?

– Pracujemy nad tym.

Kiedy atrium wypełniły policyjne akta, oczy Allende zaczęły błyszczeć, jakby były ze szkła.

Projektując swój struktor, Leander wbudował weń funkcję tworzenia maszyn molekularnych o stopniu komplikacji mniejszym od jednostki macierzystej. Substruktory te mogły być wysyłane w bliższe i dalsze otoczenie struktora, działając jak mikroskopijny system zbierania informacji, system składający się z milionów przemieszczających się elementów. Większość z nich nie znajdowała drogi powrotnej do struktora i po zaprogramowanym okresie czasu ulegała

samodestrukcji, ale niewielki procent wracał, dostarczając mnóstwo cennych informacji. Policja doskonale znała charakterystykę tych maszyn molekularnych.

Allende oderwał się od akt i powrócił do świata rzeczywistego.

– Pomijając drobne rozbieżności, pasują do wzorca znanych substrukturów Bohra. Van Ness jest w Sunda.

Kirstin uśmiechnęła się. A więc złodziej nie opuścił Ziemi. To już coś, chociaż... mogły być kłopoty ze znalezieniem go w Sunda, prymitywnej społeczności, która nie należała do grona narodów Ziemi będących członkami Wspólnoty. Niektóre terytoria, funkcjonujące poza jej strukturami, sprzeciwiały się działaniom policji na ich obszarze, co nie znaczy, że miały jakiegokolwiek szansę przerwać śledztwo. Policja Wspólnoty nie uznawała granic państwowych, gdy w grę wchodziło przestrzeganie prawa molekularnego. Nie można było inaczej. Nielegalne technologie nie stawały się bezpieczniejsze tylko dlatego, że stosowano je poza granicami Wspólnoty. A gdyby stosowane przez zbrodniarzy technologie znacznie wyprzedziły osiągnięcia policji, uczyniły jej arsenał kolekcją przestarzałego sprzętu, kto wymusiłby przestrzeganie prawa? Nikt. Stabilność i bezpieczeństwo Wspólnoty zniknęłyby w jednej chwili i zostałyby po nim tylko wspomnienie.

Jak do tej pory policja Wspólnoty skutecznie działała na całym obszarze zamieszkałego świata, lekceważąc granice poszczególnych terytoriów, a nawet najbardziej niezadowoleni członkowie Wspólnoty nie opuszczali koalicji. Tak naprawdę, nie mieli wielkiego wyboru. Niezależność nie dawała swobody korzystania z istniejących technologii lub organizowania badań nad nowymi rozwiązaniami, które byłyby nie do zaakceptowania wewnątrz Wspólnoty, natomiast pozbawiłaby ich głosu w Kongresie i politycznego wpływu na najpotężniejszą organizację świata.

Kirstin wezwała krzesło. Powoli osunęła się na nie, twarzą zwrócona do Allende. Skrzyżowała ramiona na piersi i spokojnie czekała, aż upłynie godzina, która według niego miała wystarczyć na schwytanie Van Nessa. Za niecałą godzinę pozbędzie się tego człowieka. Zdymisjonuje go za zaniedbanie obowiązków służbowych. Niech tylko Kongres spróbuje się sprzeciwić!

Czekała, nie spuszczać z niego oczu, przesywających go intensywnym spojrzeniem drapieżnika, hipnotyzującego swoją ofiarę. Allende kontynuował dochodzenie. Pracował bez konsoli z klawiaturą, nie posługiwał się głosem. Konsultował się ze swoimi funkcjonariuszami za

pośrednictwem atrium. Kirstin wyraźnie rozróżniała momenty zwiększonej koncentracji i następujące po nich chwile odprężenia, które były coraz krótsze, w miarę jak czas się kończył. Na jego twarzy zbierały się kropelki potu, przybywało ich, rosły i ściekały w dół. Coraz częściej zerkał na przełożoną wzrokiem przerażonego uczniaka. Jego strach dawał Kirstin niemal fizyczną rozkosz. Uśmiechnęła się do niego, co tylko zwiększało jego zdenerwowanie.

Zostały już tylko trzy minuty, gdy Allende nagle drgnął, pochylił się do przodu i westchnął z ulgą. Kirstin zazgrzytała zębami. Widząc wyraz jej twarzy, Allende pozwolił sobie na triumfalny uśmiech i rzekł:

– Psy znalazły Van Nessa.

Kilka minut później Kirstin Adair stała wśród tych potężnych zwierząt. W Sunda był wczesny ranek. Brodziła po pas w krystalicznie czystych wodach rzeki, która przepływała poniżej porzeczonych zabudowań starego rzeczno magazynu – przynajmniej tak wyglądał obraz generowany dla niej przez atrium jednego z psów alfa.

Udała się na Ziemię pod postacią widma, aby obserwować postępy śledztwa. Atrium psa rekonstruowało dla niej zapach padającego deszczu, odgłosy kroków ludzi chodzących po magazynie, lekko gorzki smak wody i delikatne muśnięcia wody na nogach, powodowane przez rzeczny prąd. Zerknęła na małego chłopaka, kurczowo trzymającego się jednego ze słupów, wspierających magazyn.

Pasożyt, zwykły pasożyt, pomyślała z pogardą. Był przedstawicielem wielomilionowej armii niechcianych dzieci, rojących się w tym zacofanym kraju, będących prawdziwą plagą miasta i poszerzających zastępy ludzkich szcurków. Zostawiła go tutaj starsza dziewczynka, która na widok psów krzyknęła ze strachu, szybko wspięła się do magazynu po sznurze zwisającym z wjazdu i zatrzasnęła za sobą metalową płytę. Kirstin wciąż słyszała jej wrzaski, dochodzące z wnętrza budowli.

Chłopiec – nie mógł mieć więcej niż sześć, siedem lat – próbował ukryć się przed psami za kolumną, jednak ręce i nogi trzęsły mu się tak bardzo, że nie potrafił utrzymać się na pochyłym brzegu i zsunął się do wody. Kirstin zachichotała z satysfakcją. Rasy psów policyjnych celowo są dobierane w taki sposób, aby wywoływać przerażenie. Skrzyżowano doga z brytanem, uzyskując psa z wielkim kwadratowym łbem, sięgającego człowiekowi do barków i ważącego prawie osiemdziesiąt kilogramów. Rząd Sunda zezwolił na ich obecność na swoim terytorium w zamian za uzyskanie pewnych przywilejów handlowych, dzięki którym rządzący mieli gwarancję

pozostania przy władzy.

Kirstin przeniosła wzrok na doczesne szczątki Jensena Van Nessa. Zwłoki przymocowano do dna rzeki, najprawdopodobniej poprzedniego dnia, biorąc pod uwagę stopień rozkładu. Mikroskopijne struktury, których zadaniem było utrzymanie wody w czystości, zdążyły już usunąć mniej więcej dwadzieścia procent ciała, przemieniając je w jadalny meszek. Przez strzępy mięśni wyraźnie widać było fragmenty białych kości, czaszka wyglądała na niemal całkowicie odartą z tkanek miękkich. Ciało było nagie.

Kirstin w zamyśleniu obserwowała, jak zbitek meszku płynie w dół rzeki. Prąd rzucił go w pułapkę długiego wężerza, zbudowanego z porozcinanych na połowy plastikowych butelek. Wiele z nich było pełnych meszku. Ponownie rzuciła okiem na zwłoki i uśmiechnęła się. Zabawne, doprawdy. Te szczury zjedzą wszystko.

Rozkazała jednemu z psów wejść do wody i zanurkować, aby mogła za pośrednictwem jego oczu z bliska obejrzeć ciało Van Nessa. Atrium zbierało w ten sposób wystarczająco dużo danych do stworzenia szczegółowego obrazu. Namacalnego do tego stopnia, że Kirstin mogła badać czaszkę palcami. Van Ness otrzymał paskudne uderzenie w głowę.

Wynurzyła się i odrzuciła głowę do tyłu, by oczyścić oczy z wody. Krople uderzyły o płyty, stanowiące podłogę magazynu, lecz nie zostawiły mokrych plam. A powinny. W trakcie śledztwa wołała, żeby wirtualne środowisko stwarzane przez atrium było jak najdoskonalszym odbiciem świata rzeczywistego. Najlepiej jeśli jedynym sztucznym elementem była jej, rzekoma, obecność w miejscu zdarzeń.

Wciągnęła w nozdrza powietrze, szukając śladu struktora Bohra za pomocą rozszerzonego spektrum zmysłów psa. Ciało było czyste, więc Van Ness nie wszczepił sobie struktora. Gdzie, w takim razie, trzymał skradzione urządzenie? Czyżby zmusił kogoś, żeby nosił je dla niego? Tylko kogo? Gdzie go znalazł?

Brodząc w wodzie, ruszyła powoli do brzegu, psy trzymały się tuż za nią. Zatrzymała się przed kolumną i spojrzała na chłopca.

Co tutaj robił? Jeden z tropicieli stanął na tylnych łapach, wyciągnął głowę do przodu i przesunął wrażliwym nosem wzdłuż nogi dziecka. Chłopczyk krzyknął ze strachu, ale pies niczego nie znalazł, toteż odsunął się i wskoczył z powrotem do wody.

Struktor Bohra istniał, to pewne. Gdzieś ktoś miał jego aktywny egzemplarz, ponieważ patrolujące brzeg rzeki psy co chwila natykały się na charakterystyczne substruktury. Sam

struktor wymykał się tropicielom, lecz Kirstin mogła się tego spodziewać. Leander tak go zaprojektował, że bez próbki zainfekowanych komórek był niemal całkowicie niewykrywalny. Leander był geniuszem.

Odwróciła się i już miała wejść na betonowe płyty stanowiące koryto rzeki, kiedy otworzył się właz w podłodze magazynu. Psy natychmiast zwróciły głowy w tym kierunku.

W otworze pokazała się opuchnięta, świecąca żółtym światłem twarz z wielkim zakrzywionym nosem i komicznie zaokrąglonymi policzkami. Matko Naturo, miej nas w swojej opiece! – pomyślała Kirstin z niesmakiem. W satelitarnych miastach należących do konserwatywnej Wspólnoty mutagenne struktury były zakazane od dawna, jednak w strefach wolnego handlu wciąż były powszechnie spotykanym towarem. Stosowano je przeważnie na jakichś biednych, niczego nie przeczuwających głupcach, ku uciesze pomniejszych możnowładców. Dopóki wywołane przez nie mutacje były nieszkodliwe i ograniczały się do komórek skóry lub mniej istotnych organów, Kirstin godziła się, że policja powinna je tolerować – ze względów dyplomatycznych.

Gwizdnęła na psy, lecz w tej samej chwili zauważyła napięcie w ich postawie i rozszerzone nozdrza. Czyżby pochwyciły trop struktora Bohra? Od tego prostaka?

Jeden z tropicieli warknął i rzucił się przez wodę ku otwartemu włazowi. Mutant z żółtą twarzą zniknął w głębi magazynu, a sekundę później pies odbił się od dna rzeki, wbił się pazurami przednich łap w podłogę i zawisł nad wodą. Kirstin roześmiała się z niedowierzaniem, podziwiając wyczyny zwierzęcia. Przecież bestia była za duża, aby zmieścić się w otworze... Jednak nie!

Głowa i barki już znalazły się wewnątrz. Drugi pies podbiegł do wiszącego w powietrzu towarzysza, stanął na tylnych łapach i podsunął kwadratową głowę pod jego łapy. Pierwszy odbił się i zniknął w głębi magazynu.

Rozległy się potworne wrzaski, krzyk przerażonych dzieci i piski kobiet. Stukot dziesiątek stóp o płyty podłogi rozdierał powietrze jak grzmot nadciągającej burzy. Kirstin ruszyła w stronę włazu, rozgarniając wodę rękami. Chwyciła linę i wspięła się w ślad za tropicielem.

W tym samym czasie Kirstin Adair we własnej osobie siedziała w Zamku i w towarzystwie Allende przeglądała zapisy w panelu komunikacyjnym Van Nessa. Przyjmował wielu gości. Część z nich należała do ludzi sławnych jak on, inni byli całkowicie nieznanymi. Cały sztab pracował teraz nad analizą rozmów z ostatnich trzech lat.

– Nie mógł zrobić tego sam – mruknęła.

Allende przytaknął.

– Nie pasowałoby to do jego profilu psychologicznego.

W pewnym sensie niepotrzebnie tracili czas. Wiedzieli, kto był jego współnikiem. Dowiedzieli się tego zaraz po wydobyciu ze zwłok nośnika podręcznej pamięci atrium i dokonaniu translacji zapisów.

Zostawiła przeglądarkę i stanęła przed wielką przeszkloną ścianą, skupiając wzrok na ciemnej nitce Cesarskiej Autostrady.

Nagle Allende chrząknął za jej plecami. Powoli odwróciła się i napotkała spojrzenie jego zmrużonych oczu.

– Właśnie aresztowaliśmy dwóch młodzików, którzy mogą być zamieszani w zamordowanie Van Nessa – rzekł. Zaciśnął wargi i dodał: – Chyba nic z nich nie wyciśniemy. Wszystko wskazuje na to, że był to zwykły napad. Kiedy pojawił się patrol Islamskiego Odrodzenia, wrzucili ciało do rzeki.

– Matko Naturo! Jak długo będziemy czekać, zanim odczytają zapisy z tej pamięci podręcznej?

Widmo Kirstin cierpliwie podążało krok w krok za tropicielami, które prowadziły ją przez mokry od deszczu Labirynt ulic.

Psy kierowały się śladami, pozostawionymi przez zamieszkujące magazyn dzieci. Do tej pory dotarły do sześciu lokatorów magazynu, lecz nie natknęły się na ślad struktora Bohra. Reszta zniknęła w gmatwaninie walących się budynków jak spłoszone szczury.

Był późny ranek, gdy zdecydowała się wrócić do magazynu.

Nad rzeką unosił się cuchnący smog. W pierwszej chwili pomyślała, że psy zgubiły drogę. Szukała wzrokiem magazynu, lecz nigdzie w zasięgu wzroku nie było budynku, który by go przypominał. Dopiero po jakimś czasie zrozumiała, że znajdująca się przed nią kupa nadpalonych dźwigarów i stopionego plastyku jest wszystkim, co zostało po budynku, w którym była wcześniej tego ranka.

Najwidoczniej Islamskie Odrodzenie nie tolerowało lokatorów, którzy ściągali na siebie uwagę policyjnych psów.

– Proszę, mamy tutaj interesujące nazwisko – stwierdził Allende.

Kirstin oderwała się od wspomnień widma wysłanego do Sunda i pozwoliła

współpracownikowi przesłać dane o gościu Van Nessa do jej atrium.

– Niejaki Sy Gaudreau – przeczytał na głos Allende. – Pochodzenie: Grupa Korporacyjna RedCam, Farsight City. Historyk. – Ostatnie słowo wypowiedział tak, jakby wyczuwał, że zawód jest tylko przykrywką do działalności niewiele mającej wspólnego z nauką. – Znasz takich „historyków”? Wygrzebują brudy korporacji i szantażują je, grożąc ujawnieniem informacji opinii publicznej.

– Znam ich – odparła. Nikko był z nich najlepszy. – Przekaż na Bramy jego rysopis. Sprawdź adres. Prawdopodobnie jest fałszywy. Ci z RedCam są zbyt konserwatywni, aby tolerować w swoim gronie historyka. Zanalizuj połączenia i sprawdź, czy kontaktowano się z RedCam, czy może z innego miejsca.

Allende przymknął powieki. Rozkaz został wysłany. Kirstin odwróciła się do okna, ale w tej samej chwili Allende gwizdnął przeciągle.

– W końcu napływają dane z podręcznej pamięci atrium Van Nessa. Na Miłość i Naturę!... Ten drań był kompletnym świrem.

O-o-o... U-u-uuu... O słodka nadziejo! Miałaś rację, adres był fałszywy.

Kirstin rzuciła mu pytające spojrzenie, unosząc jedną brew w geście irytacji.

Allende uśmiechnął się bardzo, bardzo szeroko.

– Spodoba ci się to, szefowo. Van Ness zapisał nazwisko swego współnika. To Sandor Jiang-Tibayan. Z Domu Lata.

Przez moment Kirstin miała kompletną pustkę w głowie. I nagle w jej umyśle buchnął ogień zrozumienia, olbrzymi pożar gniewu. Jiang-Tibayan! O Sandorze nigdy nie słyszała, ale to bez znaczenia. Było tylko dwóch Jiang-Tibayanów, którzy mogli zorganizować to wszystko. Fox nigdy nie był kryminalistą. W takim razie to sprawka Nikko. Prawdopodobnie posłużył się tym Sandorem jako mułem, aby rozegrać swoje brudne gierki za jej plecami.

Nieświadomie wstrzymywała oddech. Teraz wypuściła powietrze z płuc i spojrzała na Allende.

– Prześlij na Bramy rysopis tego Jiang-Tibayana. Wyślij nakazy aresztowania na posterunki lokalnej policji w Sunda.

Zaczekaj, zrób to przez naszego ambasadora. Niech wiedzą, że to ważna sprawa. Ten muł ma się znaleźć za kratkami!

Zaraz potem połączyła się z mauzoleum w Zamku i zgłosiła rezerwację.

– Wybieram się do Domu Lata – powiedziała Allende. – Pod postacią pełnej kopii.

Podróże między orbitalnymi miastami we własnej osobie były niewygodne, nudne i pochłaniały całe tygodnie, a nawet miesiące.

Większość obywateli w ogóle nie brała pod uwagę takiej możliwości. Ci, którzy musieli przemieszczać się z miasta do miasta, na ogół przesyłali tylko wzorzec osobowy, który wpisywano w duplikat ciała przechowywany w mauzoleum miasta docelowego.

Duplikat ten nazywano potocznie pełną kopią.

Kirstin Adair miała wiele swoich pełnych kopii, rozrzuconych po całym terytorium Wspólnoty. Z większości nigdy nie korzystała i nikt nie wiedział o ich istnieniu... jak o tej na Domu Lata.

Prześle swój wzorzec osobowy i będzie tam osobiście, aby schwytać Nikko we własne ręce.

– Mamy w Domu Lata funkcjonariuszy, którzy mogą zająć się tą sprawą – podpowiedział Allende. – Nie ma powodu, abyś leciała tam osobiście.

– Ależ jest. Jest...

To była jej sprawa. Pragnęła pojmać Nikko osobiście.

Opuściła biuro i skierowała się do mauzoleum. Przed aktywacją pełnej kopii w Domu Lata musiała położyć swoje ciało do lodówki. Przepisy Wspólnoty stwierdzały jednoznacznie, iż w danym momencie czasu może funkcjonować tylko jedna fizyczna kopia. Potrwa to co najmniej pół godziny. Następne pół zajmie obudzenie ciała w Domu Lata.

Ale po godzinie będzie mogła zapolować na Nikko i ująć go, stając z nim twarzą w twarz.

ROZDZIAŁ 8

Sandor Jiang-Tibayan był głęboko nieszczęśliwy. Wyglądał przez okno w pełni zautomatyzowanego helikoptera korporacji Domu Lata, który po przeprogramowaniu toru lotu niósł go przez cieśninę Malacca. Helikopter co chwila znosiło to w lewo, to w prawo, ponieważ samolot wymijał gęsto rozsiane w tej części oceanu stare platformy wiertnicze. Platformy przyholowano do cieśniny Malacca z całego świata, mocno zakotwiczono do dna i na koniec, każdej nadano imię innego narodu Ziemi.

Sandor miał pracować jako praktykant przy projekcie instalacji systemu bezpieczeństwa na ostatnio ochrzczonej wieży wiertniczej, którą przygotowywano na regionalną kwaterę Domu Lata.

Tymczasem wczoraj wezwano go do Zamku. Nikt nie potrafił powiedzieć, dlaczego. Oprotestował polecenie wyjazdu, będąc niemal całkowicie pewny, że to jeszcze jedna sztuczka ojca, który dążył do wyrwania go z Ziemi. Protest nie zdał się na wiele, gdyż szef i tak kazał mu lecieć.

Fox miał przesadne wyobrażenie o niebezpieczeństwach, jakie czyhały na pracujących w strefie wolnego handlu. Sprawy Domu Lata układały się dobrze. Policja zostawiała ich w spokoju, a tubylcy chętnie nawiązywali kontakty handlowe. Pewnym problemem byli ekoterrorysty, ale właśnie na takie okazje tworzono systemy bezpieczeństwa. Sandorowi podobało się na Ziemi. Spędził trochę czasu w Australii i na archipelagu Tonga. To, co tam zobaczył, tak przypadło mu do gustu, że zaczął nawet rozmawiać z szefem o zatrudnieniu na stałe.

Kiedy helikopter przeciął linię brzegu i kontynuował lot w głąb lądu nad polami uprawnymi, Sandor wyprostował się na siedzeniu. W oddali widział zarysy miasta, labirynt białych budynków, wciśniętych pod powagę z ciężkich, deszczowych chmur. Miasto leżało na obszarze strefy wolnego handlu. Nie należało do Wspólnoty. Szef nie pozwalał mu spędzać tutaj weekendów, więc dotychczas udało mu się zobaczyć tylko port lotniczy.

Helikopter obniżył lot i chmury przesłoniły poranne słońce.

Chwilę potem na szybach pojawiły się pierwsze krople deszczu, który w momencie lądowania osiągnął natężenie tropikalnej ulewy. Olbrzymie krople waliły w dach i szyby, jakby

miały zamiar przebić się do środka kabiny i wypłukać jej zawartość. Nie miały na to szans. Ruchoma osłona hangaru połknęła nieruchomy helikopter i bębnienie deszczu nagle ustało. Sandor opuścił pojazd i wszedł na ruchomy chodnik, którym mógł dojechać do głównej hali dworca. Do odlotu samolotu do Indii było jeszcze co najmniej półtorej godziny, a już był śmiertelnie znudzony.

Uznał, że przyda mu się towarzystwo. Nic łatwiejszego. Wystarczyło przywołać rezydentne widmo.

– Hej, Nikko! Obudź się! Zgadnij, gdzie jesteśmy.

Widmo przysiadło na jego barku – malutka ludzka figurka w gładkim, niebieskim stroju przypominającym pancerz. Zasadą Domu Lata było przydzielanie praktykantom na okres pobytu na ziemi rezydentnych widm, które spełniały rolę elektronicznych nianiek, studzących gorące głowy młodych ludzi i przezornie trzymających swych podopiecznych z dala od kłopotów. Fox chciał, aby nianką dla syna było jedno z jego własnych widm, lecz Sandor zdawał sobie sprawę, że byłoby to raczej mało zabawne.

Przebłagał Nikko, aby odstąpił mu jedno ze swoich.

Zawarli umowę. Dostał widmo w zamian za pożyczenie własnej tożsamości do roli muła. Spędził na Ziemi dopiero kilka miesięcy, a już cztery razy wystąpił jako radykalny historyk z RedCam. Nikko przysięgał, że sam nigdy nie potrafiłby zdobyć tych wywiadów. Sandor chętnie pomagał bratu, uważając to za świetną zabawę. Nikko znał najciekawszych ludzi na świecie.

Nikko rozejrzał się po terminalu.

– Co my tutaj robimy? – zapytał, nieco zdezorientowany, przez kilka dni Sandor go nie uaktywniał.

– Jesteśmy w drodze na Zamek – wyjaśnił Sandor. – Jakaś szyszka chce, abym przejechał się Cesarską Autostradą, ale nikt nie powiedział po co.

– Przerwa w podróży?

– Dziewięćdziesiąt minut.

Widmowy towarzysz zachichotał. Dziwny dźwięk, zważywszy, że twarzy Nikko nigdy nie zdobył nawet cień uśmiechu.

– Chcesz zwiedzić port lotniczy?

Pomysł rozweselił Sandora. Szef nie zezwalał mu na spędzanie weekendów poza Wspólnotą,

toteż jak dotąd poznał w Sunda tylko niebo i morze. Mógł jednak liczyć na to, że Nikko przymknie oko.

– Wpadnijmy do miasta. Chcę przekonać się, dlaczego to miejsce ma tak złą opinię.

Nikko powoli obrócił głowę. W miniaturowych czarnych soczewkach, skrywających jego oczy, odbijały się światła lamp sufitowych.

– Żartujesz.

– Wcale nie. Chodźmy.

– Masz ochroniarza?

– Nikko, przestań marudzić.

Jednak, ku zaskoczeniu Sandora, brat uparcie kręcił głową.

– Chcesz zobaczyć miasto? Najmij muła i puść z nim swoje widmo.

– To już nie to samo! – wykrzyknął ze złością.

– Ale tak jest rozsądniej. To niebezpieczna okolica, Sandy.

– Nikko!

– Sandor – poprawił automatycznie. – Pokaż, że nie jesteś głupcem i zostań w porcie lotniczym wśród równych sobie.

– Wśród kogo?! Kogo?!

– Spójrz tylko na siebie.

– Nie muszę. Wiem, jak wyglądam.

Szczupły osiemnastolatek z blond włosami, mlecznobiałą skórą i niebieskimi oczami.

– Jesteś chodzącym sklepikiem jubilera. Kolczyki, klejnoty na policzkach, wisiorki we włosach, pierścienie, bransolety, naszyjnik. Nawet przy butach masz łańcuszek. A buty są skórzane, co?

– Syntetyczne. Jedwab też jest sztuczny. Każdy może sobie na niego pozwolić. Wielki skarb.

– Owszem, wielki – stwierdził Nikko. – Wystarczająco wielki, żeby dla niego zabić. Nie jesteśmy na obszarze Wspólnoty.

– Wiem, że tu jest inaczej. Właśnie dlatego chcę zobaczyć to miasto.

– Zarobisz nóż w plecy, zanim uda ci się przejść jedną ulicę.

Ooo... Uważaj, pies policyjny. Musisz wyglądać na wcielenie niewinności.

Sandor zeskoczył z ruchomego chodnika. Zwierzę siedziało na tylnych łapach, znudzonym wzrokiem przyglądając się łańcuszkowi przybywających pasażerów.

– Co ta bestia tu robi? – syknął Sandor. Nie cierpiał tych ohydnych stworzeń. – Myślałem, że używają ich tylko na terenie Wspólnoty.

– Wykorzystują je wszędzie, gdzie policja ma na to ochotę.

A w odpowiedzi na pierwsze pytanie, sprawdza chipy.

Przechodząc obok nieruchomego zwierzęcia, nerwowo przerzucił torbę z ręki do ręki. Pod skórą na przedramieniu nosił chip identyfikacyjny i jeśli policja chciałaby znać jego tożsamość, wystarczyło sprawdzić. Był to jednocześnie dowód osobisty i paszport pozwalający swobodnie przemieszczać się przez granice.

Policja zwykle sprawdzała chipy na Bramach, ale Wspólnota nie miała prawa instalować Bramy w Sunda.

– Jestem wystarczająco czysty, tak? – zapytał swego widmowego towarzysza.

– Dlaczego pytasz? – udał zdziwienie Nikko i parszkając śmiechem, prowokacyjnie dorzucił:

– Czyżbyś miał nieczyste sumienie?

Technicy Domu Lata poruszali się na granicy prawa molekularnego i czasem zdarzało im się wyprodukować coś, co wykraczało poza nakreślany przez policję margines tolerancji. Odbiorca, którym była przeważnie inna korporacja, czasem ich chronił, a czasem nie. Czasem policja cofała zezwolenie na molekuły, – Przerwa w podróży?

– Dziewięćdziesiąt minut.

Widmowy towarzysz zachichotał. Dziwny dźwięk, zważywszy, że twarzy Nikko nigdy nie zdobył nawet cień uśmiechu.

– Chcesz zwiedzić port lotniczy?

Pomysł rozweselił Sandora. Szef nie zezwalał mu na spędzanie weekendów poza Wspólnotą, toteż jak dotąd poznał w Sunda tylko niebo i morze. Mógł jednak liczyć na to, że Nikko przymknie oko.

– Wpadnijmy do miasta. Chcę przekonać się, dlaczego to miejsce ma tak złą opinię.

Nikko powoli obrócił głowę. W miniaturowych czarnych soczewkach, skrywających jego oczy, odbijały się światła lamp sufitowych.

– Żartujesz.

– Wcale nie. Chodźmy.

– Masz ochroniarza?

– Nikko, przestań marudzić.

Jednak, ku zaskoczeniu Sandora, brat uparcie kręcił głową.

– Chcesz zobaczyć miasto? Najmij muła i puść z nim swoje widmo.

– To już nie to samo! – wykrzyknął ze złością.

– Ale tak jest rozsądniej. To niebezpieczna okolica, Sandy.

– Nikko!

– Sandor – poprawił automatycznie. – Pokaż, że nie jesteś głupcem i zostań w porcie lotniczym wśród równych sobie.

– Wśród kogo?! Kogo?!

– Spójrz tylko na siebie.

– Nie muszę. Wiem, jak wyglądam.

Szczupły osiemnastolatek z blond włosami, mlecznobiałą skórą i niebieskimi oczami.

– Jesteś chodzącym sklepikiem jubilera. Kolczyki, klejnoty na policzkach, wisiorki we włosach, pierścienie, bransolety, naszyjnik. Nawet przy butach masz łańcuszek. A buty są skórzane, co?

– Syntetyczne. Jedwab też jest sztuczny. Każdy może sobie na niego pozwolić. Wielki skarb.

– Owszem, wielki – stwierdził Nikko. – Wystarczająco wielki, żeby dla niego zabić. Nie jesteśmy na obszarze Wspólnoty.

– Wiem, że tu jest inaczej. Właśnie dlatego chcę zobaczyć to miasto.

– Zarobisz nóż w plecy, zanim uda ci się przejść jedną ulicę.

Ooo... Uważaj, pies policyjny. Musisz wyglądać na wcielenie niewinności.

Sandor zeskoczył z ruchomego chodnika. Zwierzę siedziało na tylnych łapach, znudzonym wzrokiem przyglądając się łańcuszkowi przybywających pasażerów.

– Co ta bestia tu robi? – syknął Sandor. Nie cierpiał tych ohydnych stworzeń. – Myślałem, że używają ich tylko na terenie Wspólnoty.

– Wykorzystują je wszędzie, gdzie policja ma na to ochotę.

A w odpowiedzi na pierwsze pytanie, sprawdza chipy.

Przechodząc obok nieruchomego zwierzęcia, nerwowo przerzucił torbę z ręki do ręki. Pod skórą na przedramieniu nosił chip identyfikacyjny i jeśli policja chciałaby znać jego tożsamość, wystarczyło sprawdzić. Był to jednocześnie dowód osobisty i paszport pozwalający swobodnie przemieszczać się przez granice.

Policja zwykle sprawdzała chipy na Bramach, ale Wspólnota nie miała prawa instalować

Bramy w Sunda.

– Jestem wystarczająco czysty, tak? – zapytał swego widmowego towarzysza.

– Dlaczego pytasz? – udał zdziwienie Nikko i parszcząc śmiechem, prowokacyjnie dorzucił:

– Czyżbyś miał nieczyste sumienie?

Technicy Domu Lata poruszali się na granicy prawa molekularnego i czasem zdarzało im się wyprodukować coś, co wykraczało poza nakreślany przez policję margines tolerancji. Odbiorca, którym była przeważnie inna korporacja, czasem ich chronił, a czasem nie. Czasem policja cofała zezwolenie na molekuły, które nieco wcześniej nie wzbudzały żadnych wątpliwości. Mijając psa, Sandor czuł jak włosy na karku stają mu dęba, jednak nie stało się nic złego. Zwierzę przez cały czas tępo patrzyło przed siebie.

– Na Miłość i Naturę! Nikko, co to takiego?!

Stał jak wryty. Pod jedną ze ścian głównej hali dworca znajdowało się dziwaczne trio złożone z ludzkich istot, jakich nie spotyka się często. Jedna z nich wyglądała jak topniejący śniegowy bałwan. Pod gardłem wisiały czarne płyty ciała, a skóra na łysej czaszce była tak przezroczysta, że Sandor mógł widzieć białe placki leżących tuż pod nią kości. Skóra przy oczodołach zwisała do połowy policzków, pod przekrwionymi oczami zalegały złogi zaschniętego śluzu, nos zwisał aż do ust jak kawał nadpsutego mięsa. Towarzysz tej żalosalnej postaci cierpiał na podobne dolegliwości, choć jego stan był odrobinę lepszy. Wokół nich unosił się okropny smród. Było jeszcze dziecko, mała dziewczynka.

Wyglądała na zdrową, ale jej skarłowaciałe przedramiona pokrywała twarda skorupa bładoniebieskiego pancerza, który był niczym innym, jak imitacją aksamitnej, błękitnej skóry Nikko.

Nikko był jednak silny i piękny, jego skóra wydawała się czymś naturalnym, a ci... ci ludzie (nagle zdał sobie sprawę, że ma przed sobą rodzinę, składającą się z ojca, matki i córki) byli ohydni, niepotrzebni i nienaturalni. Tłum obojętnie przepływał obok nich.

Tylko nieliczni rzucali im ukradkowe spojrzenie. Większość odwracała wzrok od smętnych postaci, czekających przy pustych miskach na zmiłowanie.

Sandor nigdy nie widział czegoś podobnego. Jakim cudem ktoś mógłby akceptować tak wstrętne, niepotrzebne mutacje?

– Kim oni są, Nikko?

– Ofiarami okrutnego dowcipu – mruknięło w odpowiedzi widmo. – Ktoś rzucił na nich urok.

- Co takiego?
- Zostali oszpeceni przez nie skatalogowane struktory.
- Och... – Sandor był zbity z tropu. – Nie byli ochotnikami?
- Sandy, ależ z ciebie żółtodziób.

Sandor potrząsnął głową. Owszem, słyszał o takich rzeczach, ale...

- Jesteśmy w Sunda. Struktory są tu nielegalne.

Nikko prychnął.

- Hej, braciszku, przecież nie jesteś aż takim naiwniakiem.

Struktory są wszędzie. Tutaj też. Jedyne różnica polega na tym, że tu nie podlegają żadnym regulacjom. Możesz kupić wszystko, nową twarz, nowe ciało. Albo przekleństwo. Chodźmy stąd.

– Przecież tutaj też jest policja – zauważył Sandor, uparcie drepcząc w miejscu. – Na terytorium Wspólnoty nigdy nie dopuściłaby do takich rzeczy.

– Nie jesteśmy na jej terytorium. Policja istnieje i zareaguje na wszystko, co może zagrozić interesom Wspólnoty, ale całkowicie zignoruje drobniejsze przypadki łamania prawa molekularnego. Wspólnota nie sprawuje nad tym miastem jurysdykcji.

- Drobniejsze przypadki? To nazywasz drobniejszym przypadkiem?!

Dziewczynka zauważyła jego zainteresowanie. Sandor przykucnął i obdarzył ją uśmiechem, który odebrała jako zachętę do ostrożnego podejścia bliżej. Nie mogła trzymać miski w rękach, jej dłonie były zupełnie bezużyteczne. Musiała wcisnąć ją między ramiona i klatkę piersiową.

- Taak... Czego ona chce?
- Sandy – odparło widmo bezbarwnym głosem – to żebraczka.

Nadal nie wiedział, o co dziewczynce chodzi.

- Zebrze o...
- Monety, świecidełka, jedzenie... Cokolwiek. Z tego utrzymuje się jej rodzina. Dasz jej coś?
- Pewnie.

Zsunął z ręki bransoletę. Jeżeli ktoś znajduje się w potrzebie, należy mu pomóc. Nie miał pojęcia, dlaczego rządzący Sunda zdecydowali się zbojkotować legalne struktory, lecz miał poważne wątpliwości, czy to dziecko zgodziłoby się z tą decyzją. Wrzucił bransoletę do miski.

Dziecko patrzyło na niego szeroko otwartymi oczami. Gwałtownie pokłoniło się, niemal dotykając czołem posadzki, a potem pobiegło do ojca, aby pokazać zdobycz. Sandor stanął wyprostowany i uśmiechając się, potoczył wzrokiem po zawieszonych pod sufitem znakach

orientacyjnych. Skręcił na lewo, w korytarz oznaczony nazwą linii SpanAir.

– Czujesz się teraz lepiej? – zapytał Nikko.

– Jasne. Nie rozumiem, dlaczego...

Z tyłu zaczęła się jakaś awantura. Rozległ się kobiecy krzyk, potem głuche uderzenie i histeryczny płacz dziecka. Sandor odwrócił się w samą porę, aby dostrzec nadbiegającą dziewczynkę. Przepuścił ją, ze zgrozą patrząc na twarzą zalaną łzami i krwią. Do jego uszu dotarły kolejne dwa głuche uderzenia. Łup!

Łup! Ojciec dziewczynki leżał twarzą w dół. Nad nim stało dwóch umundurowanych mężczyzn, mechanicznie okładając pałkami jego wątłe ciało. Skulona, drżąca kobieta przykleiła się do ściany.

Sandor zacisnął dłoń w pięść.

– Faszyści! – syknął przez zęby. Rzucił torbę i ruszył z powrotem, roztrącając ludzi.

– Trzymaj się od tego z daleka! – wrzasnął mu do ucha Nikko. Rzadko się to zdarzało, ale tym razem w jego głosie slychać było panikę. – Sandor, to nie jest terytorium Wspólnoty.

To nie jest...

Przestał słuchać. Chwycił jednego z mundurowych za łokieć i odciągnął na bok. Osiągnął tyle, że strażnik na chwilę przestał katować żebraka.

– Człowieku, zlituj się! – wykrzyknął Sandor. – Ten człowiek nie zrobił nic złego. Nikomu nie przeszkadza.

Strażnik mierzył go wzrokiem. W czarnych, pozbawionych wyrazu oczach nie było śladu jakiegokolwiek uczucia. Sandor puścił jego rękę. Mundurowy powoli opuścił ramię i zaczął delikatnie bębnić pałką o udo. Drugi, roślejszy strażnik, zbliżył się do nich z grzecznościowym uśmiechem na twarzy.

– Zakłóca pan wykonywanie obowiązków służbowych – stwierdził uprzejmie.

– Nie zrobili nic złego – upierał się Sandor.

Przeniósł spojrzenie na leżącego mężczyznę. Nie widział oznak życia w tym posiniaczonym, zdeformowanym ciele, a stał tak blisko, że smród rozkładających się tkanek przyprawiał go o mdłości.

– Przeciwnie – rzekł wyższy strażnik. – Żebrania jest zakazana przez prawo. Wiele razy ostrzegano tę rodzinę, aby trzymała się z daleka od terminalu. Ponieważ wciąż tu wracają, musieliśmy zastosować tak drastyczne środki. Pan jednak nie ma z tym nic wspólnego. Może pan

cieszyć się urlopem.

Sandor nie spuszczał oka z nieruchomego ciała.

– Zabiliście go. Zatłukliście go na śmierć. O to wam chodziło?

Strażnik wzruszył ramionami.

– Gdyby był pan tak łaskaw...

Gestem poprosił Sandora, aby poszedł w swoją stronę.

– Zabieraj się stąd, zanim się wkurzą – poradził Nikko. – Możesz mi wierzyć, lepiej nie dać się tutaj aresztować.

– Ale oni zabili człowieka.

– To nie jest terytorium Wspólnoty.

– Powtarzasz w kółko to samo!

– Bo warto. No już, ruszaj! Te ciemne typki nie cierpią widm, a teraz na pewno już się domyślili, iż masz jedno ze sobą.

Idź stąd, zanim wpadną na pomysł, że tobie też można wygarbować skórę.

Ze spojrzenia wyższego strażnika zniknęły resztki uprzejmości. Sandor z wahaniem cofnął się, a potem szybko obrócił się na pięcie i odszedł. Czuł, jak na jego twarz wypełza karmazynowy rumieniec wstydu. Rozejrzał się za swoją torbę, ale wszelki ślad po niej zaginął.

– Można się było tego spodziewać – parsknął Nikko.

– I co z tego? – Zaciskał pięści tak silnie, że paznokcie wbijały się w dłonie. Bolało. Chciał, żeby bolało. Wstrętne, faszystowskie świnię! To wbrew naturze, aby ktoś taki chodził po ziemi.

Brudny, brudny świat. – Nikko, wiedziałeś jak to wygląda.

Dlaczego nigdy mi nie powiedziałeś?

– Sandor, dorośnij wreszcie... O, uważaj. Przed nami jest jeszcze jeden pies. Patrzy na ciebie. Dlaczego? Wcale mi się to nie podoba.

Pies ruszył w ich stronę. Tłum rozstępował się przed nim, jakby zwierzę miało specjalne przywileje na chodniku transportowym. Tylko Sandor nie ustąpił. Postanowił stać twardo w miejscu.

Nieważne. Wszystko straciło znaczenie, bo prawdopodobnie Nikko miał rację. Tropiciele szedł właśnie po niego.

Zwierzę zatrzymało się przed nim, odsunęło na bok i przepuściło. Kiedy przeszedł, podążyło za nim, deptając mu po piętach.

Jego wielka głowa kołysała się niemal na wysokości ramion młodzieńca. Jego ciepły oddech owiewał mu kark, gdy wężąc, szukało nielegalnych molekuł.

– Tylko spokojnie, Sandy – mruknął Nikko. – Nic na ciebie nie mają.

Sandor nie mógł jednak zapanować nad gniewem. Wbił paznokcie jeszcze głębiej w skórę dłoni. Nie mógł znieść wścibskiego nosa policyjnego psa.

Odwrocił się i kopnął tropiciela w szczękę. Zwierzę zaskowyczało i odskoczyło.

– Wasze prawo tutaj nie sięga! – ryknął. – Zostaw mnie w spokoju!

Pies skoczył do przodu. Sandor chciał zrobić unik, lecz poruszał się za wolno. Tropiciel uderzył go prosto w pierś i posłał na ziemię. Teraz chłopak próbował przewrócić się na bok, ale i tym razem zwierzę okazało się szybsze. Przyszpiliło człowieka do posadzki, chwyciło potężną szczęką za gardło. Sandor poczuł się jak przekłuty balon, z którego uchodzi gniew i odwaga, a zostaje tylko czysty strach. „To nie jest terytorium Wspólnoty”. Tutaj zasady ograniczające przywileje policji można było wyrzucić do kosza. Tutaj obywatel nie miał żadnych praw. Pies mógł go zabić i nikt nawet nie kiwnąłby palcem.

Pomyślał o Foxie. Kiedy opuszczał Dom Lata, ojciec był zgorzkniały. Według niego, Ziemia niewiele różniła się od Piekła.

Sandor nie zważał na słowa ojca, wyjechał, zostawiając swoje oryginalne ciało w zamrażarce w mauzoleum Domu Lata. Jeśli Fox będzie zmuszony ożywić ciało, na pewno postara się, aby jego syn już nigdy nie opuścił bezpiecznych pieleszy Domu.

Co więcej, Dom już nigdy nie pozwoli mu zostać na Ziemi.

Nie po tym incydencie z policją. Kopia numer dwa była już stracona. Co się z nią dalej stanie, nie miało wielkiego znaczenia.

Powinien tylko zachować wspomnienia z tej podróży i...

– Odpierdol się! – wrzasnął, robiąc użytek ze słownictwa, którego nauczył się kilka tygodni temu na platformie wiertniczej.

Patrzył prosto w mechaniczne ślepiec bestii. – Naruszasz moje prawa obywatelskie.

Pies pozostawał w bezruchu, sekundę, dwie, dziesięć, więcej i więcej, całą wieczność. W końcu jednak rozluźnił uchwyt i cofnął się o kilka kroków.

Zaskoczony młodzieniec podniósł się i stanął, rozcierając posiniaczoną szyję. Przez chwilę rozważał podarowanie psu jeszcze jednego kopniaka. Potem nagle dotarło do niego symboliczne znaczenie rozgrywającej się sceny. Nigdy dotąd, przez całe życie, nie zachował się agresywnie,

nie stosował przemocy... Aż do dzisiaj. Co się stało?

– Ruszaj się, Sandor – zakomenderował Nikko. – Ruszaj!

Poszedł za radą widma, ponieważ nie miał żadnej alternatywy.

Odwrócił się do psa plecami i ruszył korytarzem, udając, że nie widzi współczujących spojrzeń innych podróżnych. Próbował zrozumieć, co się stało. W Domu Lata ostrzegano go, że przemoc jest zaraźliwa. Chyba była to prawda. Nagle perspektywa powrotu do Domu wydała mu się całkiem sympatyczna.

Szedł przed siebie bez celu, aż dotarł w pobliże drzwi, które zdawały się prowadzić do wyjścia z dworca.

Otworzył je i wilgoć natychmiast otuliła go niczym rozgrzany, nasączony wodą koc. Z trudnością oddychał zgęstniałym powietrzem. Przy krawężniku stał rząd taksówek, kierowcy pokrzykiwali na niego, zachęcając do skorzystania z ich usług. Wilgotne chodniki odbijały promienie słońca, światło raziło oczy. W oddali wznosiły się wieże miasta. Ich szczyty prawie dotykały czarnych deszczowych chmur, wciąż napęczniałych od zgromadzonej w nich wody. Sandor ponownie poczuł ukłucie ciekawości.

– Nawet o tym nie myśl – burknął Nikko.

– Pan Tibayan? Sandor Jiang-Tibayan?

Zdziwiło go, że ktoś zna jego nazwisko. Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z dwoma mężczyznami, ubranymi w zielone mundury, składające się z koszuli z krótkim rękawem i długich do kolan spodni. Jeden z nich miał piękną twarz, o charakterystycznych dla Azjatów, delikatnych rysach, lecz o niezwykle jasnej cerze.

– Pan Jiang-Tibayan? – pytał.

– Tak, to ja – odparł, nerwowo spoglądając to na jednego, to na drugiego mężczyznę.

– Jesteśmy oficerami policji miejskiej – kontynuował Azjata, pokazując legitymację.

Sandor rzucił na nią okiem i usłyszał głos Nikko:

– Wygląda na autentyczną.

– Panie Tibayan, jest pan aresztowany pod zarzutem utrudniania straży portowej wykonywania obowiązków służbowych i próby zniszczenia autoryzowanego urządzenia strażniczego.

– Ma pan na myśli psa?

Oficer skinął głową. Jego towarzysz wysunął się do przodu.

W ręku trzymał elastyczną różdżkę, na której widok Nikko zaklął i ze zdenerwowaniem powiedział:

– Sandy, przygotuj pakiet alarmowy. Wyślij go natychmiast!

Sandor nie miał pojęcia, co się dzieje. Zrobił to, o co prosił Nikko, bo przewodnik jest po to, aby go słuchać. Wysłał pakiet informacyjny.

– Dlaczego? Nikko, co się dzieje?

Drugi oficer uniósł różdżkę i dotknął nią głowy młodzieńca.

Sandor instynktownie cofnął się.

– Kem-wand, dzieciaku – usłyszał głos widma. – Fajnie, że cię znałem.

I nagle pod czaszką Sandora eksplodowały tysiące drobnych ogników. Krzyknął. Nogi ugięły się pod nim i zwałił się na ziemię, z hukiem uderzając głową o kamienny chodnik.

Głos dochodził z mroku. Sączył się niczym jad, przynosząc ze sobą otwartą groźbę.

– Jak widzę, dochodzisz do siebie. Proszę, proszę, kto by pomyślał, że neutralizujący struktor może tak zaszkodzić. Co miałeś w tej ślicznej główce? Na pewno nic legalnego. Mogę się założyć.

Nagle oczy Sandora zaalała powódź krwistoczerwonego światła. Zamrugał i kolor uległ zmianie. Teraz był różowy. Jeszcze raz zamrugał i tym razem poprzednią barwę zastąpił jaskrawobiały blask, który zdawał się wypalać siatkówkę oka. W głębi czaszki czuł pulsujący ból. Miał związane za plecami ręce, zwiślał na nich kilka centymetrów nad podłogą mrocznego, śmierdzącego pomieszczenia, w którym jedynym źródłem światła był świecący mu prosto w oczy reflektor. Ramiona paliły żywym ogniem, oddychał z ogromnym trudem.

– Nikko? – zapytał nieśmiało.

Miał wrażenie, iż mózg wyrwano mu z czaszki, zapakowano w piankę i odłożono na półkę w magazynie. Jeden ze zmysłów zdecydowanie nie funkcjonował jak należy.

– Nikko! – zawołał nieco głośniej.

Widział, słyszał, czuł smak... krwi w ustach. Pot spływał mu po nagiej piersi, podbrzuszu, pachwinach. Rozebrano go do naga i odebrano jeden ze zmysłów.

– Nikko! – wrzasnął rozpaczliwie.

– Nie ma go.

Głos z ciemności. Próbował unieść głowę i zobaczyć, kto mówi. Nie było mu to dane. Rozległ się trzask i ostry ból rozorał plecy. Sandor krzyknął, odruchowo napinając wszystkie

mięśnie. Poczuł jeszcze jedno uderzenie w plecy i dobrotliwy głos zapytał:

– Dlaczego znalazłeś się w Sunda?

– Jadę do Indii! – wysapał Sandor.

Wykręcone do tyłu ręce utrudniały oddychanie, a musiał nabrać w płuca dużo powietrza, aby uśmierzyć ból.

– Zadzwońcie do domu. Powiadomcie ich... – bełkotał.

Kolejne uderzenie.

– Co miałeś tutaj zrobić?

– Nic! Kto...

Następne uderzenie.

– W jakim celu opuściłeś terminal?

– Powietrza! – zawołał desperacko.

– Miałeś wyznaczone spotkanie.

– Nie.

– Z kim?

– Z nikim!

Ktoś przełączył kontakt i ciałem Sandora targnął wstrząs elektryczny. Niemal zgiął się wpół. Kiedy prąd przestał płynąć, chłopak chciał krzyknąć, ale nie mógł tego” uczynić. Nie miał powietrza w płucach. Nie mógł oddychać. Co się z nim działo?

– Nikko...

– Mamy twoje zdjęcie. Przyjechałeś tutaj, żeby kupić skradziony struktor. Tylko że te instrumenty szatana są w Sunda zakazane. – Nieznany mężczyzna zachichotał, może rozbawiony własną hipokryzją. Rząd Sunda utrzymywał się u władzy tylko dzięki temu, że miał przewagę polegającą na dostępie do struktorów. – Mamy przyjaciół, którzy nas ostrzegli i wyjaśnili, co zamierzasz zrobić. Twierdzą, że jesteś tylko głupim dzieciakiem.

Mówią, że powinniśmy cię oszczędzić. Może... Musisz nam jednak powiedzieć, gdzie jest złodziej.

– Nie mam...

Kolejny wstrząs elektryczny przerwał mu w pół słowa. Zacisnął szczękę, przygryzając sobie język. Do ust napłynęła krew.

Wciągnął ją do przelęku, gdy ponownie mógł, próbował odetchnąć powietrzem. Zakrztusił

się. Przez kilka bardzo długich sekund miał wrażenie, że się udusi.

– Chcielibyśmy zachować cię przy życiu – mówił nieznajomy dobrotliwym głosem, cucąc go. – Nie chciałbyś wrócić do domu? Możesz. Powiedz nam tylko, po co przyjechałeś do Sunda.

Sandor chciał kiwnąć głową, z całego serca pragnął opowiedzieć wszystko, jak na spowiedzi.

– Miałem instalować... zabezpieczenia. Na... platformie.

– Pochodzisz z Domu Lata.

– Taaak...

– Gdzie miałeś spotkać się ze złodziejem?

Nie wierzyli mu! Myśleli, że jest kimś innym. Przeraził się.

Nie mógł przecież powiedzieć czegoś, czego nie wiedział.

– Gdzie miałeś się z nim spotkać? – powtórzył dobrotliwy głos.

– Nigdzie! – wrzasnął Sandor. – Nie wiem...

Jego organizmem targnął kolejny wstrząs elektryczny. Mięśnie skurczyły się tak silnie, że groziło to strzaskaniem kości.

Zaczął tracić przytomność, ale ostre ukłucie igły przywróciło mu przerażającą świadomość otoczenia i własnego ciała. Słyszał wszystkich zgromadzonych w pomieszczeniu ludzi, czuł woń własnego moczu z kałuży na podłodze.

Nie wyczuwał obecności atrium. Nie reagowało na jego wezwania. Nie mógł skontaktować się z nikim z zewnątrz, nie mógł skorzystać z zewnętrznych zbiorów danych, nie mógł wezwać Nikko.

– Mój umysł jest martwy – wyszeptał.

– Nie szkodzi, twoje ciało nadal żyje. A czasem ciało potrafi być prawdziwym ciężarem.

Następny wstrząs wydobyl ból z każdej komórki, potwierdzając prawdziwość słów oprawcy.

– Moje ciało... Żyje?...

– Powiedz mi – mruknął dręczyciel. – Powiedz mi. Z radością pošlemy cię do domu.

Dom Lata nie stosował się do nakazów Wspólnoty, czasem wykraczał poza wyznaczone przez prawo granice technologii molekularnej. Do tak złożonego systemu, jakim jest ludzkie ciało, subtelne poprawki można wprowadzać niemal niezauważalnie.

Większość z nich jest kontrolowana przez atrium. W Domu Lata zaprojektowano jedną, która funkcjonowała nawet po zniszczeniu atrium. Była to ostatnia deska ratunku.

– Jeśli nie będzie żyło... – wymamrotał Sandor. – Jeśli nie będzie żyło... skończy się ból.

Przejął kontrolę nad autonomicznym układem nerwowym i rzucił się w objęcia śmierci. Zatrzymał bicie serca. Przerwał wszystkie funkcje motoryczne. Wydobył z płuc ostatnie tchnienie i zwiśł nieruchomo. Podtrzymał tylko aktywność mózgu. I zostawił sobie jeden zmysł – słuch.

Słyszał głośnie szuranie nóg w ciemności. Słyszał głosy, ale nie znał języka, którym posługiwali się rozmówcy. Ktoś krzyczał, był wściekły. Usłyszał głucho uderzenie własnej głowy o posadzkę, łomotanie pięści o swoją klatkę piersiową, kiedy próbowano przywrócić akcję serca. Przekleństwa.

Ciszę.

Pozwolił sobie na oddech, lekki, niedostrzegalny. Ostrożnie pobudził do działania serce.

Po jakimś czasie czwórka mężczyzn przyszła po jego zwłoki. Słyszał odgłos zamykanych drzwi samochodu, pomruk silnika. Uplływały minuty, może godziny. Od czasu do czasu oddychał, serce biło powoli, rytmicznie. Samochód zatrzymał się. Odgłos otwieranych drzwiczek. Głosy tłumu, całkiem blisko. Po pewnym czasie natężenie głosów zmałało. Drzwiczki zamknięto i samochód ponownie ruszył. Tym razem podróż zajęła tylko kilka minut. Samochód stanął. Przy akompaniamencie pomruków i przekleństw uniesiono jego ciało. Pojawił się szum płynącej wody, więcej ludzkich głosów. Rozległ się głośny okrzyk i...

Odgłosy ulicy zniknęły, uszy Sandora wypełniło bulgotanie.

Coś chrupnęło nad jego głową, tak głośno i wyraźnie, że wpadł w panikę. Uwolnił serce, które teraz waliło w piersi jak oszalałe.

Otworzył usta szeroko, aby napełnić płuca powietrzem, lecz wokół niego nie było powietrza. Gardło zalała woda. Uaktywnił funkcje motoryczne i przekonał się, że ręce są przywiązane do boków. Niczym boja unosił się między dnem a powierzchnią, spychany w jedną stronę przez silny prąd, który jednak nie mógł go porwać. Ciało było zakotwiczone do dna za pomocą jakiegoś potwornego ciężaru, niemal wrywającego barki ze stawów.

Miotał się, skręcał, wyginał, aż poczuł pod stopą solidne oparcie. Odepchnął się i jego głowa przez moment znalazła się nad powierzchnią wody. Oślepiły go promienie słońca. Pluł wodą, kasłał, kopał jak szalony, ale zdążył tylko złapać jeden krótki oddech, zanim balast ponownie ściągnął go w dół.

Czym go obciążyli? Musiał to odczepić, zrzucić. Skorzystał z tego, że mógł zginać ramiona w łokciach. Obmacał więzy palcami. Omotali go izolowanym przewodem elektrycznym. Szarpał

go, rozciągał, targał. Odbił się od dna po jeszcze jeden oddech.

I znowu znalazł się pod wodą. Tym razem pęta były luźniejsze.

Czyżby udało mu się rozsypać węzeł? Czy wynikało to tylko z niewielkiej zmiany pozycji? Napiął mięśnie ramion i przewód elektryczny przesunął się w górę o kilka centymetrów. Skulił się i skręcał ciało to w lewo, to w prawo. Płuca paliły go, jakby odetchnął żrącym gazem.

Udało się. Więzy puściły, balast zniknął. Swobodnie dał się ponieść nurtowi rzeki. Gdzie była powierzchnia? Przez chwilę nie wiedział. Potem poczuł bliskość dna pod głową, wykręcił się i odepchnął, aby w następnej sekundzie wystrzelić z wody w otoczeniu fontanny drobniutkich kropeł.

ROZDZIAŁ 9

Gdzieś w drodze powrotnej do magazynu, Phousita i Arif doszli do milczącego porozumienia. Dziewczyna nie mogła wrócić do klanu, przynajmniej na razie. Lepiej, żeby dzieci nie widziały zachodzących w niej zmian. Zaraza to straszna rzecz.

Nawet jeśli ostatecznie przemiana była korzystna, proces dochodzenia do niej potrafił całkowicie zniszczyć osobowość. Widzieli to już przedtem wiele razy u ludzi, których umysł i ciało wynaturzały się w miarę postępowania zarazy. Phousita nie chciała, aby obserwowali to u niej.

Tak więc na końcu dzielnicy targowej pożegnała się z Arifem i poszła w swoją stronę. Dała się ponieść tłumowi pieszych, szła powoli, spokojnym, miarowym krokiem, spowalniana przez lejący się z nieba żar. Poranne słońce królowało na niebie, choć tu i ówdzie można było jeszcze zobaczyć drobne chmurki, będące pozostałością po ciężkich chmurach deszczowych, które wcześniej tego ranka sprowadziły na miasto ulewę.

Phousita leniwie dostosowała się do rytmu marszu tłumu. Idąc, obserwowała twarze mijanych ludzi, szukając jasnej, okolonej blond włosami twarzy istoty, którą podejrzewała o to, że jest aniołem. Anioł... Miała wrażenie, iż gościł w jej myślach od niepamiętnych czasów. Był jedynym wspomnieniem, które przekazał jej zły czarownik. Nie wiedziała, czy ta istota jest dobra, czy zła, nie wiedziała, dlaczego wtargnęła w jej życie, ale pragnęła znaleźć odpowiedź na te pytania. Pragnął tego duch zamknięty w jej ciele. Dwa razy miała wrażenie, że zobaczyła go w otaczającej ją ludzkiej masie. Biegła za nim, ale tylko po to, by przeżyć rozczarowanie.

W wąskich uliczkach dzielnicy targowej poruszano się wyłącznie pieszo. Ludzie maszerowali od jednego straganu do drugiego, oglądając stosy towarów, targując się, przeklinając, wymachując rękami. Handlarze okrzykami zachwalali swoje artykuły i zachęcali do zakupu. Tragarze jęczeli i ledwo dyszeli pod ciężarem dóbr, które transportowali na plecach. Phousita ostrożnie wędrowała przez labirynt kramów, poruszając się ulicą jubilerów w kierunku sklepów z ubraniami i okularami. Minęła aleję, gdzie stały kioski ze sprzętem elektronicznym, minęła herbaciarnie. Fascynował ją ruch, gwar, wielobarwny tłum. Wszystko to wydawało jej się obce i jednocześnie doskonale znajome, jakby знаła to nie w tym, lecz innym życiu.

Przystawała niemal przed każdym stoiskiem. Dotykała towarów palcami do czasu, gdy

sprzedawca obrzucał ją przekleństwami i kazał się wynosić. Zmysły dawały jej tak dużo informacji, że nie nadążała z ich porządkowaniem. Obrazy, dźwięki i zapachy – wszystkie dostarczały jej czystej rozkoszy. Przy stoisku z owocami wysupłała ostatnią monetę i kupiła dwa banany oraz butelkę rzecznej wody.

Stała, niespiesznie żując kawałek owocu i delektując się jego intensywnym smakiem. Cieszyła oczy jego kształtem, badała językiem. Czułość zmysłów, jakiej do tej pory nie miała, pozwoliła jej zagłębić się w strukturę wewnętrzną: poznawała ułożenie tkanek, budowę komórek, precyzyjny układ cząsteczek wchodzących w skład poszczególnych komórek. W miarę poszerzania się horyzontu wiedzy, malał jej zasób słownictwa. Nie знаła nazw dla wszystkich odkrywanych skarbów, ale też nie była zainteresowana ich odszukaniem i poprawnym używaniem. Była tylko obserwatorką. Kiedy zrozumiała każdy najdrobniejszy szczegół budowy owocu, przerwała kontemplację i ponownie wmieszała się w tłum.

Uniosła głowę. Spojrzała w niebo i odetchnęła wilgotnym powietrzem, łowiąc miriady zapachów. Chiński lekarz otworzył swój gabinet. Chwilę wcześniej hałas tłumy był wręcz nieznośny, teraz został zredukowany do cichego szumu. Nie wędrowała już wzrokiem po twarzach ludzi i straganach. Wiedziała, dokąd się udać.

Z łatwością zeglowała przez ludzką cizbę, zupełnie jakby otrzymała zdolność przewidywania, gdzie znajdzie lukę w nie kończącym się sznurze przechodniów. Przeszła przez ostatnią ulicę ze straganami i weszła na inny obszar targowiska. Budynki były tutaj trwalsze, wykonane z drewna i konserwowane żywicą.

W oknach znajdowały się wymalowane jaskrawą farbą znaki zapraszające przechodniów do wejścia. Phousita nie mogła odczytać żadnego napisu, ale w niczym jej to nie przeszkadzało. Wiedziała, co oferowano w każdym z tych sklepów.

Zatrzymała się dopiero przed sklepem Zeke Choya. Przed drzwiami już ustawiła się kolejka klientów, wśród których przeważały kobiety, dobrze ubrane i obwieszane biżuterią. Zajęła miejsce na końcu szeregu, cierpliwie czekając na słońcu, aż będzie mogła wejść do środka. Tuż obok stała stara kobieta. Phousita z uwagą przyglądała się wzbudzającej sympatię twarzy. Skóra była wysuszona i zbrązowiała za sprawą słońca, które systematycznie spalało ją przez dziesiątki lat. Te same dziesiątki lat przygarbiły kobietę, nadwątliły siły, lecz nie odebrały włosom kruczoczarne koloru. Kobieta upinała je w kok za pomocą kawałków kości. Starannie drapowała sarong, aby ukryć oznaki podeszłego wieku. Uśmiechnęła się, ukazując poczerńiałe

dziaśła i rzadko rozsiane zęby. Phousita przylgnęła do jej spódnicy i rozplakała się. Ogarnęło ją przerażenie. Była przybłądą, dziwadłem, nie miała prawa przebywać wśród tych elegancko ubranych kobiet. Staruszka głaskała ją po plecach, mamrotała niezrozumiałe słowa pociechy. W kieszeni saronga trzymała pieniądze zaoszczędzone na przestrzeni wielu lat spędzonych na handlu talizmanami i eliksirami. Miała wystarczająco dużą sumę, aby kupić usługi chińskiego lekarza. Cóż to za znakomity człowiek! Phousita kwiliła ze strachu jak mały, płochliwy ptaszek. Chcę do domu.

Nie chcę dorosnąć. Proszę, mamó! Dlaczego zwracała się do niej w taki sposób? Staruszka nie była jej matką, ale Phousita była ośmioletnią dziewczynką, na ciele i na umyśle, i nie pamiętała rodziców. Chodzi o to, że była ośmioletnim dzieckiem od trzynastu lat, ponieważ została zatruta przez sutenera, który nie chciał, aby jej wdzięk został zniszczony przez proces dojrzewania. Jednak dzisiaj chiński lekarz nakaze jej ciału rosnać. Podniosła wzrok do góry, ale nic nie widziała przez łzy. Kim będzie jutro?

Sięgnęła po rękę staruszki, ale nie było jej obok. Obróciła się, szukała jej wzrokiem. Z tyłu stał mężczyzna z wieloma czerwonymi bliznami na twarzy. Za nim piękna kobieta, tuląca w ramionach malutkie dziecko. Oboje czekali w szeregu. Staruszka była tylko zjawą. Nie żyła od kilku lat.

A Phousita rzeczywiście wydorosła. Miała teraz ciało dorosłej kobiety, mimo że wcale nie urosła. Była kobietą-maskotką.

Tak brzmiała jej reklama w czasach, gdy sprzedawała swoje ciało.

Kolejka posuwała się do przodu w tempie żółwia chorego na reumatyzm. Zeke Choy był wyjątkowo zapracowanym człowiekiem.

Zbliżało się południe, gdy Phousitę ogarnęła nagła fala niepokoju. Zdała sobie sprawę, że anioł znajduje się gdzieś blisko niej.

W jakiś niepojęty sposób była świadoma jego obecności. Jak to możliwe? Nie wyczuła jego zapachu. Rozglądała się, ale nigdzie go nie widziała. Nerwowo zagryzała wargi, zastanawiając się, jaka dzieli ich odległość. Duża? A może znikomo mała? Dobrze byłoby go znaleźć, przekonać się, dlaczego zły czarownik obarczył ją wizerunkiem anioła. W tej chwili jednak nie mogła udać się na poszukiwania. Musiała zobaczyć się z chińskim lekarzem. To była najpilniejsza sprawa. Potrzebowała jego wiedzy, rady. Stała na palcach i wykręcając szyję sprawdziła, ilu ludzi stoi przed nią. Nie było ich wielu. Mniej więcej dwie, może trzy godziny. To

dobrze.

Wieczorem będzie miała czas, aby poszukać anioła.

W południe sklep został zamknięty. Klienci, którzy czekali w chłodnym wnętrzu, wyszli z budynku i uformowali drugi szereg obok ludzi czekających przez cały czas na zewnątrz. Po jakimś czasie w drzwiach pokazał się lekarz. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Ludzie uśmiechali się do niego i szeptali słowa pozdrowienia, używając grzecznościowego „sir”. Odpowiadał kiwnięciem głowy, przesuwając wzrokiem po szeregu klientów. Miał już zamiar odwrócić się i pójść na obiad, gdy dostrzegł znajomą postać.

– Phousita? – powiedział z wahaniem, kierując ku niej swoje kroki.

Dziewczyna pokłoniła się głęboko.

– Tuan...

– Zmieniłaś się. Wyglądasz jakoś... inaczej. Jakbyś się wzmocniła. – Nagle zaczęło mu przeszkadzać, że wokół nich jest wielu podsłuchujących klientów. – Chodź – powiedział, kiwając palcem.

Dziewczyna opuściła szereg oczekujących i poszła ulicą za lekarzem.

– Tuan – rzekła, przyspieszając kroku, aby za nim nadążyć.

– Zmieniłam się. Wydaje mi się, że staję się wiedźmą. Widzę rzeczy, których nigdy przedtem nie widziałam. Odwiedza mnie duch starej kobiety. Chyba jest ze mnie dumna.

Zeke prychnął.

– Ile razy mam ci powtarzać, że nie ma żadnych wiedźm?

Phousita potulnie skinęła głową.

– Tak, tuan. – Doktor zawsze to mówił. – Jednak przyszłam prosić o radę. Chociaż na świecie nie ma wiedźm, wiele z nich prowadzi całkiem udane interesy na targu. Niektóre z nich są bardzo grube i bogate. Skoro ja też posiadam pewne talenty, mogłabym jak one handlować na targu. Choć, oczywiście, na świecie nie ma żadnych wiedźm – dodała pośpiesznie.

– Jasne, nie ma – podsumował oschle, prowadząc dziewczynę na drugą stronę budynku, gdzie znajdowało się drugie wejście do jego sklepu.

Przytknął dłoń do białej płytki na framudze i drzwi otworzyły się z piskiem. Pchnął je nogą, a potem wszedł do środka. Phousita przytknęła do płytki własną dłoń, ale nic się nie stało.

– Wejdz – zawołał Zeke. – Drzwi same zamkną się za tobą.

Nigdy nie była w pokoju na zapleczu sklepu. Rozejrzała się z zainteresowaniem, lecz nie

było co oglądać. Stał tu tylko zestaw diagnostyczny, który doktor przyniósł ze sobą do magazynu, mała lodówka, aparat telefoniczny i telewizor. Na jego ekranie było widać część sklepu dostępną dla klientów.

Zeke dotknął ramienia dziewczyny. Zaskoczona obróciła się w jego stronę, wpatrując się w trzymaną przez niego gumową rurkę.

– Więc chcesz zostać wiedźmą – powiedział. – Cóż, nie wiem nic o wiedźmach, ale jestem pewny, że jeden z szarlatanów, pracujących na targu byłby zachwycony, gdyby udało mu się pozyskać utalentowaną uczennicę. – Sięgnął po jej dłoń. – Zegnij rękę. – Zawiązał gumową rurkę na bicepsie dziewczyny i wyjął strzykawkę. – Zaciśnij dłoń w кулак. O, tak. Dobrze.

Igła gładko wśliznęła się do żyły. Phousita bez słowa obserwowała napływającą do strzykawki ciemnoczerwoną krew.

– Phousita, wiedźmy są oszustkami. Żerują na ludzkiej ignorancji, wykorzystują to, że ludzie mają nadzieję na poprawę.

Nawet stara kobieta, ze swymi suszonymi pajakami i ziołami, w całym życiu nie rzuciła jednego prawdziwego zaklęcia.

Wyjął igłę z ciała i podszedł do zestawu diagnostycznego.

Dziewczyna patrzyła na niego, zupełnie zbита z tropu.

– Przecież kiedy byłam dzieckiem, zostałam otruta właśnie przez wiedźmę – zauważyła. – Tylko ty potrafiłeś złamać zaklęcie. Arif przemienił się w klauna również za sprawą wiedźmy.

– Nie – zaprzeczył, przez cały czas stojąc tyłem, pochylony nad zestawem. – Zostałaś zatruta przez struktor, małą maszynę, zdolną wpływać na twój metabolizm. Arifa zatruto struktorem innego rodzaju, który zapisał nowy wzór genetyczny jego twarzy.

– Westchnął i odwrócił się do dziewczyny. – Nie wnikajmy, jak to działa. Musisz mi uwierzyć, że magia nie ma z tym nic wspólnego. Wiedźmy z targowiska nie wiedzą o magii więcej niż ty.

Po prostu znają odpowiednie adresy na czarnym rynku, kiedy potrzebują pomocy dobrego chemika... Przepraszam, pewnie i tak nie rozumiesz, o czym mówię.

Pokłoniła się.

– Jestem głupia, tuan.

– Ależ nie, Phousito. Nigdy nie miałaś szansy, aby czegoś się nauczyć.

Zestaw dał znać sygnałem dźwiękowym, że analiza dobiegła końca. Doktor studiował wyniki

ze zmarszczonymi brwiami.

– Czy oprócz uczucia głodu miałaś jakieś inne objawy?

– Tak, tuan. Widzę wiele rzeczy, których dawniej nie dostrzegałam – upierała się. – Złożyła mi wizytę stara kobieta.

Wiem mnóstwo rzeczy.

– Zostałaś zakażona struktorem – rzekł, jakby w ogóle jej nie słuchał. – Bardzo sprytnym struktorem. Wymyka się analizatorowi. Do tej pory nie mogłem określić jego budowy.

– Wiem, czym on jest.

– Zaraz, zaraz. Nie wiemy, czy to nie zaraza.

– To nie zaraza, tuan. To duch złego czarownika.

Westchnął. Odstawił aparat diagnostyczny i stanął przed dziewczyną, zakładając ręce na piersi.

– Znajdziemy lekarstwo.

Wzruszyła ramionami. Wcale nie chciała lekarstwa.

– Tuan, są pewne rzeczy, których nie rozumiesz, bo nie pochodzisz z tego miasta. Jesteś obywatelem Wspólnoty. – Nagle otworzyła szeroko oczy. Zdała sobie sprawę, że... – Kiedyś byłeś policjantem!

Niczym chmury zasłaniające tarczę Księżyca, twarz Choya przesłonił gniew. Phousita poczuła od niego chłodny powiew goryczy. Czuł się zdradzony, urażony. Odczytał jej słowa jako zniewagę! Natychmiast pochyliła głowę w pokłonie i zakryła twarz rękami. Co za wstyd!

– Przebacz mi, tuan! – łkała. – Przebacz! Jestem głupia, głupia, głupia! Język mnie nie słucha, sama nie wiem, co wygaduję...

Przerwał jej ostry dzwonek. Podskoczyła z bijącym sercem.

– Ktoś próbuje dostać się przez drzwi frontowe – wyjaśnił doktor. Spojrzał na ekran telewizora.

Phousita podążyła za jego wzrokiem.

– Policja! – rzuciła ostrzegawczo.

Do drzwi dobijał się mężczyzna ubrany w czarny mundur sił policyjnych Wspólnoty. Przy nim stały dwa olbrzymie psy.

Dziewczyna pisnęła i zaczęła cofać się do drzwi.

– Nie bój się. Nie zrobią ci krzywdy.

– Zrobiją! – krzyknęła rozpaczliwie.

Zeke Choy był wielkim człowiekiem, ale naprawdę nie rozumiał wielu rzeczy. Nie wiedział, na przykład, czym są te psy.

W ich cieniu czaiła się śmierć – tak mówiła stara kobieta. To był zły omen, widzieć je dwukrotnie w tak krótkim odstępie czasu.

– Phousita!

Ponownie ukryła twarz za zasłoną z dłoni.

– Przebacz mi, tuan. Przebacz. Nigdy już nie będę cię niepokoić...

Chwytał ją za rękę z tak szokującą siłą, że niemal zawyla z bólu.

– Ukrywasz coś przede mną? – syknął jej wprost do ucha. Pracujesz dla Wspólnoty?

– Nie, nie! Oczywiście, że nie, tuan.

– Kto ci powiedział, że jestem obywatelem Wspólnoty? Kto ci powiedział, że byłem policjantem?!

– Nikt! A może... Może ty mi powiedziałaś?

Miała tylko mgliste wyobrażenie, czym jest Wspólnota: magicznym miejscem, położonym daleko, w trudnym do zdefiniowania kierunku, gdzie jedzenia jest tak dużo, że oddaje się je psom, a wszystkie dzieci dożywają dojrzałego wieku.

– Tuan, musiałeś mi powiedzieć.

– Nie! Nikomu o tym nie wspominałem. – Obserwował ją, podejrzliwie mrużąc oczy. – Nie wrócę z nimi. Powiedz im.

Złożyłem rezygnację i nie zmienię zdania.

Odepchnął ją.

– Komu mam powiedzieć, tuan? – szepnęła, powoli zbliżając się do drzwi. Dotknęła ich gładkiej powierzchni i ustąpiły z cichym kliknięciem. Co miał na myśli? Co mogłaby robić dla Wspólnoty?

Nie odpowiedział. Patrzył na ekran telewizora. Policjant schylał się i badał drzwi. Jeden pies gdzieś zniknął.

– Muszę iść – rzekł Zeke. Ruszył do głównego pomieszczenia sklepowego.

– Nie idź tam – zawołała Phousita. – Aresztują cię. Uciekaj. Chodź ze mną, mogę cię ukryć.

– Nikt się nie ukryje przed psami, jeśli złapały trop. Jeżeli to ciebie szukają, równie dobrze możesz iść ze mną.

Potrząsnęła głową. Oszalał? Rzuciła jeszcze jedno spojrzenie za siebie i wysliznęła się na zewnątrz. W następnej chwili poczuła, że ktoś kładzie jej rękę na ramieniu. Szarpnęła się i skoczyła w stronę zalegających pod ścianą kartonów. Zaczęła krzyczeć, ale czyjaś dłoń zamknęła jej usta.

– Cicho, głupia wieśniaczko!

To był Arif!

Uspokoila się i zabrał dłoń z jej ust.

– Puścili nas z dymem – mruknął. – Rankiem zjawily się psy i oczyściły magazyn przed nadejściem islamistów, którzy podłożyli ogień. Wszystko stracone. Zostały tylko zgłiszczca.

Usiadła na ziemi.

– Były tam psy? Teraz są tutaj. – Spojrzała Arifowi w oczy.

– Szły za tobą?

Skrzywił się.

– Nikt i nic za mną nie szło. Może tropią Zeke Choy a. Chodź.

Idziemy.

Posłusznie podniosła się i poszła za nim, mieszając się z ludźmi na zatłoczonej alei. Słońce stało wysoko nad miastem.

Żar wypalał płuca i paraliżował ruchy, wysysał siły. Podążała za Arifem z wprawą, wypracowaną przez lata przemykania po ulicach wypełnionych pieszymi. Dotarli do bocznej uliczki, Arif skręcił w nią. Przed budynkiem o ścianach pokrytych stiukami rozłożyło swoje maty kilku drobnych handlarzy. W powietrzu unosiła się woń węgla drzewnego, mieszająca się z dźwiękami wydawanymi przez gamelan. Gdzieś z daleka dobiegały okrzyki.

Okrzyki strachu.

– To pies! Zbliża się! – wrzasnęła Phousita. – Gdzie możemy się ukryć?

Na ulicy nie dojrzała żadnego schronienia, żadnych otwartych drzwi.

– Trzymaj się blisko mnie! – polecił Arif.

Poruszał się w tłumie jak wytrawny złodziej. Pobiegnęła za nim, ale na jej drodze wyrósł gruby handlarz. Zderzyli się. Grubas zaklął i uderzył dziewczynę grzbietem dłoni. Przewróciła się, w ustach poczuła smak krwi. Kiedy stanęła na nogach, po Arifie nie było śladu. Z tyłu krzyczała jakaś kobieta. Phousita zawahała się. I wtedy poczuła zapach Arifa, w zasadzie wyczuła jego ślad smakiem. Wisiał w powietrzu, wyraźny i gęsty, niczym wypalony błyskawicą, ognisty ślad.

Ruszyła tym śladem, wychwytyjąc charakterystyczny zapach Arifa z tysięcy woni zostawionych przez ludzi, którzy przechodzili ulicą. Dotarła do przecznicy, budynki ze stiukowymi elewacjami skończyły się. Dziewczyna pobiegła dalej na wprost, jednak po kilku krokach gwałtownie wyhamowała. Trop urwał się. Cofnęła się. Ślad prowadził w ulicę po prawej stronie.

– Phousita!

Arif czekał na nią, ukryty za kołem zrujnowanego biczaka.

– Widzisz? – powiedział, pokazując na coś w głębi ulicy.

Nadjeżdżała stamtąd ciężarówka z wymalowanymi na bokach znakami rządowymi. Karawan. Jego załoga miała za zadanie zbierać ciała zmarłych nędzarzy i ludzi bezdomnych. Phousita nie miała pojęcia, dokąd zabierano zwłoki.

– Za mną! – zawołał Arif.

Roztrzając pieszych, zaczął przesuwać się w stronę karawanu. Jego kierowca kilkakrotnie nacisnął klakson, trąbiąc na jadący przed nim biczak. Ten jednak nie ustąpił mu miejsca i rozległ się pisk zużytych hamulców ciężarówki. Dwóch jadących na tylnym błotniku członków załogi karawanu poleciało do przodu, jeden utrzymał się, drugi spadł. Kierowca biczaka klął na czym świat stoi, ale nacisnął na pedały i zjechał na bok.

Właśnie ten moment wybrał Arif na skok. Wylądował na wąskiej belce obok mężczyzny, który uniknął upadku na jezdnię.

Złapał się jakiegoś wystającego pręta, przykucnął i podał rękę Phousicie, ignorując przekleństwa, groźby i poszturchiwania ze strony pomocnika karawaniarza. Dziewczyna wspięła się na belkę. Arif chwycił ją za łokieć i wrzucił do kosza ładunkowego karawanu, a potem jak wąż wykręcił się i zaatakował prześladowcę, wolną ręką łapiąc mężczyznę za ramię. Phousita przyglądała się tej scenie z głębi kosza, walcząc z mdłościami wywoływanymi przez potworny smród. Arif wyglądał jak postać magika z teatru wayang. Poruszył dłonią w nadgarstku i w jego ręku pojawiła się damska torebka, z równo obciętymi paskami do noszenia na ramieniu. Skąd ją wziął? Pomocnik karawaniarza wpatrywał się w przedmiot i chyba zadawał sobie to samo pytanie. Spojrzał pytająco na nieznanego czarodzieja.

– Pozwól nam dojechać do rzeki – powiedział Arif.

Mężczyzna kiwnął głową i sięgnął po torebkę. Arif wskoczył do kosza ładunkowego i akurat w tej chwili ciężarówka ruszyła.

– Pies jest coraz bliżej – jęknęła Phousita. – Czujesz w powietrzu jego zapach?

Jej towarzysz zrobił kwaśną minę, ale wyrzwał ponad krawędzią kosza na ulicę. Po kilku sekundach cofnął się, przeklinając.

– Stoi na skrzyżowaniu.

– To za tobą idzie! – rzuciła oskarżenie. – Twój zapach jest tak wyraźny, jak blask słońca w pogodny dzień! Każdy może go wyczuć. Musimy to zmienić.

– Nawet jeśli masz rację, smród tego karawanu ukryje naszą obecność.

Potrząsnęła głową.

– To za mało. Smród nic nam nie pomoże. Musimy zmienić, rozumiesz, zmienić twój zapach. Mój również muszę zmienić.

Wysunęła język z ust i pobrała próbkę wydzielanego przez Arifa zapachu. Był on produktem ubocznym toczących się w organizmie procesów życiowych, znakiem firmowym metabolizmu. Zbyt daleko posunięte zmiany mogły doprowadzić nawet do śmierci, ale dokonanie skutecznej zmiany wcale nie musiało oznaczać gruntownej przebudowy organizmu. Subtelna poprawka wystarczy do zmylenia tropiciela i zyskania czasu potrzebnego na ucieczkę. Ponownie wysunęła język. Pochyliła się do przodu i przycisnęła usta do szerokich jak u kłowna ust Arifa. Zaskoczony mężczyzna szarpnął się do tyłu, jednak było już po wszystkim.

Zmiana dokonała się. Dziewczyna oparła się o ścianę ciężarówki i zamknęła oczy.

Jej ciało miało własny, charakterystyczny zapach, równie czytelny i łatwo wyczuwalny, jak woń wydzielana przez Arifa. Dotarła do komórek odpowiedzialnych za jego wytwarzanie, przejęła kontrolę nad toczącymi się w nich procesami metabolicznymi.

Dokonała drobnej poprawki. Na jej komendę miniaturowe manipulatory rozepchnęły molekuly ciała, wprowadziły subtelne zmiany w ich ustawieniu. Zaraz potem manipulatory zajęły się sobą nawzajem, zmieniając własną strukturę wewnętrzną.

Otworzyła oczy. Arif przypatrywał jej się badawczo z niewyraźną miną.

– Musimy wykapać się w rzece – stwierdziła. – Kiedy się opłuczemy, psy już nas nie poznają.

Jej towarzysz zmrużył podejrzliwie oczy. Z każdą chwilą malała jego pewność siebie.

– Phousita... Jesteś wiedźmą?

Uśmiechnęła się.

– Może sprawdzimy to w rzece?

ROZDZIAŁ 10

Transmisja z Domu Lata na Ziemię trwała średnio trzy minuty.

Nikko wciąż tkwił na łączniku, wczepiając się długimi, chwytными palcami stóp w gałąź srebrnego drzewa. Nie mógł polegać na palcach rąk. Trzęsły się tak bardzo, że stracił do nich zaufanie.

Czekał, cierpliwie czekał, aż jego widmo dotrze do Sandora.

Czekał, aż Sandor odbierze ostrzeżenie, sformułuje i odeśle odpowiedź.

Włączył kamerę i skierował obiektyw na siebie. Miał zamiar wzbogacić swój osobisty dziennik o podsumowanie ostatnich wydarzeń.

– Dzisiaj dowiedziałem się, że niemal wszedłem w posiadanie struktora Bohra. Na Miłość i Naturę! Boli, bardzo boli, gdy widzę, jak wymyka się tak wspaniała szansa. Taka szansa nigdy już się nie powtórzy. Może właśnie dlatego tak mocno starałem się ratować sytuację. Próbowałem za mocno, zdecydowanie za mocno. Długi, które przyjdzie zapłacić, ciągle rosną...

Dom Lata powoli obracał się dokoła swej osi. Srebrne drzewa, pokrywające zewnętrzne ściany łącznika, zmieniły swoje położenie, podążając za światłem słonecznym. W oddali świeciła złota iskierka magnetycznej wyrzutni startowej, majestatycznie zataczająca krąg nad głową Nikko. Minęły trzy minuty. Potem cztery, pięć. Czuł, jak serce zaczyna bić szybciej, a każde uderzenie wydobywa z jego klatki piersiowej coraz głośniejsze dudnienie w miarę zbliżania się momentu krytycznego. Oddech stał się krótszy, rwany. Nie mógł dalej mówić, przerwał dyktowanie. Nie potrafił skoncentrować się i przeciwstawić rosnącemu chaosowi myśli.

Upłynęło sześć minut. Pod czaszką rozbrzmiał sygnał alarmowy, generowany przez jego atrium. Po raz drugi w jego życiu, po raz drugi w ciągu ostatniej godziny. Chwilę później obok zmaterializowała się wysoka, błękitna istota rodzaju męskiego. Przesadnie wielkie palce rąk drgały spazmatycznie. Przesadnie wielkie palce stóp zaciskały się na czarnej gałęzi drzewa. Twarz była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu, całkowicie wyprana z emocji. Nikko patrzył na siebie samego.

Przez chwilę nie odzywał się ani on, ani jego widmo. Wraz z każdą upływającą sekundą coraz mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że stało się coś strasznego. Widmo automatycznie wracało do swego oryginału, gdy adres przeznaczenia był nieosiągalny.

A to znaczyło, że atrium Sandora nie mogło przyjąć widma.

Panika ścisnęła go za gardło. Poczłł nieprzyjemne mdłości, a serce od razu zaczęło bić trzy razy szybciej. Możliwe Sandor tylko stracił przytomność. Ale równie dobrze mógł być martwy.

– Idź do Marevic – rzucił polecenie widmu.

Marevic Chun była jego mentorką. Pełniła funkcję regionalnego prezydenta Domu Lata na Ziemi. Była wiekowa, długowieczna jak Kirstin Adair. Nazywano ją żywą skamieliną, cwany m starym dinozau rem, który od stu lat żywił się wnętrznościami zabitych policjantów. Marevic mogła znaleźć Sandora.

Widmo skinięciem potwierdziło przyjęcie rozkazu. Nic więcej nie musiał mu mówić, nie musiał tłumaczyć swych intencji. Widmo było nim, pełnym odbiciem jego osoby. Udało się w podróż przez sieć bez żadnego komentarza.

Twarz Nikko nigdy nie ujawniała prawdy, była pozbawioną uczuć maską. Teraz, idąc przez las do najbliższego węzła komunikacyjnego i wracając do swojego apartamentu, na tę maskę najchętniej założyłby jeszcze jedną, tak aby ukryć się za nią nawet przed samym sobą. W korytarzu natknął się na idącego z przeciwka Foxa. Miał rozwiane włosy, twarz zaczerwienioną przez gniew.

W milczeniu wszedł za Nikko do jego mieszkania. Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, Nikko odwrócił się do ojca, zbierając siły do wypowiedzenia ciężkich, potwornie trudnych słów. Kamera również dokonała obrotu i objęła obiektywem postać Foxa.

– Sandorowi coś się stało. Mógł wpaść w ręce policji. Nie wiem.

Fox zbladł. Przerywając mrozącą krew w żyłach ciszę, Nikko rozpoczął wyjaśnienia. Nie pominął niczego, nie ukrył nawet kradzieży struktora Bohra. To już nie miało znaczenia. Fox nadal będzie wśród żywych, kiedy po Nikko zostanie już tylko wspomnienie. Możliwe będzie mógł pomóc Sandorowi.

Kamera utrzymywała każdą sekundę. Nikko słuchał własnych słów jakby był bezstronnym obserwatorem, trzecią osobą w pokoju. Maską zamiast twarzy. Głos jako parawan dla uczuć.

– Kto to był? – spytał Fox.

Pytanie zawisło pod sufitem pokoju, oderwane od rozmówców i tematu rozmowy. Nikko dopiero po chwili zrozumiał: Fox chciał wiedzieć, kto go zaatakował, paraliżując atrium.

– Nie mam pojęcia. Nie był policjantem.

Ostatnie zdanie wyraźnie rozwścieczyło Foxa.

– Cywil poradził sobie z moimi struktorem obronnymi?

Cywil obszedł moje zabezpieczenia?

W innych okolicznościach Nikko uśmiełby się po pachy. Zawodowa duma, nawet w tak kryzysowej chwili.

– Potrzebne mi będą próbki tkanek, może uda mi się zidentyfikować obcy struktorem. Pobierz te próbki. – Ruszył do drzwi.

– Przejrę moje rzeczy. Zaraz wracam.

W kąciakach jego oczu błyszczwały łzy. Niezdecydowanie przystanął na progu. Nikko zaczął gorąco przeproszać, wyrażać żal za swoją bezmyślność. Fox jednak odbiegał myślami gdzieś daleko.

– Wydaje nam się, że możemy planować nasze życie – mruknął. – Wydaje nam się, że potrafimy kształtować rzeczywistość. Zapominamy, że chaos jest natrętnym, bezwzględny skurwielem.

Drzwi zamknęły się za nim.

Nikko stał jak zaklęty w sopel lodu, całkowicie zagubiony, zdeorientowany. Co teraz? Co dalej? Mięśnie karku niezależnie od jego woli skurczyły się kilka razy i oko kamery natychmiast podążyło w tę stronę. Kierująca urządzeniem Sztuczna Inteligencja Niższego Rzędu uznała, iż warto zarejestrować dowody pogorszenia jego stanu. Nikko zawył z wściekłości. Zerwał kamerę z ramienia i rzucił w kąt pokoju.

Poczuł swędzenie, narastające, nieprzyjemne swędzenie pod niebieskim pancerzem. Doszedł do wniosku, że jest to skutek oddziaływania obcego struktora, zatrucie organizmu, którego umysł nie mógł zapomnieć. Nie opuszczała go świadomość obecności obcego pierwiastka, dokuczała myśl, że został skolonizowany i ktoś przejął nad nim kontrolę. Doprowadzało go to do szału.

Z ochotą wyładowałby się na czymś, ale pokój nie oferował żadnych celów, więc bezradnie stał w miejscu i pozwalał, by gniew narastał.

Czuł się jak człowiek chory na febrę. Wiedział, że powinien się uspokoić albo zażyć środki uspokajające. Zamknął oczy. Opuszczone wzdłuż boków ramiona drgały, ale nie zważał już na to.

Rozpoczął relaksujące ćwiczenia oddechowe. Wdech, wydech.

Głęboki wdech, wydech.

Myśl o Sandorze wśliznęła się do świadomości. Próbował odwrócić się od nich. Wysłał na

Ziemię widmo. Nic więcej nie mógł teraz zrobić.

Wdech i wydech. Głęboko.

Czuł, jak kisser nieubłaganie przepuszcza ciepło. Musiał wziąć coś na uspokojenie. Zaczynała grozić mu śmierć z powodu przegrzania. Całkiem zabawna perspektywa. Zabawna, ale raczej nie do przyjęcia.

Wdech i wydech. Głęboki wdech i wydech.

Musi oddać się w ręce policji i zeznawać. Oczyszczyć Sandora z zarzutów.

Wdech i wydech.

Sandor był niewinny.

Spróbował zacisnąć dłoń w pięść, ale palce odmówiły mu posłuszeństwa. Ćwiczenia oddechowe nie zdały się na wiele, wściekłość ponownie uderzyła mu do głowy. Na Miłość i Naturę!

Musi być jakiś sposób, żeby zrobić z tym wszystkim porządek!

Przypomniał sobie słowa Foxa o funkcji biogenetycznej. Czy rzeczywiście mógłby schronić się w nikomu nie znanym fragmencie kodu genetycznego? Czym różniłoby się to od śmierci?

Drzwi mieszkania otworzyły się. Odwrócił się, oczekując powrotu Foxa. Zawiódł się. Na progu stała Kirstin, ubrana w policyjny mundur. Uśmiechała się jak modliszka. Robiła wrażenie masywniejszej niż na Zamku, jakby inkarnacja dodała jej ciała.

W pierwszej chwili Nikko był zdumiony. Potem szybko sprawdził atrium, ale nie, Kirstin nie była widmem.

– Przyszłaś – wyszeptał, a słowa z trudem przebiły się przez spowijające go opary niedowierzania.

Nagle poczuł przyływ nadziei. Czyżby przemyślała ostatnią rozmowę? Przyszła oznajmić, że zmieniła zdanie? Jednak ostrzegawczy głos ciągle przypominał mu: To Kirstin.

Odruchowo uniósł ramiona w geście pozdrowienia, ale zaraz opuścił je wzdłuż boków. Wstrząsane drgawkami tańczyły tam jak dwie marionetki.

– Kirstin. Co za niespodzianka – powiedział bez entuzjazmu. – Tęskniłaś za mną? Wzruszające.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Weszła do środka.

– Oddaj mi struktor Bohra – rzekła. – Wiem, że go masz.

Nikko opanował się na tyle, by nie skoczyć pod sufit. Musiała znaleźć Van Nessa. Jeśli

jednak go znalazła, dlaczego nie wydobyla z jego ciała struktora?

– Mylisz się – zaczął ostrożnie. – Nie mam go.

– Ha! Chyba nie spodziewasz się, że uwierzę, iż to twój młodszy braciszek skłonił Van Nessa do ucieczki.

– Sandor? – Niespokojnie postąpił krok naprzód. – Co z nim? Co o nim wiesz?

– Nie żyje. I jeśli miałabym coś do powiedzenia w tej sprawie, pozostanie trupem już na zawsze.

– Nie! Nie możesz blokować jego zmartwychwstania. Jest niewinny.

– Udowodnij to. Oddaj mi struktor.

– Nie mam go! Jak myślisz, gdybym go miał, to stałbym tutaj i marnował czas na taką starą, pokręconą dziwkę jak ty?

Zacisnęła usta. Dostrzegł w jej oczach błysk. Ostrzeżenie: nie igraj z ogniem.

– Nikko, oddaj mi ten cholerny struktor albo twój brat będzie całkowicie, absolutnie martwy. Ty męska dziwko, daj mi ten przeklęty struktor i zeznania, w których przyznasz się do winy. Ty pierdolony morderco dzieci! Ile lat miał twój brat? Osiemnaście?

Zabiłeś go. Równie dobrze mogłeś przyłożyć mu nóż do szyi i poderznąć gardło. Zginął przez ciebie. Zaaplikowałaś już sobie struktor Bohra? Cieszysz się życiem, co?

– Nie mam go! – wrzasnęła. – Gdybym go miał, nie trząsnąłbym się jak osika!

Odwrócił się od niej. Jego palce zaciskały się konwulsyjnie na wspomnienie miękkiej szyi Kirstin. To go zaintrygowało. Tak naprawdę, nigdy dotąd jej nie dotknął. Teraz była tutaj we własnym ciele, on również, wszystko było rzeczywiste. Mógłby zacisnąć dłonie na jej szyi... Sandor miałby wtedy szansę.

Jednak nie. Kirstin Adair była istotą o wielu inkarnacjach.

Najzwyczajniej pojawiłaby się nagle w jakimś innym mieście i jak harpia z piekła rodem spadła na Sandora, Foxa i cały Dom Lata.

Uniósł ręce w geście kapitulacji. Kirstin musiała błędnie odczytać jego intencje. Syknęła i rzuciła się na niego z pistoletem obezwładniającym w dłoni. Nikko próbował zrobić unik, ale Adair była szybsza. Jakimś sposobem, mimo egzotycznej siły ciężenia, udało jej się doskonale wyliczyć odległość i moment ataku. Dosięgła go i wpakowała mu ładunek w plecy. Czuł, jak wzdłuż kręgosłupa przepływa elektryczna błyskawica, wysysa z płuc powietrze i zamienia mięśnie w galaretę. Zwalił się na podłogę, dotkliwie uderzając się w podbródek i pierś.

W następnej chwili Kirstin klęczała przy nim.

– Czas na spowiedź, Nikko. Gdzie jest ten pieprzony struktor?

– Nie mam go – jęknął, z trudem zmuszając język do pracy.

Stracił kontrolę nad drżącymi spazmatycznie ramionami i nogami.

Kiszer zawiązał się w supełek. – Van Ness zsyntetyzował to cholerstwo. Wywiózł fizyczną kopię, nie mógłbym przesłać jej przez sieć w postaci pliku danych. I dlatego nie mam tej kopii.

Nigdy jej nie miałem. Nigdy!

– A Sandor?

Czuł na karku dotyk wąsów pistoletu. Gdyby Kirstin poczęstowała go kolejnym ładunkiem, zniszczyłaby jego atrium. Oddychał płytko, z bólem, mając wrażenie, że jest homarem rzuconym na wrzący olej. Gotował się we własnej skorupie.

– Kontaktując się z Van Nessem, przybierałem postać Sandora, to wszystko. Tak było wygodniej. Nie każdy lubi pieprzyć się z błękitnoskórými, rozumiesz. Poza tym Van Ness gustował w młodych chłopcach.

Uderzyła go w twarz ręką pistoletu.

– Ty podły, sprzedajny sukinsynu – syknęła.

Zacisnęła zęby, jakby w ten sposób mógł ograniczyć ból.

Chrząknął i wymamrotał:

– Sandor jest niewinny. O niczym nie wiedział. Nie wiedział nawet, że posłużyłem się jego twarzą.

– Znalazłby się w dość nieprzyjemnej sytuacji, gdyby wpadł na któregoś z twoich klientów – zauważyła kwaśno Kirstin.

A potem ujmującym, przymilnym tonem, którym zaczął gardzić, powiedziała: – Dlaczego miałabym ci wierzyć?

Panika ścisnęła mu żołądek. Musiała, po prostu musiała mu uwierzyć.

– Dlaczego miałbym kłamać?

Kirstin zachichotała.

– Odgrywanie bohatera raczej do ciebie nie pasuje. Jednak wciąż istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że za wszelką cenę mógłbyś próbować ratować tyłek swego braciszka, więc...

Przerwał jej własny okrzyk.

Zgasły światła. Nikko czuł spadający na niego, przygniatający go olbrzymi ciężar. Nie mógł oddychać. Nic nie widział. Jakaś siła uniosła go z podłogi. Kirstin chwyciła jego ciało i razem stoczyli się w półpłynny, gęsty świat rozpuszczającej się rzeczywistości.

Czuł tysiące ostrych skalpeli wściekle tnących jego ciało, miliardy drobniutkich brzeszczotów szatkujących ciało na miliardy mikroskopijnych płatów, odpadających od reszty i spadających w mroczną pustkę. Jego konstrukcja waliła się jak domek z kart. Ciało odpadało od kości. Kości rozkładały się i ginęły w niebycie. Myśli biegły po mózgu w szaleńczych pętlach. Nikko był pożerany żywcem przez mikroskopijne piranie, rozdierany przez miliardy wygłodzonych rekinów, jednocześnie wgrzających się w jego ciało. I nie mógł zrobić nic, żeby je powstrzymać.

ROZDZIAŁ 11

Kirstin siedziała, milcząc jak zaklęta, obok ciała Nikko, częściowo zanurzonego w wysokiej trawie porastającej skraj łąki.

Wyglądało jak ciało noworodka, wilgotne, śliskie, ale nie tliła się w nim nawet iskierka życia.

Odsunęła się od zwłok i przysiadła na oddalonym o kilka metrów ciepłym głazie, wystającym z brązowej trawy. Tutejsze dwie trzecie ziemskiej grawitacji wydawało się jej przygniatającą siłą. Jej skórę, włosy i ubranie wciąż pokrywał organiczny żel, wypełniający system transportowy Domu Lata. Satelita był pełen organicznych substancji, kształtujących środowisko życiowe zamieszkujących go ludzi. Niektórzy traktowali żel jako jeszcze jedną, wyjątkową istotę. I teraz ta istota zwróciła się przeciw Nikko. Zabiła go.

Mimo gorąca zadrżała na wspomnienie tamtej chwili, gdy ściany mieszkania nagle zaczęły się na nich walić, a świat topniał i zalewał ich substancją przypominającą ciepłą galaretkę...

Żeby uciec od tego widoku, zmusiła się do wstania i spaceru po łące. Obecna inkarnacja musiała poddać warunkom zwiększonego ciężenia, toteż odznaczała się mniejszą sprężystością ruchów, ciało było cięższe, bardziej umięśnione niż pierwowzór, do którego była przyzwyczajona, a który został na Zamku.

Przeciągnęła się i rozejrzała po okolicy. Pomijając towarzystwo trupa Nikko, była zupełnie sama. W otaczającym ją lesie śpiewały ptaki, ignorując wycieńczający człowieka tropikalny żar. Spomiędzy przerw między szerokimi liśćmi wiał lekki wiatr.

Poszła mu naprzeciw, szukając jego źródła. Doszła na skraj łąki i jednocześnie odkryła krawędź stromego urwiska.

Zatrzymała się kilka kroków od przepaści i przyglądała ścianie sąsiedniej wieży, od której dzieliła ją czeluść szeroka na jakieś dwieście metrów. Jej powierzchnię pokrywały okna. Była dużo wyższa od tej, na której stała Kirstin. Stopniowo podnosiła wzrok, później uniosła głowę, aż zabolął ją kark i oczy zakłuły od blasku oświetlenia, ale nawet wtedy nie dojrzała szczytu wieży, skrytego za paskiem mgły.

Spojrzała pod nogi. Oszklona ściana opadała w dół przynajmniej przez jeden kilometr, ginąc gdzieś w ciemnościach.

Kirstin Adair chrząknęła. Wbrew samej sobie musiała przyznać, że jest pod wrażeniem. Więc tak wyglądało wydrażone wnętrze Domu Lata. Choć знаła tę budowlę od dziesięcioleci, nigdy nie doświadczyła jej ogromu w tak bezpośredni sposób.

Dom Lata był parodią Gai. Tutaj „oceany” znajdowały się na zewnątrz skorupy: ściany składały się z wielkich, pojedynczych komór wypełnionych wodą, które stanowiły środowisko życiowe dla wielu morskich organizmów, a przy okazji służyły za masywne tarcze ochronne przed promieniowaniem kosmicznym. Wewnątrz znajdował się pierścień właściwego miasta, na który składały się całkiem zwyczajne mieszkania, parki, sklepy, biura i fabryki. Wieża z oknami była wewnętrzną ścianą miasta.

Jednak to nie miasto rozsławiło Dom Lata, a właśnie pusty cylinder wewnątrz satelity.

Ta wielka przestrzeń – cylinder miał ponad cztery kilometry wysokości i dwa szerokości – skrywała zenitowy las, rozpięty na specjalnej, szkieletowej konstrukcji, złożonej z belek o średnicy piętnastu metrów. Był to prawdziwy „rdzeń” i kręgosłup Domu Lata, na którym wspierał się kompleks mieszkalny, kapsuły z oceanami, las. Drzewa wspierały się na nim od podstawy aż po wierzchołek, a jednocześnie, w większości, znajdowały w nim oparcie dla swych korzeni. Belki przecinały otchłań niczym mosty i łączyły się ze ścianami satelity. Wewnątrz piętnastometrowych belek funkcjonował system transportowy, przenoszący substancje odżywcze, wodę, ciepło, światło i różne formy życia, zapewniając Domowi Lata utrzymanie dynamicznej równowagi między poszczególnymi elementami ekosfery. Regulowaniem systemu zajmowały się niezliczone rzesze drobniutkich, pozbawionych świadomości mózgów. Kirstin zastanawiała się, czy to możliwe, by w szczególności jeden z nich polecił zabić Nikko.

Wymuszona podróż przez system transportowy była przerażająca. Pamiętała z niej potworne gorąco i oślepiający mrok. Nie wygenerowano dla niej bąbla transportowego, który ochroniłby przed rozgrzanymi cieczami, przepompowanymi przez trzewia tego bezrozumnego behemota. Znalazła się razem z Nikko w czymś w rodzaju bańki o cienkich ściankach, podobnej do błony kosmówkowej. Byli jak bliźnięta zamknięte w sprężystym worku macicy. Nikko walczył, kopał, rzucał się, nabijając Kirstin mnóstwo siniaków. Jego nagłe znieruchomienie było jednak jeszcze gorsze. Wpadła w panikę, miała niemal stuprocentową pewność, że teraz przyszła kolej na nią. Pomyliła się. Dom Lata uwolnił ją, wyrzucił przez portal na tę łąkę. Dlaczego?

Na niebie pojawił się kondor. Powoli, leniwie wznosił się do góry, zataczając coraz szersze kręgi. Jego wielkie skrzydła ciężko pracowały nad zdobyciem każdego metra wysokości. Ptak

trafił na wznoszący prąd konwekcyjny i w końcu dotarł do półki na niebie: horyzontalnej platformy wielkości małego jeziora, zamontowanej na jednej z belek szkieletowych. Spód platformy emitował błękitne światło, imitował niebo, równocześnie stanowiąc podstawę dla pozbawionego drzew trzęsawiska. Nad gęstym dywanem traw unosiły się kłaczkami mgły, szybko unoszone przez wiatr.

Kondor zgrabnie manewrował w powietrzu, omijając przeszkody. Jego widok przywoływał w pamięci Kirstin wspomnienie bardzo odległych czasów. Ile to już... Ponad sto lat? Wdychając zapach lasu Domu Lata, przypomniała sobie niebezpieczne dni u boku Leandera, kolumbijski las tropikalny, broń przepływającą jej przez ręce jak woda.

Bili się wówczas za Boginię. I wygrali, w pewnym sensie.

Miną tysiące lat, zanim zbrukane ciało Matki Ziemi odzyska dawną kondycję, ale Wspólnota dopilnowała, aby tendencje poprawy zostały zachowane. Oczywiście, były konieczne wyrzeczenia, z czysto ekonomicznych powodów. Przedsiębiorcy eksploatujący lasy w poszukiwaniu przydatnych molekuł wciąż dorabiali się ogromnych fortun. Fox był jednym z nich. Zbił swoją fortunę w Ekwadorze. A potem, dając swą decyzją znakomity przykład braku logiki w ludzkim postępowaniu, opuścił Matkę, aby skonstruować tę karykaturę organizmu Gai.

Z rozmysłem splunęła na trawę.

Dom Lata nie był prawdziwy. Żadna z zamieszkujących go form życia nie była naturalna. Wszystkie były genetycznie podrasowane, aby mogły wkomponować się w sztuczny ekosystem.

Dom Lata nie mógł nawet ubiegać się o status muzeum. Był owocem bezmyślnego eksperymentu, niczym więcej.

– Naczelnik Adair!

Okrzyk odbił się echem od powierzchni łąki. Kirstin odwróciła się i ujrzała trzech umundurowanych policjantów, wychodzących z szarych drzwi portalu o łukowym sklepieniu, tego samego, który wcześniej wypluł ją i doczesne szczątki Nikko.

– Otrzymaliśmy wezwanie o pomoc – wykrzyknął dowódca oddziału. – Mielśmy kłopoty z odnalezieniem pani, straciliśmy dużo czasu. Dom Lata nie chciał przyznać, że pani...

Mało brakowało, a przewróciłby się o zwłoki Nikko.

– Mój Boże – rzekł. – Co się stało z tym...

Nie dokończył pytania. Z poczuciem winy wpatrywał się w swoją szefową. Kirstin wiedziała, o co mu chodziło. Pewnie rozważał w myślach możliwość, że wykonała egzekucję, na którą nie

miała zezwolenia.

Przeszła przez łąkę i kiedy zrównała się z grupką policjantów, portal ponownie się uaktywnił. Jej oczom ukazała się sylwetka człowieka, z początku pomniejszona przez odległość, potem szybko rosnąca do naturalnych rozmiarów. Jeszcze chwila i na łące stanął rudowłosy, czerwony na twarzy starzec. Uśmiechnęła się, rozpoznając w nim Foxa Jiang-Tibayana.

Odsunęła się na bok, żeby nie zasłaniać Nikko.

Widok nieruchomego ciała poraził Foxa. Z jego gardła wydobył się ni to jęk, ni to krótki, rwany okrzyk rozpacz. Opadł na kolana i rutynowo zaczął sprawdzać oznaki życia, na szyi, głowie i klatce piersiowej.

Kirstin przysiadła na piętach po drugiej stronie zwłok.

– Nie żyje – powiedziała, bardziej aby zadać jeszcze jedną ranę, niż przekazać użyteczną informację. – Zabił go twój Dom.

Zaprojektowałeś go do takich zadań?

Rzucił jej zbolące spojrzenie, a potem pochylił głowę nad nieruchomą piersią Nikko.

Przez portal przeniknął kolejny mieszkaniec Domu Lata, potem jeszcze jeden, drugi, trzeci. Na łące zjawilo się sześciu młodych mężczyzn, wyglądających na dwadzieścia kilka lat. Zebrali się wokół Foxa, szepcząc coś do siebie. Kirstin odrzuciła do tyłu posklejane przez żel włosy i dołączyła do konferującej grupki.

Rozstąpili się przed nią, jakby bali się jej, może nawet bardziej niż martwego ciała Nikko.

– No, to kogo mam aresztować za morderstwo, Fox? – zapytała, dotykając błękitnych zwłok czubkiem buta. – Ciebie?

A może cały Dom? Kogo mam oskarżyć o porwanie oficera policji Wspólnoty i próbę zabójstwa?

– To był wypadek – stwierdził Fox tak słabym głosem, że ledwie dało się go słyszeć na tle szumu wiatru i drzew.

Któryś z młodych mężczyzn mruknął gniewnie:

– Zostaw go w spokoju. Przed chwilą stracił syna.

Kirstin Adair przypatrywała się zwłokom, a w jej umyśle rodziły się wątpliwości. Z całą pewnością Nikko wyglądał na martwego, jednak we współczesnym świecie nigdy nie można było mieć całkowitej pewności.

Utkwiła wzrok w młodzieńcu, który zwrócił jej uwagę.

– Dlaczego? – spytała. – Dlaczego uważasz, że on nie żyje?

Młody człowiek zdawał się zbity z tropu. Nie zdążył wymyślić żadnej odpowiedzi, Fox zrobił to za niego.

– Nigdy nie miał głowy do szczegółów związanych z techniką molekularną. Korzystał z moich narzędzi, nie rozumiejąc zasad ich działania. Używał ich do celów, o których nawet mi się nie śniło.

Podniósł wzrok. Wyglądał na strapionego, w oczach lśniły najprawdziwsze łzy. Oto ojciec, który został ciężko doświadczony przez nieczuły los. Tylko że wewnętrzny głos podpowiadał jej, iż ogląda niezłe przedstawienie.

– Pracowałeś nad nielegalnymi wynalazkami, starcze?

– Nie! – Użył tego słowa jak pocisku, którym chciał ją znieść z powierzchni ziemi. – Twoi ludzie patrzyli mi na ręce wystarczająco uważnie. Dobrze o tym wiesz.

– W takim razie, co się z nim stało?

– Używał nielegalnych technik. Pragnął żyć. Pragnął uciec od ciebie. Od ciebie, Adair. Chyba spodziewał się, że zostanie aresztowany. Czuł się zagrożony, mógł stracić wolność. Tak więc przeprogramował Dom, aby wyratować go z opresji, i zapisał gdzieś jego wzorzec genetyczny. Gdzie? Doskonałą kryjówką byłby splot nerwowy Domu Lata.

Kirstin zeszywniała. Czuła, jak włoski jeżą się na karku.

– Mógłby to zrobić?

– Czemu nie – rzekł Fox, mrużąc oczy. Z goryczą dodał:

– Przecież byłoby to nielegalne, prawda?

– Czy mógł to zrobić, starcze? – naciskała Kirstin.

Fox spuścił z tonu. Buntowniczy zryw rozpląnął się w ojcowskim żalu po stracie syna.

– Dom Lata był budowany pod nadzorem Komisji Wspólnoty do spraw Technologii. Co trzydzieści sekund splot nerwowy automatycznie przeszukuje system i jeśli znajdzie jakiś nie zarejestrowany program, natychmiast go wyrzuca.

– Nikko musiał o tym wiedzieć – zauważyła trzeźwo.

Fox wzruszył ramionami.

– Nikko wierzył, że potrafi ominąć każdą zasadę. W większości przypadków rzeczywiście mu się udawało. Tym razem nie miał czasu, by dopracować wszystko w najdrobniejszym szczególe.

- Więc to Nikko zlecił Domowi dokonanie morderstwa na sobie samym.
- Chciał uniknąć przesłuchania. Zawsze chciał sam decydować o swoim losie.

Kirstin stała sztywno wyprostowana, chłodnym okiem oceniając starego, słabego człowieka. Na ogół potrafiła odróżnić kłamstwo od prawdy, nie dawała wodzić się za nos. Nikko nie był martwy. Znajdował się gdzieś w rozległym organizmie Domu Lata. Musiało tak być, ponieważ kochający ojciec, jakim był Fox, zawsze ma przygotowane schronienie dla niesfornego dziecka.

Rozwścieczone widmo Nikko stało przed biurkiem Marevic Chun, regionalnego prezydenta Domu Lata na Ziemi.

– Prawie go miałem, Marevic – syknął przez zęby. – Struktor Bohra, rozumiesz, struktor Bohra był niemal w moich rękach. Jednak Van Ness pokpił sprawę. Na dodatek Sandor zniknął.

Marevic potakiwała z nachmurzoną twarzą z za swego biurka.

Była kobietą drobnej budowy ciała, ciemnowłosą, o delikatnych rysach twarzy. Mimo młodzieńczego wyglądu brązowej skóry, w jakiś tajemniczy sposób aparycja zdradzała jej podeszły wiek.

Może działo się tak za sprawą oczu, zimnych i gadzich. Może był to efekt wywoływany przez jej maniery, zdecydowanie wywodzące się z zamierzchłych czasów.

A może było to tylko jego własne uprzedzenie. Kochał Marevic Chun... zabarwiając to uczucie szacunkiem, jak uczeń, który zakochał się w swej pierwszej nauczycielce. To ona nauczyła go, jak bawić się w ciuciubabkę z policją. A była w tym mistrzynią, nigdy nie dała się złapać.

Łączył ich głębszy związek niż prosta zależność uczeń – nauczyciel, choć żadne z nich nie przyznałoby się do tego głośno.

Powołując Nikko do życia w laboratoryjnej probówce, Fox posłużył się materiałem genetycznym własnym i nieznanej dawczyni.

Nikko miał jedenaście lat, gdy włamał się do plików, zawierających dane eksperymentów z tamtego okresu. Pomysł nasunął mu się po narodzinach Sandora. Chciał sprawdzić, jak blisko są spokrewnieni pod względem genetycznym. Na zawsze zapamiętał zdumienie i satysfakcję, gdy odkrył, że tą tajemniczą dawczynią była Marevic. Sandor został poczęty z innego materiału genetycznego. Dlaczego? Nikko podejrzewał, iż Fox nie był tak do końca zadowolony ze swego pierwszego dziecka i nie widział powodów, by powtarzać poprzedni błąd.

Marevic nigdy nie okazywała podobnych uprzedzeń. Zawsze odnosiła się do niego

w bezpośredni sposób.

– Prawie pół godziny temu otrzymaliśmy od Sandora pakiet alarmowy – powiedziała. – Był wówczas w Sunda. Nie mogliśmy go namierzyć.

Nikko zaniemówił.

– Więc nie wpadł w ręce policji?

To źle. Bardzo źle. Gdyby dostał się w ręce policji Wspólnoty, można było liczyć na to, że przeżyje przynajmniej kilka godzin, zanim uda się zorganizować proces. Jeżeli jednak zwyczajnie zaginął...

Marevic wbiła wzrok w blat biurka, podczas gdy jej drobne palce gładziły marmurową powierzchnię.

– Możliwe, że dostał się w ręce policji municypalnej.

– Na Miłość i Naturę!

Jeśli odpowiedziała na jego zawołanie, umknęło mu to. Buszował już w sieci, szukając muła, który poniósłby go przez piekło aglomeracji Sunda. Znajdzie Sandora. Musi go znaleźć.

– Nikko!

Na krótko powrócił spojrzeniem do Marevic.

– Nie odchodź – powiedziała. – Chcę, żebyś ze mną został. To tylko kwestia czasu, zanim Kirstin wpadnie na twój trop. Na wszystkich Bramach ustawi filtry, które ciebie wyłapią.

Musisz być ostrożny. Możesz być ostatnią żywą kopią.

– I co z tego. Jeżeli ściga moje kopie, na pewno nie przeoczy twojej głowy.

Delikatne rysy jej twarzy zmąciły fale gniewu.

– Nikko, to poważna sprawa. Strzeż się.

Skinął głową.

– Skontaktuj się ze mną, jeśli się czegoś dowiesz – rzekł.

Zaraz potem wyekspediował swoje widmo na Ziemię.

Kilka godzin później Kirstin odzyskała świadomość w ciele pozostawionym w mauzoleum Zamku. Ubierając się, nawiązała kontakt z Allende, ograniczając połączenie do dźwięku.

Usłyszała najświeższe wieści z polowania na struktor Bohra.

– Trop doprowadził psy do sklepu miejskiego zielarza, Zeke Choya. To były gliny od Haskinsa.

Kirstin sprawdziła nazwisko z zapisami w podręcznej pamięci atrium, ale nic nie znalazła.

– Nigdy o nim nie słyszałam – stwierdziła, naciągając przez głowę czarną bluzę od policyjnego munduru.

– Był rekrutem. Stwierdzono u niego niewłaściwe nastawienie do służby. Nie wytrwał długo. Wskoczyła w szorty, a potem sprawdziła fryzurę na ekranie zawieszonym w przebieralni.

– To on miał spotkać się z Jiang-Tibayanem?

– Nie – odrzekł Allende, ale nie mówił z przekonaniem. – Chyba nic go nie łączy z Domem Lata. Ma jednak pacjentkę, młodą kobietę, którą nazywa imieniem Phousita. Podejrzewa, że została zakażona struktorem nieznanego pochodzenia, jednak nie udało mu się wymodelować jego struktury. Odniosłem wrażenie, że jest do tej pacjentki dość przywiązany. Chciałby mieć ją pod swoją opieką.

– Znaleźliście ją?

– Och, nie. Jak dotąd nie trafiliśmy na jej ślad. – Po kilku sekundach ciszy, która zawisła między nimi jak gradowa chmura, Allende niechętnie dodał: – Tak naprawdę, po wizycie u Choya straciliśmy również trop struktora.

– Na Miłość i Naturę! – syknęła Kirstin ledwie słyszalnym głosem. – Zmutował.

Oglądała swoje odbicie w lustrze, wspominając dawno minione dni, kiedy jej życie splatało się z życiem Leandera. Pamiętała, jak używał struktora, aby zmieniać się, zmieniać, zmieniać bez końca i wodzić policję za nos. Robiłby to do dzisiaj, gdyby go wtedy nie zdradziła.

Co sprawdziło się wtedy, może sprawdzić się jeszcze raz.

– Mówisz, że ten Choy jest przywiązany do dziewczyny? – spytała Allende. – Poproś go, żeby pomógł nam ją znaleźć.

Zasugeruj, że jeśli nam odmówi, nie będziemy mogli zagwarantować jej bezpieczeństwa.

Odbicie w lustrze uśmiechnęło się chytrze. Zeke Choy na pewno z łatwością porusza się po labiryncie Spili, a jej widmo może wziąć go we władanie tak łatwo, jak policyjnego psa.

ROZDZIAŁ 12

Powieki Phousity zadrgały, podrażnione padającymi na nie promieniami słońca. Dziewczyna westchnęła i przeciągnęła się, obserwując tańczące między rzęsami iskierki załamane światła.

Kładła się spać w cieniu, lecz tymczasem słońce przemieściło się na nieboskłonie i teraz bez przeszkód paliło jej skórę. Czas się ruszyć.

Nagle w nozdrza uderzył ją nowy zapach. Usiadła gwałtownie, odgarniając z twarzy splątane pasma włosów. To anioł – w jakiś niepojęty sposób była tego pewna. Zbliżał się.

Rozejrzała się czujnie, ale nikogo nie zauważyła. Gdzie podział się Arif?

Kiedy uciekali przed psem, powiedziała, że powinni wykapać się w rzece, aby zmyć ze swych ciał resztki dawnego zapachu. Nie miała na myśli pływania. Arif jednak nalegał, żeby przebyli kawałek drogi wplaw. Wody rzeki huczały w betonowym korycie, wezbrane przez deszcze, które spadły w odległych górach. Wzburzone fale wywoływały w niej przerażenie, szlochała i walczyła o każdy krok, wciągana przez Arifa w mętną głębinę, póki nie spostrzegła, że jej stopy nie sięgają już dna. Wtedy nie pozostało jej nic innego, jak uwiesić się towarzysza i dać się ponieść dzikiemu nurtowi rzeki. Szalejący żywioł doskonale współgrał z nastrojem mężczyzny. Kiedy niecałą milę dalej udało mu się dosięgnąć brzegu, wyciągnął dziewczynę na stromy, betonowy stok, postawił potykającą się na nogi i przez dziesięć minut wrzeszczał jej w twarz, co jakiś czas wzmacniając słowa przykrym kuksańcem. Krzyczał, ale niewiele powiedział, dawał tylko upust swojej wściekłości. Klan stracił wszystko, co posiadał, dzieci rozproszyły się, w ślad za nimi podążały psy, a on, Arif, sprzedał się dla niej. I po co? Po co?! Dziewczyna lada moment może paść trupem, zabierze ją zaraza. Niezależnie od tego, jak wiele dla niej zrobił.

Po co tak się dla niej naraża? Czy ona ma pojęcie, przez co dzisiaj przeszedł?! A wszystko przez tego tuana. (Jak gdyby to była jej wina.)

– Dlaczego po prostu nie pozwoliliśmy mu odpłynąć? – krzyczał.

Wiedział, że to jego wina.

– Co teraz z nami będzie?

Nie potrafiła odpowiedzieć. Potrafiła jedynie sporządzić zakłęcie, które ukryte w jej łzach mogło wnikać w głąb jego ciała i ukołysać rozgorączkowany umysł do snu. Nie mogła pozwolić

mu na powrót do klanu, nie teraz, kiedy był w takim nastroju Mógłby pobić dzieciaki, zrobić im krzywdę, a wtedy być może, Nożownicy w końcu obróciliby się przeciw niemu.

Tak więc upadła na kolana i łkając, wyrzucała z siebie przeprosiny, przyznając, że jest bezwartościowym śmieciem, błagając o przebaczenie, czołgając się u jego stóp. Arif kopnął ją i odwrócił się. Po paru krokach, zgodnie z jej przewidywaniami, zawahał się i zatrzymał, jakby jeszcze raz rozważał decyzję. Następnie zawrócił, podszedł do niej i przykucnął, ciasno obejmując ją ramieniem. Spojrzała na niego i unosząc w górę twarz, złożyła głowę w zgięciu jego ramienia. Otarła płynące z oczu łzy, a potem wilgotnymi palcami dotknęła jego ust. Jeszcze chwila i gniew mężczyzny przygasł, niczym przesłonięte gęstą chmurą słońce. Arif westchnął, czuła ustępujące z jego ciała napięcie.

– Jestem potwornie zmęczona – powiedziała płaczliwym tonem. – Dłużej nie dam rady, muszę odpocząć. Proszę, pomóż mi. Jeszcze ten jeden raz.

Skinął głową. Wzięli się za przeczesywanie nabrzeża, aż znaleźli odpowiednie schronienie pośród porzrzucanych bloków betonu pochodzących z zawalonego fundamentu. Arif wypatrzył niedaleko wody wąski pasek cienia. Wyciągnął stamtąd jakiegoś starego włóczkę i przegonił go, częstując na drogę kilkoma mocnymi kopniakami. Phousita przyglądała się temu ze smutkiem, ale milczała.

– Siadaj, głupia babo! – warknął.

Usłuchała, a on usiadł obok niej. Szum toczącej swoje wody rzeki z wolna ukołysał ich do snu.

Lecz teraz cień zniknął, a wraz z nim zniknął Arif. Phousita ponownie się przeciągnęła, czuła się świeża i wypoczęta, jak nowo narodzona. Ani śladu zeszywnienia po kontakcie z twardą nawierzchnią betonu. Dziwne. Oczywiście wraz z nią obudził się szarpiący wnętrzości głód. Podrzuciła głowę, jej nozdrza rozděły się. Złowiła zapach Arifa – bardzo silny – oraz woń anioła, wciąż jeszcze trudno uchwytną. Mimo to z podnieceniem zdała sobie sprawę, że anioł się zbliża. Wkrótce tutaj będzie.

Podążyła tropem Arifa i okrążywszy duży blok betonu, znalazła się na brzegu rzeki. Arif kucnął w słońcu, zanurzony po kostki w wodzie i palcami wyławiał meszek. Na betonowym nabrzeżu piętrzył się już spory stos rzeczno-specjału. Na ten widok serce zabiło jej z przerażenia.

– Arif! – krzyknęła. – Wracaj! Wyjdź z wody! Przecież wiesz, że mogą zastrzelić cię

islamiści. Arif!

Spojrzał na nią spokojnie.

– Islamiści dość nam dzisiaj dokuczili. Teraz świętują.

– Nie! Nie świętują!

Spalenie magazynu to dla nich pestka, wiedział o tym. Wiedział, że mogą wrócić. Celowo to lekceważył. Ostatnie wydarzenia przerosły jego wytrzymałość, nie mógł dłużej się ukrywać, nawet jeśli oznaczało to śmierć.

– Pewnie znowu dopadł cię ten twój głód, co? – zapytał oskarżycielsko i odwrócił się, żeby zebrać leżący na nabrzeżu meszek. – To dla ciebie. – Podsunął jej wszystko.

Wytrzeszczyła oczy. Poczula napływającą do ust ślinę.

Arif uśmiechnął się do niej i wyszedł na brzeg. Usiadł, pociągając ją obok siebie.

– Jedz – nakazał. – Nie chcę, żebyś dzisiaj w nocy znowu mi uciekała.

Jadła, gapiąc się w wodę, zbyt zawstydzona, by spojrzeć na towarzysza. Kiedy zmiotła ostatnią drobinę, zdała sobie sprawę, iż zapach anioła stał się intensywniejszy. Wstała. Wpatrywała się w górę rzeki, jej nozdrza rozdymały się, łowiąc powietrze. Arif obserwował ją podejrzliwie.

– On się zbliża – obwieściła.

– Kto?

Potrząsnęła głową. Arif zaklął. Chwilę potem wskazała palcem na rzekę.

– Tam. Widzisz?

Arif był już na nogach, wpatrzony w nadciągające brzegiem rzeki widowisko.

Brodząc w wodzie bądź czepiając się stromego brzegu, podążało w ich stronę koło setki zachrypniętych od wrzasków i pokrzykiwań ludzi, potykających się o siebie nawzajem w desperackim wysiłku nadążenia za płynącym z prądem obiektem.

– To on – powiedziała cicho Phousita, głosem pełnym zdumienia. – Popatrz na te złote włosy.

Anioł wczepił się – bądź został schwytyany – w płataninę gałęzi niesionego wodą drzewa. Nad wodą widać było tylko jego głowę. Phousita nie potrafiła powiedzieć, czy ten niesiony przez rzekę przybysz jest żywy, wiedziała tylko, że w przeszłości był martwy. Pamiętała, jak wrzucano go do rzeki. Towarzyszyły temu gniew, strach i paląca potrzeba ukrycia ciała. Ktoś zaproponował:

„Do rzeki!” Potem nikt nie był pewien, do kogo należał ten głos.

„Rzeka usunie zwłoki”.

Odwróciła się do Arifa.

– Popatrz, jak za nim gonią. Czekają, aż rzeka wyrzuci go na brzeg.

Twarz Arifa wykrzywiła się w nikłym uśmiešku.

– Pewnie. Gość musi być bogaty. Będzie mój!

– Tak – powiedziała, skinąwszy z zadowoleniem głową.

– Jest nasz.

Arif skoczył do rzeki. Phousita patrzyła, jak jego silne ciało pruje wodę, tnąc ją jak harpun. Wynurzył się kilka metrów od brzegu i siekąc ramionami wodę, popłynął w poprzek nurtu.

Dziewczyna zasiadła na betonie i z uśmiechem śledziła rozwój wydarzeń. Zły czarownik naprawdę świetnie to wszystko urządził.

Rzeka okazała się pułapką bez wyjścia. Wezbrana przez padające w górach deszcze, mknęła przez miasto, zmiatając z brzegów wszelki nagromadzony tam gruz i plugastwo, nie zostawiając nic w zamian. Sandor nie potrafił wyrwać się z jej uścisku. Usiłował płynąć, lecz zabrakło mu sił. Rzeka rzucała nim jak gałązką, unosząc wciąż dalej i dalej, wypełniając oczy piaskiem oraz tłocząc do gardła zamuloną wodę. Dławił się i bełkotał, walcząc o utrzymanie głowy nad powierzchnią. Od czasu do czasu w polu widzenia pojawiał mu się brzeg; chylące się niebezpiecznie nad wodą, na wpół zrujnowane budynki, luksusowe posesje, strawione ogniem ruiny, zbyt wysokie ogrody, czy wreszcie walące się konstrukcje, których funkcji nie potrafił odgadnąć. Miasto przesunęło się obok, a on płynął wciąż naprzód, zastanawiając się, czy to możliwe, by uparty żywioł zaniósł go aż do oceanu. Oczywista wyobraźnia widział już siebie, zagubionego pośród bezmiarów błękitu, z krążącymi w dole rekinami i kołującymi nad głową szarymi ptaszyskami. Potoki lejącego się z nieba słonecznego światła zamieniały fale w płynne złoto...

Obraz zniknął, zdmuchnięty nagłym uderzeniem w głowę.

Sandor odwrócił się i całym ciałem rzucił w stronę, z której nadeszło uderzenie. Wyczuł pod ręką coś twardego, chwycił się tego kurczowo, odkrywając, iż to unoszone prądem, wyrwane z korzeniami drzewo. Jego śliski pień wydał mu się luksusową tratwą, jedną nogą czuł się już na brzegu. Wynurzył twarz z wody i trzymał ją nad powierzchnią, dziesięć sekund, piętnaście, dwadzieścia, oddychając głęboko i pompując tlen w wygłodniałe tkanki. Jego drżące ręce

z wolna uspokajały się.

Złożywszy głowę na drewnianym podgłówniku, zastanowił się, jak długo zdoła utrzymać się na tej niepewnej podporze, zanim woda zmusi pień do wykonania gwałtowniejszego fikołka. Potem nic już nie myślał, tylko tępo przyglądał się czerwieniejącej na przedramieniu rance, w miejscu, z którego miejscowe gliny wypruły mu chip identyfikacyjny.

Powieki ciążyły coraz bardziej, aż wreszcie zupełnie opadły.

W jego umyśle grzmiący ryk rzeki przekształcił się w miękki szmer kropel deszczu, padającego w lesie zenitalnym Domu Lata.

Wisiał uczepiony gałęzi, by ustrzec się przed upadkiem w łagodnej grawitacji, a dookoła, w koronach drzew, figlowały małpy.

Nagle na jego ramieniu zacisnęła się czyjaś dłoń i ściągnęła go w dół. Broniąc się przed upadkiem, wykonał przechył w przód.

Ramię zostało wykręcone do tyłu, a nad głową zamknęła się chłodna toń. Ktoś trzymał go pod wodą! Przez chwilę, długą jak wieczność, wił się bezsilnie w jego uścisku, potem został gwałtownie wyszarpięty z powrotem. Czyjeś ramię opasało mu pierś z siłą stalowej klamry. Płuca wypełniły się powietrzem. – Zapłać mi! – syknął mu do ucha szorstki głos.

Twarda dłoń obszukała szybko jego plecy, pośladki i brzuch.

Wybawca wydał z siebie jęk zawodu.

– Nic? Nic?! – zawył z niedowierzaniem, tym jednym słowem, odsłaniając pokłady nagromadzonej frustracji. – Nic nie masz! Po co leżę za tobą, skoro ktoś już ciebie obrobił?!

Ręka, która podtrzymywała go nad wodą, nagle zniknęła.

Natychmiast ześliznął się pod powierzchnię. Woda zalała mu oczy i nos. Gwałtownie wierzgnął, jeszcze raz wydostając się na światło dzienne.

– Pomóż mi! – krzyknął, wykręcając głowę w poszukiwaniu tamtego. – Mogę zapłacić. Nie zostawiaj mnie tutaj.

Silna dłoń chwyciła go za włosy.

– Czym możesz zapłacić?

– Pieniędźmi, towarem, czymkolwiek zechcesz. – Sięgnął do tyłu, żeby złapać tamtego za nadgarstek. Nie mógł dłużej zostać w tym miejscu!

– Mam pod sobą duży oddział Nożowników. Jeśli mi nie zapłacisz, zabiję cię!

– Dom zapłaci. Wyciągnij mnie z tej rzeki. Muszę zadzwonić do domu. Na Domu Lata nie

ma rzek. Nie ma faszystów... -|

Zachłysnął się z ustami wypełnionymi wodą. – Lasy zenitalne...

Byłeś tam kiedyś”? Ja ciągle tam jestem. Wszystko żywe... wszystko prócz mnie. Ja mieszkam teraz tutaj. Umieram tutaj... – Sandor słyszał własny belkot, ale nie potrafił go powstrzymać.

Możliwe jednak, że wszechobecny huk rzeki tłumił wszelkie inne dźwięki. Łoskot wsącał mu się przez uszy do mózgu, trzebił wszystkie myśli, póki nie zlały się zgodnie w jeden, kipiący beztrzesko strumień.

Leżał na twardej, nie poddającej się ciału powierzchni. Z popołudniowego nieba lały się potoki złocistego światła, oślepiając go i przypiekając jego nagą skórę. Jęknął i obrócił głowę.

U jego boku kuczał potwór. Miał budzącą grozę żółtą twarz kłowna-maszki, fioletowe oczy, długi na co najmniej pięć cali, haczykowany nos, i policzki tak krągłe, jakby pod skórą tkwiły kule bilardowe.

Uznawszy ten obraz za majak, wywołany trawiącą jego ciało gorączką, Sandor czym prędzej odwrócił głowę w drugą stronę.

Napotkał uśmiech ładnej, młodej kobiety. Miała śliczne brązowe oczy i ciemne, splecione włosy, luźno związane na karku. Znoszony, niebieski stanik podkreślał jej bujny biust, od pasa w dół ciało spowijał wyblakły żółty sarong. Jedyne problem w tym, że oczy znowu sprawiły Sandorowi figla, sugerując, iż nieznaną kobietą jest wzrostu ośmioletniego dziecka.

Uśmiechnął się do niej. Uniósł dłoń i dotknął jej zarumienionego policzka. Chciał upewnić się, że jest prawdziwa.

Ktoś strącił jego ramię w dół. Kobieta szarpnęła się do tyłu, przestraszona. Sandor obrócił głowę. U jego boku nadal kuczało monstrum. Z trudem przełknął nagromadzoną ślinę, zastanawiając się, czy prawa rządząca jego fantazją przewidują możliwość pożarcia przez majaki.

Potwór odezwał się:

– Gdzie twoje pieniądze?

Był to ten sam twardy głos, który przemawiał do niego w rzece.

– Muszę zadzwonić do domu – wychrypiął Sandor. Słowa z trudem przedzierały się przez zaciśnięte gardło.

Młoda kobieta powiedziała coś do potwora. Sandor nie rozumiał sensu słów, lecz z przyjemnością słuchał ich melodyjnego brzmienia. Monstrum warknęło w odpowiedzi. Silne

dłonie chwyciły go pod pachami i jednym szarpnięciem postawiły na nogi.

Kobieta ujęła jego dłoń i uśmiechem dodała odwagi. Podtrzymywany przez potwora, postąpił niepewnie parę kroków. Na szczęście nie był zbyt osłabiony, aby utrzymać się na nogach.

– Nazywam się Sandor Jiang-Tibayan – zwrócił się do kobiety. – Jestem członkiem korporacji Domu Lata. Muszę zadzwonić.

Na ładnej twarzy dziewczyny odbiła się dezorientacja. Przeniosła wzrok na swojego zwierzaka.

– Ona nie rozumie angielskiego – burknęło monstrum.

– Jak jej na imię?

– Nijak. Dla ciebie.

Wspięli się na szczyt betonowego nabrzeża, wkraczając między gęsto ustawione, byle jak sklecone szalasy, zamieszkałe przez kościste dzieci o zmałym wzroku. Wkrótce dotarli do ulicy. Choć panował tutaj ożywiony ruch, wszyscy poruszali się pieszo, nigdzie nie było widać pojazdu. Nikt też nie zwracał na nich uwagi, kiedy dwoje nędznie odzianych ludzi załatwiało swoje interesy.

– Masz telefon, tuan? – zapytał Sandor.

Monstrum ryknęło śmiechem.

– Tuan? To ty jesteś tuan. Chociaż mało brakowało, żeby załatwiła cię rzeka. Mów mi Arif. Nie mam telefonu. Nie mam domu. Nie mam pieniędzy. Ale w końcu, ty również ich nie masz.

ROZDZIAŁ 13

Phousita wędrowała przez ciemny las, powoli wspinając się w górę po gałęzi o średnicy piętnastu metrów, która należała do drzewa o tak gigantycznych rozmiarach, że musiało sięgać nieba.

Podniosła wzrok, ale nie dojrzała wierzchołka. Spojrzała w dół, lecz nie zobaczyła ani gruntu, ani korzeni, tylko jeszcze więcej liści i gałęzi. Mniejsze drzewa, choć w jej oczach nadal ogromne, rosły w węzłach na łądogach, do konarów tuliły się paprocie, a ciepłe powietrze było nasycone słodkim zapachem czerwonych kwiatów, masowo wykwitających ze zwisających z gałęzi pnączy.

Drzewo-świat stanowiło oparcie również dla skrawków nieba, oazy światła, zachwycającego błękitem dorównującym temu, który znała z wypadów do Spili.

Obok niej pojawiła się małpa, miękko lądując na czubku bananowego drzewa. Oderwała dużą kiść owoców i zeskoczyła na dół.

– Dobre banany – zasygnalizowała językiem migowym, wybierając jeden owoc. – Podzielić się z tobą?

Phousita roześmiała się Sandor Jiang-Tibay an – tak brzmiało imię i nazwisko anioła – patrzył na nią, jakby była policyjnym psem, gotowym schrupać mu głowę jednym kłapnięciem. Westchnęła.

– Wybacz. Po prostu... – Co za głupota. – To takie dziwne, że małpa mówi... Mówi rękami.

Sandor spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami. Jeszcze mocniej przywarł do czarnej, zagrzybionej ściany pokoiku, który Nożowicy wynajęli w kamienicy czynszowej, oddalonej od rzeki o jakieś półtora kilometra. Po krokwiach biegały szczury, a w jednym rogu na brudnej podłodze zebrało się jezioro zabarwionej rdzą wody. Sandor siedział na niskiej, drewnianej półce, szerokiej na tyle, by dwóch ludzi mogło spać pod nią i dwóch na niej.

Wciąż był nagi. Zgiął nogi i ustawił się do dziewczyny bokiem, aby ukryć genitalia. Przebijające się przez prostokątną zasłonę przy drzwiach słońce, użyczało jego skórze mlecznobiałych refleksów, a włosom złotych błysków. Odbierała jego myśli – były czyste, jasne i miłe. Pachniał jak... kwiaty zlane poranną rosą.

Sandor Jiang-Tibayan. Nawet jego imię wydawało jej się cudowne.

– O jakiej małpie mówisz? – zapytał podejrzliwie, a jego błękitne oczy przesłoniły ciemne chmury domysłów. – I kiedy nauczyłaś się mówić po angielsku?

Dziewczyna opuściła głowę.

– Nazywasz tę małpę Sax – wyjaśniła łagodnym tonem. – Nie wiem, kiedy nauczyłam się mówić po angielsku.

Zwyczajnie, potrzebowała tej umiejętności i ją zdobyła. Był to kolejny podarunek od złego czarownika. (Dlaczego wybrał akurat mnie? Jaki los przeznaczył temu chłopcu, Sandorowi?) Nagle przeniknął ją strach. Wszystko, co dostała, mogło zostać jej odebrane. Zły czarownik mógł ją opuścić w każdej chwili. Mógł zabrać Sandora i znowu, znowu zostawić ją z pustymi rękami.

(Zapałę kadzidło. Zmówię modlitwę za jego duszę.)

Rzuciła zaklęcie, które pozwoliło jej uspokoić nerwy. Łagodnie odgoniła małe dziecko, które przyłgnęło do Sandora, a potem uklękła przed młodzieńcem, aby zbadać jego rany. Tymczasem w ciemnym lesie do pierwszej małpy dołączyła jeszcze jedna.

Obie odsunęły się od bananowca i kontynuowały posiłek przy innym drzewie, przypominającym winną latorośl, choć zrywały z niego owoce podobne do gujawy. Wydawało się jej, że ma dwie pary oczu, a obydwie dostarczają jednakowo klarownego obrazu.

Czy właśnie tak postrzegała świat bogini? Jednocześnie przez wiele oczu?

Sandor szarpnął się, kiedy dotknęła poparzeń na jego piersi.

Poznała jego lęki: bał się jej, bał się szczurów, otaczającego go ubóstwa... Strach wypływał z myśli o tym, co stało się na posterunku policji. Delikatnie powiedziała:

– To nie twoja wina. Ślepy los. Po prostu, trafiło na ciebie.

Gliny słyszą nazwisko, coś im się ubzdura i aresztują człowieka.

Nic ich nie obchodzi, czy jest winien, czy nie.

Mięśnie jego twarzy skurczyły się na wspomnienie bólu. Kiedy przemówił, usłyszała w jego głosie desperackie pragnienie zrozumienia ostatnich wydarzeń.

– Nie wiem, czego ode mnie chcieli, albo dlaczego...

Przeniósł spojrzenie na stojącego obok niej malucha.

– Może oni też nie wiedzieli, czego od ciebie chcą. – Zdecydowanym ruchem przytknęła koniuszki palców do oparzeń, a potem do płytkiej rany ciętej na przedramieniu Sandora. – Dotknęłam cię zaklęciem. Rany nie będą się jątrzyć.

– Co takiego? Czym mnie dotknęłaś?

– Zaklęciem.

Jak miała mu wytłumaczyć całą złożoność niewidzialnego świata, jaki znajdował się na końcach jej palców? Świat ten zaludniali miniaturowi służący, na żądanie przenoszący zaklęcia, dzięki którym mogła panować nad najmniejszymi drobinami materii. Nie rozumiała tych mechanizmów, nie znała słów, którymi mogła opowiedzieć o tym innym. Sama nie potrzebowała żadnych wyjaśnień. Działała instynktownie. Tak jak dawniej potrafiła jeść i pić, teraz potrafiła jeszcze leczyć dotykiem.

Westchnęła i powiedziała:

– Powinieneś coś zjeść, ale w tej chwili nie mamy nic do jedzenia. Jeśli zdobędziemy więcej wody, po południu Sumiati ugotuje ryż.

Sumiati była tego dnia bohaterem klanu. Podczas ataku psów na magazyn chwyciła piecyk i garnek na ryż, a uciekającym na ulicę dzieciakom kazała zabrać ze sobą ich zapasy ryżu. Nie udało się uratować hamaków i większości plastikowych słoików. A także skrzyń i kartonów, które stanowiły ich dom, zanim udało im się znaleźć magazyn.

– Muszę zatelefonować – rzekł Sandor.

Phousita kiwnęła głową.

– Arif poszedł poszukać aparatu, ale nie ma pieniędzy na opłacenie rozmowy. Musi znaleźć kogoś, kto zgodzi się udzielić kredytu.

Nie miał pieniędzy, ale mógł zaoferować swoje usługi. Nożownicy postąpili tak samo, wynajmując pokój. Dług za pierwszy nocleg spłacili, eksmitując z pokoju poprzednich lokatorów, trzech mężczyzn cierpiących na zarazę, która stopniowo przemieniała ich skórę w piękną, niesprężystą, złotą łuskę, przypominającą skórę Buddy z posągu na szczycie świątyni w parku. Posąg nie może chodzić lub pracować. Stara, gruba matrona, będąca właścicielką czynszówek, nie mogła być zadowolona z faktu, że ci trzej mężczyźni od tygodnia nie wychodzili z pokoju i od tygodnia nie płacili czynszu. Nożownicy wynieśli ich aż do chrześcijańskiego szpitala, oddalonego o półtora kilometra, i zostawili na końcu długiej kolejki chorych.

Nagle wewnętrzny wzrok Phousity ukazał jej inny las, widziany z innej perspektywy. Była przyczajona gdzieś pośród cieni, skupiona na obserwowaniu jaskrawoczerwonego owada o szczudłowatych odnóżach, wędrującego po rzuconej na liść plamie słońca. Instynkt pchnął ją do czynu. Wskoczyła na słońce, pochwyciła owada w paszczę i zatrasnęła szczękę. Na język

popłynęła straszliwa trucizna. Otworzyła paszczę, wypluła ścierwo i szybko wycofała się do swej zacienionej kryjówki, stwarzającej iluzję bezpieczeństwa.

– Dlaczego żyjecie w takich warunkach? – rzucił Sandor.

– A jak inaczej moglibyśmy żyć? – odpowiedziała pytaniem, nie kryjąc zaskoczenia.

Sandor odruchowo zacisnął pięści.

– Na tysiące sposobów! W każdej chwili ludzie wynajdują dziesiątki nowych sposobów na życie. Wcale nie musi być tak...

– Wymownym gestem ogarnął wnętrze pokoju. – Dóbr wystarczy dla każdego. Problem w tym, że wasz rząd zakazał używania strukturów. Z przyczyn religijnych, jak sądzę.

Phousita wzruszyła ramionami. Nie rozumiała, o czym ten chłopak mówi. Zaczęła się zastanawiać, czy ma wszystkie klepki na właściwych miejscach. Jego wspomnienia były zbyt fantastyczne. Jaki normalny człowiek mieszkałby w mrocznym lesie, pozbawionym nieba i ziemi, gdzie małpy rozmawiają z ludźmi, posługując się językiem migowym? Jaki normalny człowiek miałby brata, który przypomina człowieka-pajaka z błękitnej porcelany? Otworzyła szeroko oczy i zakryła usta ręką. Rankiem odwiedziła ją stara kobieta, próbowała ją ostrzec. Wiele razy mówiła o takich zdumiewających rzeczach...

– Jesteś bogiem? – wyszeptwała.

Sandor przymknął powieki i po raz pierwszy od chwili, gdy Arif wyciągnął go z rzeki, nieco się rozluźnił.

– Ja nie – odrzekł spokojnie. Otworzył jedno oko i dokończył: – Ale może ty jesteś?

Spuściła głowę, jej policzki splonęły rumieńcem. Co za wstyd!

Czyż przed kilkoma minutami nie uważała siebie za boginię, obdarzoną wewnętrznym wzrokiem? Głupia wiejska dziewczucha!

– Jestem tylko wiedźmą – szepnęła.

Chciał pochylić się ku niej, ale przypomniał sobie, że jest nagi.

Cofnął się. Phousita westchnęła. Szanowała jego uczucia, lecz nie potrafiła mu pomóc. Klan nie miał żadnych dodatkowych ubrań.

– Skąd wiedziałas o Sax? – dopytywał się Sandor. – Tylko nie wzruszaj ramionami, proszę. Dla kogo pracujesz? Czego ode mnie chcą? O co w tym wszystkim chodzi?

Tym razem ona cofnęła się, zaskoczona nagłymi oskarżeniami, tak podobnymi do szorstkich słów chińskiego lekarza.

– Tuan, to nie tak. – Nie mogła sobie wyobrazić, aby ktoś chciał ją zatrudnić, powierzyć opiekę nad tym nieznanym, tak zdrowym, czystym, pięknym chłopcem, który musi być ulubieńcem kogoś bardzo, bardzo wpływowego.

– Nic nie wiem. Jestem tylko wiedźmą.

– To już coś wiesz, Phousita. Nigdy jeszcze nie spotkałem wiedźmy.

Uniósł dłoń. Chciał dotknąć jej policzka, ale nie odważył się.

Nie był pewien, jakie panują tu obyczaje. Dziewczyna zdawała się jakąś szamanką, ale zamiast żądać okazywania szacunku, sama śpieszyła z oddawaniem czci. Nie rozumiał tego. Żar wypalał mu mózg. A może otępienie było pamiątką po spotkaniu z lokalną policją? Nie miał pojęcia. Nie mógł myśleć. Chciał wyjść z tego pokoju, odetchnąć świeżym powietrzem, coś zjeść, jednak nie miał ubrania, a z pewnością pragnął uniknąć obrażenia mieszkańców tego okropnego miasta. Och, lepiej żeby ci z Domu Lata pośpieszyli się, bo przypadkiem złamię jakieś lokalne tabu i ktoś odstrzeli mi łeb.

Jasny prostokąt drzwi niespodziewanie pociemniał. Spojrzał w tamtą stronę i dojrzał Arifa, odsuwającego zasłonę i wchodzącego do środka. Za nim wśliznął się do pokoiku chłopiec o skórze w kolorze orzechowym i niebieskich, kosmatych włosach. Zobaczywszy, co chłopak niesie w prawej ręce, Sandor zapomniał o nieśmiałości i wstydzie. Poderwał się na równe nogi, prawie uderzając głową o krokwie.

– Udało ci się! – wykrzyknął, wyciągając rękę po cenny telefon.

Chłopak, ze złośliwym uśmiechem, schował telefon za plecy. Wypowiedział do Arifa kilka gniewnych słów, a potem ruszył do drzwi. Arif rzucił jedną, krótką komendę. Drogę na zewnątrz zablokowała dwójka dzieci z nożami, przekładających broń z ręki do ręki z wprawą urodzonego zonglera. Chłopak odwrócił się do Arifa i bąknął coś, co zabrzmiało jak paskudne przekleństwo, ale oddał telefon.

Arif wziął aparat.

– Dzwon – warknął, wręczając telefon Sandorowi. – I lepiej żebyś połączył się z kim trzeba. Jeżeli nie będziemy mogli zapłacić, ojciec tego chłopca chętnie weźmie cię do swego burdelu.

Sandor z trudem opanował drżenie rąk. Czuł się jakby przeszedł przez magiczne lustro i dotarł do świata, gdzie wszystko stało na głowie. Ubóstwo, przemoc, wyzysk – do dzisiaj nigdy ich nie doświadczył. W ogóle nie wiedział, że istnieją we współczesnym świecie. Dlaczego? Dlaczego Dom Lata utrzymywał go w stanie nieświadomości?

Spojrzał na aparat.

– Ja... Nie znam numeru. Gliny wymazały go, kiedy...

Arif powiedział coś do chłopaka. Tamten prychnął i przewrócił oczami. Wziął telefon z ręki Sandora i wystukał numer. Arif wysłuchał jego wyjaśnień, a potem przetłumaczył:

– To informacja. Głos ci pomoże. Wiesz, z kim chciałbyś rozmawiać?

– Oczywiście. – W pierwszej kolejności z kwaterą regionalną. – Z biurami Domu Lata na Ziemi – przekazał komputerowi, nie spuszczać oka z Arifa. Chwilę później usłyszał miły dla ucha, męski głos.

– Korporacja Dom Lata. Nasza specjalność: systemy zabezpieczeń osobistych. Połączyłeś się z naszymi biurami na Zamku.

W czym możemy ci pomóc?

– Mówi członek korporacji Sandor Jiang-Tibayan. Proszę o pomoc w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia. Nie mam identyfikatora. Złamano moje kody, jestem ranny, zniszczono mój system osobisty. Pomocy. Muszę rozmawiać z Davidem Enbergiem. Natychmiast!

– Proszę zaczekać.

Przymknął oczy i powoli oddychał, starając się uspokoić. Jaka mogła być odpowiedź komputera? Tylko nie mówcie mi, że nie żyję! Błagam! Nie mówcie, że nie żyję!

David Enberg dowodził regionalną komórką bezpieczeństwa.

Może lepiej zrobiłby, prosząc do telefonu któregoś z jego podwładnych? Komputer mógł uznać go za wariata albo dowcipnisia.

Sandor nie znał jednak ani jednego podwładnego Enberga. W zasadzie nie znał nawet samego Enberga. Miesiąc temu widział się z nim przelotnie, ot, kilkuminutowa znajomość. Przybył na Ziemię prosto z Domu Lata, a nie z Zamku. Pierwszy raz był na planecie...

– Sandor? – zapytał głos w słuchawce.

– David, to ja! – wrzasnął Sandor. Zrobił krótką przerwę, aby triumfalnie kiwnąć głową do Arifa. – Zostałem aresztowany przez policję municypalną. Och, David, nie masz pojęcia, jak jest tutaj, na dole. Zniszczyli mi atrium i... Nikko, przynajmniej tak mi się wydaje. Wszystko. Pomóż mi. David. Proszę, przyślij kogoś pomnie. Przyślij pieniądze. Zabiją mnie, jeżeli nie dostaną forsy.

– Zaraz wszystko zorganizujemy, Sandor, uspokój się. Tylko spokojnie. Otrzymaliśmy twój

pakiet alarmowy. Wiemy, że miałeś spięcie z lokalną policją.

– Spięcie?! David, zabrali mnie na swój posterunek. – Zorientował się, że jego głos zaczyna popadać w histeryczne wrzaski. Zaczerpnął powietrza, żeby się pohamować. – David, wyślij tu kogoś.

– Sandor? – Tym razem był to kobiecy głos. – Mówi Marevic Chun.

Aż otworzył usta ze zdziwienia. Marevic Chun była prezydentem oddziału Domu Lata na Ziemi, kierowała wszystkimi poczynaniami Domu Lata na planecie. Fatygowała się dla niego?

Dlaczego?

– Jesteśmy zaskoczeni, że nadal żyjesz – powiedziała otwarcie. – Zgodnie z raportami naszych agentów, spodziewaliśmy się najgorszego. Gdzie jesteś?

– Nie wiem. Gdzieś w slumsach. Gliniarze myśleli, że nie żyję i wyrzucili mnie do rzeki. Arif mnie wyłowił. Możecie chyba namierzyć sygnał z tego aparatu, co? Marevic, wyślecie kogoś po mnie?

– Jesteś tam bezpieczny?

Zastanowił się. Arif dostrzegł zmianę rysów twarzy i postąpił krok do przodu, mierząc Sandora wzrokiem.

– W czym problem, Marevic? – syknął do słuchawki. – Dlaczego po prostu nie możecie kogoś przysłać?

– Chcielibyśmy, Sandor, ale zrobił się niezły pasztet. Nikko zadarł z policją Wspólnoty i, niestety, w sprawę wplątane zostało twoje nazwisko. Jeśli Kirstin Adair dowie się, że żyjesz, nie minie godzina i staniesz przed sądem. Nie pokazuj się. Ukryj się. Potrzebuję trochę czasu na uporządkowanie notatek Nikko i przygotowanie linii obrony. W przeciwnym razie policja zrobi z ciebie wroga publicznego numer jeden.

– Ale dlaczego? Co takiego zrobiłem?

– Nic, Sandor. Zostałeś wmieszany w rozgrywkę innych ludzi.

– Nie możecie mnie tutaj zostawić! Nie macie pojęcia, co oni mi zrobią! – Arif szarpnął za słuchawkę. Sandor chwilowo obronił się. – Marevic, musisz mi pomóc!

Arif chwycił go za nadgarstek i wyrwał telefon.

– Chcecie tego chłopaka, to musicie za niego zapłacić. I to zaraz! – huknął do słuchawki.

Przypatrywał się Sandorowi, słuchając odpowiedzi Marevic.

Trwało to bardzo długo, lecz ostatecznie kiwnął głową.

– Oczywiście, jeśli właśnie tego chcesz.

Zerwał połączenie i oddał aparat błękitnowłosemu chłopcu.

Uśmiechał się, jakby usłyszał sprośny dowcip. Wydał głośny okrzyk zadowolenia, a potem porwał Phousitę w ramiona i ucałował. Mówił coś nieskładnie, co chwilę przerywając wybuchami śmiechu. Dziewczyna nie podzielała jego zachwyty.

– Zostajesz z nami! – wyjął w końcu i jeszcze raz wybuchnął śmiechem, widząc wyraz twarzy Sandora. – Marevic zapłaci nam za opiekę nad tobą. Mam nadzieję, że spodoba ci się w Spili. Powiedziała, że upłynie kilka dni, zanim będą mogli ciebie stąd zabrać.

Popołudnie ciągnęło się niewiarygodnie wolno. Sandor został sam. Słyszał bawiące się przed domem dzieci, ale nie było wśród nich Phousity. Nie zobaczył jej, kiedy odsunął zasłonę i wyjrzał na zewnątrz.

Gdzie zniknęła ta dziewczyna? To dziwne, ale brakowało mu jej. Ukrył twarz w dłoniach. Żar i wilgotność doprowadzały go do obłądu. A może najbardziej dokuczał mu głód. W brzuchu grała mu orkiestra. Chciałby znać słowo w lokalnym języku oznaczające wodę. Wczoraj byłoby to niezwykle łatwe, wystarczyłoby wejść do sieci i sprawdzić w bibliotece. A teraz...

Czuł się jak ofiara widzenia tunelowego. Jedyne, co widział, to walące się na niego ściany. Jedyne, co słyszał, to dzikie wrzaski rozbawionych dzieci i stłumione odgłosy miejskiego życia. Takie były granice jego zmysłowej percepcji.

Co zbroił Nikko, że wpakował go w takie kłopoty?

Z tą myślą zapadł w drzemkę.

Obudził go przeraźliwy krzyk, który dobiegł gdzieś z oddali i w jednej chwili zdusił wszystkie inne odgłosy bezustannie towarzyszące mieszkańcom slumsów. Usiadł na posłaniu. Dzieci zamilkły, a potem zaczęły rozmawiać szeptem. Zdołał wyłowić powtarzane przez nie imię Arifa.

Wrzask powtórzył się i tym razem dzieci odpowiedziały własnymi okrzykami. Sandor przykucnął w cieniu, na progu pokoju, i ostrożnie wyjrzał.

Arif wracał razem z Phousitą. Każde z nich niosło po dwie plastikowe torby, które zaraz po zrównaniu się z watahą dzieciaków postawili na ziemi. Sandor był zafascynowany widokiem skarbów, wydobywanych przez Arifa z wnętrza worków. Były tam banany (po jednym dla każdego), owoce mango, nanizane na kij grube plastry mięsa, odżywcze batoniki, torba orzeszków ziemnych...

Sandor czuł narastający zawrót głowy. Przycisnął czoło do przeżartej przez termyty framugi, w dłonie wbijały mu się drzazgi.

Usta wypełniał kurz. Ktoś klepnął go w ramię, popchnął, przewrócił na ziemię. Nagle zorientował się, że leży na brudnej podłodze i patrzy w górę na uśmiechniętą twarz Arifa, która zdawała się zawieszona nad nim na wysokości tysiąca kilometrów. Wargi tej twarzy poruszyły się i usłyszał:

– Tuan, jeszcze nam nie umieraj. Marevic liczy na to, że kiedyś będzie mogła cię stąd zabrać.

– Masz, napij się – powiedziała Phousita. Klękała przy nim, przystawiając plastikowy bukłak do jego ust. – Wybacz, tuan.

Nie powinnam zostawiać cię samego.

Przełknął kilka łyków ciepłej wody. Płyn przepłukał gardło i zawrót głowy zaczął stopniowo ustępować. Zmusił się do zajęcia pozycji siedzącej. Wciąż nie odejmował rąk od głowy.

– Mamy żywność – rzekła dziewczyna.

– Nie jestem głodny – stwierdził, podejrzewając, że gdyby teraz włożył coś do ust, natychmiast zwymiotowałby.

Arif roześmiał się.

– Mamy delikatny żołądek, co? To źle, ale jutro też zdobędziemy żywność. – Upuścił pod nogi Sandora zawiniątko. – Ubierz się. Zmęczyło mnie oglądanie twojego palanta.

Arif przyniósł parę roboczych spodni khaki, połatanych na kolanach i siedzeniu, nieco za ciasnych, lecz młodzieniec przyjął je z wdzięcznością. Założył je, nie zwracając uwagi na stojącą na progu, jedzącą banana i obserwującą go dziewczynkę.

Phousita przyniosła mu dwa banany i plaster mięsa na patyku.

Wziął jedzenie z jej rąk i nerwowo gryzł, zapominając o nudnościach. Dziewczyna z satysfakcją wpatrywała się w niego. Uśmiechnął się do niej, a potem napił się wody. Na zewnątrz Arif wydobyl z torby ostatni skarb. Wnioskując z dziecięcych pisków, były to jakieś słodczyce. Arif rozdał je najmłodszemu, a następnie usiadł na chodniku. Patrzył, jak dzieciaki żarłocznie pochłaniają prezenty i jego twarz kłowna rozjaśniała czysta satysfakcja.

– Wydałeś wszystko? – zapytał Sandor.

Arif rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Nie pokazuj się – ostrzegł, a potem, uderzając dłonią w pas na biodrach, wyjaśnił: – Wydałem zaledwie drobną część.

Nigdy dotąd nie miałem tyle pieniędzy, nawet wówczas, gdy uciekłem od mojego pana. Ale dla Domu Lata to żadna suma, co?

Przerwał, ponieważ któreś z dzieci uwiesiło się rąbka jego szortów. Mała dziewczynka, która podglądała Sandora podczas ubierania spodni. Masowała sobie brzuch i jęczała, aż nagle siadła na chodniku. Kiedy jej ciałem szarpnęły konwulsje, Arif szybko objął ją ramieniem. Zwymiotowała na ziemię. Chwilę później histerycznie płakała, wciskając twarz w pierś Arifa.

Arif patrzył na nią bezradnie, wyglądał na wstrząśniętego.

Sandor domyślił się: jedzenie było zbyt cenne, aby je marnować w taki sposób. Jednak dziecięcy organizm, nie przyzwyczajony do regularnych, pełnych posiłków, nie mógł poradzić sobie z taką ilością pokarmu. Inne dzieci też trzymały się za brzuchy, niektóre skręcały się z bólu. Podarunek Arifa okazał się trucizną.

– Spokojnie – powiedziała Phousita. – Nic się nie stało.

Sandor podążył wzrokiem za jej głosem. Klęczała przy chłopcu, który z grymasem bólu na twarzy leżał na ziemi, przyciągając kolana do klatki piersiowej. Dziewczyna przycisnęła dłonie do jego brzuszka i po kilku sekundach dziecko rozluźniło się. Zostawiła je i zbliżyła się do drugiego, a potem trzeciego. Każde z nich dotykała, usuwając ból lekkim naciskiem dłoni.

Sandor przypatrywał się temu zdumiony. Nie zastanawiając się, wyszedł ze schronienia i podszedł do niej. Klęczała przy ostatnim dziecku, dziewczynce, która już straciła swój posiłek, jedyny posiłek, jakiego mogła oczekiwać w tym dniu. Powiedziała coś do małej, a ta uśmiechnęła się i kiwnęła główką. W następnej chwili Sandor znalazł się przy niej, sięgnął po jej dłonie i obrócił grzbietem do dołu. Po wewnętrznej stronie dłoni lśniły wilgocią niewielkie, białe gruczoły, rozlokowane tuż poniżej palców i na samych palcach, wzdłuż całej ich długości. Dotknął ich delikatnie. Nigdy nie widział podobnej mutacji. Ta dziewczyna potrafiła uzdrawiać dotykiem. W jakiś niepojęty sposób białe gruczoły musiały wytwarzać struktury uzdrawiające, które miały zdolność przenikania przez barierę w postaci skóry pacjenta. Tylko w jaki sposób dziewczyna programowała struktury? Jak wyznaczała im zadania? I jakim cudem rozwinęła tak unikalne umiejętności w samym sercu Spili, gdzie rządziło ubóstwo do spółki z ciemnogrodem?

Uniosła dłonie na wysokość oczu i przyjrzała im się, jakby widziała je po raz pierwszy w życiu.

– Zmieniłam je – wyznała ścisłym głosem.

– Jak to – zdziwił się Sandor. – Nie wiedziałas o tym?

Zaprzeczyła powolnym ruchem głowy.

– Zaszło tak wiele zmian, tak gwałtownych zmian, od kiedy... Sandorowi wyrwało się westchnienie zawodu. Przez chwilę wyobraził sobie, że dziewczyna sama opracowała ten unikalny system uzdrawiania przez dotyk.

– Nie pojmujesz własnych zdolności, czy tak?

Spuściła głowę i skuliła się ze wstydu.

– Tak, tuan. Stałam się wiedźmą, ale nie wiem, co potrafię.

Nie wiem, skąd mam takie zdolności, ani jak z nich korzystać, dopóki nie są one potrzebne do zrobienia jakiejś konkretnej rzeczy. Nawet gdy nadchodzi chwila działania, sama nie robię nic, tylko poddaję się woli ducha czarownika, który mnie posiadał.

Sandor pokiwał głową. Rozumiał ją. Rzeczywiście, mogła się czuć dokładnie tak, jak to opisała.

– Kierujesz wyjątkowo potężnym struktorem – rzekł. – Jak się tego nauczyłaś?

Spojrzała na niego w taki sposób, że natychmiast zorientował się, iż w ogóle go nie rozumie. Skłonił głowę i westchnął, przecierając palcami zalewane potem oczy. Jej struktor nauczył ją mówić po angielsku, znała każde słowo, które znał i on. A jednak nie rozumiała, co do niej mówi. Posiadała suchą wiedzę, bez odpowiednich odniesień do zwykłych codziennych doświadczeń.

– Zostaw ją w spokoju – burknął Arif, zatrzymując się tuż za jego plecami. Kiedy chłopak chciał się odwrócić, oparł but o jego pośladki i pchnął go na ziemię. – Ona jest potężną czarownicą, a jej moce stale rosną – wrzasnął na Sandora, który poderwał się z chodnika i miotał wzrokiem gniewne błyski. – To nie ona, ale ty, ty niczego nie rozumiesz. Nie masz pojęcia, co się tutaj dzieje.

Podszedł szybko do chłopaka i dźgając go w pierś twardymi jak stal palcami, powiedział:

– Popatrz tutaj. I tutaj. Dotknęła ciebie. Popatrz sobie, co potrafi jej magia.

Sandor podporządkował się nakazowi i z wrażenia opadła mu szczęka. Skóra na piersi była bez skazy. Ostrożnie dotknął miejsc poparzonych w trakcie przesłuchania i rany na ręce, powstałej po tym, jak oprawcy wyrwali z niej chip identyfikacyjny...

Wszelkie ślady zniknęły.

Spojrzał Phousicie prosto w oczy i syknął:

– To nie jest magia. To technologia. Technologia zakazana przez Wspólnotę.

Dzieci nerwowo przyłgnęły do dziewczyny. W ich ciemnych oczach wyczytał strach i niedowierzanie. Nie rozumiały jego słów, ale podobnie jak Arif, bezbłędnie rozpoznały zgłaszane przez niego wątpliwości. I odrzuciły je. „Dlaczego wątpisz w Phousitę?” – zdawały się pytać ich szczerze twarzyczki. Dziewczyna musiała uchodzić w ich oczach za prawdziwą boginię, niebiańską zbawczynię, zdolną zmniejszyć – choć trochę – cierpienia na tym łożu padole. A on śmieją potępiać! Oskarżać o oszustwo!

Mówił spokojnie, aksamitnym głosem. Musiał ją przekonać.

– Ten talent zawiedzie cię wprost... To nie błogosławieństwo. Nie możesz tak żyć. Phousita, musisz być bardzo ostrożna.

Jeżeli policja odkryje twoje zdolności, wydadzą cię siepaczom Wspólnoty. Jeśli nie uda im się oczyścić twojego ciała ze struktora, unicestwiącie. Nie znają litości. Wspólnota istnieje właśnie po to, aby eliminować takie talenty jak ten, który masz.

– Kłamca! – ryknął Arif. – Chcesz ją tylko dla siebie.

– Nie kłamię! Ja... – Urwał, nie dokończywszy.

Co tak naprawdę chciał osiągnąć? Nie mógł pomóc tej dziewczynie. Miał mglisty pomysł zaproponowania schronienia w Domu Lata, ale uznał go za absurdalny. Nawet jeśli zgodziłyby się opuścić Arifa i dzieci, nosząc nielegalny struktor, nigdy nie przedostałyby się przez policyjne Bramy.

– Phousita, po prostu chcę, abyś żyła. Jeżeli możesz, natychmiast pozbądź się tego struktora. Wszystkie pieniądze świata nie zatrzymają policji, kiedy już wpadnie na twój trop.

Arif zbliżył się i potrząsając groteskowo głową, warknął:

– Wracaj do środka. To ty uciekasz przed policją. Schowaj się, zanim cię znajdą.

Po zmierzchu dzieci zaczęły tłoczyć się we wnętrzu chaty.

Kładły się na podłodze lub pod półką, chichotały, szeptały między sobą, dopóki Sumiati nie uspokoiła ich kołysankami.

Phousita weszła do mrocznego wnętrza znacznie później, wnosząc ze sobą lampkę. Miała półprzymknięte oczy, ostrożnie stąpała pomiędzy śpiącymi dziećmi. Sandor nie miał pojęcia, jak znajdowała miejsce na postawienie stopy.

Nagle zdał sobie sprawę, że dziewczyna idzie do niego. Radość przemieszała się z niepewnością. Czego mogła od niego chcieć? Gdzie był Arif? W panice zamknął oczy i udał, że śpi.

Chwilę potem poczuł, że dziewczyna dotyka jego ramienia. Położyła się obok, wciskając się między niego a chłopca w wieku ośmiu lub dziewięciu lat. Gdzie podział się Arif? Sandor czuł na policzku oddech Phousity. Pachniał. Przypominał aromat jakiegoś egzotycznego kwiatu. Mimo mocnego postanowienia otworzył oczy.

Zakryła lampkę brązową tkaniną, która przepuszczała tylko odrobinę światła. Było go jednak wystarczająco dużo, by rozświetlić jej oczy aurą, którą Sandor widział tylko jeden raz w życiu, na jakimś starym obrazie holenderskiego mistrza. Serce zaczęło mu bić szybciej. Próbował przypomnieć sobie, czy Arif wrócił do chaty razem z dziećmi. Chyba nie, ale nie był pewien.

To przez ten upał. Nie mógł zebrać myśli. Czego od niego chciała?

Phousita zmarszczyła brwi, a potem dotknęła palcem szyi młodzieńca. Natychmiast rozluźnił się, odprężył. Lęk opuścił go, z każdego pora skóry ulatniało się nerwowe napięcie. Otoczenie nie wydawało mu się tak niebezpieczne.

Uśmiechnęła się.

– Arif wróci dopiero za kilka godzin – szepnęła.

Sandor kiwnął głową, rozważając rysujące się możliwości. Cały świat przesłaniała mu twarz dziewczyny i niczego więcej nie pragnął.

– Co mi zrobiłaś? – zapytał, ścisząc głos.

– Rzuciłam zaklęcie, żeby cię uspokoić. To wszystko.

– Chciałbym cię dotknąć – rzekł, bezgranicznie zachwycony jej zdolnościami.

– Dobrze. – Zdawała się zadowolona z propozycji. – Proszę.

Koniuszkami palców musnął jej policzek i usta. Skóra była gładka, delikatna i sucha.

– Kim jesteś? – spytał.

Z jej twarzy zniknął uśmiech. Odwróciła wzrok i Sandor pożałował, że zadał to pytanie.

– Nikim.

– Phousita...

Zawiesił rękę w powietrzu, nie wiedząc jak teraz postąpić.

– Jestem tylko służką czarownika, który mnie posiadał – szepnęła. Spojrzała mu w oczy, sięgnęła po jego rękę i przytuliła ją do policzka. Sandor przysunął się bliżej, tak blisko, że zetknęli się czołami. – To on ciebie tutaj sprowadził. Mieli zamknąć cię w karawanie, ale podsunął im myśl, że lepiej będzie wyrzucić cię do rzeki.

Nie wiedział, co o tym myśleć.

– Jak się o...

Nie dała mu dokończyć. Odwróciła dłoń i pokazała gruczoły na jej wewnętrznej stronie.

– Mam wielu malutkich służących. Jak kurz unoszą się w powietrzu. Opowiadają mi o świecie, a czasem wykonują dla mnie jakąś pracę.

Kiwnął głową.

– W takim razie są czymś w rodzaju wirusów behawioralnych.

– Nie wiem, tuan. Po prostu cieszę się, że oni nie... – Spuściła wzrok. Wzięła jego dłoń i przycisnęła do niej gorące wargi. – Cieszę się, że żyjesz. Nigdy... Ja... – Zamknęła oczy i westchnęła. – Wyczuwam w tobie coś, co daje mi ogromną radość. Czyni mnie szczęśliwą. – Otworzyła oczy. – Ty również jesteś szczęśliwy? Ze mną?

Jej spojrzenie było tak szczere, że zadygotał. Nigdy nie był tak szczęśliwy jak w tej chwili, ale kiedy chciał to wyrazić słowami, sam sobie wydał się śmieszny. Właściwe słowa ulotniły mu się z głowy, daremnie ich szukał do momentu, gdy zrozumiał, że słowa są całkowicie zbędne. Dziewczyna uśmiechała się zachęcająco. Nachylił się i pocałował ją w usta.

– Widziałam w snach twoją twarz – powiedziała. – Musiałam cię odnaleźć.

Ucałował ją w policzek i szyję. Była tak drobna i delikatna!

Nie chciał posunąć się za daleko, wokół nich było pełno dzieci, jednak jego ręka żyła własnym życiem. Znalazła drogę pod ubranie dziewczyny, palce zamknęły się na sprężystych sutkach.

– Jedź ze mną do Domu Lata – szepnęła błagalnie, pieszcząc językiem jej ucho.

W oczach Phousity błyszczała rozkosz.

– Będę o tym marzyć.

– Nie! Sprawię, że to marzenie stanie się rzeczywistością.

Przestraszył się własnej determinacji. Nie rozumiał, dlaczego jego uczucia do tej dziewczyny w tak krótkim czasie tak bardzo się pogłębiły.

Wyczuła jego wahanie.

– Wciąż nie wiem, kim ty jesteś – rzekła, odsuwając się. – Dlaczego czarownikowi tak bardzo na tobie zależy? Kiedy po raz pierwszy mnie nawiedził, pamiętał tylko jedno: twoją twarz. Dlaczego?

Sandor pokręcił głową.

– Nie wiem. To nie ma znaczenia. Pojedź ze mną do Domu Lata.

Ponownie zaczął ją całować, ale odwróciła się od niego.

– Przestań – rzuciła chłodno głosem, w którym czaił się lęk.

– Pomyliłam się, nadchodzi Arif. On tobą gardzi. Proszę, spróbuj zasnąć.

Sandor najeżył się.

– Nie boję się go.

Przyłożyła palec do jego ust.

– W takim razie zacznij się go bać. Dla mnie.

Zgasiła lampkę i odwróciła się do niego plecami.

– Phousita! – syknął przez zęby. – Phousita!

Potrząsnął jej ramieniem, ale równy, spokojny oddech zdawał się świadczyć, że dziewczyna już zapadła w sen.

Westchnął i ułożył się na drewnianej półce. Nie mógł zasnąć.

Wpatrywał się w ciemność, zasłuchany w oddechy śpiących dzieci, i zastanawiał się, jakie magiczne zaklęcia potrafią wyrwać Phousitę ze Spili. Po jakimś czasie zasłona służąca za drzwi zaszeleściła i do wnętrza chaty wśliznął się Arif. Jego twarz rzucała dziwną, żółtawą poświatę. Przykucnął na progu i patrzył do wnętrza, jakby szukał kogoś wzrokiem. Sandor obserwował go, aż powieki same opadły mu na oczy.

Obudził się dopiero o świcie. Phousita leżała obok. Powoli podniósł się, niepewnie zakołysał, a po odzyskaniu równowagi ostrożnie skierował się do drzwi, lawirując między ułożonymi na ziemi ciałami śpiących. Musiał wyjść na ulicę. Dotknął dłonią drewna framugi, odsunął tkaninę zasłony i... zachwiał się pod wpływem szoku, w jaki wprawił go widok zza kotary.

Ulicę wypełniała gromada ludzi. Stali w skupieniu, utkwivszy oczy w wejściu do chaty. Pomijając półkole o średnicy metra, położone bezpośrednio przed drzwiami, w całej alei nie mógł dojrzeć miejsca, gdzie dałoby się wcisnąć choćby igłę. Nad tłumem unosiła się dziwna, porażająca cisza. Sandor zadrżał i schował się w chacie.

Obok niego pojawił się Arif.

– Przyszli – rzekł spokojnie, jakby spodziewał się tej nie zapowiedzianej wizyty połowy miasta.

– Przyszli? – odezwał się Sandor, najciszej jak potrafił. – Po co?

Arif wyminął go i uchylając rąbka zasłony, wyrzwał na zewnątrz.

– Przyszli zobaczyć zbawicielkę. Głupcy. Ale to nic. Uczynię ją ich królową.

ROZDZIAŁ 14

Widmo Kirstin oraz Zeke Choy stali na skraju nienaturalnie milczącego tłumu, tłoczącego się w jednej z wąskich alejek w głębi Spili. Ponieważ oboje zdecydowanie przewyższali wzrostem cisnących się w ulicze ludzi, Kirstin mogła swobodnie spoglądać ponad ich głowami. Daleko w dole ulicy poranne słońce wzniecało błyski na fasadzie niskiej, chylącej się ku upadkowi budy. Długi, wąski budynek podziurawiony był drzwiami, rozmieszczonymi w odstępach co trzy, cztery metry. Wszystkie, prócz jednych, były otwarte i zatłoczone widzami. Uwaga całego tłumu skupiała się na drzwiach, które pozostawały zasłonięte.

– Źle to wygląda – mruknął Choy. – Bardzo źle.

Kirstin musiała się z nim zgodzić. Ludzie tłoczyli się tak ciasno, iż jej oficerowie nie mieli żadnych szans przebicia się przez tłum. Jeśli, jak wieść niesła, Phousita rzeczywiście znajdowała się za tą spuszczoną zasłoną, dostać się do niej można było tylko po głowach jej wielbicieli.

A co potem? Nie trzeba było dużej wyobraźni, by przewidzieć reakcję tej tłuszczy, kiedy policja Wspólnoty weźmie się za aresztowanie ich świeżo objawionej zbawicielki.

Choy odwrócił wzrok od tłumu, żeby spojrzeć jej w twarz. Na skutek braku dopływu aktualnych bodźców wzrokowych obraz ulicy w polu widzenia Kirstin zastygł w bezruchu. Posłała doktorowi zirytowane spojrzenie, ten jednak udał, że go nie zauważa.

– Odwołaj swoich ludzi – rzekł. – Teraz nie możesz się do niej dostać. Musisz poczekać na bardziej sprzyjający moment.

– Co jest na tyłach tej rudery? – spytała Kirstin.

Odpowiedział jej Allende, który przysłuchiwał im się ze swojego posterunku na Zamku:

– Wąski zaułek, szeroki na jakieś dwa metry. Ale on również jest zapchany ludźmi.

– Spuście psy. Nic nie zrobimy, póki nie oczyścimy terenu.

– Nie! – gwałtownie sprzeciwił się Choy. Chwycił Kirstin za przegub dłoni. Choć była tylko widmem, znajdowała się w jego atrium. Dla niego była człowiekiem z krwi i kości. – Jeżeli spuście psy, gotowa wybuchnąć panika. A wtedy wszystko jest możliwe, nawet to, że zaczną ginąć ludzie.

– Nie masz bladego pojęcia, jak wielkim zagrożeniem jest to skażenie – odpowiedziała chłodno. – Jeśli nie uda nam się go szybko opanować, będziemy zmuszeni rozpatrzyć

radykalniejsze środki, łącznie ze sterylizacją cieplną. A to pociągnie za sobą znacznie więcej ofiar.

Choyowi opadła szczeka. Spoglądał na Kirstin z otwartymi ustami i jawnym przerażeniem w oczach.

– Patrz na ten motłoch – poleciła Kirstin. – Potrzebuję twoich oczu, żeby wiedzieć, co się tam dzieje.

Sandor kucał przy drzwiach i mrużąc oczy przed blaskiem porannego słońca, zerkał przez zaslonę na zewnątrz, w otaczający ich tłum. Widok, który się przed nim roztaczał, wzbudzał w jego duszy lęk. Nigdy przedtem nie widział takiej ilości ludzi zgromadzonych w jednym miejscu – tak wielu, tak milczących, i tak pełnych skupienia. Mieszkańców slumsów. Przerażająco czystych i schludnych, mimo obywających ich grzbiety żałosnych szczątków ubrań. W jakiś sposób dotarły do nich wieści o Phousicie i w ciągu nocy walczą się rudera stała się centralnym punktem ich świata, przybyli tutaj gnani nędzą swojego żywota, w poszukiwaniu wybawienia.

Czyżby naprawdę w nie wierzyli?

Wiedział, że tak. Widział to w ich postawie, w ich zdeterminowanych spojrzeniach. Przy nich czuł się maleńki. Mogliby go zdeptać, stratować, i nawet by tego nie zauważyli. Obejrzał się na Arifa, ale ten już odszedł. Sandor nie miał odwagi siedzieć przy drzwiach sam. Odwrócił się i podążył w ślad za mężczyzną.

Słońce zdążyło już utorować sobie drogę w głąb trzymającej upał izdebki. Jego promienie pozwalały Sandorowi dostrzec drobną figurkę pogrążonej w błogim śnie Phousity, rozciągniętej na drewnianej półce, z przytulonym do brzucha małym chłopcem.

Dziewczyna lekko uśmiechała się.

– Wstawaj, wieśniaczko! – warknął Arif, kładąc jej na ramieniu ciężką dłoń. – Zaraz południe, a pod drzwiami czekają dziesiątki klientów palących się, żeby kupić twój talent.

Otworzyła oczy. Spojrzała nieprzytomnie na Arifa, w jej wzroku czaiło się zakłopotanie. Potem przeniosła spojrzenie na Sandora i jej duże ciemne oczy rozbłysły niepokojem.

– Dobrze się czujesz tuan?

– Doskonale – zapewnił ją Sandor. Spróbował przywołać na usta uśmiech, ostatecznie jednak zerknął tylko nerwowo w stronę drzwi. – Niemniej mamy problem. Sprawy wymknęły się spod kontroli i...

Arif odwrócił się, częstując go kuksańcem. Głowa odskoczyła mu do tyłu, gorąca fala bólu rozlała się po twarzy i zabarwiła świat kolorami tęczy. Zatoczył się. Małe rączki desperacko wpiły się w jego uda, by zdecydowane nie dopuścić do upadku.

– Nie daj mu się przestraszyć – powiedział Arif, odwracając się do Phousity. – Jest tutaj paru ludzi, którzy chcieliby się z tobą spotkać. To wszystko.

Nieporadnie wygramoliła się z leża i uniosła do pozycji siedzącej. W jej oczach lśnił lęk. Sandor nie mógł na to patrzeć. Jakże chciałby jej pomóc, wesprzeć ją. Może nawet ukryć? Gdybyż tylko oboje mogli ulotnić się stąd jak widma! A potem pojawić się gdzieś po drugiej stronie słońca, w jakimś kulturalnym mieście, w którym nikt nigdy nie chodzi głodny. Czy naprawdę nie było ucieczki z tego piekła?

– To policja? – zapytała szeptem Phousita.

Arif roześmiał się głośno – drwiąco i pogardliwie. Głupia!

Głupia, głupia! – zdawał się powtarzać, sprawiając, że zawstydzona dziewczyna opuściła głowę. Widząc to, Sandor po raz pierwszy w życiu poczuł nienawiść tak silną, iż rozpałała w nim żądzę mordy. Ręce ugięły mu się w łokciach, palce zakrzywiły niczym szpony. Gdzieś w głębi gardła zrodził się przytłumiony warkot. Chwycił Arifa brutalnie za ramię i szarpnięciem odwrócił w swoją stronę.

W następnej chwili odkrył, że leży na łopatkach, bezskutecznie próbując zaczerpnąć oddech. Pod plecami czuł wijące się w desperackim odruchu ucieczki drobne ciała przyduszonych dzieci. Okolice mostka paliły go żywym ogniem. Atak Arifa był tak błyskawiczny, że Sandor dopiero po wszystkim potrafił odtworzyć przebieg zajścia. Jeden krótki cios w pierś, nie wymagający więcej wysiłku niż zabicie muchy. Wystarczający, by posłać go na deski. Jak to możliwe, żeby człowiek poruszał się tak szybko?

W dodatku, skarciwszy go w ten sposób, Arif odwrócił się obojętnie, całą uwagę przenosząc na Phousitę. Ośmieszony i poniżony, Sandor z trudem dźwignął się na kolana. Kątem oka dostrzegł, że Arif ujmuje dziewczynę za rękę.

– Moja mała, zaczarowana księżniczko, policja nie odważy się teraz ciebie tknąć – zapewnił, stawiając ją na nogi. – Chodź popatrz. Sama zobaczysz, jaka zrobiłaś się sławna.

Sandor patrzył niepewny i jeszcze zamroczony. Pragnął przeszkodzić, ale wahał się, podczas gdy Phousita torowała sobie drogę wśród dzieci. Dotarłszy do drzwi, uchyliła rąbek zasłony.

Natychmiast puściła materiał i cofnęła się, wydając z gardła cienki okrzyk przerażenia.

– Coś ty zrobił? – spytała szeptem swojego towarzysza.

Arif posłał jej szkaradne spojrzenie pełne triumfu.

– Wszystko co musiałem zrobić, to napomknąć o tobie w kilku odpowiednich miejscach. O tobie i twojej mocy uzdrawiania.

To samo zrobiła setka innych ludzi, tych, którzy widzieli cię wczoraj. Mowa leży w naturze człowieka. Do wieczora w całym Spili nie będzie ani jednej istoty, która nie słyszałaby o nowej uzdrowicielce. Stałaś się boginią.

Wyciągnął ramię i szarpnięciem zerwał wiszącą w drzwiach zasłonę. Poranek spłynął na niego niczym błogosławieństwo – żółty klown skąpany w żółtej poświacie. Dzielny i absurdalny władca niczego, pragnący wszystkiego. Teatralnym gestem podał dziewczynie rękę.

Przez tłum przebiegł narastający gwałtownie pomruk. Zbita masa ciał zafalowała, posuwając się naprzód. Była jak spragniona obecności Phousity istota, wyciągająca ku niej błagalnym gestem setki rąk. Sandor czuł bijącą od tłumu determinację, wielkie łaknienie, które atakowało jego umysł jak mnóstwo drobnych, załamujących się fal.

Phousita sprawiała wrażenie oszołomionej, jednak przyjęła podaną przez Arifa rękę.

Wszystkie dzieci były już obudzone i teraz trajkotały jedno przez drugie niczym ranne ptaszki. Popychały się i chichotały, tłoczyły wokół Phousity, ciekawie wyglądając na zewnątrz, a Sandor połapał się, że stracił dziewczynę z oczu. Jej drobna sylwetka zniknęła za parawanem dziecięcych postaci, po raz kolejny uświadamiając mu, jak niewielkiego była wzrostu. Niewiele myśląc, udał się w ślad za dziewczyną, deptając przy tym po palcach i zbierając przekleństwa, lecz nie ustając, póki nie znalazł się u jej boku. Wtedy zdecydowanym ruchem chwycił i zamknął w dłoni jej dłoń.

– Phousita?

Uniosła ku niemu twarz, w jej dużych oczach lśniło podniecenie.

– Chodź – powiedziała. – Ty i Arif będziecie musieli mnie chronić.

Przelknął stojącą w gardle kulę strachu. Nie chciał wchodzić w ten tłum, lecz nie potrafiłby jej odmówić.

Ścisnął pod pachą ramię Phousity i całą trójką postąpili naprzód.

Tłum natychmiast otoczył ich, odcinając od wejścia do baraku.

Sandor z trudem odpierał nacisk tłoczących się ciał. Zewsząd nacierały na nich zawzięte, budzące grozę twarze. Powietrze było gęste od zapachu potu, perfum i kadzidła. Ktoś popchnął

go znieca. Zatoczył się na Phousitę, walcząc o utrzymanie się na nogach. Serce waliło mu jak oszalałe, napędzane atakującą umysł paniką, która zdawała się rozlewać w otaczającej ich ciżbie.

Rozejrzał się rozpaczliwie w poszukiwaniu drogi ucieczki, ale jedyne, co ujrzał, to twarze, dziesiątki wykrzywionych determinacją, spoconych twarzy. Byli odcięci od świata, uwięzieni w popadającym w szaleństwo tłumie.

A potem, nagle, wszystko uległo zmianie. Poranne światło stało się łagodniejsze, napór tłumy dostrzegalnie zmalął. Twarze wygładziły się, jedna po drugiej przyoblekając się w uśmiech.

Sandor poczuł, jak jego własne serce zwalnia i odetchnął głęboko, pragnąc wciągnąć w płuca jak najwięcej rozpylonej przez Phousitę magii.

Widział, jak jej moc rozprzestrzenia się półkuliście w obie strony ulicy, niczym spływający na głowy tłuszczy duch pokoju.

Ludzie odprężyli się, skończyli wzajemne przepychanki. Stali spokojnie, pełni oczekiwania. Cały niepokój zniknął.

Znajdujący się bliżej Phousity, nadal starali się jej dosięgnąć.

Niezliczone palce muskały włosy i twarz dziewczyny, czepiały się fałd saronga, dotykały ciemnej skóry rąk, badały łagodne łuki ramion, lecz teraz były jak gęsta roślinność, muskały i spływały, pozwalając Phousicie bez przeszkód płynąć przez tłum.

A w miarę jak przechodziła, na twarzach ludzi zakwitała radość. Sandor poczuł, że jego usta również rozciągają się w beztróskim uśmiechu. Nie miał pojęcia, co takiego Phousita robi tym ludziom, czy rzeczywiście rozdaje uzdrawiające zaklęcia, czy też po prostu czaruje audytorium. Nie dbał o to. Ta chwila stanowiła przełom w jego życiu. Nie czuł żadnych wątpliwości, nie dręczył go strach. Mógłby tak trwać na wieki.

Widmo Kirstin krążyło na obrzeżach tłumy, obserwując wychodzącą z budynku Phousitę, eskortowaną przez znanego jej już zbirowatego kłowna oraz, młodego, wysokiego blondyna.

Natychmiast go rozpoznała. Sandor Jiang-Tibayan!

Ale przecież miał być nieżywy, zabity przez nadgorliwego oficera policji municypalnej. Poza tym Nikko przysięgał, że Sandor nie ma z tą sprawą nic wspólnego.

Skoro tak, jakim cudem znalazł się tutaj?

Poczuła gwałtowny przypływ emocji, czegoś pośredniego pomiędzy furią a dziką rozkoszą. Nikko znowu ją okłamał. Próbował ochraniać brata. Ale zrobił to całkiem bez sensu, bo oto

Sandor ujawnił się, a okoliczności, w jakich to zrobił, jednoznacznie wskazywały na jego winę.

Odezwał się Allende:

– Psy są już w drodze. Jest ich dwadzieścia, jadą ciężarówką.

Powinny dotrzeć na miejsce za jakieś trzy minuty.

Kirstin skinęła na doktora. Zeke Choy był pod wrażeniem rozgrywającej się na jego oczach sceny.

– Patrz, jak ta dziewczyna kontroluje tłum – zauważył z przejęciem. – Jak ona to robi? No jak?!

– Chodź – ponagliła go Kirstin. – Lada moment będą tutaj psy. Musimy wynieść się z tej ulicy.

– Nie.

Rzuciła mu zirytowane spojrzenie. Potem wzruszyła ramionami. W końcu, do czego był jej jeszcze potrzebny doktor Choy?

Przeniosła swój elektroniczny wzorzec do atrium jednego z nadciągających psów...

...i ruszyła klusem obok zwierzęcia, które opuściło ciężarówkę, udając się w głąb ulicy. Wielki łeb kiwał się z boku na bok, wyczulone zmysły penetrowały otoczenie. Kilkoro ludzi, którzy dostrzegli zagrożenie, czym prędzej wzięło nogi za pas.

Minęli skrzyżowanie. Kirstin wyczuła silny zapach prochu.

Pies zatrzymał się i uniósł łeb, nozdrzami smakując powietrze.

Jedną z wpadających do skrzyżowania ulic nadjeżdżała ciężarówka. Na oliwkowo-brązowym tle puszyły się drapieżne insygnia tutejszego rządu. Pies stał pojazdowi na drodze, lecz ciężarówka nie zamierzała skręcać, z rykiem silnika toczyła się prosto na niego. Kirstin zaczęła już podejrzewać, iż zwierzę zginie pod kołami, kiedy w ostatniej chwili kierowca nadepnął na hamulec.

Ciężarówka zatrzymała się z piskiem opon, zaledwie metr od tkwiącego niewzruszenie w miejscu psa.

Z tyłu zaczęli wysypywać się policjanci, wszyscy w jasnozielonych mundurach bojowych, z automatami w rękach.

Dławiąc się z oburzenia, Kirstin otworzyła kanał łączności z Allende.

– Co tutaj robią miejscowe gliny? – wrzasnęła. – Nie wiedzą, że przeprowadzamy akcję? Odwołaj ich!

Policjanci skierowali się w stronę tłumu, szerokim łukiem omijając psa, stojącego przed maską ciężarówki. Niektórzy z nich nie mogli odmówić sobie wrogiego gestu karabinem, popartego mamrotanym pod nosem przekleństwem. Jeden z nich odezwał się po angielsku:

– To nasze miasto – ostrzegł. – I to my zaprowadzamy w nim porządek.

Sandor dostrzegł w Phousicie nieoczekiwaną zmianę. Jej ciało zeszywniało. Zadarła brodę i spojrzała szybko za siebie, jej źrenice rozszerzył strach.

Podążył za jej spojrzeniem. Patrzyła na barak. Po pochyłym dachu budynku biegły z wywieszonymi jęzorami trzy policyjne psy. Ich wielkie ślepia zdawały się patrzeć prosto na niego.

Z gardła Phousity wydobył się ledwie słyszalny jęk przerażenia. Sandor niemal fizycznie odczuł przepelniający ją strach, podobnie jak wcześniej czuł w sobie jej radość. To samo dotyczyło otaczających ich ludzi. Strach przeskoczył na nich jak iskra i błyskawicznie zaczął rozprzestrzeniać się dalej, przybierając na sile oraz wymykając się wszelkiej kontroli, przeistaczając się w żywioł.

Arif próbował ratować sytuację, wykrzykując jedną po drugiej komendy, lecz jego głos tonął w powstałej nagle kakofonii dźwięków. Ogarnięci paniką, wrzeszczący bez opamiętania ludzie rzucili się do ucieczki. Ktoś upadł i został stratowany, w niebo poszybował czyjś przesywający agonálny krzyk. Wzburzona ciżba ludzka wylała się z ciasnej ulicy tak szybko, jak wysoka fala, kiedy olbrzymia masa wody przerywa tamę.

Sandor odkrył, że sam również biegnie. Ramię Phousity nadal ciasno tkwiło mu pod pachą, po jej drugiej stronie kołysała się błazeńska twarz Arifa.

– Nie! – krzyknęła przeraźliwie dziewczyna, stawiając im obu rozpaczliwy opór. – Musimy tam wrócić. Dzieci...

Ludzie mijali ich, potrącając, czasem okładając pięściami.

Pośród obszarpanych nędzarzy coraz częściej migali mundurowi.

Sandor rozpoznał odznaki policji municypalnej. Niemal nad ich głowami rozległ się odgłos strzałów. W powietrzu rozszedł się swąd spalenizny, potem ulicą przetoczyło się niskie buuum i przeciągły odgłos stłumionego grzmotu.

Phousita krzyknęła w męczarni. Zgięła się w pół i upadła na kolana. Sandor przeraził się, że została trafiona, jednak nie minęła sekunda, a dziewczyna znowu była na nogach.

– Dzieci! – krzyczała jak obłąkana. – Dzieci! Zostały w baraku!

Wyrwała im się i zawróciła, biegnąc z powrotem w górę ulicy, sama naprzeciw strumienia uciekających ludzi.

Sandor osłupiał z przerażenia. Barak zamienił się w piekło.

Wydawało mu się, że słyszy dobiegające z płonącego wnętrza słabe krzyki dzieci. Zmusił nogi, by poniosły go w ślad za Phousitą.

Biegła w stronę drzwi ich mieszkania, ale wejście zagradzała hucząca ściana ognia. Wydawało się, że w samym sercu żaru miotają się niewielkie, płonące figurki dzieci.

– Phousita!!! – wrzasnął Sandor, zdając sobie sprawę, że piekło czy nie, dziewczyna wcale nie zamierza zwolnić. Lada chwila dobiegnie do budynku i przekroczy próg.

Niewiele myśląc, rzucił się szczupakiem naprzód i chwycił Phousitę za kostki u nóg. Przewróciła się na ulicę, ledwie metr od lizących powietrze płomieni. Wbiła palce w nawierzchnię, jej ciało wiło się i ciskało, kiedy mimo zakleszczonych na kostkach dłoni Sandora usiłowała wczołgać się w ogień.

– Dzieciaki – zawyła. – W środku zostały dzieciaki!

Czynił wysiłki, żeby podciągnąć się do niej. Czuł, jak jego paznokcie wnikają w jej ciało. Buszujące o metr płomienie, zaczęły osmalać mu włosy.

– Phousita – błagał. – Phousita, proszę!

Cisnęła w niego zakłębieniem. Niczym groźnym, zwykłym wirusem behawioralnym, wiedział to, ale poczuł się jakby kula trafiła go prosto między oczy. W jego wnętrzu z ogromną siłą eksplodowała rozpacz. Jej rozpacz. Zawładnęła całym jego systemem nerwowym, na chwilę zatrzymała serce. Załkał i przewrócił się na bok. Miał wrażenie, że ogień wygina się nad nim w rozżarzony łuk. Pograżony w zachwycie, zapatrzył się weń, niby w rozpalone do białości objawienie najwyższej prawdy.

A potem wszystko minęło. W miejsce ognistego łuku pojawił się łypiący złowrogo glina. Na żebrach leżącego chłopaka wylądował wielki, policyjny bucior, trzasnęły łamane kości. Sandor krzyknął i zwinął się w pół. Następny kopniak trafił go w plecy.

Napiął mięśnie w oczekiwaniu kolejnego ciosu, lecz ten nie nastąpił. Zamiast tego pojawiły się dłonie Arifa, który szarpnięciem postawił go na nogi i pchnął w dół ulicy, odsuwając od ognia.

Nie pamiętał momentu upadku. Ocknął się, leżąc w pyłe ulicznym i spoglądając w nieruchomą, zalaną krwią twarz gliniarza, którego zielony mundur zwisał w strzępach,

a dumną, miedzianą odznakę znaczyły rozgałęzione strużki krwi. Na policzkach czuł poklepywanie kojących dłoni Phousity, w uszach szemrał mu jej melodyjny głos:

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam – zawodziła raz po raz histerycznie, jakby znajdowała się w transie.

Obrócił głowę, żeby na nią spojrzeć. Słyszał, jak w klatce piersiowej trą o siebie połamane kości, ale nie czuł bólu.

Ujrawszy twarz dziewczyny, głośno wciągnął powietrze. Jej skóra była spieczona do czerwoności, na czole i policzkach pojawiły się rozległe pęcherze. Uniósł się, żeby usiąść, Phousita skrzętnie mu w tym pomogła. W chwilę potem pojawił się przy nich Arif i ponagłał Sandora, by wstał. Przy ich pomocy jakoś udało mu się tego dokonać, choć z każdym oddechem słyszał dobiegające z płuc bulgotanie. Wciąż nie czuł nawet śladu bólu.

Jeśli nie liczyć zaścielających ulicę ciał, w okolicy było pusto.

Wśród trupów, zdeptanych przez tłum, widniały ciała psów.

Sandor naliczył ich co najmniej piętnaście. Nie wszystkie były nieruchome, niektóre z nich sapały, ich łapy kurczyły się i drgały jak u zwierząt, które zapadły w sen.

Ponaglany przez Arifa, zrobił chwiejny krok naprzód. Potem następny. Nogi uginały się pod nim, płuca wydawały się dziwnie pełne i ciężkie. W pewnej chwili chwycił go atak kaszlu. Splunął wezbraną w ustach krwią, lecz nadal jego ciało nie wysyłało żadnych sygnałów bólu.

Nagle dopadł go zawrót głowy, roześmiał się głośno. Nogi ostatecznie odmówiły mu posłuszeństwa i osunął się na kolana.

Nad jego głową rozpętała się kłótnia:

– Trzeba go zostawić! – powiedział Arif. – On umiera.

– Ale ja mogę go uleczyć!

– Nie ma na to czasu, ty wiejska kretynko! – głos Arifa był podniesiony, przepelniała go wściekłość. – Twoje sztuczki na chwilę odstraszyły gliny, ale tylko patrzeć, jak będą z powrotem.

Tym razem uzbrojeni po zęby. Musisz uciekać. Musisz ukryć się przed nimi.

Głos mężczyzny załamał się, teraz słysząc było w nim łzy.

Błagał:

– Phousita, proszę, nie pozwól, żeby cię dostali. Tylko ty mi zostałeś. Tylko ty.

– Ale mogłabym go wyleczyć. Mogłabym.

Sandor mrugnął i odkrył, że policzkiem dotyka brudnej nawierzchni ulicy. Zagapił się na

płonący barak. Wypalony dach zapadł się do środka, ogień zaczął rozprzestrzeniać się na okoliczne budynki.

Wtedy Phousita pochyliła się nad nim. I tam, na poduszce z ulicznego pyłu, poczuł na wargach jej wargi. Jej język wypełnił mu usta. W chwilę potem kolejny raz tego dnia w mózgu eksplodowało mu jej błogosławieństwo.

– Jeszcze do mnie powrócisz – przysięgła. – Jeszcze powrócisz.

Potem odeszła.

A on nadal nie czuł bólu.

ROZDZIAŁ 15

Przez miasto przetaczała się fala ognia, powietrze było ciężkie od czarnego, gryzącego w gardło, trującego dymu. Helikoptery rozsiewały płomienie, gdzie popadło. Widmo Nikko, nie zważając na powietrzny atak, przemieszczało się w kierunku brzegu rzeki.

Muł prowadził je przez świeże ruiny zabudowań i nadpalone drzewa figowe w pobliże wody, gdzie na niewielkiej przestrzeni schroniły się tysiące wystraszonych mieszkańców Spili.

Nikko wzdrygnął się pod wpływem smrodu, będącego mieszanką dymu, odoru uryny oraz wywołującej mdłości, woni spalonych włosów i skóry. Skulił się i spróbował odciąć od otoczenia, smrodu i szarpiących nerwy jęków, zawodzeń i wrzasków. Narastała w nim wściekłość.

Nienawidził tego miejsca! Na Miłość i Naturę, jak on nienawidził tego miejsca. Kiedy kucnął nad samą rzeką, niewidzialny dla wszystkich z wyjątkiem opasłego, łysego, brudnego łajdaka, którego wynajął na muła, po raz pierwszy uświadomił sobie, że może już nigdy nie wydostanie się ze Spili. Kirstin na pewno zdążyła już ustawić filtry Bram w taki sposób, że zareagują na jego próbę przekroczenia granicy. Nie będzie mógł przeskoczyć siecią do Zamku. Będzie zmuszony wynająć muła z nie zarejestrowanym atrium, który przeniesie go do Zamku Cesarską Autostradą.

Tylko jak zapłaci za taką usługę? Gdyby próbował pobrać pieniądze ze swoich kont, Kirstin natychmiast wpadłaby na jego trop.

Prześledziłaby transakcję i dotarła do samego źródła.

Opadł na ziemię. Nie potrafił postawić tamy negatywnym emocjom. Najgorsze, że całe poświęcenie poszło na marne – nawet nie wpadł na ślad Sandora! Spędził w tym strasznym miejscu wiele godzin, goniąc za pogłoskami, nie sprawdzonymi plotkami, jedną bardziej absurdalną od drugiej. O, tak, Sandora widziały tysiące ludzi. Nie, nie mieli pojęcia, gdzie jest teraz.

Mówili o wiedźmie. Twierdzili, że zajęła się Sandorem po tym, jak uciekł policji. Podobno zabrała go do Nieba.

Może i zabrała, pomyślał Nikko. Tylko gdzie jest to Niebo?

Po sieci dotarła do niego wiadomość. Był to głos Marevic, nagrany i odtwarzany, co oznaczało, że Marevic nie życzyła sobie dwustronnego połączenia.

„Nikko, blisko dwie godziny temu, Sandor został pojmany w Spili przez policję Wspólnoty. Przetransportowano go na Zamek, gdzie oczekuje na proces. Będę go bronić osobiście. Jeśli złożysz zeznania, powinno być dobrze.

Bardziej martwię się o ciebie. Za schwywanie twoich widm wyznaczono całkiem sporą nagrodę, na Bramach filtry będą wychwytywać twój wzorzec. Nie wydostaniesz się z Sunda, chyba że jakoś cię przesznujemy.

Są jednak i dobre wieści. Nasz zespół bezpieczeństwa chyba zlokalizował struktor Bohra. Według policyjnego raportu, została nim zainfekowana młoda wiedźma, której imię brzmi Phousita.

Policja zacieśnia krąg pościgu, ale jak dotąd dziewczyna skutecznie im się wymyka.

Być może łatwiej będzie znaleźć człowieka, który jej towarzyszy. Nazywa się Arif. Kiedyś był niewolnikiem i nadal posiada nielegalne atrium. Niewolnicze atrium, Nikko. Mógłbyś go wykorzystać, kontrolować przez atrium, a za jego pośrednictwem – kontrolować dziewczynę. W posiadłości jego poprzedniego pana kupiłam adres tego atrium. Przekazuję ci go”.

Phousita schroniła się z Arifem w północnej części miasta, w metalowej rurze biegnącej pod ulicą. Dnem płynął jaskrawozielony strumyk, znad którego unosiły się tak trujące opary, że nawet okoliczni żebracy unikali tego kanału.

Kucnęła na śliskim, zaokrąglonym dnie, próbując utrzymać stopy z dala od kolorowej cieczy. Czuli się jak drzewo odarte z liści przez potężny tajfun, z korzeniami wydarte z gleby, uniesione w powietrze i teraz spadające, spadające, wciąż spadające za krawędź świata. Pod jej powiekami bez przerwy tańczyły języki ognia. Z zaświatów docierały do niej żałosne jęki dzieci, Sumiati i jej nie narodzonego dzieciątka, Sri, Maman, Pietera i innych.

I Sandora.

Porzuciła Sandora na pastwę policji.

Mogła go ocalić. Mogła ocalić wszystkich. Jej zaklęcia powaliły policyjne psy, zsyłając na te bestie nieszkodliwy, głęboki sen.

Jej zaklęcia mogły tak samo wpłynąć na policjanta, który wzniecił ogień. Gdyby tylko była wystarczająco czujna i w porę go dojrzała, gdyby tylko mniej zaangażowała się w ceremonię uzdrawiania, gdyby tylko nie była tak powolna i głupia, gdyby lepiej wykorzystywała moce czarownika, mogła uratować wszystkich.

Arif usiadł naprzeciw niej, po drugiej stronie zielonego strumyka. Przyciągnął kolana do

piersi i spuścił głowę. Jego ciałem wstrząsały spazmy.

Nienawidził jej. Czuła żar jego wrogości, jak jeszcze jeden jasny, trawiący zmysły płomień.

Chciała go pocieszyć, ale ostrzegł ją, żeby go nie dotykała swymi zakłęciami. Nie śmiała sprzeciwić się jego woli. Teraz już w ogóle nie chciał z nią rozmawiać.

Dokuczał jej głód. Oparła się o zakrzywioną ścianę kanału, cały czas walcząc o utrzymanie równowagi, by nie zsunąć się do zielonej cieczy. Głód, głód... Była bliska omdlenia z jego powodu. Złościło ją, że w takiej chwili może myśleć o jedzeniu. Duch czarownika ponownie rządził jej ciałem, jak pierwszej nocy, kiedy wyciągnęła Arifa do hotelu. Jak długo wytrzyma, nim znowu go tam zaciągnie?

Arif nagle zeszywniał. Z lękiem patrzyła, jak mężczyzna wstaje. Kanał był na tyle niski, że nie mógł się wyprostować.

Pochylił się nad strumykiem i utkwił w dziewczynie badawcze spojrzenie fioletowych oczu, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

Serce zabiło jej żywiej. Podskoczyła na równe nogi, gotowa rzucić się do ucieczki.

– Ty... jesteś... Phousita? – powiedział po angielsku, drętwo, jakby ktoś zmuszał go do mówienia. – Ty... jesteś... Phousita?

Dziewczyna jęknęła i ruszyła do wylotu kanału.

– Nie! Czekaj! Nie... uciekaj! – Z powrotem usiadł na dnie kanału, nienaturalnie sztywny. – Widzisz? Nie chcę cię skrzywdzić. Pragnę ci pomóc. Wskażę ci bezpieczne miejsce.

– Kim jesteś? – burknęła, ponieważ było dla niej jasne, że ciało Arifa zostało nawiedzone przez ducha, zupełnie jak tamtej nocy, dawno temu, kiedy się poznali. Arif bał się duchów. Jego pan używał ich, żeby go kontrolować.

– Przepraszam, że przychodzę do ciebie w taki sposób. Przykro mi, że straszę twojego przyjaciela, ale nie było innego sposobu. – Usta Arifa poruszały się, ale to nie on wypowiadał słowa.

– Ty jesteś Phousita? – zapytał jeszcze raz.

Niepewnie kiwnęła głową. Nie potrafiła wysondować materii ducha, jednak jego słowa były uprzejme, inne niż te, które usłyszała od ducha zatrudnianego przez dawnego pana Arifa.

– Mam na imię Nikko.

Phousita aż podskoczyła.

– Nikko? – Penetrując wspomnienia Sandora, natknęła się na postać jego duchowego brata

o tym imieniu. – Należysz do Sandora? To on ciebie przysłał?

Arif pochylił się do przodu.

– Więc jednak to ty z nim byłaś. Aresztowano go, ale nic mu nie będzie.

– Zabrali go.

– Zabrali go na Zamek. – Duch mówił teraz płynniej, z większą swobodą. – Nie złamał prawa, więc nic mu nie zrobią.

Ale z tobą policja nie obeszlaby się tak łagodnie. Musisz uciekać z Sunda.

Miałaby opuścić miasto? Sandor sugerował to samo, ale jeszcze wczoraj mogła tylko marzyć o wyjeździe. Tu było jej miejsce.

Duch starej kobiety odwiedził ją, żeby jej o tym przypomnieć. Za życia stara kobieta dbała o nią, nie prosząc o nic w zamian.

Dziewczyna czuła, że powinna wziąć z niej przykład, służyć ludziom z tym samym oddaniem. W przeciwnym razie, po co miałaby otrzymywać tak wspaniały, potężny dar? Jednak po tym, co stało się dzisiaj...

Brat Nikko musiał wiedzieć, iż nie jest godna korzystać z daru czarownika.

– Teraz mogę ukryć się przed policją – stwierdziła. – Uczę się powoli, ale zły czarownik jest bardzo potężny. Uczy mnie lepszych sposobów ukrywania się i tego, jak zmiękczać serca policjantów. Poprawię się. Obiecuję. To, co stało się dzisiaj, nigdy już się nie powtórzy. Postaram się. Poświęcę wszystko dla tych, którzy mnie potrzebują...

Brat Nikko pokręcił przecząco bianiastą, żółtą głową.

– Nie zrozumiałaś. Policja na pewno cię odszuka. Kiedy już będą wiedzieć, gdzie jesteś, znajdą sposób, żeby cię dopaść. Nie dadzą się zwieść twoim zaklęciom.

Przysunął się do niej, nie spuszczać z niej spojrzenia fioletowych oczu.

– Phousita, słyszałem, co mówią ludzie. Twierdzą, że jesteś uzdrowicielką i otrzymałaś błogosławieństwo niezwykle potężnych mocy. Rzecz w tym, że moce mogą być potężne, lecz nie są błogosławieństwem. Są przekleństwem. Sprowadzą policję Wspólnoty na ciebie i wszystkich, którzy będą z tobą. Chyba że uciekniesz. A to, co zdarzyło się dzisiaj, może powtórzyć się w każdej chwili. Phousita, nie pozwól, aby z twojego powodu zginęło więcej ludzi. Zaufaj mi, złóż swój los w moje ręce i pozwól, żebym cię ukrył. Nie ma innej drogi.

Nagle uświadomiła sobie, że słowa brata Nikko są jak echo tego, co mówił Sandor. Ostrzegali ją przed policją, ale nie posłuchała. Zginęły przez nią dzieci. Z jej winy. Duma nie pozwoliła jej

skorzystać z dobrej rady.

Tym razem pokłoniła się z pokorą.

– Dokąd mnie zabierzesz? – zapytała potulnie.

– Do Domu Lata.

Uniosła głowę.

– Gościłam tam w swoich wizjach – wyszeptała z bijącym sercem. – Widziałam je oczami Sandora. To Niebo... Prawda?

Nikko przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć. Potem kiwnął głową.

– Można tak powiedzieć.

Kilka minut później nad kanałem zatrzymał się samochód.

Nikko wyprowadził dziewczynę i razem wsiedli do auta. Za kierownicą siedziała młoda, ciemnowłosa kobieta. Spojrzała badawczo na groteskową twarz Arifa, po czym zajęła się prowadzeniem samochodu. Mniej więcej po dwudziestu minutach wjechali na rampę słabo oświetlonego garażu. Tu czekała na nich jeszcze jedna kobieta. Wręczyła Nikko suknię i zasłonę na twarz, powszechnie używaną przez Arabki, pomogła mu się ubrać. Wszyscy wysiedli z samochodu i udali się do windy. Phousita ledwo trzymała się na nogach, tak silny odczuwała głód. Winda przejechała kilka pięter. Kiedy stanęła, drzwi otworzyły się, ukazując wnętrze prawdziwego pałacu. Dziewczynie zaoferowano kąpiel, wspaniałe ubrania, półmiski pełne smakołyków.

Nikko wydawał rozkazy przedmiotowi, który wyglądał jak wijąca się kobra ze szklaną głową. Nazywał go kamerą. Przedmiot nie spuszczał z dziewczyny swego oka, kiedy Nikko zadawał jej jedno pytanie za drugim.

Opowiedziała o złym czarowniku, o Sandorze, o tym, jak nauczyła się ukrywać siebie i Arifa przed policyjnymi psami. To ostatnie wyraźnie go rozbawiło. Zapytał, czy mogłaby ponownie zmienić ich oboje. Spełniła tę prośbę, po czym wzięła jeszcze jedną kąpiel i zjadła następną porcję smakołyków.

Wróciły jej siły, zmysły jakby przebudziły się ze snu. Znowu wyczuwała obecność Arifa. Jego świadomość była uwięziona, stał się niewolnikiem we własnym ciele. Był przerażony, wściekły i bezradny. Zobaczyła siebie jego oczyma, odczuła piekący ból oskarżenia o zdradę.

– Musisz go uwolnić! – powiedziała stanowczo do Nikko.

– Nie. Jest mi potrzebny. Jego atrium nie jest zarejestrowane, policja może je przeoczyć.

– Ale...

– Nie! Nie zrobię mu krzywdy. Jednak muszę robić to, co robię.

Udała, że zapada w sen. Miała zamknięte oczy, ale użyła swych nowych talentów, aby zbadać Nikko. Wciąż nie wyczuwała śladu jego obecności. Dopiero po dłuższej chwili zlokalizowała w głowie Arifa włókniste tkanki, gdzie gnieździł się duch. Zostawiła tam kilku malutkich służących, żeby obserwowali i uczyli się.

Nikko niczego nie zauważył. Od jednej z kobiet wziął strzykawkę z igłą.

– Jeżeli masz przejść kontrolę jako obywatelka Wspólnoty – rzekł – musisz mieć chip identyfikacyjny.

Wstrzyknął coś Phousicie pod skórę i gorąco poprosił, aby zostawiła to tak, jak jest, bez żadnych zmian.

Później oboje założyli szaty i turbany typowe dla kobiet ściśle przestrzegających zasad Islamu. Baloniasta twarz Arifa zniknęła za woalką, widać było tylko fioletowe oczy.

– Gdyby ktoś pytał – poinstruował Nikko – jadę Autostradą Cesarską na kurację.

Wyjechali windą na dach budynku, w chłodną, czarną noc.

Weszli na pokład śmigłowca i kiedy maszyna poderwała się w górę, Phousita mogła podziwiać różnobarwne, jasne światła miasta. Widziała cudowne świetlne wieże, brylantowe szpice i strzelające w niebo złote kolumny, wijące się u podstaw wież białe potoki ruchomych świetlików. Poczula się obco. Naprawdę patrzyła na miasto, w którym przeżyła całe dotychczasowe życie?

Jak to możliwe? Przecież noce w Spili zawsze były tak mroczne.

Kilka godzin później stała w innym oknie i łowiła oczyma inny widok. Drżała na całym ciele, pochłonięta przez uczucia graniczące z lękiem i niemym zachwytem. Patrzyła na świat. Cały świat.

Tak nazwał go brat Nikko. Świat.

Przyciskała otwarte dłonie i czoło do zimnej powierzchni przeszklonej ściany. Ogromne miasto, które opuścili godzinę temu, zniknęło w przepastnej wizji, skurczyło się do rozmiarów ziarenka piasku. Kraina, która z lecącego nad nią helikoptera wydawała się rozległa, teraz robiła wrażenie tak drobnej, że Phousita mogłaby zmieścić ją w stulonych dłoniach. Olbrzymie kompleksy chmur były zaledwie kłaczkami białego jedwabiu, spletanego przez kapryśny wiatr. Oceany, nieregularne plamy czystego błękitu, wciąż wzbudzały szacunek. Tylko one

pozostawały gigantyczne, niezmierzone.

– To takie piękne – szepnęła. – Takie piękne.

Nieśmiało zerknęła na Nikko. Od chwili rozpoczęcia podróży Cesarską Autostradą, duch prawie się nie odzywał.

Przez całe życie słyszała o Autostradzie i nigdy nic z tego nie rozumiała. Cesarska Autostrada była dla niej legendą, zmyśloną historią, jakich wiele opowiadała nocami stara kobieta, kiedy dawno, dawno temu odwracała uwagę małej dziewczynki od czyhających w ciemności strachów i dokuczliwego głodu. A teraz, proszę, była pasażerką tej dziwnej windy, która wspinała się coraz wyżej i wyżej magicznym szlakiem, rozciągającym się między światem i niebem.

Razem z Nikko była zakwaterowana w bezpiecznej, prywatnej kabinie z dwoma ogromnymi łózkami, kuchnią i zestawem do odbioru telewizji. Phousita czuła się jednocześnie obco i wspaniale. Wiedziała, że jest to tylko jeden pokój, spośród setek podobnych, w windzie rozmiarów wielopiętrowego budynku.

Nikko siedział ze skrzyżowanymi nogami na dywanie i bez słowa wyglądał przez przeszkloną ścianę. Zdjął kobiece łaszki.

Miał na sobie obcisłe szorty i uprząż kamery... zawieszoną na barkach Arifa. Oko kamery wpatrywało się w dziewczynę.

Kiedy przechodzili przez Bramę w porcie, duch był zdenerwowany. Terminal był zatłoczony. Brama przeskanowała identyfikatory i sprawdziła, czy nie przenoszą nielegalnych substancji.

Nikko powiedział, że czasem policja potrzebuje kilku dni, żeby zanalizować skany. Będzie wiedział, że im się udało, gdy przejdą przez drugą Bramę na szczycie Autostrady. Na razie mogą się odprężyć.

Phousita podeszła do łóżka i ostrożnie usiadła na jego brzegu.

Było miękkie i bardzo wygodne, lecz wzbudzało niemiłe skojarzenia. Czuła się, jakby zamykały się wokół niej ściany pułapki.

Wstała z posłania i wróciła do okna, zajmując na dywanie miejsce obok Nikko. Spojrzał na nią fioletowymi oczami Arifa.

Czuła pulsujący strach Arifa. Zaczynała rozumieć istotę funkcjonowania niewolniczego atrium, ponieważ miała porównanie z atrium Zeke Choya. Odkryła, że potrafi z detalami odtworzyć budowę atrium chińskiego lekarza, mimo że kiedy widzieli się po raz ostatni, w jego

sklepie, nie była nawet świadoma istnienia tego dziwnego tworu. Zapewne jeden z malutkich służących Phousity poznał budowę urządzenia i przyniósł jej tę wiedzę.

Wyglądało na to, że Nikko nadal się nie połapał, że jest pod baczłą obserwacją niewidzialnych czujników.

– W Spili mawiają – powiedziała, ogarniając wzrokiem świat pod nimi – że jeśli prowadzisz dobre życie, dajesz dużo z siebie innym, po śmierci twoja dusza pojedzie Autostradą do Nieba.

Po chwili ciszy Nikko nawiązał do tych słów, mówiąc:

– To by się zgadzało, ja chyba umarłem. Tak sędzę. Oczywiście, Marevic nie powie mi prawdy, ale mam takie przeczucie.

Dwie i pół doby później byli już w pobliżu Zamku. W trakcie podróży doszło do zamiany kierunków, dół był teraz tam, gdzie góra, i odwrotnie. Od pewnego czasu winda nie wznosiła się, ale ześlizgiwała w stronę górzystej świątyni z białego kamienia, której wzniesienia były najeżone zawiłą kompozycją, złożoną z masztów, wież i wieżyczek, pomiędzy którymi wiły się parki i ogrody, przypominające Phousicie wartką, zieloną rzekę roślinności. Miasto otaczał przezroczysty bąbel. Winda przeniknęła do jego wnętrza, okno zaszło mgłą. Po kilku sekundach byli już po drugiej stronie, opadając wśród wież miast w kierunku stacji końcowej, zlokalizowanej w samym środku gigantycznego, okrągłego placu, otoczonego przez wysokie, żywe drzewa. Pod osłoną ich splecionych gałęzi i rozłożystych koron stali ludzie.

Winda niezauważalnie dotknęła gruntu. Phousita eksperymentalnie podskoczyła. W trakcie całej podróży czuła, jak stopniowo robi się coraz lżejsza, coraz łatwiej przychodzi jej odbicie się od podłogi. W pewnym momencie nawet unosiła się nad podłogą.

Ani na chwilę nie opuszczało jej wrażenie, iż u ramion wyrosły niewidzialne skrzydła, bezustannie, z każdym krokiem wynoszące ją pod sufit. Zupełnie jakby ubywało jej ciała i w tej podróży między Ziemią i Niebem stawała się istotą coraz bardziej duchową, a mniej materialną.

Kabinowy komunikator ostrzegł, że mają pół godziny na opuszczenie windy. Po tym czasie winda zostanie przesunięta na tor powrotny i przyjmie na pokład pasażerów udających się na Ziemię.

Nikko krótko polecił Phousicie, by założyła islamskie przebranie. Sam uczynił podobnie. Na koniec spakował kamerę do małej, poręcznej torby i wyszli z kabiny.

Wąski korytarz wypełniali śpieszący do wyjścia podróżni. Szli gęsiego, trzymając się poręczy. Drzwi na końcu korytarza otwierały się bezpośrednio na wielopoziomowy terminal

przyłotów.

Przejście było tutaj nieco szersze od korytarza windy. Miły kobiecy głos dobiegający z głośników pod sufitem doradzał, jak poruszać się w warunkach bliskich stanu nieważkości.

– Oto Brama Zamku – powiedział Nikko przyciszonym głosem, wskazując kiwnięciem głowy na czarny łuk w końcu korytarza.

Złapał dziewczynę za rękę i ścisnął boleśnie. Wyczuwała jego strach. Tym razem był to jego strach, nie Arifa. Z każdą godziną coraz lepiej kontrolował ciało. Stawał się jego panem. Arif powoli zniknął.

Zmówiła cichą modlitwę za Arifa, żeby się trzymał. Nawet teraz jej mali służący pracowali nad jego atrium, przekształcając je tak, aby przypominało atrium Zeke Choya. Niedługo Arif będzie w stanie wyrzucić Nikko, a wtedy ona przejmie widmo do swojej głowy. Jej atrium powinno być już wtedy gotowe.

Spojrzała przed siebie, na Bramę. Był to długi na dwa i pół metra tunel z czarnej substancji, wąski, ale dobrze oświetlony.

Stewardzi stojący przed wejściem instruowali ludzi, aby wchodzili do niego pojedynczo. Phousita słyszała wesołe uwagi poprzedzających ją pasażerów. Dowcipkowali, jak by to było, gdyby zwinęła ich policja. A zaraz potem przyszła kolej na Nikko.

Jeszcze silniej zacisnął śliską od potu dłoń na jej dłoni. Na moment puścił ją i przeszedł przez tunel. Szybko ruszyła za nim i w następnej sekundzie znajdowali się już po drugiej stronie, zjeżdżając ruchomymi schodami na plac pod otwartym niebem, który przed kilkoma minutami obserwowała z okien windy. Plac przecinała delikatna siatka cieni, rzucanych przez splecione gałęzie drzew.

W zasięgu wzroku nie było ani jednego policjanta. Ani jednego.

Phousita roześmiała się z ulgą. Chciała uściskać Nikko, lecz on nie był w nastroju do wybuchów radości.

– Jeszcze nie czas świętować – burknął.

Uśmiechnęła się do niego ciepło. Rozumiała jego strach, ale go nie podzielała. Strach wydawał jej się całkowicie zbyteczny.

Czego tu się bać? Przecież już nie żyła. Zginęła tam, w Spili, razem ze spalonymi żywcem dziećmi. Jej świat zawalił się jak domek z kart. Teraz była duchem i znajdowała się w połowie drogi do Nieba, radując się jasnym dniem i świeżym powietrzem tego miasta.

Z podziemnego tunelu wyskoczyła pusta ławka i podpłynęła do nich, poruszając się kilka centymetrów nad powierzchnią placu, utrzymywana w górze przez poduszkę powietrza. Wyglądało na to, że zaprasza ich do dalszej podróży. Phousita patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Nikko złapał ją za łokieć i pociągnął.

– Siadaj.

Posłuchała go bez słowa sprzeciwu.

– Dokąd? – zapytała ławka.

– Stacja końcowa Złote Skrzydło.

Siedzieli ramię przy ramieniu, podczas gdy ławka niosła ich przez plac. Dziewczyna kurczowo chwyciła brzeg ławki i wierciła się, próbując obejrzeć wszystkich mijanych ludzi, ubranych w barwne szaty, podróżujących na latających ławkach lub fotelach i znikających w jasnych alejach pod otwartym niebem lub w ciemnych tunelach, których wyloty znajdowały się w białej powierzchni placu. Ptaki, równie barwne jak ludzie, kluczyły między gałęziami, napelniając powietrze swymi lekko ochryplymi trelami. Girlandy białych, żółtych i purpurowych kwiatów nasycaly powietrze urzekającymi zapachami. Phousita zadarła głowę. Nad linią gałęzi i kwiatów dojrzała białe, wysokie budynki miasta z ich wiszącymi ogrodami, a dalej czarny jak smoła szyb windy. Niebo miało ciemnogrnatowy kolor, na obrzeżach pola widzenia błyszczało kilka bladych gwiazd, a dokładnie w zenicie majaczył ciemny krąg, rozświetlony z jednej strony przez szeroki błękitny półksiężyc, lekko podbarwiony bielą. Zdała sobie sprawę, że patrzy na świat. Po gwiazdach poznała, że zapadł już zmierzch, a jednak w sercu miasta wciąż panował jasny dzień.

Nagle ławka opadła w dół. Dziewczyna pisnęła, gdy niespodziewanie zostali odcięci od dziennego światła. Poruszali się teraz tunelem. Kilka minut później ławka wleciała na skraj niedużego hallu, z brązowym dywanem na podłodze i trzema rzędami obitych materiałem krzeseł. Po drugiej stronie pokoju znajdowało się okno z widokiem na oddaloną zaledwie o kilka metrów ścianę z szarego metalu.

– Phousita, oto nasz statek – powiedział Nikko, wskazując na okno.

Hali był pusty. Ławka poniosła ich nad brązowym dywanem do metalowych drzwi. Nikko kazał dziewczynie wstać.

W ścianie blisko drzwi tkwił panel alfanumerycznego zamka.

Nikko wystukał kod, drzwi syknęły i majestatycznie rozsunęły się, pokazując, że tworzące je

plyty dorównują grubością przedramieniu ręki Phousity. Dziewczyna zobaczyła krótki korytarz z poręczami, prowadzący do obficie umeblowanego pokoju.

– Dom, ukochany dom – mruknął Nikko.

Pociągnął Phousitę za próg, ale dziewczyna niespodziewanie stawiała opór.

Powrócił do niej jeden z mikroskopijnych służących. Skąd?

Jeszcze w Spili, Nikko zabronił jej wypuszczać służących dopóki nie znajdą się daleko poza zasięgiem policji. Posłuchała go. Teraz służący unosili się w powietrzu niczym niesiony wiatrem kurz.

– Dalej – burknął Nikko. – Statek czeka. Musimy lecieć.

– Ale tutaj jest Sandor.

– Oczywiście, że jest. Przecież powiedziałem ci, że gliny zabrały go do Zamku.

Znowu próbował ją pociągnąć za próg, ale ponownie przeciwstawiła się.

– Nie! Muszę go znaleźć! Obiecałam mu to.

– Zostaw go w spokoju! Im dalej trzymasz się od niego, tym jest bezpieczniejszy.

– Nieprawda! – zaprzeczyła, gwałtownie kręcąc głową.

Próbowała wyłowić jakąś informację z napływających danych. – Czuję coś przeciwnego. On boi się. Jest przekonany, że wkrótce umrze. Proces... Nie poszedł po jego myśli.

Nikko zdrewniał. Puścił jej rękę i odsunął się. Potem odwrócił się, chwycił poręcz i pobiegł do wnętrza statku.

Phousita poszła za nim do salonu. Byli sami. I nikt więcej nie wejdzie na pokład statku, który miał być kierowany przez komputer.

Nikko pochylił się nad konsolą, wbudowaną w drewniane biurko, ustawione pod jedną z bocznych ścian salonu. Kiedy stanęła za jego plecami, kończył wydawać rozkazy. Dotknęła swą drobną dłonią szerokich pleców mężczyzny. Drgnął.

– Miałaś rację – rzekł głosem wypranym z emocji. – Sąd uznał Sandora za winnego spiskowania i współudziału w kradzieży struktora Bohra. – Odwrócił się do dziewczyny i spojrzał jej prosto w oczy, jakby szukał w nich odpowiedzi na dręczące go pytanie. – Ale przecież on jest niewinny. Policja musi o tym wiedzieć.

– Może chcą cię wypłoszyć z ukrycia – zauważyła Phousita.

Po namyśle kiwnął głową.

– Chyba tak. Pewnie o to im chodzi.

– Nie daj się sprowokować. – Położyła dłoń na jego rękę, jakby chciała go przekonać, aby został na miejscu. – Zaczekaj tu kilka minut. Sytuacja może ulec zmianie.

ROZDZIAŁ 16

Sandor siedział skurczony w rogu łóżka, w pozbawionej okien celi na Zamku. Oddychał płytko, łapiąc powietrze otwartymi ustami. Gapił się na ściany. Były obite jasnoszarym pluszem i sprawiały wrażenie solidnych. Podciągnął nogi bliżej piersi.

Zabolało. Bolało, kiedy się poruszał, bolało, kiedy oddychał.

Lekarka, która złożyła mu wizytę, powiedziała, że ma połamane żebra. Ostre końce kości przebiły oba płuca. Tam, w Spili, byłby już martwy.

Przesunął się, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję, lecz w niemal zerowej grawitacji zdziałał jedynie tyle, że odsunął się od ściany. Ostatnie wspomnienie z czasu poprzedzającego ocknięcie się w celi dotyczyło cudownego stanu łaski, jaki spłynął na niego, gdy leżał w pyle u stóp Phousity. Nie miał pojęcia, czy od tamtej chwili dzieliły go dni, czy godziny.

Drzwi celi rozsunęły się. Do niewielkiego pokoiku wśliznęły się dwa psy. Ich łapy szurały po podłodze, ani na chwilę nie traciły z nią kontaktu, mimowolnie nasuwając Sandorowi myśl, że od urodzenia chowały się w niskiej grawitacji. Jeden z psów zajął posterunek przy drzwiach, drugi ślizgiem skierował się w stronę więźnia i niczym stęskniony psiak przysunął swój odrażający łeb do jego twarzy. Chcąc uniknąć buchającego z jego nozdrzy gorącego powietrza, Sandor spróbował wykręcić głowę w bok, ale powstrzymał go przeszywający ból.

W ślad za psami wkroczyła umundurowana policjantka. Zatrzymała się chwilę w progu, lustrując mężczyznę oczami koloru miodu. Jej włosy były długie, gęste i kręcone, miały barwę miedzi.

Przed zsunięciem na twarz powstrzymywała je przewiązana na wysokości czoła czarna przepaska, niejasno przywodząca na myśl styl afrykański. Oczywiście, Sandor rozpoznał przybyłą. Tę twarz rozpoznałaby większość obywateli Wspólnoty. Przed nim stała Kirstin Adair, naczelnik policji.

Podeszła do łóżka i przysiadła na jego skraju, ani razu nie spuszczać oczu z twarzy Sandora, jakby był wystawionym na pokaz eksponatem, a nie żywą, świadomą istotą. Serce waliło mu jak młotem. Płuca paliły żywym ogniem.

– Znałam Nikko, twój brata – powiedziała. – Byliśmy z sobą bardzo blisko...

– Lekarka mówiła, że Nikko nie żyje. Czy to prawda? – wychrypiął w odpowiedzi.

Skinęła głową.

– To prawda. Nie ma już nawet jego widm.

Sandor wspomniał widmo Nikko, które towarzyszyło mu podczas podróży do Sunda, wymazane przez kem-wand tamtejszej policji. To była jego wina. Gdyby posłuchał rady Nikko i nie ruszał się z terminalu, może wszystko potoczyłoby się inaczej. Może policja municypalna nie przyczepiłaby się do niego i...

– Dlaczego pozwoliłeś Nikko wciągnąć się w to gówno?

Zamrugnął i zogniskował spojrzenie na twarzy Kirstin, uzmysławiając sobie nagle, że jego świadomość na chwilę się wyłączyła.

– Jakie gówno? – zapytał. – Dlaczego zostałem aresztowany? Nic nie zrobiłem. Zostałem pobity przez policję municypalną w Sunda. Dlaczego tego nie wyjaśnicie? Dlaczego mnie tu trzymacie?

Pełne wargi Kirstin rozchyliły się w wygłodniałym uśmiešku, który zadał kłam jej słodkiemu głosowi i przyprawił Sandora o dreszcze.

– Sandor, zostałeś wplątany w poważne przestępstwo. Znajdujesz się w posiadaniu nielegalnego struktora, który zachowuje się jak ukryta w twoim ciele radiolatarnia, systematycznie śląc pakiet informacji o twoim położeniu. Zidentyfikowaliśmy go jako pochodną pewnego starego struktora, którego wzorzec wykradzono ze zbiorów policji. – Jej brwi uniosły się pytająco. – I ty oczekujesz zwolnienia?

– Nie! – wyrwało mu się. Rewelacje Kirstin oszołomiły go, wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. – Nie mam pojęcia o żadnym skradzionym struktorze. Nigdy nie miałem dostępu do zbiorów policji. Nie...

Urwał w pół słowa. Przed oczami znowu stanęły mu wnętrza dłoni Phousity, pokryte dziwnymi, drobnymi gruczołami. Na to wspomnienie oblał go zimny pot.

– Ona została zatruta – szepnął. – Nie ma pojęcia, co nosi.

– Masz na myśli Phousitę, prawda?

Krew ścięła mu się w żyłach, wytrzeszczył oczy na Kirstin.

– Ją również aresztowaliście?

Rysy policjantki zastygły w makabrycznej karykaturze uśmiechu.

– Jesteś w poważnych tarapatkach, Sandor – oświadczyła. – Człowiek, który popełnił tę kradzież, wskazał cię jako współnika.

– To kłamstwo. Nie wiem nawet...

Przerwała mu. Jej głos był miły i współczujący, choć nie pozbawiony natarczywości.

– Kiedy policja w Sunda chciała cię aresztować, stawiałeś opór.

– Nie. Nie dali mi nawet szansy, żebym...

– Odmówiłeś współpracy, kiedy zgodnie z prawem poddali cię przesłuchaniu. Uciekłeś z aresztu w Sunda, korzystając z nielegalnej modyfikacji fizjologicznej. Natychmiast po ucieczce dołączyłeś do swojej współpracownicy, tej Phousity. Od jak dawna się znacie?

– Nie była moją współpracownicą. Nigdy wcześniej jej nie spotkałem. Policja municypalna niemal zatłukła mnie na śmierć! Ona mi pomogła.

– Pomogła ci? Przez zwrócenie nielegalnego struktora? Ile jej za to zapłaciłeś?

– Nic jej nie zapłaciłem. W niczym nie brałem udziału.

Podobnie jak ona.

– A więc wszystkiemu zaprzeczasz?

– Oczywiście, że tak.

– Zatem wytłumacz mi, jak to się stało, że nosisz ten nielegalny struktor?

– Byłaś kiedyś na dole? Tam aż się roi od nielegalnych strukturów. Dlaczego tym się nie zajmiecie?

– Dlaczego właśnie ciebie wymieniono jako współnika?

– Skąd mam wiedzieć? Nie wiem nawet, kim jest ten człowiek, który podobno...

– Dosyć! – ucięła Kirstin. Wstała, jej oczy rzuciły gniewne błyski. – Miałam nadzieję, że dasz mi jakiś powód, żebym wstrzymała egzekucję. W końcu, jesteś jeszcze niemal dzieckiem.

Sandor czuł, jak zamiera mu serce.

– Egzekucję?! – wychrypiął.

– Sąd orzekł już w tej sprawie. Twoje oryginalne ciało w mauzoleum Domu Lata zostało zniszczone.

– Nie możecie...

– Musimy, Sandor. Prawa we Wspólnocie nie należą do liberalnych. A zadaniem policji jest egzekwowanie ich z całą surowością.

Opuszczając celę Sandora, wraz z dwoma deptającymi jej po piętach policyjnymi psami, Kirstin czuła posmak niezadowolenia.

Drugie przesłuchanie okazało się równie bezowocne jak pierwsze, przeprowadzone zanim

Sandor odzyskał przytomność. Ani podświadomie, pod wpływem narkotyków, ani świadomie, pod wpływem strachu, nie zdradził niczego istotnego. Jeśli kiedykolwiek miał jakieś informacje, zostały one bezpowrotnie stracone w chwili, kiedy policja municypalna zniszczyła jego atrium. Kirstin lubiła gładko kończyć swoje sprawy. Przyznanie się do winy pozwoliłoby jej uciszyć protesty Domu Lata. I dałoby atut w grze o wyższą stawkę, jaką było miejsce w hierarchii Wspólnoty.

Szła korytarzem, mijając pozostałe, niezamieszkałe cele, śledzona przez czujnik ruchu. Po potwierdzeniu jej tożsamości czujnik uruchomił mechanizm otwierający kolejne zamknięte na głucho drzwi i wypuścił kobietę na zewnątrz. Oczekujący po drugiej stronie treser psów wziął je na smycz i odszedł, zostawiając Kirstin samą w wąskich korytarzach aresztu, w których długo jeszcze unosił się piżmowy zapach zwierząt. Kirstin leniwie zastanawiała się, czy rzeczywiście możliwe jest, by Sandor nie miał nic wspólnego ze spiskiem. Nie żeby to miało jakieś znaczenie.

Po prostu z przyzwyczajenia.

Prawo molekularne nie było narzędziem wymierzania sprawiedliwości, służyło sterowaniu rynkiem strukturów. Czyjaś niewinność nie mogła stanowić okoliczności łagodzącej. Jeżeli stajesz się nosicielem nielegalnego struktora, musisz ponieść tego konsekwencje, w przeciwnym wypadku stosowanie strukturów mogłoby wymknąć się spod kontroli policji. Pod tym względem prawo molekularne było podobne do prawa natury: zepchnij kogoś z wysokiego urwiska, a winny czy nie – będzie martwy.

Prawo grawitacji nie uwzględnia miłosierdzia. Prawo Wspólnoty również.

Sandor Jiang-Tibayan był w posiadaniu nielegalnego struktora, wyprodukowanego przez struktora Bohra. Już ten jeden fakt wystarczył, by sędzia rozważył karę śmierci. Kiedy wysiłki policji zmierzające do usunięcia struktora pochodnego spełzły na niczym, wyrok śmierci stał się pewny. Ale istniała możliwość uznania występku Sandora za zbrodnię drugiego stopnia: jeżeli okaże się, że jego oryginalne ciało, spoczywające w mauzoleum Domu Lata, oraz wszystkie widma są wolne od nielegalnej modyfikacji, mogą zostać oszczędzone.

Dodajmy do tego czynnik świadomości popełnianych czynów.

Van Ness wskazał Sandora jako swojego współnika. Ucieczka z więzienia policji municypalnej pozwoliła mu uniknąć aresztowania przez policję Wspólnoty. Wreszcie, w krótkim czasie po ucieczce pojawił się w towarzystwie Phousity, dziewczyny, której Van Ness użył jako muła do noszenia struktora.

W świetle tych faktów zapewnienia Sandora, że jest niewinny, mają znikomą wagę. Nie mówiąc o tym, iż pamięć może być spreparowana. Nawet jeżeli Sandor nie pamięta swojej roli w spisku, wszystko wskazuje na to, że był weń zamieszany. A to oznacza świadome łamanie prawa i kwalifikuje przestępstwo jako zbrodnię pierwszego stopnia, a wtedy likwidacji ulegają wszystkie fizyczne oraz elektroniczne przejawy istnienia skazańca.

Kirstin mogłaby wzbudzić wątpliwości, relacjonując w raporcie zeznania Nikko, złożone podczas aresztowania w Domu Lata, ale po co wprowadzać zamieszanie? Nikko zdawał sobie sprawę, że jest już skazany i nie miał nic do stracenia, kłamiąc na temat brata. Uznała, że najlepiej będzie przemilczeć jego słowa w raporcie.

Bez niezbitego dowodu, świadczącego o niewinności Sandora, wyrok mógł być tylko jeden: całkowita likwidacja, ze starannym usunięciem szczątków.

Myśli Kirstin zwróciły się w stronę Foxa. Uśmiechnęła się do siebie, sama w pustym korytarzu. Trzydzieści jeden lat temu zakpił sobie z prawa i przekupstwem oraz przemocą zdobył pozwolenie na badania, które usprawiedliwiały istnienie Nikko. Od trzydziestu jeden lat Kirstin zmuszała Foxa, by drogo za to płacił.

Teraz przyjdzie mu spłacić kolejną ratę długu. Ale nie ostatnią, o nie. Rachunki nie zostały jeszcze wyrównane.

Pokój straceń był kolejnym przytulnym pomieszczeniem, ze ścianami obitymi popielatym pluszem i wygodnym, białym umeblowaniem. Sześć ustawionych łukiem foteli tworzyło niewielkie audytorium. Kiedy wprowadzono Sandora, trzy z nich były już zajęte przez umundurowanych oficerów policji, ucinających sobie leniwą pogawędkę. Jedną z obecnych była Kirstin Adair. Spojrzała na wchodzącego, po czym pochyliła się, wracając do prowadzonej szeptem rozmowy z towarzyszami.

Strażnik trącił Sandora w łokieć, wskazując mu siódmy fotel, stojący naprzeciw audytorium. Chłopak posłusznie zajął przydzielone miejsce. Połamane żebra natychmiast zaprotestowały, atakując trudnym do zniesienia bólem. Patrzył tępo, kiedy przywiązywano mu nogi i ręce. Potem miejsce strażnika zajęła lekarka, podłączając do przedramienia aparaturę.

Sandor zamknął oczy, wmawiając sobie, że to tylko sen. To nie mogło dziać się naprawdę. Na pewno zaraz się obudzi. Jednak piekący ból w okolicy płuc zadawał kłam tym rojeniom. Dlaczego lekarka nie dała mu środka przeciwbólowego? Na Miłość i Naturę! Miłość i Naturę!!! Na pewno zaraz coś mu dadzą.

Próbował uspokoić nierówny oddech, wiedząc, że to przyniosłoby mu ulgę, lecz był zbyt przerażony, żeby się skoncentrować.

Serce kołatało mu w piersi, czuł mdłości. „Obudź się!” – rozkazał sobie w myśli. „Obudź się!”

Usłyszał odgłos rozsuwanych drzwi. Uniósł wzrok, dostrzegając wpadającą do pomieszczenia Marevic Chun. Natychmiast wszystkie nadzieje ulokował w jej kruchej osobie. Kochana, śliczna Marevic Chun. Prezydent Domu Lata na Ziemi. Ona zna tych gliniarzy, zna system. Może go z tego wypłatać. Ona musi go z tego wypłatać!

Nowo przybyła jednym wdzięcznym ślizgiem skierowała się wprost ku Kirstin. Zrównawszy się z jej fotelem, chwyciła za oparcie, aby wyhamować.

– Naczelnik Adair, proszę natychmiast wstrzymać tę barbarzyńską egzekucję! W przeciwnym razie, ostrzegam, ryzykujesz utratę stanowiska. Właśnie trwa posiedzenie sądu. Dostarczyłam wam dość zapisów z plików Nikko, aby udowodnić, iż Sandor nie miał z tą sprawą nic wspólnego. Ten haniebny wyrok musi być zrewidowany!

Kirstin spojrzała na nią rozdrażniona.

– Marevic. Czyżbyś znalazła kopię widma Nikko?

Jej słowa zmroziły rozmówczynię. Ciemne oczy Marevic rozbłysły jak obsydian.

Kirstin dodała:

– Sędzia już orzekł, że materiały, które dostarczyłaś, nie mogą być uznane za dowody. Nie ma żadnej pewności, że nie zostały spreparowane. Bardzo łatwo jest zrzucić wszystko na nieżyjącego. Dopóki nie dostarczysz widma, które pozwoliłoby zweryfikować autentyczność twoich dowodów, nie można brać ich pod uwagę.

– Ale sąd właśnie je rozpatruje. Masz moralny obowiązek wstrzymać egzekucję, dopóki sąd nie rozstrzygnie tej kwestii.

Naczelnik policji wlepiła spojrzenie w sufit, jej mina nie wróżyła niczego dobrego.

– Jediną kwestią w tej sprawie, wymagającą jeszcze rozstrzygnięcia, jest to – rzekła – czy Rada Nadzorcza Domu Lata, nie wyłączając ciebie, wiedziała o popełnianej pod jej nosem zbrodni.

Usta Marevic zacisnęły się w hardą, wąską kreskę.

– Rada nie ma z tym nic wspólnego.

Usiadła w jednym z foteli. Jej gniewny wzrok spoczął na Sandorze.

– Przepraszam – powiedziała chłodno. – Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy.

Trwało dobrą chwilę, zanim zrozumiał, że ostatnie słowa skierowała do niego. Ale zaledwie to sobie uświadomił, zaczął trząść się na całym ciele. Marevic się poddała! Poddawa się. Jego płuca pompowały powietrze jakby oddychał płynnym ołowiem.

Napiął mięśnie, czując jak w ciało wpijają się więzy.

– Nie możesz tego zrobić! – wrzasnął. – Jestem niewinny!

– Wszystko w porządku – usłyszał głos Phousity.

Jego głowa skoczyła do góry, jakby czyjaś dłoń pociągnęła za ukryte sznurki. Spojrzenie omiotło pomieszczenie, lecz dziewczyny nigdzie nie było widać.

– Wszystko w porządku – powtórzył jej głos. – Wiem już, jak cię ze sobą zabrać.

Sandor nie miał atrium. Phousita również. Nie miała prawa się tu znajdować.

„Phousita?”, zapytał w myśli.

Nie odpowiedziała. Odchylił głowę do tyłu i poszybował spojrzeniem pod sufit. Z kącików oczu cicho spłynęły mu łzy.

Wspomniał swój pobyt w porcie lotniczym w Sunda oraz małą dziewczynkę z żebraczą miską. Jakże zmieniło się jego życie od tej chwili! Zupełnie jak pod wpływem magii.

Phousita wierzy w magię. Ciekawe, co teraz porabia?

Atak mdłości i zawrotów głowy sprawił, że osunął się bezwładnie w fotelu. „Wszystko w porządku”, ponownie szepnęła Phousita. Uśmiechnął się. Nie wierzył, ale dobrze było słyszeć jej głos.

Ktoś pociągnął delikatnie za kable aparatury. Powieki Sandora zadrgały i powędrowały w górę. Niemal spodziewał się, że ujrzy Phousitę. Mrugał zawzięcie, próbując skupić wzrok na majaczącej przed nim postaci... Ale to tylko lekarka poprawiała coś przy jego ramieniu.

– Ból minął – poinformował ją Sandor. Jego słowa zlewały się w belkot. Kobieta spojrzała na niego z lękiem i wycofała się.

Patrzył w ślad za nią. Coś się z nim działo. Coś złego. Zawroty głowy nasilały się. W uszach huczało...

Poderwał głowę. Znowu był trzeźwy. I czujny. Zamiótł spojrzeniem sześć ustawionych w półkole foteli. Kirstin przyglądała mu się ponuro z podejrzliwym grymasem na twarzy, jakby nagle zwiertzyła jakieś niebezpieczeństwo. Marevic sprawiała wrażenie przerażonej, jej drobne ciało wbiło się w fotel, szukając w jego miękkim wnętrzu schronienia.

Jeden z siedzących obok Kirstin oficerów chrząknął zniecierpliwiony. Naczelnik policji zerknęła na niego, po czym skinęła głową.

– Zaczynać – rozkazała.

Sandor spojrział dokoła. Lekarka opuściła pokój. Jej miejsce wśród aparatury zajął obcy mężczyzna w białym fartuchu. Na polecenie Kirstin sięgnął po przygotowaną na tacce strzykawkę.

Następnie powoli, metodycznie wstrzyknął jej zawartość do tkwiącej w przedramieniu skazańca rurki.

Oczy Sandora rozszerzyły się. Zesztywniał w oczekiwaniu na wędrującą przewodem truciznę. Myślami przeniósł się do domu.

– Przepraszam, Fox – szepnął.

Starał się zachować przytomność, próbował liczyć. Jeden, dwa, trzy, cztery, p...

Phousita stała chwiejnie przed wejściem do służby małego stateczku. Za sobą słyszała, jak z ogromnym wysiłkiem oddycha Nikko. Bijący od niego głód narkotyku sprawiał, że miała się na baczności.

Nagle wszystko uległo zmianie, patrzyła w dół, na ogrody i dachy domów. Jednym spojrzeniem ogarniała całe miasto. Gdzieś niedaleko znajdował się Sandor. Jej mali służący uchodzili z niego niczym struga pary z gardła wulkanu, docierając do niej fala za falą.

Widziała go idącego wąskim korytarzem, ze skrępowanymi rękami i następującymi na pięty psami policyjnymi. Każdy oddech sprawiał mu ból zdolny przyprawić o szaleństwo.

Widziała go siedzącego, uwięzionego, przerażonego.

Widziała jego nadzieję, potem rozpacz.

Była w nim.

Stała się małym insektem, nie większym od ziarenka pyłu. Na plecach niosła pusty świat, jak zagnieżdżoną między skrzydłami mikroskopijną perłę. Położyła go i zaczęła się modlić. Wkrótce pojawiło się na firmamencie coś wyciągnięte na kształt węża i zygzakiem zaczęło spływać w dół. Jak przystało na wątek długiej opowieści, było zawile i pełne nagłych zwrotów, chwilami zawracało, kreśląc pętle, lecz wciąż nieugięte płynęło w dół. Kiedy było już bardzo blisko, Phousita odsunęła się, pozwalając, by łeb węża wpadł do przygotowanego świata i ciągnący się za nim tułów zaczął wypełniać go jak pusty koszyk. Firmament wypluwał z siebie wciąż nowe człony węża, a owadzie łapki Phousity sterowały nimi, układając spływające z góry dni i lata,

całe życie, w zgrabne pierścionki. Nić opowieści snuła się i snuła, długa, zawila, aż dziewczyna zaczęła obawiać się, iż bagaż okaże się nazbyt duży, że mu nie podoba. Lecz właśnie wtedy z nieba spłynął ostatni człon węża i opowieść skończyła się. Świat był pełen. Phousita zerknęła niespokojnie w górę, jednak niebo nad głową było puste. Zatem otarła swoje podobne do papieru skrzydła i połknęła napełniony świat.

Potem wzleciała w niebo, udając się w drogę powrotną, do domu.

Phousita odwróciła się w stronę Nikko. Czowała się tak odrętwiała, chłodna i sterylana, jak atmosfera tego miasta. Ktokolwiek wymyślił plotkę, że na końcu Cesarskiej Autostrady znajduje się Niebo, musiał być idiotą. Spojrzała w pełne lęku oczy Arifa, czekając na zalewającą duszę radość, na wszechogarniające uczucie triumfu. Ale nie, nic takiego nie nadeszło. Być może była zbyt zmęczona, żeby coś odczuwać.

– Sandor jest ze mną – zwróciła się do pasożytującego na Arifie ducha. – Możemy lecieć.

ROZDZIAŁ 17

Jako naczelnik policji, Kirstin posiadała przywilej samodzielnego obsadzania wszystkich stanowisk kierowniczych poza jednym – stanowiskiem kierownika wewnętrznych służb bezpieczeństwa. Allende był człowiekiem nominowanym przez Kongres, lojalnym wobec Komisji do Spraw Prawa Molekularnego i Policji i wobec nikogo innego. Toteż nie było dla niej zaskoczeniem, kiedy ten przekłety szpicel w końcu naszczekał na nią swoim panom. W gruncie rzeczy oczekiwała tego. To odpowiedni moment, żeby przedłożyć sprawę struktora Bohra szerszemu audytorium.

Tak więc chętnie zajęła miejsce dla świadka w kongresowej sali przesłuchań i z ugrzecznioną miną odpowiadała na pytania, póki wreszcie nie znany jej senator, przewodniczący przesłuchaniu, nie przeszedł do sedna sprawy:

– Naczelnik Adair, Kongres otrzymał raport o poważnym wylomie w policyjnym systemie zabezpieczeń i wyłonił komisję w celu przeprowadzenia dochodzenia. Wezwaliśmy panią dzisiaj przede wszystkim po to, by usłyszeć zaprzeczenie bądź potwierdzenie informacji zawartych w raporcie.

Kirstin skinęła powoli głową, skupiona na sprowadzonym do atrium streszczeniu życiorysu senatora. Kadencja reprezentantów Kongresu na Zamku trwała jeden rok i nie mogła być wznawiana.

Przemykali po politycznym firmamencie jak meteory, toteż Kirstin rzadko kiedy знаła kogoś z nich osobiście. Jeśli wierzyć danym, ten, którego miała przed sobą, był członkiem konserwatywnej korporacji Julevy-On, jawnym i zagorzałym orędownikiem surowego prawa molekularnego, który w ostatnich trzech z czterech przypadków, gdy postawiła na szalę cały swój autorytet, głosował na jej korzyść. Przewidywała spokojne popołudnie.

– Tak, panie senatorze – rzekła. – Istotnie, zdarzył się pewien incydent.

Kiwnął potakująco głową, jakby chciał sobie pogratulować, że sprowadzając ją tutaj, trafił prosto do źródła.

– Czy zechciałaby pani wyjaśnić dokładnie, co to był za incydent?

– Tak jest. – Nie posiadała się ze szczęścia, że może to zrobić. Przewidywała, że wystarczy przedstawić surowe fakty, aby senatorowie ze strachu zaczęli robić w portki i dali jej w śledztwie

wolną rękę. – Być może słyszeliście o maszynie popularnie zwanej struktorem Bohra. Jest to samodoskonający się struktor wydobyty z ciała zbrodniarza, Leandera Bohra, łatwo adaptująca się do warunków sztuczna inteligencja, posiadająca wszystkie talenty Bohra w dziedzinie projektowania molekularnego. Znalazłszy się w ciele nosiciela, będzie je modyfikowała, przekształcając w autentyczną fabrykę, zdolną wyprodukować odpowiedni struktor niemal do wszystkiego, włączając w to kamuflaż, wywiad oraz atak. Mimo że struktor Bohra jest maszyną starego typu, policja nie dysponuje struktorem, który dorównywałby mu możliwościami. Stworzenie takiej maszyny wymagałoby unieważnienia obowiązujących obecnie, prawnych ograniczeń niezależności sztucznej inteligencji.

Przewodniczący komisji zmarszczył brwi, na jego twarzy odmalowała się koncentracja.

– Innymi słowy twierdzi pani, że struktor Bohra jest nielegalną sztuczną inteligencją.

– Dokładnie tak. Jego zdolność do niezależności przekracza obowiązujące ograniczenia.

– Jest więc inteligentniejszy niż struktory policji.

– Inteligencja to drażliwa kwestia, panie senatorze, zachowanie istoty inteligentnej w dużej mierze opiera się na naturalnych instynktach, których struktor Bohra nie posiada. Bezpieczniej będzie stwierdzić, że jest elastyczniejszy niż struktory policji.

– I lepiej uzbrojony.

– Możliwe – przyznała, z rozmyślnym ociąganiem. Nie chciała, by te kmiotki odniosły wrażenie, iż nie jest już godna zaufania. Być może w tym roku oddadzą jeszcze na nią swoje głosy.

– Czy mogłaby pani to wyjaśnić? – zapytał senator.

– Oczywiście. Struktor Bohra nie posiada rdzennej osobowości, a co za tym idzie, nie kierują nim wrodzone instynkty ani ambicje. Kierunek jego rozwoju w całości zależy od osobowości nosiciela. Jeśli przytrafi mu się typ wojownika, będzie rozwijał zdolności bojowe.

– Naczelnik Adair, czy to właśnie się zdarzyło?

– Wszystko wskazuje na to, że nie. Wręcz przeciwnie, zgodnie z naszymi informacjami struktor osiedlił się w ciele niepiśmiennej prostytutki.

Na galerijce – części sali wydzielonej dla garstki widzów obecnych cieleśnie, głównie studentów, którzy przybyli oglądać władze w akcji – rozległy się chichoty. Oczywiście, liczba obserwatorów elektronicznych mogła być o wiele większa.

Kirstin odczekała, aż na sali ponownie zapanuje spokój, i kontynuowała:

– Styl życia tej prostytutki wykształcił w niej instynktowny lęk przed policją. Używa talentów struktora, aby tym skuteczniej się przed nami ukryć, co bardzo utrudnia jej aresztowanie.

– Czy to prawda, że jedyna jak dotąd próba zatrzymania tej kobiety zakończyła się klęską?

Kirstin uśmiechnęła się z pobłażaniem.

– Panie senatorze, operacje policyjne zwykle są nieprzewidywalne. W toku dochodzenia ustaliliśmy miejsce pobytu podejrzanej. Ponieważ znajdowało się ono na terenie leżącym poza granicami Wspólnoty, byliśmy zobowiązani uprzedzić lokalne władze o planowanej na ich terytorium akcji. Niestety, okazało się, iż tamtejsza policja cierpi na wybujały nacjonalizm. Nasze wtargnięcie potraktowali jak obrazę i postanowili załatwić sprawę po swojemu. W efekcie obie grupy weszły sobie w drogę, a podejrzana zbiegła.

– Ale czy jest prawdą, że owa „niepiśmienna prostytutka” unieszkodliwiła ponad dwadzieścia psów policyjnych?

Przez galerię przetoczył się szmer, po raz pierwszy Kirstin poczuła ukłucie niepokoju. Ten sukinsyn Allende niczego nie pominął w swoim donosie.

– Czy to prawda? – nalegał senator.

– Tak, panie senatorze. To prawda. Za pomocą narkotyków psy zostały wprowadzone w stan chwilowej śpiączki.

– Czyli zostały uśpione?

Ponowna fala szmerów z galerii.

– Tak.

– A gdzie ta niepiśmienna prostytutka przebywa obecnie?

– Nie wiemy. Może być wszędzie.

Patrząc wstecz, należało stwierdzić bez cienia wątpliwości, że stosowana rutynowo procedura aresztowania była wadliwa. Zbyt mocno naciskali. Zmusili Phousitę do kontrataku. Jak w grze w ewolucję, kiedy to drapieżnik kształtuje ofiarę, a ofiara drapieżnika, zmusili ofiarę do przyjęcia postawy agresywnej. Czy teraz, kiedy zasmakowała nowych zdolności, agresja zagnieździ się w jej naturze na stałe? Czy też starym zwyczajem pozostanie nieszkodliwie bierna?

Aby znaleźć odpowiedź na to pytanie, Kirstin ponownie wzięła na spytki Zeke Choya. Wciąż jeszcze brzmiał jej w uszach komentarz, którym chiński lekarz zakończył ich wyczerpującą

rozmowę:

– Mogę ci powiedzieć, jaką osobą była Phousita, ale moja wiedza nie ma już większej wartości, ponieważ Phousita, którą znałem, nie była jeszcze potężną uzdrowicielką. Nie widziała, jak płonie żywcem jej rodzina. Phousita, którą znałem, bała się psów policyjnych. Nie znam jej takiej, jaka jest dzisiaj.

A Phousita dosłownie zapadła się pod ziemię. Mimo intensywnych poszukiwań, psy nie znalazły dotąd żadnego tropu. Nie odnotowano jej obecności na żadnej z Bram. Zawiodły nawet fabryki plotek w Spili, wypuszczające jedynie bezużyteczne historyjki, jedną bardziej szaloną od drugiej, które w żaden sposób nie wyjaśniały tajemniczego zniknięcia nowo objawionej czarodziejki.

Trop był gorzej niż wystygły. Trop w ogóle nie istniał.

Kirstin wspomniała czasy, kiedy była z Leanderem Bohrem.

Leander zawsze używał struktora w słusznej sprawie, oddając go w służbę Bogini. Nigdy nie posłużyłby się nim do zbezczeszczenia ciała Matki Natury, nigdy nie próbowałby wykorzystać go do pogwałcenia jej praw. Leander nie wiedział, co to zło. Lecz o ilu ludziach mogłaby to powiedzieć?

Tego ranka śnił jej się Nikko. Wkroczyła do jego mieszkania w Domu Lata, jednak tym razem nie była sama, stał za nią oddział policjantów. Wszyscy mieli na sobie kombinezony ochronne i zbombardowali lokal struktoremi ofensywnymi, najlepszymi, jakie można było znaleźć w arsenałach policji, zaprogramowanymi na niszczenie każdego struktora, który nie był opatrzony najświeższym policyjnym kodem identyfikacyjnym. Nikko zwisał z drzewa, głową w dół, czepiając się konarów długimi niebieskimi palcami. Uśmiechnął się do niej. Potem zamachał w powietrzu ręką. Nie minęła sekunda, a jej kombinezon ochronny zaczął się rozpuszczać. Nikko ponownie zamachał ręką. Poczula, że coś dzieje się z jej ciałem. Kiedy urągliwym gestem uniosła w górę pięść, z osłupieniem odkryła, iż jej skóra pokryła się lśniącym jak emalia błękitem.

Nie wierzyła, że Nikko jest martwy. W jakiś sposób, gdzieś, jego świadomość wciąż musi istnieć.

W jakiś sposób, gdzieś, Nikko musi ścigać Phousitę, podobnie jak czyni to ona.

Nie wierzyła, by Phousita znajdowała się jeszcze w Spili.

Wiadomo, że ludzi tego typu, zbawiciele, niełatwo jest ukryć.

Tymczasem Phousity nie sposób było wytropić, nawet wsłuchując się w plotki.

Stąd wniosek, że dziewczyna wyniosła się ze Spili, a to oznaczało, że może być gdziekolwiek i nie wiadomo z kim może się skontaktować.

Strach był uczuciem, którego Kirstin nie doznawała już od wielu lat. Teraz zaskoczył ją. Kiedy zdała sobie sprawę, co oznacza to nagłe trzepotanie serca oraz ucisk w dołku, zirytowała się.

Była za stara, żeby się bać! Jeżeli nie mogła dotrzeć do Phousity bezpośrednio, musiała zrobić to drogą okrężną – w pierwszej kolejności odnajdując Nikko, cokolwiek z niego jeszcze zostało.

A więc, do Domu Lata.

Przeprowadziła syntezę widma i wysłała je w sieć.

Choć w czasie rzeczywistym minęły ponad trzy minuty, przeniesienie do atrium kapitana policji w Domu Lata – niczym nie wyróżniającego się dowódcy garstki policjantów – w odczuciu Kirstin trwało ledwie moment. Sięgnęła po życiorys gospodarza atrium. Urodził się w Unii Europejskiej, sześćdziesiąt siedem lat temu, w związku z czym nie był z racji urodzenia przypisany do żadnej z korporacji. Niebawem upływał rok od czasu, gdy przydzielono go do Domu Lata, toteż gotował się już do przenosin.

– Jest pan zadowolony ze służby w Domu Lata? – zapytała go.

Wydawał się zaskoczony. Minęło kilka długich sekund, zanim udzielił odpowiedzi:

– To był dobry przydział – odezwał się wreszcie.

– Powszechnie wiadomo, jak trudno jest komuś z zewnątrz otrzymać członkostwo korporacji Domu Lata – rzekła. – Tymczasem wielu z naszych oficerów na zakończenie służby zostaje wyróżnionych tym przywilejem. – Pozwoliła mu zastanowić się nad tą uwagą, obserwując rodzący się w jego oczach niepokój. – To naturalnie skłoniło nas do zastanowienia, cóż za przysługi oddali Radzie Nadzorczej, aby sobie na to zasłużyć?

Jego policzki zdawały się zapadać w głąb twarzy.

– W szeregach policji Wspólnoty znajduje się wiele wartościowych osób. To, że korporacja Domu Lata je wyławia, nie oznacza jeszcze, iż muszą mieć na sumieniu jakąś zbrodnię.

– Zaproponowano panu członkostwo?

Nad brwiami zebrały mu się krople potu.

– Tak, złożono mi taką propozycję – odparł sztywno. – Jeszcze nie zdecydowałem, czyją

przyjmę.

Nie zdecydował? Świetnie. Nie posiadała się ze zdumienia, że ten człowiek, o duszy przejrzystej jak szkło, zdołał wspiąć się w hierarchii tak wysoko. Niemniej, jeśli jego sympatia leży po stronie Domu Lata, będzie musiała na czas śledztwa znaleźć sobie innego muła.

– Chciałabym się tutaj trochę rozejrzeć – poinformowała go. – Wiem, że pan jest zbyt zajęty, aby mi towarzyszyć. Wezmę któregoś z pańskich ludzi.

– Tak jest. – Odniosła wrażenie, że zdenerwowanie policjanta jeszcze wzrosło.

Przeniosła uwagę na wykaz zatrudnionych w placówce funkcjonariuszy, sprawdzając ich przede wszystkim pod kątem orientacji politycznej. Wędrując przez kolejne strony, czuła rosnącą konsternację. Wszyscy, wszyscy policjanci sympatyzowali z radykałami! Najwyraźniej Dom Lata miał swoje sposoby, żeby ingerować w obsadę tutejszej placówki.

Była wściekła i nie próbowała tego ukryć. Ale kapitan musiał nie ufać lojalności swoich ludzi, gdyż postąpił naprzód, proponując jej sprytnie rozwiązanie:

– Jeśli można coś zasugerować... Może to zabrzmie obraźliwie, ale mogłaby pani odwiedzić węzeł nerwowy Domu Lata w którymś ze zwierząt. W ten sposób miałaby pani zapewnioną pełną prywatność.

Kirstin musiała sprawiać wrażenie zbitej z tropu, czym prędzej bowiem pospieszył z wyjaśnieniami:

– Małpy, ptaki i tym podobne – rzekł. – Dom Lata zaopatrzył niektóre z nich w niewolnicze atrium. Mogłaby pani podróżować w ich głowie i kierować się dokąd zechce. Oczywiście, zachowałaby pani pełny dostęp do splotu.

– Znam się na niewolniczym atrium – powiedziała Kirstin.

– Korporacje pirackie od dziesięcioleci posługują się nim, żeby zadawać gwałt Matce Ziemi.

– Tak jest, pani naczelnik.

– Zakładam jednak, że Dom Lata używa ich jedynie w celach badawczych.

– Daleko stąd do Matki Ziemi, pani naczelnik.

Poirytowana Kirstin uniosła brew, ale propozycja zaintrygowała ją; mogłaby w ten sposób, w spokoju, spenetrować cały splot nerwowy Domu Lata. Wbrew obawom kapitana, nie przybyła tutaj, żeby przeprowadzać dochodzenie w sprawie nielojalności funkcjonariuszy.

– Mamy wszystkie gatunki zwierząt – poinformował ją policjant, wyczuwając zainteresowanie. – Najlepsze są pawiany.

Duże i inteligentne. Mogę zaraz dostarczyć katalog.

W umysł Kirstin zaczęły sączyć się dane. Był to proces do złudzenia naśladowujący pracę pamięci, kolejne pozycje długiej listy zwierząt pojawiały się w jej umyśle jak wspomnienia.

– Co to jest? – zapytała nagle. Przepływ danych zatrzymał się. – Cofnij do Jiang-Tibayan – poleciała i w głowie zajaśniała jej myśl o pawianie imieniem Sax.

– Och – powiedział na to kapitan, jakby Kirstin strzeliła jakąś gafę. – Niektóre małpy są czymś... czymś w rodzaju zwierząt domowych. Tak mi się wydaje. Dlatego tutaj podano informację, że pawian Sax należy do Sandora Jiang-Tibayana.

– Już nie – wycedziła zimno. – Biorę go.

– Ale, pani naczelnik...

Nie czekała, żeby wysłuchać protestów kapitana. Procedura była tak prosta, że z miejsca ją opanowała. Wysłała kod z adresem małpy i zanurkowała w sieć.

Sax z miejsca się ocknął. Spał z łbem opartym na zadzie samicy, lecz zaledwie Kirstin wkroczyła do jego atrium, zerwał się gwałtownie i naprężony jak pies, łowił nosem leśne powietrze.

„Czyżby w oczekiwaniu dawnego pana?“, zastanowiła się.

Para pawianów odpoczywała w miejscu, które mogło być częścią szkieletu Domu Lata, jedną z podtrzymujących jego konstrukcję poziomych „kości”. Na pokrytym czarnoziemem i gęsto obsadzonym drzewami obszarze, pod iskrzącym się błękitem pasem sztucznego nieba, zawieszonym nie wyżej niż sto metrów w górze, panował gęsty, trudny do zniesienia upał. Sax przestał węszyć, opadł na zad i zaczął iskać samicę.

Kirstin potrzebowała trochę czasu, żeby przywyknąć do nowego sposobu postrzegania otoczenia. Odbiór wrażeń wzrokowych nie różnił się zasadniczo od tego, do którego przywykła jako człowiek, lecz węch pawiana okazał się istną kopalnią niespodzianek – doprawdy fascynująca przemiana. Ujmująca woń samicy, wymieszana z odurzającym aromatem przejrzałych owoców, i ciężka, przenikliwa słodycz, tak intensywna, że jej źródłem mogło być tylko drzewo od korzeni po czubek obsypane kwieciami. Tyle mogła odgadnąć. Pozostałe zapachy pozostawały dla niej tajemnicą, ponieważ mimo że dysponowała zmysłami pawiana, nie miała dostępu do jego wiedzy. Na razie. Niewykluczone, że w pamięci podręcznej atrium znajdzie się jakiś słownik – pomyślała, zabierając się do jej przetrząsania.

Pamięć podręczna.

Pamięć podręczna atrium Sandora. Z raportów wyłonił się obraz chłopca szczerego i otwartego, ale oddanego Nikko. Ciekawe, co jego zdaniem godne było utrwalenia?

Przywołała indeks i zaczęła przeglądać zawarte w nim pozycje. Znalazła słownik, a także plik poświęcony zwyczajom pawianów (były sztucznymi potomkami pawianów żyjących w lasach Afryki). Oprócz tego w pamięci była cała masa zapisków prywatnych: wiersze, wspomnienia, literackie opisy lasu, na wpół ukształtowane pomysły prac badawczych, trochę biologii molekularnej, kalendarz. I kilka niewielkich plików o osobliwych nazwach w rodzaju: „Ptasi Park”, „Szczurze Niebo”, „Obiecujące Niedźwiadki”, „Ściana Eve”... A na końcu: „Wyniki Nikko”.

Kirstin otworzyła ostatni z plików. Ukazała się kolejna lista nonsensownych zlepeków słów: „Jaszczurka Owoc”, „Nietoperze Jagody”, „Ryby Kamienie”... Do każdego hasła dołączono krótki komentarz, jak w przypadku pozycji „Muszki słoneczne”: obserwowany wylęg z kiści owoców podobnych do winogron, rosnących na nasienniku, w lesie zewnętrznym, około czterysta metrów na południe i sześćdziesiąt na zachód od centralnego łącznika.

Srebrne skrzydełka, rozkładane jak u motyla, ale porusza się przez pełzanie, nie lata. Inżynier: C. Furu. Poszukiwanie historii bez efektów! Christy nigdy nie uzyskał zgody na pracę ze słonecznymi muszkami! Muszki nigdy nie powstały. Nikko, ty kłamco!

Ale informacje zawarte pod pozostałymi hasłami najwyraźniej okazały się potwierdzone. Była w nich mowa o zwierzętach wyrastających z roślin lub wylęgających się ze skał, o stworzeniach rodzących się ze szkieletu Domu. Biogeneza dojrzałych organizmów.

Zdaje się, że Sandor i Nikko urządzili sobie zawody, który z nich odkryje więcej miejsc z aktywną genezą. „Dlaczego po prostu nie zajrzeli do plików korporacji?” – zdziwiła się i czym prędzej sama zwróciła się z tym pytaniem do Domu Lata, lecz niezależnie od tego jak formułowała swój problem, Dom odmawiał jakichkolwiek informacji na temat biogenezy. „Tylko dla członków korporacji” – brzmiała jedyna odpowiedź. Na Domu Lata nie robił wrażenia nawet jej status prowadzącego śledztwo oficera policji. „Wszelkie pytania na ten temat muszą być konsultowane z urzędnikami korporacji, w przeciwnym razie dostęp do informacji będzie wstrzymany”.

Tylko dla członków korporacji. Ogranicz dostęp do informacji, a odnajdywanie miejsc aktywnej biogenezy stanie się równie zabawne, jak poszukiwanie wielkanocnego zająca. Ponownie przejrzała zapisy Sandora. „Ściana Eve”, to brzmi intrygująco:

„Evita Rodrigues podwoiła się! Sax wywachał ją na dzień przed oddzieleniem”. To musi być warte dwóch punktów. A jeszcze więcej, jeśli jesteś gliniarzem. Ale wpis pod późniejszą datą zgasił ciekawość Kirstin: „Rada Nadzorcza wściekła; geneza uśpiona”.

Najbliżej znajdowało się hasło „Ptasi Park”: „Drzewo żyrandolowe, zabezpieczone przed drapieżnikami. Zaobserwowano wylęganie się ze straków wielu gatunków ptasich osobników.

Niemal niedostępne; dopóki ptaki nie wysuszą piór, nie groźny im żaden drapieżnik. Inżynier: P. Cartmin”.

Zdecydowała się rzucić na to okiem. Zastanawiała się, jak skierować tam Saxa, kiedy zwierzę uniosło się i zaczęło posuwać się naprzód.

Kirstin nigdy wcześniej nie używała niewolniczego atrium.

Nigdy wcześniej nie doświadczyła równie intymnego środka transportu. Czuła grę silnych, pozbawionych tłuszczu mięśni zwierzęcia, gdy opadłszy na cztery łapy posuwało się leśnym szlakiem. Czuła miękkie, chłodny dotyk spulchnionej próchniej ziemi pod mocarnymi dłońmi. Szorstką, węzlastą korę, trącą o porośniętą futrem skórę, gdy Sax przełaził przez korzeń drzewa.

Pomruk samicy, gdy ta wreszcie wstała i poszła w ślad za nim.

Fascynujące.

Nagle mięśnie Saxa naprężyły się i pawian skoczył. Odbił się od podłoża, chwytając wielką, ciężką gałąź pełną dojrzałych owoców. Zaskoczona Kirstin potrzebowała dobrej chwili, żeby ochłonąć. Gałąź wyrastała z drzewa, którego korzenie tkwiły w łące, jakieś pięćdziesiąt metrów niżej. Sax wyciągnął łapę, zerwał owoc, po czym odgryzł kawałek, podczas gdy gałąź chwiała się i huśtała pod jego ciężarem. Kirstin rozpoznała smak oraz konsystencję mango.

Czuła, jak wciągają urok tego miejsca. Musiała przypomnieć sobie, że ten las nie był dziełem Matki. Był sztucznym tworem, pełnym sztucznego życia, zaprojektowanym przez Foxa Jiang-Tibayana, który w swej arogancji sądził, iż może być lepszy od Bogini.

Przejęła kontrolę nad ciałem małpy i spróbowała samodzielnej wędrówki do Ptasiego Parku. Sterowanie udawało jej się przez jakieś trzy minuty. Najpierw spowodowała, że Sax wyrzucił resztkę owocu mango, następnie spojrzała w górę i łapą pawiana sięgnęła do zwieszającej się nad jego głową gałęzi. Niestety, przeceniła zasięg ramienia i nieszczęsna łapa chwyciła jedynie powietrze. Sax kiwnął się do przodu, po czym runął w dół. Kirstin w popłochu wycofała się z trybu całkowitej kontroli, z powrotem oddając małpie władzę nad ciałem. Ta z miejsca odzyskała świadomość, błyskawicznie chwyciła się jednej z niższych gałęzi i wygramoliła się na

górze, do czekającej na nią, głośno skrzeczącej samicy.

Kirstin westchnęła w duchu. Zrozumiała, że pawian będzie musiał poruszać się samodzielnie. Ale jak to zrobić? Sprawdziła system. Pomiędzy pasywnym trybem obserwatora a aktywnym trybem całkowitej kontroli leżał tryb pośredni, bazujący na komunikacji z małpą. Pozwalał pawianowi na samodzielne wykonywanie wszystkich ruchów, zaś jeźdźcowi dawał możliwość wskazywania kierunku, a nawet wysyłania małpy w określone, wcześniej zaprogramowane, miejsca. Ciekawe, na ile sumiennie Sandor wytresował swoją małpę?

„Ptasi Park” – poleciła Kirstin na próbę. Ku jej zdumieniu Sax podjął wędrówkę. Ptasi Park, powtórzyła w myśli, tym razem znacznie żarliwiej, i pawian zaczął galopować przez las, beztrąsko zatracając się w biegu, jak oddające się radosnym igraszkom dziecko. Ptasi Park! Samica biegła tuż za nim, częstując go klapssem w zad, ilekroć pozwolił się dogonić.

Jakieś czterysta metrów dalej konstrukcja, po której biegli, rozgałęziała się. Sax wybrał mniejszą odnogę i podążał nią dalsze kilkaset metrów, póki nad jego głową nie pojawił się skrawek czystego nieba. Wtedy zabrał się do wspinaczki. Raz Kirstin zatrzymała go, by spokojnie przyjrzeć się jaśniejącemu błękitem owalowi, jednemu z kilkuset odłamków nieba, które dostarczały światło wszystkim poziomom zenitalnego lasu. Będąc tak blisko, dostrzegła słabe zarysy nurzających się w potokach światła wodnych istot. Zaciekawiona, zwróciła się z pytaniem do Domu. Tak, istotnie, niebo było zarazem środowiskiem wodnym, zamieszkałym przez organizmy przywykłe do ciepłych i jasnych wód tropikalnych. Sztuczne konstrukcje w sztucznym świetle.

„Ptasi Park!” – rozkazała i Sax ochoczo wystrzelił w górę.

Wspięli się ponad niebo. Na jego górnej powierzchni rosła łąka, przecięta wąskim strumykiem, który rozpylając w powietrzu mgiełkę pyłu wodnego, wpadał do klarownie czystej sadzawki, wydrążonej w rdzeniu szkieletu Domu. Ponieważ nie widać było nigdzie odpływu, Kirstin doszła do wniosku, że woda jest odprowadzana ukrytym w szkielecie systemem transportowym.

Pawian szedł dalej.

W miarę jak posuwali się w górę, las stawał się coraz wilgotniejszy, w końcu Sax coraz częściej ślizgał się na otulających gałęzie drzew płachtach mchu. Zaczął dąć wiatr, a pośród drzew snuły się długie wąsy mgły. Gałęzie drzew kołysały się leniwie w górę i w dół, delikatne powiewy niosły ochłodę.

„A co by było, gdyby któreś z drzew się przewróciło?” – zastanowiła się Kirstin. Widywała już powalone pnie młodych drzewek, porośnięte grzybami, mchem i innymi epifitami, zaklinowane pomiędzy korzeniami bądź gałęziami drzew-sąsiadów.

Jednak co by było, gdyby przewrócił się jeden z tych wyrastających prosto z rdzenia gigantów? Czy może Dom Lata był jeszcze nazbyt młody, aby doświadczyć takiej katastrofy?

Drzewo, po którym się wspinali, wieńczył ognisty baldachim pomarańczowych kwiatów, a konary służące Saxowi za uchwyty stawały się coraz cieńsze. Pawian spojrzał w dół. Kirstin ujrzała pod sobą wiotką pajęczynę gałęzi. Pod nią, w dole rozciągał się wąski szlak, którym tutaj przybyli. Jakies sto pięćdziesiąt metrów niżej. Złękła się. Sax skoczył.

Kirstin miała ochotę zamknąć oczy i krzyknąć, ale oczywiście żadna z tych rzeczy nie wchodziła w rachubę. Małpa pozostała opanowana. Złapała giętką, zieloną witekę i zawisła na niej, bujając się w tę i z powrotem, jak małe dziecko huśtające się na końcu liny poruszającej sercem dzwonu. Jej obecność spłoszyła stadko dużych nietoperzy owocowych, zasiadających rzędkiem na gałęziach. Poderwały się ciężko, trzepocząc nieporadnie skrzydłami i zniknęły za cienką kotarą liści, po to, by za chwilę wyłonić się wyżej, w otwartej przestrzeni i unosić się tam niezdecydowanie, zataczając szerokie kręgi. W tle widać było podziurawione oknami ściany kompleksu mieszkalnego.

Sax wspinał się po wiotkiej gałęzce. Należała ona do drzewa, rosnącego koroną w dół, zawieszzonego jak żyrandol na innym pniu, ciernistym i lśniącym od kleistego żelu, wyrastającym prosto z rdzenia szkieletu oraz długim na minimum dwieście metrów.

Wszystkie gałęzie były giętke i zielone, skromnie ulistnione, za to obficie pokryte zielonymi owocami, pękatymi jak tykwa strąkami o rozmiarach pięści, orzecha kokosowego lub pośrednich między nimi. Niektóre spośród owoców zaczynały czerwienieć.

Sax wspinał się, dopóki nie osiągnął poziomu dużego zielonego strąka. Wtedy po raz kolejny zwolnił chwyt i skoczył, lądując prosto na owocu i dosiadając go niczym huśtawki. Wydawało się, że nie ma zamiaru wędrować dalej.

„Ptasi Park?” – zapytała Kirstin, lecz pawian oczywiście nie odpowiedział.

Jeżeli to rzeczywiście był Ptasi Park, to nie zasługiwał na swoją nazwę. Z ptaków były tu tylko dwie zielone, matowo upierzone zięby, sprzeczące się zawzięcie o miejsce na cienkim czerwonym strączku. Kirstin przyglądała im się przez chwilę, aż zauważyła, że powierzchnię strąka przecina pęknięcie. Inny strąk, znajdujący się nieco dalej, w dole gałęzi, był już otwarty,

łupina rozszczepiła się i przypominała otwarty kielich kwiatu. Wewnątrz wisiał ptak. Mały, zielony ptaszek. Wisiał przyczepiony za łapki, od czasu do czasu miotał się bezradnie, a co kilka sekund trzepotał wściekle skrzydłami. Jego piórka były potargane, wydawały się jakieś wilgotne i posklejane. W pierwszej chwili Kirstin pomyślała, że ptaszek wpadł w potrzask, a otwarty strąk jest jakimś gatunkiem mięsożernego kwiatu i gdyby posiedziała tutaj całe popołudnie, ujrzałaby jak płatki rośliny powoli zamykają się na bezsilnej ofierze. Ale nie! W miarę jak patrzyła, ruchy ptaszka stawały się coraz zwawsze i zwawsze. Wkrótce huśtał się już jak akrobata na trapezie i nie minęło wiele czasu, a urwał się i wolny wystrzelił do lasu. Pozostałe ptaki hałaśliwie pognały w ślad za nim.

Więc jednak to było drzewo biogenetyczne. Przez następną godzinę Kirstin obserwowała czerwony strąk z rysą na łupinie.

Kiedy wreszcie pękł, w jego wnętrzu ukazał się mały brunatny koliber. Kilka minut suszył mokre skrzydełka, po czym uleciał w powietrze i pomknął do lasu.

Odprowadziła go wzrokiem, rozważając w myślach możliwe implikacje. Zautomatyzowana biogeneza. Sztuczny świat, który sam może dawać życie i to niemal natychmiastowo, bez żadnego widocznego dozoru. Niebezpieczne, ale dopóki maszyna nie udoskonala pierwotnego wzoru, jeszcze legalne. Mogłoby tu zajść pogwałcenie konwencji Wspólnoty. Sztuczna inteligencja nie może posiadać samoświadomości ani działać bez ścisłego nadzoru.

Jednak chyba to zwykły proces produkcyjny, wątpliwe też, żeby Dom Lata nie roztoczył nad nim starannej kontroli. A jednak, jednak...

Wreszcie zlokalizowała źródło swojego niepokoju. Ten proces był zbędny. Przynajmniej tutaj, w Domu Lata, gdzie środowisko leśne było samowystarczalne, a w każdym razie takim kreśliła je oficjalna propaganda. Zatem gdzie?

Odpowiedź nadeszła natychmiast: gdziekolwiek, wszędzie.

Gdyby korporacja chciała stworzyć duplikat Domu, jaki sposób byłby najlepszy? Podążać tą samą drogą prób i błędów, niepowodzeń i poronionych pomysłów, co przy konstrukcji oryginału? Czy też wykorzystać tamte doświadczenia i stworzyć nowy, udoskonalony program? Jajko, z którego wylęgnie się cały świat?

A akuszerkami uczynić w pełni zautomatyzowane maszyny.

Natychmiast po tej myśli przyszła następna, jeszcze czarniejsza. Czy jest możliwe, że pośród tej wielkiej masy danych, zawitych i pełnych odnośników, głęboko ukryty, znajduje się wzór

osobnika imieniem Nikko Jiang-Tibayan?

Ta możliwość uczyniła ją dziwnie spokojną. Czuła zbawienną obecność kierującej jej poczynaniami Matki. „Ostrożnie!” – zdawała się szeptać jej w ucho Bogini. „Zwolnij!” Istotnie. Nie powinna alarmować Foxa swoimi podejrzeniami. Nie może dać mu sposobności zatarcia śladów, zanim będzie mogła rozpocząć śledztwo. Ale jak tu się zabrać za dochodzenie? Załozce Domu Lata nie można było ufać. Nie, najpierw musi sprowadzić nową zmianę.

Mogłaby wysłać do Domu statek pod sprawdzonym dowódcą.

Co prawda, zanim nowa załoga dotrze na miejsce mogą minąć tygodnie, ale dowody nie uciekną. Klimat polityczny jest tak niesprzyjający, że Fox będzie musiał wstrzymać się z rekonstrukcją Nikko kilkadziesiąt, może nawet kilkaset lat. Będzie miała więcej czasu niż trzeba, żeby złapać drania w pułapkę jego własnej intrygi.

ROZDZIAŁ 18

Nikko obudził się. Czyżby spał? Nie, to niemożliwe. Nawet gdyby ciało Arifa zasnęło, jego własna świadomość wciąż pozostałaby aktywna. Był przecież elektronicznym programem, widmem. Nie był Arifem, a jednak zapadł w sen.

Usiadł. Znajdował się na pluszowym sienniku, ułożonym na podłodze jednej z dwu kabin statku. Ściany stwarzały iluzję zalesionego wnętrza Domu Lata, rozświetlonego światłem księżyca.

Powietrze napełniało bzyczenie owadów. Posłanie było pomięte i śmierdziało, jakby spędził na nim dobrych kilka dni.

Na progu stała Phousita. Przyglądała mu się. Miała na sobie nowe ubrania, złoty staniczek oraz biały sarong z wyszywanymi czerwonymi i złotymi kwiatami. Czarne włosy opadały długą kaskadą na jej plecy. Nikko czuł, jak jego pięść zaciska się.

– Co mi zrobiłaś? – mruknął nieprzyjemnym tonem.

– Przepraszam – odparła. – Musiałam to zrobić. Zabijasz Arifa. Nie czujesz tego? Ranisz go, on cierpi, nie może tego znieść.

Nie może.

– Więc go uśpiłaś? Mnie, przy okazji, również? Jak tego dokonałaś?

– Utkąłam dla ciebie sen i wpisałam go do atrium.

– Zsyntetyzowałaś sensoryczny kod wyjściowy? Jak dawno temu? Phousita, jak dawno? Nie pamiętam nawet, jak opuszczaliśmy Zamek.

– Trzy dni – wyjaśniła. – Jesteśmy już daleko od Zamku.

Jesteśmy bezpieczni. Musisz puścić Arifa wolno.

Pęcherz jego gniewu był na granicy wybuchu. Zatoczył się na bok. Ciało Arifa wciąż robiło na nim wrażenie obcego, było za niskie i za słabo umięśnione, ale przy tym drzemał w nim wielki potencjał. Arif był wystarczająco silny, by ręką przebić ścianę.

Powstrzymał impuls i skierował agresję na cel zastępczy. Wściekle podciągnął szorty, a potem wyjął z walizki kamerę i zamocował ją na barku.

Jako historyk doskonale zdawał sobie sprawę, jakie reperkusje może wzbudzić w społeczeństwie informacja o kradzieży struktora Bohra. W najlepszym razie, zbierane przez

nego materiały historyczne wywołają niewielki szok, ale pokażą każdemu obywatelowi, jak krucha jest policyjna „ochrona”. Poza tym, mogło zdarzyć się absolutnie wszystko. W świecie, gdzie policyjne struktury nie mają przewagi nad pozostałymi, czy można egzekwować jakiegokolwiek prawo? Z łatwością mógł sobie wyobrazić, jak Wspólnota wali się w gruzy, jak ta forteca jest rozrywana cząsteczka po cząsteczce, a otwiera się nowy, nieprzewidywalny prąd społecznej przemiany.

Dotknął małego urządzenia kontrolnego, przymocowanego paskiem do piersi. Obiektyw kamery uniósł się na swej czułce.

Sztuczna Inteligencja Niższego Rzędu skierowała go na twarz Nikko. Popatrzył w szklane oko i zaczął dyktować.

– Phousita twierdzi, że spałem przez trzy dni. Jeśli to prawda, kontroluję ciało Arifa już od sześciu dni.

Zawahał się. Przez sześć dni zarządzał niewolniczym atrium.

Bez przerwy. Nie pozwolił Arifowi ani na chwilę przejąć kontroli nad własnym ciałem, wręcz odmawiał mu prawa do istnienia.

Sześć dni.

– Miłości i Naturo! – szepnął. – Nawet zwierząt w Domu Lata nie trzymałem tak długo.

Kamera wpatrywała się w niego rybim okiem. Odwrócił wzrok. Rzucił spojrzenie na drzwi kabiny, a potem poszedł do saloniku w poszukiwaniu Phousity.

Wyszła z kuchni, niosąc tacę z dużym, parującym talerzem.

Pokój wypełnił słodkawy zapach przypraw. W tej samej chwili Nikko uświadomił sobie, że ciało, w którym przebywa, jest bardzo głodne. Dziewczyna wiedziała o tym dużo wcześniej. Na myśl o tym, że nic się przed nią nie ukryje, ogarnął go gniew.

Phousita postawiła talerz na niskim stoliku.

– Kuchnia przyrządziła dla ciebie jedzenie. Chodź, zjedz.

Musisz dbać o ciało Arifa.

– Rozumiesz przecież, nie miałem wyboru – powiedział ostrym tonem. – Był to jedyny sposób na wydostanie ciebie ze Spili.

Złajęła go wzrokiem. Nawet ona wiedziała, że możliwe jest przebywanie w atrium bez przejmowania kontroli nad ciałem, że możliwe jest zajmowanie atrium tylko jako obserwator.

– Jedz, proszę.

Spojrzał jej w oczy. Jak uparte dziecko odmawiał sobie tego, czego naprawdę potrzebował.

– Co się stało z Sandorem? – zapytał szorstko.

– Jest ze mną.

Uklękła przy stoliku, naprzeciw talerza z jedzeniem. Dłonie złożyła na podółku, jedną w drugiej. Gruczoły lśniły jak dwie krople wody.

– Co masz na myśli? Jak to, jest z tobą? A egzekucja?

Przeprowadzili ją?

– Tak. Ale mam go w sobie, jak ziarenko.

– Jego wzorzec?

Kiwnęła głową.

– Istnieje sposób na zapisanie danych o człowieku w postaci długiego, poskręcanego łańcucha.

– Kondensacja danych. Naprawdę to potrafisz?

Czy jedna mała komórka może zawierać wszelkie informacje niezbędne do stworzenia człowieka? Do tej pory była to tylko legenda.

Przełknął ślinę i powiedział:

– Możesz go odtworzyć?

– Jeszcze nie wiem. – Spuściła wzrok, jakby trafił w jej czuły punkt. – Chodź jeść. Musisz dbać o ciało Arifa.

Ciało Arifa. Nie da mu o nim zapomnieć.

Usiadł na dywanie. Przyniosła mu pokrajane w kostki białe mięso, z dodatkiem oliwek i przypraw, podane w łupinie papai i obsypane dokoła owocami. Podniósł pałeczki i zaczął jeść.

Smak wprost eksplodował w ustach. Jadł łapczywie, co chwila zerkając na Phousitę. Siedziała obok, wstydliwie spuściwszy wzrok, ale od czasu do czasu rzucała zza długich rzęs badawcze spojrzenie, jakby chciała zapytać: Jedzenie smakuje? Wszystko w porządku?

Poznał ją podczas długiej jazdy windą. Była niczym klejnot, tak słodka, tak piękna. A teraz nie mógł o niej myśleć bez nerwów.

Bał się jej.

Nie z powodu zdolności, jakie dał jej struktor Bohra, choć musiał przyznać, że stanowczo nie doceniał tej dziewczyny. Po prostu pokazała mu, że jak każdego człowieka, stać ją na despotyzm. Uśpiła go na trzy dni, żeby pokazać, jak to jest być kontrolowanym.

A może nie chciała udzielać mu lekcji, tylko ulżyć Arifowi?

Sen byłby dla niego błogosławieństwem.

A jednak bał się, ponieważ mimo delikatnej, łagodnej natury ciągle wypominała mu krzywdę, jaką wyrządza Arifowi.

Ugryzł następny kawałek mięsa z kurczaka, ale nie smakowało już tak, jak pierwsze kęsy.

W tej sytuacji nic nie można zrobić, pomyślał. Musiał dokonać wyboru – albo on, albo Arif. Nie miał dokąd się udać. Filtry Kirstin natychmiast złapałyby go w pułapkę, gdyby spróbował dotrzeć gdzieś sicią.

Phousita była przy nim, jej współczujące spojrzenie muskało go niczym miły, jasny promyk słońca, który w jednej chwili rozgrzewa i odsuwa troski. Tylko że po pewnym czasie, w nieunikniony sposób przerodzi się w spalający płomień.

Odłożył pałeczki na stół. Żołądek miał tak pełny, że odczuwał mdłości.

– Tuan? – powiedziała z troską w głosie.

Patrzył na swoje dłonie. Dłonie Arifa. To straszny los, być skazanym na taką bezradność.

|- Zbyt często w moim życiu wykorzystywałem ludzi – rzekł. – Weszło mi to w krew. Usprawiedliwiałem siebie nieuchronnością czekającej mnie śmierci. Przecież robiłem to wszystko tylko po to, by przetrwać.

Patrzyła na niego. Nawet nie kiwnęła głową, ale wiedział, że go rozumiała. Rozumiała wszystko.

– Przygotowuję dom dla ciebie – powiedziała. – Tu, w mojej głowie. Tam będziesz mógł być sobą.

Pokiwał głową. Już wcześniej powiedziała mu, że rozpoczęła tworzenie w głowie atrium, jakie posiadali obywatele Wspólnoty.

Będzie mógł się tam wprowadzić i będzie odczuwał wszystko tak, jakby był żywą istotą. Rzecz w tym, że nie miał szans na prowadzenie prawdziwego życia. Był trupem.

– Kiedy będzie gotowe?

– Za kilka dni – odparła, spuszczać wzrok. – Tak mi się wydaje.

– Arif nie przeżyje tak długo, mam rację?

– Przeżyje, widmo-Nikko. Przeżyje, jeśli dasz mu trochę swobody.

Arif był powoli unicestwiany przez dominującą osobowość Nikko. Nawet jeśli przeżyłby, po tak długim okresie pozostawania więźniem we własnym ciele, nie pozostałby przy zdrowych

zmysłach.

Nikko odetchnął głęboko i wypuścił powietrze z płuc. Z płuc Arfia.

– Dobrze – stwierdził. – Dam mu swobodę.

Wydał atrium instrukcję wyjścia z trybu bezpośredniej kontroli i przestał panować nad ciałem. Dziwnie się czuł. Częściowo spodziewał się, że zostanie oddzielony od ciała, ale tak się nie stało. Wciąż odczuwał wszystko to, co przedtem. Napływające doń wrażenia pozostały nie zmienione, ale sam nie mógł już wydawać ciału rozkazów. Ciało już nie oddawało jego stanu emocjonalnego. Nie mógł mówić, mrugać, podrapać się. Przerazające uczucie.

Był bliski wydania rozkazu powrotu do trybu bezpośredniej kontroli, ale powstrzymał się. Arif czuł się tak przez kilka dni.

Kilka dni! Miłości i Naturo!

Kiedy myślał o tym, nabierał do siebie obrzydzenia. Tyle dni.

Jak mógł komukolwiek to zrobić?

Ciało wpadło w drgawki. Serce gwałtownie przyspieszyło.

Wszystkie mięśnie kurczyły się jeden po drugim, a potem Arif wydał z siebie krzyk, długi, bardzo długi krzyk konającego zwierzęcia.

Nagle rzucił się na Phousitę. Złapał ją za włosy, uderzył w twarz, obrzucał wyzwiskami w języku, którego Nikko nie rozumiał.

Nikko natychmiast przejął kontrolę nad ciałem, które zamarło w pół gestu, w połowie oddechu.

– Posłuchaj mnie! – ryknął, wiedząc, że Arif go usłyszy i zrozumie. – Wciąż tu jestem. Nie odszedłem i zostanę.

Po chwili dodał:

– Jeszcze raz potraktujesz Phousitę w taki sposób, a znowu zrobię z ciebie niewolnika. I nigdy już nie zwrócę ci wolności.

Nigdy!

Phousita patrzyła na niego z podłogi. Miała szeroko otwarte oczy, na policzku z wolna ciemniał siniak.

– Proszę, puść go, widmo-Nikko.

– Nie pozwolę, żeby cię skrzywdził.

Skinęła.

– Proszę, puść go.

Nie potrafił uniknąć rozpacz. Czuł się jak ktoś zepchnięty na krawędź życia, w paraliżującą mgłę, która uniemożliwia interakcje z otaczającym światem. Owszem, był przykuty do ciała Arifa. Niewolnicze atrium zmusiło go do podążania za Arifem krok w krok, towarzyszenia mu nawet podczas załatwiania potrzeb fizjologicznych, odczuwania każdego jego oddechu, każdego łaskotania. Wszystkiego. Bez ograniczeń. Bez taryfy ulgowej.

Jednak nie mógł realizować się jako w pełni funkcjonujące widmo. Niewolnicze atrium nie stwarzało odpowiednich warunków.

Nie mógł się odciąć od zmysłów Arifa – na to również nie pozwalało atrium.

Nie mógł też zasnąć, nawet wówczas, gdy zasypiał Arif. To były najgorsze chwile. Nic nie widział. Za kurtyną zamkniętych powiek panowały nieskończone ciemności. Jedyne, co mógł robić w takich warunkach, to słuchać równego oddechu Arifa. Monotonia dobijała go tak skutecznie, że wiele razy miał ochotę uciec z atrium gdzie pieprz rośnie.

Ale nawet tego nie mógł zrobić. Mógłby udać się tylko w arterie sieci, ale równało się to samobójstwu. Filtry na wszystkich Bramach danych posiadają jego wzorzec. Kirstin wyłowiłaby go z przepływającej z prędkością światła rzeki danych i skasowała jednym ruchem palca. Albo, co gorsza, mogłaby zatrzymać go w więziennej matrycy, która uniemożliwia wpisanie adresu docelowego.

Nie miał wyboru. Musiał tkwić w tej pułapce piekła nie gasnącej świadomości.

Arif został w salonie sam. Phousita poszła do łazienki, chciała wziąć prysznic. Znajdowali się na statku od dwóch tygodni. Arif był teraz znacznie spokojniejszy, zachowywał się rozważnie.

Położył się na podłodze i wpatrywał w gładki sufit. Nikko odbierał wrażenia z jego ciała i mógł jednoznacznie stwierdzić, że zachodziły w nim przemiany. Zapewne sprawiła to Phousita, gdyż żywy żółty kolor twarzy cyrkowego kłowna znacznie osłabł. Policzki nie były już tak pulchne. Skurczył się też wielki, zakrzywiony nos.

Nikko był świadom tych zmian, ale nie miał dostępu do myśli Arifa.

– Słyszysz mnie? – zapytał mężczyzna szorstko.

Phousity nie było w pokoju.

– Słyszysz mnie, widmo-Nikko? Kiedy mój pierwszy pan nasyłał na mnie duchy, czasami do mnie mówiły. Ty też potrafisz?

Nikko zastanowił się. Przekazawszy kontrolę nad ciałem, czuł się całkowicie bezradny, ale niewolnicze atrium musiało nadal funkcjonować, przynajmniej w części, jako środowisko dogodne dla obserwatora. Byłoby wskazane wyposażenie go przynajmniej w tak skąpy środek komunikacji. Nikko przeszukał system i dość szybko znalazł łącze głosowe.

– Tak to robili? – spytał głosem, który rozległ się w głowie Arifa.

– Dokładnie – odparł Arif. – Słyszę cię. – Zarechotał złowieszczo. – Podoba ci się to ciało?

Nikko zgorszyło to pytanie.

– Nie za bardzo – burknął.

– Nie? Klienci mojego pana słono płacili, żeby tylko trochę go poużywać. Chociaż zawsze fascynowały ich dziwolągi.

– Zacząłeś zdrowieć – zauważył Nikko, siląc się na przyjazny ton.

Arif nie dostrzegł tych wysiłków.

– Sam też jesteś niezłym dziwolągiem – rzekł – to może dlatego nie podoba ci się w środku innego dziwoląga.

Cierpliwość Nikko była na wyczerpaniu.

– Czego chcesz, Arif?

– Jesteś mi coś winien. Wyciągnąłem cię ze Spili.

– Ha! To ja wyciągnąłem ciebie!

– W takim razie jesteś moim nowym panem.

Oskarżenie ubodło Nikko. Wiedział, że było prawdziwe, lecz mimo to zaprzeczył:

– Nie!

– Nie jestem twoim niewolnikiem?

– Oczywiście, że nie.

Kierunek, jaki przybrała rozmowa, wydał mu się co najmniej jałowy, a w dużej mierze niebezpieczny. Nie chciał myśleć o tym, gdzie był i co zrobił temu człowiekowi. Co nadal mu robił. Na Miłość i Naturę! Być nawiedzonym przez nie chciane widmo, które obserwuje każdy ruch, gest, odruch, to... To nie do przyjęcia.

– Jestem ci potrzebny do przetrwania, prawda widmo-Nikko?

Niechętnie, ale musiał przyznać rację.

– Tak.

– W takim razie jesteś mi coś winien.

Z tym również musiał się zgodzić.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytał wprost.

– Naucz mnie swojego świata. Chcę wiedzieć wszystko, co wiesz ty.

Nikko zareagował nie skrywanym zdziwieniem.

– Naprawdę właśnie tego chcesz?

– Oczywiście, widmo-Nikko. Nawet przy tak sympatycznym panu jak ty, nie bawi mnie rola niewolnika.

Zaczęli od systemów statku. Nikko zatrzymał dla siebie kody komend umożliwiających wprowadzanie zmian do systemu nawigacyjnego, ale za to nauczył Arifa obsługiwać konsolę, za pomocą której można było komunikować się z siecią Wspólnoty.

– Gdybyś posiadał legalne atrium, nie musiałbyś używać konsoli – rzekł Nikko.

– I wtedy mógłbym cię wyrzucić do sieci, czy tak?

– Pójdę sobie, kiedy tylko Phousita będzie mogła mnie przyjąć.

– Popracuj nad innym planem, człowieku-duchu – ostrzegł Arif. – Ona nie jest dla ciebie.

Nie pozwolę, żebyś pieprzył ją w snach.

Trudno dać wyraz gniewu bez fizycznej ekspresji. Nikko spróbował zaatakować słowami:

– To ty jesteś niewolnikiem, Arif, nie ja. Zostawię cię, kiedy będzie mi się podobało.

– Nie przeniesiesz się do Phousity. Dopóki żyję, nie będziesz pieścił jej od środka.

– Myślisz, że możesz to zmienić? Nie jesteś jej panem.

– Tak ci się zdaje? Od razu widać, że wcale jej nie znasz.

Sprzeczali się w ten sposób całymi godzinami. Rzucali się na siebie jak dwa szczury zamknięte w jednej klatce. Przerazające.

Ale dla Nikko i tak było to lepsze od ponurej pustki całkowitej izolacji. Poza tym, zajmując się doksztalcaniem Arifa, sam również mógł skorzystać z zasobów sieci.

Po przesłuchaniu w Kongresie, wieści o kradzieży struktora Bohra przeniknęły do środków masowego przekazu. Zuchwały rabunek stał się ulubionym tematem programów typu talk-show.

Ludzie twierdzili, że są zaszokowani, boją się, ale mówili to jak rozhisteryzowani widzowie interaktywnego honoru, którzy zdają sobie sprawę, że mają do czynienia tylko z fikcyjnym światem filmu, a nie rzeczywistością. Może życie obywateli Wspólnoty stało się zbyt bezpieczne.

Phousita siadywała obok Arifa i oglądała programy w taki sam sposób, w jaki wykonywała wszystkie codzienne czynności: cicho i cierpliwie. Przez większą część dnia robiła wrażenie

osoby bardzo zmęczonej. Niewiele mówiła. Nie pozwalała Arifowi na zbliżenia i pieszczoty – co Nikko przyjął z ulgą.

Z każdym dniem cel ich drogi stawał się bliski. Z wyglądu Arif zaczął przypominać prawdziwego mężczyznę. W miarę znikania maski błazna, ukazywała się, skryta pod nią, gładka, męska twarz, rozdzielana przez równą grań nosa i ocieniana przez parę krzaczastych brwi. Na podbródku rozrastała się rzadka, czarna broda. Nikko przekonał go, żeby rejestrował za pomocą kamery wszystkie etapy tej powolnej przemiany.

Phousita również się zmieniała. Z każdym dniem przybywało jej wzrostu. Teraz sięgała głową Arifowi do piersi. Nikko pomyślał, że Kirstin byłaby zadowolona – następował powrót do normalności.

Znajdowali się cztery dni od Domu Lata, gdy Phousita złożyła swoje oświadczenie. Siedziała z Arifem w salonie, na miękkim dywanie, oglądając nadawaną w sieci antyczną sztukę jakiegoś azjatyckiego dramaturga. Arif trzymał głowę na jej nogach. Spojrzała w dół, na niego. Nagle, bez żadnych wstępów, powiedziała:

– Moje atrium jest gotowe. Mogę już przejąć od ciebie widmo Nikko.

Mężczyzna podniósł na nią wzrok. Nikko czuł napięcie jego mięśni.

– Nie!

Jedno słowo. Nic więcej. Wargi Phousity zaczęły drżeć.

Arif podniósł głowę. Przyłożył szorstkie dłonie do jej krtani.

– Jeśli sama go wezwiesz, własnoręcznie wyrwę ci język – ostrzegł. – Nikko nie będzie cię miał.

– Ale tak będzie najlepiej. Ta sytuacja jest dla niego prawdziwą torturą. On nie ma ciała, ale u mnie będzie mógł się czuć w pełni sobą.

Wystawiła ręce przed siebie, gruczoły na dłoniach zaśniły bladym światłem.

Arif odskoczył od niej jak od zarazy.

– Trzymaj swoje zaklęcia z dala ode mnie – rzucił.

Zacisnęła dłonie w pięści. Przykucnęła przed nim, z iskierkami gniewu w oczach. Nikko przyglądał się tej scenie i rozważał, co mógłby zrobić. Chciał przejąć kontrolę nad ciałem Arifa i wrzasnąć na dziewczynę, żeby natychmiast wezwała go do swego atrium. Tylko że rozwścieczyłby tym Arifa.

Arif nie spuszczał oka z Phousity.

– Ty głupia wieśniaczko. Wydaje ci się, że już mnie nie potrzebujesz. Wolałabyś pieprzyć się z Nikko. Albo z tym martwym chłopaczkiem, którego wyciągnąłem dla ciebie z rzeki.

Nowi bogowie i herosi, w sam raz do twojego łóżka. Królowa wiedźm. Wcześniej będziesz musiała mnie zabić.

W jej oczach płonął mroczny płomień złości.

– Tak jak zabiłam nasze dzieci?

Wyskoczył w powietrze. Jego noga zatoczyła krótki łuk i zadała dziewczynie potworny cios w policzek. Głowa odskoczyła do tyłu.

– Królowa wiedźm! – ryknął, patrząc, jak Phousita zatacza się i wali na podłogę. – Wszystkich nas zabiłaś swoimi zaklęciami!

Nikko usiłował włączyć tryb bezpośredniej kontroli, ale kolejne próby kończyły się niepowodzeniem. Nie mógł znaleźć właściwej ścieżki dostępu.

Ścieżka zniknęła.

Nagle Arif zdał sobie sprawę z tych wysiłków.

– Widmo-Nikko? – zapytał złowróżbnym tonem. – Nie powstrzymasz mnie? Mogę ją skatować? Nic nie zrobisz?

Phousita leżała na podłodze. Nie ruszała się. Nikko szamotał się, ale nie zdołał przejąć kontroli nad ciałem. Atrium zmieniło się. Tryb bezpośredniej kontroli już nie istniał. Phousita dała Arifowi wolność.

Arif zrozumiał to niemal w tej samej chwili. Jego usta rozciągnęły się w szerokim, radosnym uśmiechu.

– Widmo-Nikko, królowa wiedźm dała mi atrium bogatych ludzi. Jestem wolny! Mogę cię wyrzucić. Wynoś się! Wynoś się, albo cię skasuję!

– Ty skurwielu! Nie możesz jej tak traktować...

– Spierdalaj z mojej głowy! – wrzasnął Arif. – Natychmiast! W tej chwili! Spierdalaj albo wymażę cię raz na zawsze!

W sieci nie było dla niego żadnego bezpiecznego schronienia.

Kirstin tylko czekała, żeby się pokazał.

– Ty skurwielu z ryjem pajaca!

– Znikaj!

Nie miał wyboru. Podał adres docelowy Foxa w Domu Lata, ale nie łudził się, że uda mu się

tam dotrzeć.

A potem skoczył w sieć.

ROZDZIAŁ 19

– Phousita, wstawaj! – krzyczał Arif. – No już, wstawaj!

Jego głos zdawał się docierać do niej z drugiej strony odległych gór i przypominał stłumiony grom, przewalający się z jednej strony horyzontu na drugą. Niebo nad zalesioną doliną było tak zaciągnięte mrocznymi chmurami, że niemal przyciskało do ziemi szczyty drzew.

Phousita przykucnęła przy pniu monstrualnie wielkiego drzewa, zamknięta przez jego korzenie niczym w czterech ścianach naturalnego sanktuarium. Była naga, przemoczona i rozdygotana.

Jej własny głos, oderwany od ciała, unosił się gdzieś ponad jej głową, przesywając wilgotne od deszczu powietrze. Wierzchołki drzew gięły się pod uderzeniami silnego wiatru.

Przeciążyła się! Wzięła na siebie zbyt wiele. Wszystko miało swoje ograniczenia, nawet moc złego czarownika.

– Wstawaj! – ryczał z daleka Arif. – Wróc do mnie.

Proszę, potrzebuję cię!

Próbowała wykonać jednocześnie zbyt wiele zadań. Zaczęła leczyć Arifa i usprawniać jego atrium. Poprawiła ośrodki odpowiedzialne za wzrost we własnym ciele, zaprojektowała dla siebie atrium własnego pomysłu, które dalece wyprzedzało wzorce stosowane przez Wspólnotę. Wypełniła atrium zalesionym światem, zapożyczonym ze wspomnień Sandora związanych z Domem Lata. Na koniec zaczęła rekonstrukcję widma Sandora z poskręcane go łańcucha danych, który miał go opisywać.

Było to zdecydowanie za wiele.

Czasem w Spili za wieczorny posiłek służyła tylko garstka ryżu. Phousita podzieliłaby ją tak, że każdy dostałby po równo.

Każdemu wystarczyłoby, żeby poczuć smak, ale nikt się nie najadł.

Ktoś dotknął jej policzka. Uchyliła powieki. Obok niej kuczał Sandor. Próbował ją ostrzec, że posuwa się za daleko. Atrium Wspólnoty było w stanie generować środowisko dla jednego, szczególnie odwzorowanego widma, względnie dla dwóch widm, jeśli rezygnowano z najwyższej rozdzielczości i płynnego odtwarzania. Phousita postanowiła skonstruować atrium zdolne utrzymać trzy widma: jej własne, Sandora i Nikko. Jej umysł tak długo i tak intensywnie

koncentrował się na tym zadaniu, że zupełnie zapomniała o istnieniu Arifa. Chciała o nim zapomnieć. Była zmęczona jego gniewem, nieustającą skłonnością do przemocy.

Sandor musnął mokrymi od deszczu wargami czoło dziewczyny.

– Przepraszam, Phousita. Powinienem cię puścić. Przepraszam. To wszystko moja wina.

– Nie.

Ręka młodzieńca zawędrowała między uda Phousity, palce sięgnęły lepkich strumyków nasienia, które tam zostawił. Ścierał je, jakby chciał usunąć dowody, ukryć prawdę, zmienić to, co się wydarzyło. Jednak nikt nie miał mocy pozwalającej zmieniać przeszłość.

– Nie chciałam cię zostawić! – załkała. – Nie chciałam cię zostawić.

Wszystko przepadło. Wszystko. Całą uwagę skupiła na Sandorze, na związku ich ciał w tej iluzorycznej krainie widm udających rzeczywistych ludzi. On tak bardzo jej pragnął. Tylko jeszcze raz, tylko raz – błagał ją. Tylko jeden raz, zanim zjawi się Nikko, dopóki jesteśmy sami.

Jakiś głos podpowiadał jej, że powinna być ostrożna. Wciąż przytulała się do Sandora, nawet silniej niż przedtem, ale część swojej osoby, mgiełkę oddechu, ulatującą w głąb lasu, wypuściła na poszukiwanie drugiej siebie...

...i znalazła ją siedzącą na dywanie w salonie. Druga Phousita czule głaskała włosy Arifa, który trzymał głowę na jej nogach.

Oboje oglądali antyczną sztukę jakiegoś azjatyckiego dramaturga.

Nie chciała tu być. Jej obecność w tym miejscu cięła ją oskarżeniami jak ostrzem noża, przypominała o utraconych dzieciach. Nie chciała być z tym mężczyzną ani minuty dłużej, dlatego powiedziała to szybko, bez zastanowienia, byle szybciej móc wrócić do Sandora i kochać się z nim, kochać, kochać, kochać, bez końca szukając w orgazmicznej ekstazie zapomnienia, otulać się rozkoszą jak płaszczem, izolującym od złego, zimnego świata.

– Moje atrium jest gotowe. Mogę już przejąć od ciebie widmo Nikko.

– Phousita! – krzyknął Sandor. Chwycił rękami jej ramiona, boleśnie wbił palce w ciało. Spojrzała prosto w jego głębokie, błękitne oczy, pragnąc otulić się ich barwą, ich czystością, jak niebo o zmierzchu, gdy pod koniec deszczowego dnia z powietrza zostają wypłukane ostatnie zanieczyszczenia.

Zacisnęła dłoń w pięść i bezradnie uderzyła nią o udo, dając upust gniewu.

– Jak możesz mnie dotykać? – jęczała. –| Jak możesz w ogóle na mnie patrzeć? Zabiłam twojego brata. Byłam zbyt opieszła. Zbyt głupia. Zabiłam go.

Wyrwała mu się, ale zdołał ją pochwycić i powalić na ziemię, na miękką, gąbczastą poduszkę z opadłych liści. Po skórze dziewczyny skakały setki owadów, krople deszczu wpadały w otwarte oczy.

– Ale ja cię kocham! – powiedział.

Tego było dla niej już za wiele. Omdlała w jego ramionach i wzleciała pod niebo na płynącym nad lasem kłaczku mgły.

Miała zamknięte oczy, lecz czuła bliską obecność Arifa. Podniósł ją z podłogi, tulił w muskularnych ramionach, kołysał jak niemowlę, cicho popłakując. Odczuwała pulsujący ból głowy w miejscu, gdzie otrzymała cios. Wysłała drobnych służących, którzy znieśli ból. Chwilę później uchyliła powieki.

– Phousita – westchnął Arif.

Jego ulga była dla niej jak ukłucie żądłem. Nie mogła patrzeć mu w oczy, odwróciła wzrok. Królowa wiedźm.

– Przepraszam – wyszeptał. – Przepraszam. – Może rzeczywiście było mu przykro. – Tylko ty jedna mi zostałaś. – Znowu wpadł w oskarżycielski ton, jakby koniecznie chciał jej przypomnieć szalejące płomienie. – Nie potrzebujemy Nikko – stwierdził.

Drgnęła.

Przytrzymał ją mocniej.

– Wybacz mi – błagał. – Bez ciebie byłbym zgubiony. Nie zostawiaj mnie. Nigdy nie zostawiaj mnie samego.

Jego dotyk przytłaczał ją, jego żądza działała na nią odpychająco. Traktował ją przedmiotowo, nie widział w niej człowieka.

Wykorzystywał ją, jak wykorzystuje się ubranie, które jest przydatne, na przykład, do ochrony przed słońcem. Nie potrzebował jej, tylko jej talentów, cienkiej osłonki bezpieczeństwa, którą mogła mu zapewnić.

– Kim dla ciebie jestem? – zapytała ostro.

Nie wahał się ani chwili.

– Należysz do mnie. Jesteś moja.

Pogardzanym obiektem pożądania. Talizmanem, który trzymał blisko siebie w trakcie mrocznych nocy w Spili, kiedy mogła mu dać odrobinę wiary, której mu brakowało.

– Nie chcesz mnie – powiedziała – tylko tego, co posiadam. Niech tak będzie. Dam ci to

z radością. Choćby w tej chwili.

Cofnął się. Jego nowa przystojna twarz pokryła się zmarszczkami. Dostrzegła, że jego oczy nadal są lekko fioletowe.

– Sandor ostrzegał mnie, że duch złego czarownika jest niebezpieczny. Nikko mówił to samo. Teraz jesteśmy jednak daleko poza zasięgiem policji.

Znajdowali się w niewielkim pokoju na drobnym stateczku, mknącym z niewyobrażalną prędkością przez bezdenną otchłań całkowitej pustki, coraz dalej i dalej od jakiegokolwiek naturalnego życia. Za ścianami statku nie było zupełnie nic w promieniu tak wielu kilometrów, że mogła tę pustkę porównać jedynie z pustyniami sennych majaków.

– Jeżeli chcesz przyjąć w siebie ducha złego czarownika, dam ci go. Sam będziesz mógł się uzdrowić. Arif. Nie będziesz już musiał polegać na mnie.

– To nie tak – zaprotestował głosem pełnym cierpienia.

Dziewczyna była jednak zmęczona, poirytowana i zdecydowana.

– Chcesz go?

Wciąż jej nie puszczał. Jego ramiona drgnęły, skinął twierdząco.

Zacząła więc tkać zaklęcie, które przeniosłoby ziarno czarownika do ciała Arifa.

– To nie jest takie proste. Nie mogło być.

Aż usiadła, zaskoczona obecnością nieznanego. Kucnął na dywanie, nie dalej jak na wyciągnięcie ręki. Drobnej budowy, szczupły, z wyjątkowo wysokim czołem i zdumiewająco jasną skórą. Ubierał się jak Europejczyk, włosy miał przycięte w ten sposób, że opadając, sięgały niemal barków.

– Co to? – syknął Arif.

– Widmo – szepnęła Phousita. Głośniej dodała: – Jesteś widmem?

– Tak, to prawda – przyznał nieznanemu dżentelmen. Jego usta ułożyły się w tajemniczy uśmiech, który szybko zniknął, zastąpiony przez westchnienie. – Miałem niemałe problemy z dotarciem do ciebie. Jeśli chcesz znać prawdę, prawie się poddałem. Potem przypomniałem sobie Zeke Choya. Pomyślałem, że byłoby dla ciebie czymś naturalnym podjęcie próby skopiowania jego atrium. Skopiowanie całkowite, łącznie z jego adresem. I tak właśnie zrobiłaś... Skopiowałaś adres. Poza tym zaprojektowałaś sobie całkiem nowe, własne atrium. Przebudowane od podstaw.

Zawierające dwa poziomy syntetycznej rzeczywistości. Jestem pod wrażeniem.

– Kim jesteś? – zapytała dziewczyna, wciąż trzymając dłonie w gotowości do rzucenia zaklęcia dla Arifa. Nieznajomy odwracał jej uwagę.

– Ach, proszę o wybaczenie. – Policzki dżentelmena oblał rumieniec wstydu. – Nazywam się Leander Bohr. Wydaje mi się, że w pewnym sensie jestem odpowiedzialny za to, co ci się wydarzyło. Widzisz, to ja stworzyłem ten struktor. Chociaż nie miałem zamiaru nikomu go udostępnić.

– To ty jesteś złym czarownikiem? – spytała z niedowierzaniem.

– Tak mnie teraz nazywają? – roześmiał się nerwowo. – Mówię poważnie, nie oddawaj struktora. Przynajmniej do czasu, gdy będziemy mogli porozmawiać. Pomyślałem, że mogłabyś mnie odwiedzić. Jak najszybciej, rozumiesz? Nie chciałbym zdradzać policji miejsca twojego pobytu, ale jeśli będę musiał, zrobię to. Oto mój adres. Przyjdź, proszę. Do widzenia.

Zniknął tak nagle, jak się pojawił.

Kiedy czarownik odszedł, Phousitę ogarnął strach. Wpatrywała się w równą, białą powierzchnię dywanu. Jej dłonie zadrżały i upuściła przygotowywane zaklęcie. Nic się na szczęście nie stało. Jak we śnie, wydała atrium polecenie oddzielenia duszy od ciała w sposób, który pokazał jej Sandor.

Arif szarpnął ją za rękę.

– Co to jest? – syknął. – Co widziałaś?

Odwróciła się, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Zły czarownik wezwał mnie do siebie – odparła ze zgrozą.

Arif nastroszył się.

– Chyba do niego nie pójdziesz? Nie możesz. Przecież wiesz, że on tylko czeka, żeby odebrać tobie swą duszę. A potem cię zglądzi.

Bała się tego. Nie chciała stracić duszy, ale pamiętała wyjaśnienia Sandora. Duch, który obecnie formował się w jej atrium, nie był jej duszą, lecz tylko jej wizerunkiem, czymś na kształt odbicia w lustrze. Może to prawda. Stara kobieta mówiła jednak co innego. Według niej podczas snu dusza uwalniała się od ciała...

Potrząsnęła głową. Wiedziała tak niewiele. Bardzo dużo się nauczyła, odsłoniły się przed nią nowe pokłady wiedzy, ale wciąż było to prawie nic. Co gorsza, jej wiedza była poszatkowana na drobne kawałki, których nie potrafiła ułożyć we właściwych miejscach.

– Muszę iść – stwierdziła. – Czarownik wezwał mnie do siebie.

W opowieściach starej kobiety świat zawsze był podzielony na bogów i ludzi. Na tych, którzy rządzą, posiadają i dręczą, i tych, którzy są posłuszni i wszystko muszą zdobywać. W najlepszym razie, Phousita była kobietą o skromnej aparycji. Tymczasem zły czarownik, jak mogła się spodziewać, stał raczej po drugiej stronie podzielonego świata. Czyż mogłaby mu się sprzeciwić?

- Powiedział, że jeśli nie przyjdę, zdradzi policji, gdzie jesteśmy.
- Czy policja nadal może nas dopaść?
- Tego nie wiem.
- Bądź ostrożna – rzekł Arif, odwracając wzrok. – Nie pozwól mu...
- Och, jesteś! To dobrze. Nie chciałem cię przestraszyć.

Był to głos czarownika. Phousita zamrugła. Całkowicie straciła orientację. Jeszcze przed chwilą...

Nie, to nie działo się przed chwilą. Wprawdzie miała wrażenie, że nie minęła nawet jedna sekunda, ale instynktownie czuła, że od czasu, gdy jej duch opuścił ją i Arifa, upłynęło wiele, wiele godzin.

Skąd brał się ten instykt? Nie potrafiła powiedzieć. Wykształciła nowy zmysł, jej drobni służący...

Czarownik stał przed nią, składając i rozkładając dłonie. Jego jasne, błękitne oczy wpatrywały się w Phousitę, jakby mężczyzna chciał zachęcić ją do mówienia.

Znajdowali się na podwórzu. Bujny ogród z trzech stron otaczały mury z białego wapienia, w jednej ze ścian tkwiły drewniane drzwi, prowadzące zapewne do wnętrza domu. Powietrze było ciężkie od zapachu kwiatów, pod drzewem czerwonego jaśminu cichutko bulgotała fontanna. Podwórze miało kształt litery U.

Otwierało się na nagi stok czarnej lawy, który stopniowo opadał w dół, by nagle urwać się jak ucięty nożem. I tam, gdzie powinno być coś więcej, coś stanowiącego przedłużenie martwego zbocza – dolina, linia górskich szczytów, ocean lub pustynna równina – tam było już tylko morze gwiazd. A nad tym wszystkim jaśniał wielki księżyc w pełni, przypominający błękitną barwą oczy czarownika. Phousita jęknęła ze strachu. Miała wrażenie, iż ten ogromny księżyc zwali się na nich w każdej chwili. Na razie jednak trzymał się całkiem dobrze.

Zadrżała i przeniosła wzrok na czarownika.

- Oto mój dom – rzekł słodkim głosem. Z nieśmiałością, jak jej się wydawało. – Oczywiście,

nie jest prawdziwy, ale pewnie już się domyśliłaś. Na takiej skale nie byłoby atmosfery, prawda? W każdym razie nie powinno być. Skoro jednak mój dom jest fikcją, mogę do woli zapelniać go fikcyjnymi składnikami.

Wszystko, co widzisz, jest widmem. Łącznie ze mną.

Phousita ze spokojem wygładzała sarong, jednocześnie rozważając implikacje usłyszanego wyznania. Rozumiała strukturę tego miejsca. Była bardzo podobna do struktury jej własnego wewnętrznego świata. Zbyt prosta jak na boga. Czy mogło to znaczyć, że czarownik był zwykłym człowiekiem? Wzięła głęboki oddech i postanowiła się przekonać.

– Tuan, wezwałeś mnie i przyszedł. Chciałabym oddawać ci szacunek we właściwej formie. W takim razie mógłbyś mi odpowiedzieć na jedno pytanie: czy jesteś bogiem? A to miejsce jest światem duchów?

Zły czarownik roześmiał się. Na krótko. Zaraz potem pogrążył się w zadumie.

– Nie, nie jestem bogiem – rzekł. – Jestem tylko widmem człowieka, który nazywał się Leander Bohr. Jakiś czas temu ten człowiek umarł i jestem wszystkim, co po nim zostało. Ale czy to jest świat duchów? Do tej pory nigdy tak o nim nie myślałem, lecz podoba mi się twój pomysł, naprawdę mi się podoba. Z całą pewnością materialne podstawy, na których opiera się istnienie tego świata, są bardzo kruche. Poza tym, zawsze jest miejsce na jeszcze jeden mit, czyż nie? Świat duchów. O, tak, bardzo mi się podoba.

Phousita zmarszczyła brwi. Bawił się nią? Trudno było zakładać, że człowiek tak wykształcony jak ten czarownik mógłby nie mieć pojęcia o strukturze świata i swym miejscu w tym świecie.

Świat duchów i świat ludzi stanowiły dwie części całości. Wszystkie opowieści starej kobiety bazowały na tej fundamentalnej prawdzie. Uważnie obserwowała Leandera Bohra. Czyżby jakiś bóg odebrał mu wiedzę o tej fundamentalnej prawdzie? To dziwne, ale zrobiło jej się go żal.

– Tuan – przemówiła, gdy milczenie czarownika przedłużało się i wyczuła, że powinna przerwać ciszę. – Jesteś tym, który we mnie mieszka?

Pokręcił głową.

– Nie. Mówisz o rzeczy, którą stworzyłem. Zatrzymałaś ją dla siebie, prawda?

– Tak, tuan.

– To dobrze. – Uśmiechnął się. Nieśmiało i czarująco. – Bardzo dobrze.

Nie dała się zwieść jego uprzejmości. Wiedziała, że stanęła mu na drodze. Na pewno, bez

najmniejszych wątpliwości, chciał odzyskać mieszkającego w niej ducha. W innym razie, po co by ją tu przywoływał?

Nagle przestał się uśmiechać. Teraz wyglądał na strapionego.

– Nie powinnaś oddawać go nikomu. Ta maszyna może być wyjątkowo niebezpieczna. Nie chciałybyś być odpowiedzialna za to, co by się później stało.

Ostrzeżenie zdawało się wzniecać wokół dziewczyny jasne płomienie. Ogień otaczał ją, lizał stopy, całował spódnicę. Zaciśnęła powieki, chcąc oddalić od siebie wizję.

– Struktor przyniósł ci straszliwy ból – stwierdził Leander przyciszonym, łagodnym głosem.
– Nie chciałybyś, żeby ktokolwiek tak cierpiał. Nikomu tego nie życzysz.

Zesztywniała. Zaczynała czytać między wierszami i gniew zmaćił jej myśli. Owszem, weszła mu w drogę. Jednak duch należał teraz do niej! Sam do niej przyszedł. Był podarunkiem, a nie przekleństwem. Zrobi z nim, co zechce.

Spojrzała mu w oczy.

– Nie oddam ci go. Moi ludzie go potrzebują.

Zdumiał się.

– Twoi ludzie?

Wątpliwości czarownika zdawały się podsycać płomienie, które ponownie strzeliły w górę na granicy jej pola widzenia.

Przygasła je narastającym w niej gniewem. Czy jemu naprawdę wydawało się, że nie miała już nikogo?

– Moim ludziom! – wrzasnęła, nie kryjąc złości. Wskazała palcem na swą pierś i rzekła: – Ludziom Spili! Podzielę się mym darem z każdym z nich!

Otworzył szeroko oczy.

– Chyba nie mówisz poważnie! – krzyknął w panice. – Chyba nie chcesz uwolnić mocy drzemiących w tym struktorze!

– A dlaczego nie?! – prychnęła, ledwo panując nad głosem.

– Dzięki temu duchowi, każdy będzie mógł naprawić swoje życie. A jeżeli uda mu się poprawić własne życie, cały świat również na tym zyska.

Potrząsnął głową. W jego oczach pojawił się lęk.

– Phousita, inni ludzie nie są tacy, jak ty. Nie chcą być uleczeni. Chcą być kimś więcej niż zwykłymi ludźmi, chcą przerabiać świat wedle własnego uznania. Zamordują ducha naszej Matki

Ziemi. Musisz zniszczyć struktor. Właśnie o to chciałem cię prosić.

Zacisnęła wargi, aż pobieleały.

– Nie mogę tego zrobić, tuan.

Nie mogła zdradzić Arifa i Sandora, zmarłych dzieci, każdego, kto przewinął się przez jej życie, a mógłby wiele zyskać dzięki temu duchowi. Nie mogła zadość uczynić prośbie czarownika choćby przez wzgląd na pamięć o starej kobiecie. Miałaby to zrobić tylko dlatego, że on nie chciał dzielić się z innymi?

Twierdził, że nie jest bogiem, a teraz... zachowywał się jak jeden z nich.

– Słyszałam, że bogowie zazdrośnie strzegą swych darów – powiedziała. – Słyszałam, że patrzenie na ludzkie cierpienie sprawia im radość i czyni ich życie słodszy.

– Ach... – Odwrócił się do niej bokiem, by utkwic wzrok w drzewku owocowym, obwieszonym dużymi, kolorowymi nietoperzami. – Cóż, teraz przynajmniej już wiesz, jaka jest moja wola. Może uda mi się ciebie przekonać, nie wiem.

– Będziesz mnie torturował?

– Och! Nie, ja... Nigdy... – Jego mlecznobiała skóra oblała się rumieńcem, język zaplątał i odmówił posłuszeństwa. – Chociaż... tak. Tak, mogłoby do tego dojść. Nie możesz stąd odejść, dopóki ci nie pozwolę. Nie możesz też wymazać siebie. Rozumiesz, edytuję twoją osobowość w taki sposób, że nie masz na to wpływu. Trochę to faszystowskie, jak mi się zdaje. Przykro mi.

To dziwne, ale Phousita już się nie bała. Kogo miałaby się bać?

Tego człowieka, nieśmiałego i przesadnie wstydliwego jak mały chłopczyk? Wcale nie wyglądał na wielkiego czarownika. Może był to tylko kamuflaż, którym chciał ją zwieść. Nie byłoby to dla niej nic nowego; stara kobieta snuła niezliczone opowieści, w których demony przybierały maskę przyjaciela. Zachowała więc podejrzliwość, choć podjęła próbę nawiązania bliższego kontaktu.

– Nie wydajesz się zły – zauważyła.

Nerwowo przebiegł wzrokiem po najbliższym otoczeniu, unikając wzroku dziewczyny.

– Nie polegaj na tym za bardzo. Sam jestem tchórzem, ale mam struktory od brudnej roboty.

– Dlaczego chcesz, abym zniszczyła twoje własne dzieło?

– Bo jeśli przedostanie się do Natury, zniszczy naszą przeszłość. – Miała zamiar zaprotestować, ale nie dopuścił jej do głosu. – Nie chodzi o naszą pamięć rzeczy minionych. Oczywiście, struktor wszystko zapisuje, jest to jedna z jego funkcji. Ta maszyna zniszczy naszą

łączność z przeszłością. Zerwie łańcuch biologicznej ciągłości. Zaprzepaści miliardy lat przemian, biliony śmierci ludzi i innych istot, ciągłe, podświadome doskonalenie się trylionów linii genetycznych. Ciało naszej Matki Ziemi będzie już tylko niepotrzebnym odpadem. Po przejściu tego struktora nie będzie miejsca na jakiegokolwiek zmiany. Historia się skończy.

Phousita z niesmakiem spuściła wzrok. Ten człowiek gadał od rzeczy. Człowiek, bo na pewno nie bóg. Żaden bóg nie wygadywałby takich nonsensów.

– Tobie struktor jawi się jako wybawienie – mówił dalej Leander. – Podziwiam cię za to, absolutnie daleki jestem od potępiania cię. Wiem, widziałaś straszne rzeczy i chwali ci się, że chcesz położyć im kres. Struktor jest jednak niszczycielską siłą, a nie zbawcą. Owszem, zbawi jednostkę, ale zniszczy ciągłość życia.

Ciągłość. Na czym miała ona polegać? Na przekazywaniu z pokolenia na pokolenie bólu i cierpienia? Stała twarzą w twarz z Bohrem i drżąc z gniewu, powiedziała:

– We Wspólnocie nikt nie musi cierpieć...

– Ależ! Wspólnota nie ma żadnego znaczenia. Ty, ty jesteś ważna. Ty jesteś prawdziwa. Spili jest ważne. Ważne jest każde miejsce, które nie ukrywa się pod parasolem ochronnym Wspólnoty. Życie potrzebuje ryzyka, potrzebuje niepewności. W przeciwnym razie staje się pasywne, wrażliwe na ciosy.

Phousita zmusiła ręce, żeby pozostały luźno zwieszane wzdłuż boków. Dla uspokojenia zaczerpnęła trzy głębokie oddechy, spoglądając w otchłań morza gwiazd. Skądś dobiegało głośnie kumkanie żaby.

– Żyjesz tu zupełnie sam? – zapytała.

Czarownik cofnął się krok do tyłu. Skrzywił się, jakby usłyszał coś nieprzyjemnego.

– No... Tak, nie da się ukryć, żyję samotnie.

Phousita nie starała się ukryć pogardy.

– Wybacz, tuan, moje głupie pytanie. Przecież już mi powiedziałaś, że jesteś widmem. Widma przecież wcale nie żyją. Mam rację?

Zaczął bębnić palcami o udo.

– Oczywiście, nie w taki sposób, w jaki...

– Jasne, nie chciałam cię urazić. Jestem tylko głupią kobietą.

– Przestań, proszę.

– Dobrze, tuan, zaraz. Chciałabym tylko, żebyś odpowiedział mi jeszcze na jedno pytanie. Po

tym, jak poddasz mnie torturom i przekonasz, abym wypędziła ducha złego czarownika... Och, przepraszam za moje niezdarne słownictwo. Po tym, jak pozbędę się struktora... (Co za głupota, że wzięłam go za twojego ducha!) Co zrobisz? Pozostaniesz w tym pustym świecie, trwając w tym stanie, który trudno nazwać życiem, bez miłości i strachu przed śmiercią? Tuan, za kogo ty się uważasz, żeby rządzić światem?

Z początku nie odpowiedział. Stał przed dziewczyną, ze wzrokiem wbitym w ziemię, na której kreślił butem okręgi. Na drzewie nad jego głową przysiadła papuga. Podniósł oczy i zgonił ją energicznym ruchem ręki. Zapadła cisza. Dopiero teraz spojrzał Phousicie w oczy i rzekł:

– Ja stworzyłem ten struktor. Jestem za niego odpowiedzialny. To moja wina. Powinienem zniszczyć go już dawno temu, ale nie mogłem się do niego dostać. Myślałem, że jest bezpiecznie ukryty. Pomyliłem się. Wyciągnął go ten cholerny Nikko Jiang-Tibayan.

Miała wrażenie, że jej serce nagle przestało bić. Nie chciała zadawać dalszych pytań, nie chciała polegać na słowach tego człowieka, lecz chęć dowiedzenia się czegoś więcej przeważała szalę.

– Nikko? Znasz go?

Leander był zaskoczony. Zerknął na nią podejrzliwie.

– A ty?

– On nie żyje – powiedziała.

– Owszem.

Z wyrazu jego twarzy poznała, że nie przejmował się losem Nikko. Tupnęła ze złością. Co z niego za człowiek, że przechodził obok śmierci z taką obojętnością?

Miała wrażenie, że czyta w jej myślach. Zbliżył się do niej, lecz zachowując dla niej szacunek, nie dotknął jej.

– Nie jestem zły, Phousita. Nie jestem okrutny i bez serca.

Ja też głodowałem. Miałem trzy siostry. Żadnej nie udało się przeżyć dłużej niż miesiąc. Matka porzuciła mnie, gdy jakiś oszust zaproponował jej okazyjny przerzut przez granicę. Wychowywałem się w rodzinie mojego najlepszego przyjaciela. Potem jego matka odkryła, że mam skromny talent do inżynierii molekularnej i sprzedała mnie do klanu kryminalistów. Wiem, jak straszny potrafi być świat.

– W takim razie dlaczego nie próbowałeś go zmienić?

– Świat sam się zmienia. Znam cierpienie. Czuję je każdego dnia. Każdy rodzic wie, że jego

dzieci muszą to znieść.

- Tak bardzo, że nie dożywają wieku dorosłego?
 - Życie musi toczyć się dalej. Świat nie stoi w miejscu.
 - O, tak! – wykrzyknęła. – Wspólnota już o to zadba!
- Ciągle mamy jeszcze coś, czego im trzeba.
- Dopóki zostawiają w spokoju wasze naturalne miasta.
 - Jesteś bez serca.

Z pewnym oporem przytaknął.

– Przypuszczam, że masz rację. Jesteś szczerą aż do bólu. To pocieszające. Cóż, nie mogę sprawić ci zawodu. Muszę teraz poddać cię torturom.

Jej serce przystanęło na moment, ale niczego nie dała po sobie poznać. Była ciekawa, czy wiedział. Podśluchiwał jej myśli?

– Jak to zrobisz? – zapytała, siląc się na spokój.

– Przepiszę twoje widmo, infekując je częścią mojej świadomości. Moje przekonania staną się twoimi. Chciałem osiągnąć to perswazją, lecz ze smutkiem przyznaję, iż moja taktyka zawiodła na całej linii. Zabierzesz te przekonania do swojego oryginału i będziesz starała się im sprostać ze wszystkich sił.

– Opętasz mnie.

– Tak.

– Jesteś zły.

– Nigdy nie myślałem tak o sobie, ale w tych okolicznościach... Cóż, chyba masz rację.

ROZDZIAŁ 20

Kiedy informacja o kradzieży struktora Bohra przedostała się do wiadomości publicznej, Kirstin na nowo podjęła śledztwo. Po przesłuchaniu w Kongresie odezwało się co prawda parę głosów żądających od niej złożenia rezygnacji, ale szybko je uciszono. Większość członków Kongresu rozumiała, że jeżeli istnieje ktoś, kto odnajdzie zaginiony struktor, to jest nim bezlitosna w swojej wytrwałości naczelnik Adair.

Allende wiedział o tym i trzymał się na uboczu, ale bez przerwy wtykał nos w toczące się śledztwo. Był Kierownikiem Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego i szpiegowanie gliniarzy należało do jego obowiązków. Jego rola w tej sprawie zaczęła się wraz ze zdradą Jensena Van Nessa, lecz na tym powinna się zakończyć. Tymczasem on nie zamierzał się wycofać. Szpiegując prowadzących dochodzenie policjantów, przez cały czas wzbogacał swój raport, rzekomo po to, by wyjaśnić przyczyny braku zadowalających efektów. Ani na chwilę nie spuszczał Kirstin z oka. Bombardował Kongres raportami, w których dowodził jej niekompetencji. Wszelkimi sposobami próbował zaszkodzić jej reputacji. Jednak naczelnik Adair nie byłaby sobą, gdyby wszystkich jego ataków nie potrafiła zręcznie obrócić na swoją korzyść.

To Allende sprawił, że sprawa struktora Bohra stanęła na forum Kongresu, ale jej upublicznienie dało Kirstin same zyski.

Nie musiała już uciekać się w śledztwie do subtelnych manewrów.

Po przesłuchaniach zarządziła kilka zakrojonych na szeroką skalę przeglądów danych, analizując wszystkie, nawet najdrobniejsze zapisy systemu nadzoru Wspólnoty, jakie pojawiły się od momentu, w którym dokonano kradzieży.

We Wspólnocie zapisywało się tak wiele informacji, że drobny fakt, mimo iż znany i zapamiętany, mógł rozplątać się w morzu danych równie skutecznie, jak gdyby rozplątał się w niepamięci.

Mimo to Kirstin nie zrażała się. Wielki przegląd danych, który zarządziła, nie miał równego sobie w historii. W miarę jak mijały tygodnie i monumentalne przedsięwzięcie posuwało się naprzód, media ukuły mu ironiczne miano „leniwego oka Boga”.

Niepomna na nic Kirstin kontynuowała polowanie.

Poleciła programom inteligencji niższego rzędu, żeby przejrzały wszystkie zgromadzone na

Bramach dane wizualne, w poszukiwaniu:

- 1) optycznej identyfikacji Phousity i Arifa;
- 2) optycznej identyfikacji wszelkich osobników, których ciała z grubsza przypominałyby ciała Phousity i Arifa.

Działania określone w punkcie pierwszym nie przyniosły żadnych rezultatów. Działania określone w punkcie drugim już w pierwszym tygodniu zaowocowały trzema tysiącami rozpoznanych przypadków, z których każdy musiał zostać poddany powtórnej analizie.

Staranność i wytrwałość programów komputerowych wspomagali ludzie, wzbogacając śledztwo o pierwiastek twórczy. Jeden z nich miał za zadanie oszacować, jakim zmianom ulegałby wygląd Arifa, gdyby jego twarz zaczęła zdrowieć. Drugiemu polecono opracować portret psychologiczny Phousity, który pozwoliłby przewidzieć zmiany fizyczne, jakim mogłaby poddać swoje własne ciało. Dla Kirstin były to działania z pogranicza nauki, o krok od szarlatanerii. Nie wierzyła w ich skuteczność.

Takie metody z reguły okazywały się bezużyteczne.

Jeden z programów sprawdzał zapisane przez Bramy i Cesarską Autostradę zapachy. Jeden z ludzi pracował nad modelami ewentualnych zmian w zapachu obojga poszukiwanych. Program inteligencji niższego rzędu miał za zadanie uwzględniać w swoich poszukiwaniach wnioski człowieka. I znowu bez rezultatu.

Kolejny program otrzymał polecenie sprawdzenia wszystkich chipów identyfikacyjnych rejestrowanych na Bramach Cesarskiej Autostrady, w celu ustalenia, czy każdy z nich prowadzi do realnie istniejącej osoby o dającej się potwierdzić biografii. Żadnych nieprawidłowości.

Jeszcze inny program miał za zadanie przeczesać wszystkie zapisy systemu nadzoru w Zamku, każdy bit informacji złowiony w zainstalowaną na końcowej stacji windy gęstą sieć filtrów, kamer i mikrofonów. System nadzoru obejmował swoim zasięgiem każde miejsce publiczne w mieście i niejeden teren prywatny, toteż ilość nagromadzonej informacji była ogromna. Czas potrzebny na przedarcie się przez dane liczony był w dniach.

Ostatecznie jednak wysiłek opłacił się, przynosząc plon w postaci jednego słowa wypowiedzianego w zasięgu mikrofonu zainstalowanego w dokach Zamku. Słowo to brzmiało: „Phousita”.

Chociaż Nikko, ratując się ucieczką z atrium Arifa, jako adres docelowy podał Dom Lata, nie łudził się, że tam dotrze. Wiedział, że po drodze najprawdopodobniej przechwycą go gliny.

Spodziewał się, że Kirstin zrobi to osobiście.

Dlatego nie zdziwił się, kiedy odkrył, że siedzi przy biurku, naprzeciw umundurowanego policjanta, w otoczeniu tak niskiej grawitacji, że musiało to być na Zamku. Lekki wstrząs towarzyszył jedynie odkryciu, iż towarzyszącym mu mundurowym nie jest Kirstin.

Policjant – tęgi mężczyzna o ciężkich dłoniach, złożonych na blacie biurka – zlustrował go małymi, ciemnymi oczkami. Ubrany był w mundur wysokiej rangi oficera, kierownika sekcji. Jego atrium było legalne.

Pierwszy raz od tygodni Nikko poczuł się fizycznie obecny.

Czysta radość cielesnego istnienia niemal odebrała mu zdolność myślenia. Ledwie zauważał dokuczliwy skurcz w rękach. Potem jego wzrok napotkał twarde spojrzenie gliniarza i Nikko zrozumiał, że musi stawić czoło sytuacji.

– Znam cię – powiedział bez ogródek.

Tylko w połowie było to prawdą. Kiedyś widział już tego człowieka. Teraz przeszukiwał pamięć, próbując przyporządkować twarzy jakieś nazwisko.

– Nazwisko brzmi Allende – odezwał się policjant. – Długo czekałam, aż się pokażesz. – Jego spojrzenie wędrowało w tę i z powrotem po niebieskim ciełe Nikko, podczas gdy na jego twarzy podziw przeplatał się z obrzydzeniem.

– A Kirstin? – zapytał Nikko.

Allende uśmiechnął się zimno.

– Nie chciałbyś się z nią widzieć, prawda?

– Nie.

– Zawzięcie na ciebie poluje, ale szuka złego wzorca. Widzisz, pozwoliłem sobie skorygować twój plik. Teraz tylko ja posiadam prawdziwy wzorzec. – Wyszczерzył zęby. – Sądzę, że możemy ubić interes. Masz struktor Bohra?

Nikko przyglądał mu się badawczo, próbując znaleźć najlepsze wyjście z sytuacji. Czyżby Allende zamierzał pokrzyżować plany policji?

– Struktor Bohra – powtórzył Nikko. – Czy to ma być ten interes?

– Masz go, prawda?

Nikko odchylił się na oparcie krzesła i ostrożnie wziął oddech. Zanim odpowiedział, poświęcił chwilę na rozejrzenie się po atrium, w którym się znajdował. Odkrył, że Allende założył na jego wzorzec elektroniczny kaftan więzienny. Tkwił tutaj jak w potrzasku – to, czy

odzyska wolność, zależało wyłącznie od dobrej woli gospodarza.

– A co proponujesz w zamian?

– Otworzę przed tobą Bramy. Pójdiesz, dokąd zechcesz.

– Dlaczego?

– Kirstin chce zniszczyć struktor.

Nikko skinął ze zrozumieniem.

– A ty tego nie chcesz.

– Pozbyć się naszej najpotężniejszej broni? – prychnął Allende. – To idiotyzm.

– Mam go – powiedział Nikko, głaszcząc dłonią swoją niebieską, wypraną z wszelkiego wyrazu twarz; tę twarz, która nigdy jeszcze go nie zdradziła. – Ale nie przy sobie.

– Śledziłem twoją trasę – rzekł Allende. – Wiem, że wyruszyłeś ze statku poruszającego się gdzieś w przestrzeni.

– Tak, tam właśnie znajduje się struktor – przytaknął Nikko.

Wargi Allende wygięły się pożądliwie, odsłaniając zęby.

– To znaczy, że przedostał się przez dwie Bramy i wszystkie filtry na Zamku!

Niewiarygodne!

– To struktor Bohra – przypomniał mu Nikko, a pochyliwszy się naprzód, dodał:

– Mogę dać ci kody sterujące statku, ale resztą będziesz musiał zająć się sam.

– No to dawaj.

Nikko potrząsnął przecząco głową.

– Najpierw chcę się przedostać przez Bramy. Dam ci kody, kiedy już będę w Domu Lata.

Oczy Allende zwęziły się.

– Jiang-Tibayan, problem w tym, że ja również nie mam do ciebie zaufania.

Nikko skinął. W życiu miewał już do czynienia z takimi sytuacjami.

– Więc zostawię ci kody – zaproponował. – Ale zaplombowane elektronicznie. Wyślij razem ze mną sygnał zwrotny. Kiedy dotrę do Domu Lata, sygnał odbije się, wróci i odblokuje kody.

Allende skinął z namysłem głową.

– To powinno zadziałać – rzekł. – Może być.

Tygodnie przeszukiwania danych dostarczyły Kirstin setek fałszywych tropów. Nie potrafiła już czuć podniecenia, kiedy dostarczono jej kolejny, nawet jeśli było to czyściutkie nagranie głosu wypowiadającego imię głównej podejrzanej: „Phousita”.

Jednak jej zainteresowanie wzrosło, kiedy dalsze śledztwo ujawniło, iż imię zostało wypowiedziane w hali doku, w którym w owym czasie znajdował się statek należący do Domu Lata (poprzez złożony system pośredników). Odnalezienie zapisu wszczepów identyfikacyjnych dwojga pasażerów było już tylko kwestią nieskomplikowanej operacji. Jak można było się spodziewać, figurujące w dokumentacji nazwiska obojga były nic nie mówiącym zlepkiem liter, a życiorysy spreparowano. Ale cofając się po śladach dwójki podejrzanych, dokonano interesującego odkrycia – trop prowadził prosto do Strefy Wolnego Handlu.

Parę minut później okazało się, iż program sterujący statku pochodził od Marevic Chun.

Kirstin zdecydowała się odwiedzić Marevic Chun osobiście.

Towarzyszyć jej miał zgromadzony naprędce oddział mundurowych. W ostatniej chwili, jak zwykle nieproszony, dołączył do nich Allende.

Obszarem macierzystym Marevic była wieża Zamku należąca do Domu Lata. Rzadko opuszczała mieszczące się tam biura.

Oczywiście, zanim Kirstin przeprowadziła swój oddział przez labirynt systemu ochrony oraz szereg sekretariatów, stworzonych tylko po to, by utrudniać przybyszowi z zewnątrz swobodne poruszanie się po terytorium korporacji, Chun została już ostrzeżona o wizycie. Powitała Kirstin, usadowiona za wielkim drewnianym biurkiem, chłodno, ale bez zdziwienia.

– Naczelnik Adair, myślałam, że pani śledztwo polega na sprawdzaniu zapisów danych naszej korporacji.

Kirstin wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Nie, Marevic. Właśnie zdobyłam nakaz otwarcia twoich plików prywatnych. Jesteś aresztowana.

Delikatne rysy Marevic nie zmieniły wyrazu.

– Pod jakim zarzutem?

– Falszowanie chipów identyfikacyjnych.

Kobieta zamruwała.

– Macie jakieś dowody?

– Mam dwoje osobników nie znanych ani jednej osobie w ich rzekomym miejscu zamieszkania.

– A jaki to ma związek ze mną?

– To ty napisałaś instrukcje dla systemu sterującego statku, którym się poruszają.

Część umysłu Nikko przez cały czas spodziewała się, że Allende wbrew swoim zapewnieniom wyda go Kirstin. Najwyraźniej jednak szef wewnętrznych służb bezpieczeństwa snuł jakieś iiii i własne plany, gdyż kolejnym miejscem, w którym zmanifestowało się widmo Nikko był apartament Foxa w Domu Lata.

Centrum pomieszczenia wypełniał holograficzny obraz Domu Lata w przekroju pionowym. Obok niego stał Fox, a na jego twarzy malowała się komiczna mieszanka podejrzliwości i zdumienia. Nikko wydał z siebie okrzyk radości i, wyciągając w górę niebieskoskóre dłonie, zabębnił nimi o sufit.

– Udało się, tato! – Pełen zdziwienia zachwyty nad własnym szczęściem wypłynął z niego kaskadą serdecznego śmiechu. – Zrobiłem to! Wróciłem do domu!

Ostatnie tygodnie nie obeszły się z Foxem najlepiej. Sprawiał wrażenie znacznie postarzałego. Wśród rzędzących rudych włosów dało się dostrzec pasma siwizny, plecy pochyliły się, twarz pobruździło zmartwienie.

– Hej, tato – powiedział Nikko. – Nie jest tak źle, jak myślisz.

Fox postąpił krok naprzód. Uniósł rękę.

– Skąd się tutaj wzięłeś? – spytał chrapliwie, głosem niewiele głośniejszym od szeptu. – Jak przedostałeś się przez Bramy?

Nikko odwrócił wzrok, zakłopotany malującym się w oczach Foxa cierpieniem. Nie był pewien, co odpowiedzieć. Jego wzrok padł na hologram Domu Lata i zatrzymał się na nim, przykuty fascynującymi szczegółami. Można było dostrzec najmniejsze drobiazgi, nawet przelatujące między drzewami ptaki i wędrujących korytarzami ludzi. Ponownie przeniósł spojrzenie na Foxa.

Mimo że ten nie zwracał na symulację najmniejszej uwagi, atrium odtwarzało wszystkie zachodzące w hologramie zmiany, i to bez ujmy dla rozdzielczości. Który to już raz Fox odtwarzał tę symulację?

Odpędził od siebie tę myśl. Miał teraz pilniejsze sprawy na głowie.

– Potrzebuję twojej pomocy, tato.

Ale hologram na powrót przykuł jego uwagę. Coś złego działo się z symulacją. Obserwował, jak wnętrze Domu ulega powolnemu niszczeniu; las przestał istnieć, zamieniając się w próchno; na korytarzach zrobiło się pusto, gdzieś zniknęli wszyscy chodzący tamtędy ludzie. To poruszyło Nikko. Miał wrażenie, że ogląda puszczony na przyspieszonych obrotach film, odtwarzający

rozkład martwego ciała. Tylko że rolę zwłok odgrywał Dom Lata.

W przeciągu kilku następnych sekund wewnątrz konstrukcji pojawiła się krata czerni – to zaczęły rozszerzać się korytarze.

Wkrótce potem cały Dom rozpadł się na odrębne komórki. Krawędzie niektórych z nich miały zaledwie kilka metrów długości, podczas gdy rozmiary innych sięgały setek metrów. Komórki zbiły się w odrębne grupy, oddzielone od siebie wąskimi, długimi kanałami o czarnych ścianach. Nastąpiła chwila bezruchu. Wtedy grupy eksplodowały, a wirujące jak bąki komórki rozbiegły się w próżni.

– Na Miłość i Naturę! – wykrzyknął Nikko, wstrząśnięty tym, co zobaczył. – Fox, co to było?

Fox zerknął przez ramię za siebie. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Koniec projekcji! – szczechnął i spojrzał na Nikko spod gniewnie zmarszczonych brwi. – Nic takiego – powiedział spieszenie. – Projekt jednego z moich studentów.

Nikko nie dał wiary temu wyjaśnieniu.

– To coś więcej. Znalazłeś jakąś wadę w konstrukcji Domu?

Jest niestabilny?

– Nie, nie. Dom jest w porządku. To, co widziałeś, to strategia przetrwania na wypadek katastrofy. – Fox zagryzł nerwowo wargi. – Słuchaj Nikko, jesteś zbiegiem. Im mniej będziesz wiedział, tym lepiej.

Ale domyśły Nikko już posunęły się dalej.

– Strategia przetrwania? Czy to ma coś wspólnego z biogenezą?

Fox nie odpowiedział, ale zdradził go wyraz twarzy.

– Więc ma – stwierdził Nikko. – Tylko dlaczego Dom miałby ulec zniszczeniu? Po co ta strategia przetrwania? – Kiszor zapadł się i ułożył płasko wokół jego szyi. – To były komórki rozrodcze, prawda? – Potrząsnął z niedowierzaniem głową. – Strategia przetrwania na wypadek katastrofy. To nad takim numerem pracujesz – roześmiał się z powątpiewaniem. – Naprawdę uważasz, że Dom może zostać... zasiany?

Fox wzruszył ramionami. Wyglądał na nieszczęśliwego.

– Słuchaj – oświadczył Nikko. – Naprawdę potrzeba mi twojej pomocy. Zaledwie parę dni drogi od Domu znajduje się pewien statek. Na jego pokładzie leci dwoje pasażerów. Jedno z nich posiada psychiczny i fizyczny zapis Sandora. Ale statek nigdy tutaj nie dotrze. Minie Dom Lata

i zawróci, wracając do Zamku. Zanim to się stanie, muszę koniecznie wydostać z niego tych dwoje. Tato, chyba nie odmówisz mi pomocy?

Struktury obronne Marevic były bardzo, ale to bardzo dobre.

Przy tym nie zarejestrowane, zatem nielegalne. Oddział badawczy stracił kilka godzin na rozszyfrowanie ich budowy i skonstruowanie struktorów-zabójców zdolnych je pokonać. Kiedy już tego dokonali, wprowadzenie do systemu Marevic narkotyku psychoaktywnego było zwykłą igraszką. Kilka minut później Chun nie potrafiłaby odmówić odpowiedzi na żadne pytanie. Siedziała na kanapie, w izolatce w kwaterze głównej policji, a u jej boku czuwał adwokat. Drobne usta kobiety wykrzywiało przecucie czegoś złego. Nie sprawiała wrażenia otumanionej ani pijanej.

Tylko nienaturalnie gadatliwej.

Kirstin stała pośrodku pokoju i mierzyła ją wzrokiem, wążąc w myślach możliwość, iż dział badawczy coś przeoczył. Czy Marevic mogła symulować swój stan?

Badacze upierali się, że ją rozpracowali. Wszyscy byli ludźmi Kirstin. Zatem musiała im ufać.

Zerknęła na Allende. Stał w kącie izolatki ostentacyjnie przyjmując rolę obserwatora, ale wzrok miał wbity w podłogę, a po twarzy raz po raz przemykał mu grymas zaniepokojenia. Brwi Kirstin uniosły się w nagłym przypiływie podejrzliwości. Czyżby obawiał się, że Marevic ujawni coś na jego temat? Postanowiła przestudiować potem zapis sesji i ocenić jego reakcje. Teraz jednak zasiadła wraz ze swoim zespołem na kanapie, naprzeciw Marevic.

Prowadzący przesłuchanie uznał to za znak do rozpoczęcia.

Pochylił się naprzód i utkwiał wzrok w twarzy Chun.

– Marevic Chun. Zdaje pani sobie sprawę z prowadzonego przeciw pani dochodzenia. Proszę podać prawdziwą tożsamość odbiorców fałszywych chipów identyfikacyjnych.

Marevic drgnęła i poprawiła się na miejscu.

– Oni we Wspólnocie są nikim – burknęła. – Nie mają tożsamości.

– Proszę podać nazwiska odbiorców fałszywych chipów identyfikacyjnych – polecił przesłuchujący, precyzyjnie odmierzając słowa.

Oddech Marevic stał się nagle gwałtowny i głęboki, zdradzając jej zmagania z biochemicznym nakazem udzielenia odpowiedzi.

– Phousita – wypluła wreszcie z siebie. – Nazwisko nie znane. Arif. Nazwisko nie znane.

Kirstin wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Jej ludzie wymienili triumfalne spojrzenia i szepty.

– Phousita i Arif – powtórzył prowadzący przesłuchanie, jedyny z obecnych w pokoju, który nie zmienił wyrazu twarzy. – Czy tych dwoje znajduje się obecnie na statku zmierzającym w stronę Domu Lata?

Dłonie Marevic spoczywały dotąd na jej podołku. Teraz szczepiła je razem, gwałtownie przebierając palcami.

– Są w drodze do Złotego Skrzydła – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

– A Złote Skrzydło jest kontrolowane przez Dom Lata?

Twarz przesłuchiwanej nabiegła krwią, rysy wykrzywiła wściekłość.

– Tak.

– Czy Phousita i Arif są obecnie w posiadaniu artefaktu popularnie zwanego struktorem Bohra?

– Nie wiem.

Przesłuchujący nie dał się zbić z tropu.

– Czy pani zdaniem, Phousita i Arif są obecnie w posiadaniu artefaktu popularnie zwanego struktorem Bohra?

– Tak! – rozbrzmiało, wrywając się z gardła Marevic niczym mała eksplozja.

Kirstin pochyliła się do przodu.

– Czy zna pani miejsce pobytu jakiegokolwiek widma Nikko Jiang-Tibayana?

– To pytanie wykracza poza zakres śledztwa! – zaprotestował adwokat.

Mimo to Marevic odpowiedziała.

– Tak.

– Podejrzenie przestępstwa – odparła Kirstin. – Rozszerzamy zasięg dochodzenia.

– Nie bez nakazu. – Adwokat podniósł się z kanapy i stanął przed Marevic, jakby mógł ją tym sposobem ochronić.

Z kąta dobiegł tubalny, gniewny głos Allende.

– Naczelnik Adair! Jedynym celem tego przymusowego przesłuchania jest ustalenie związku Marevic Chun ze sfalszowanymi chipami identyfikacyjnymi. Jeżeli pani przekroczy dopuszczalne granice, będę musiał usunąć panią z szeregów policji.

Kirstin poczuła ciągnący po grzbiecie chłód. Allende coś ukrywał. Była tego pewna.

– Proszę wystąpić o nakaz – poleciła jednemu z oficerów.

Na kilkanaście minut w pokoju zapanowało milczenie. Wreszcie nadszedł nakaz, pojawiając się jednocześnie w atrium każdego z obecnych. Prawnik ponownie zajął miejsce u boku swojej klientki. Prowadzący przesłuchanie powtórzył pytanie Kirstin.

– Pani Marevic Chun, czy zna pani miejsce pobytu jakiegokolwiek widma Nikko Jiang-Tibayana?

– Tak – potwierdziła jeszcze raz przesłuchiwana.

– Więc gdzie przebywa obecnie widmo Nikko Jiang-Tibayana?

– W atrium.

– W którym atrium?

– Arifa.

– Widmo znajduje się na pokładzie statku, który...

Nagle broda Marevic powędrowała w górę. Jej powieki zacisnęły się spazmatycznie, jakby ciało przeszył nieoczekiwany ból.

Kirstin zerwała się na równe nogi, wietrząc nieszczęście.

– Kody kontrolne! – krzyknęła. – Jakie są kody kontrolne?

Z ust Chun popłynął seria wyszczekiwanych gardłowym głosem monosylab, bezcenny ciąg alfanumeryczny. Po dwunastej cyfrze kobieta opadła do tyłu. Jej głowa spoczęła bezwładnie na oparciu. Kirstin stała nad nią, zaciskając pięści, z trudem hamując odruch wymierzenia zemdlonej siarczystego policzka.

Do Marevic doskoczył jeden z medyków. Jej adwokat usiłował go odepchnąć, ale na znak Kirstin policjanci natychmiast odciągnęli go na bok.

– Marevic, powiedz, co się z tobą dzieje – rozkazała Kirstin.

– Nie pamiętam.

– Powiedz, jak się nazywasz – łagodnie polecił medyk, przykładając kobiecie do karku skórne plastry.

– Marevic Chun.

– Jakie są kody kontrolne statku? – warknęła Kirstin.

– Jakiego statku? – Marevic otworzyła oczy, mrugając powiekami.

Prowadzący przesłuchanie klepnął Kirstin po ramieniu, dając do zrozumienia, żeby się cofnęła, aby mógł wrócić do swoich obowiązków. W odpowiedzi posłała mu pełne jadu spojrzenie, ale to on był przesłuchującym. Zatem cofnęła się.

Ignorując protesty adwokata, prowadzący przesłuchanie przykucnął naprzeciw Chun.

– Statku, o którym rozmawialiśmy – przypomniał grzecznie. – Pamięta pani, prawda?

Marevic przygarbiła się, na jej twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

– Nie, nie pamiętam.

– Jak to możliwe, że ona kłamie? – zdenerwowała się Kirstin.

– Zatrula się – rzekł medyk. Sprawdził przyklejone do jej szyi plastry skórne. – Są oznaki destrukcji tkanki mózgowej.

– Gdzie mieszkasz, Marevic? – zapytał przesłuchujący.

– W Ekwadorze.

Kirstin zacisnęła zęby. Marevic mieszkała w Ekwadorze razem z Foxem, prawie osiem lat temu.

– Ile masz lat? – zapytała głosem lodowatym od tłumionej furii.

– Trzydzieści cztery.

Przesłuchujący przysiadł na piętach. Spojrzał do góry, na Kirstin.

– Jeżeli pani chce, możemy kontynuować, ale nie ulega wątpliwości, że ta kobieta doznała rozległej, i prawdopodobnie trwałej, utraty pamięci.

Kirstin założyła ręce za plecy.

– Natychmiast wysłać nakaz aresztowania jej widm.

Choć oczywiście nie łudziła się, że poszukiwania przyniosą efekty. Nie po tylu godzinach od zatrzymania. Ale, tak czy siak, coś już miała. Dwanaście cyfr kodów kontrolnych statku, na którym prawdopodobnie znajdował się struktor Bohra. Reszta powinna dać się odgadnąć metodą prób i błędów. A kiedy już przejmą kontrolę nad statkiem, z łatwością zaprogramują pocisk, który go zniszczy.

Spojrzała na Allende. Ten, obnażywszy swoje żółte zęby, świdrował wzrokiem Marevic Chun.

Fox miał ochotę odmówić. Nikko widział to w jego twarzy, kiedy wodził za nim wzrokiem, podczas gdy Fox długimi krokami przemierzał w tę i z powrotem zaścielający podłogę pszeniczny dywan, z rękami założonymi na plecach, z pochylonymi ramionami, a wokół uszu rytmicznie podrygiwały mu kosmyki rudych włosów. Fox nie chciał narażać się policji. Z drugiej strony, pragnął odzyskać Sandora. Fox był oddanym ojcem.

Nagle zatrzymał się gwałtownie, jego ramiona wyprostowały się. Pomarszczone czoło lśniło

od potu, w rozchylonych ustach białą wbity w wewnętrzną stronę wargi kiel. Nikko poczuł absolutną pewność, że ojciec kosztuje teraz smaku własnej krwi.

– Nie mogę działać samowolnie – oświadczył Fox. – Muszę mieć zgodę Rady Nadzorczej.

Nikko poczuł, jak wzbiera w nim pierwsza fala triumfu.

– Możesz na nich wpłynąć.

– Operacja powinna być tak tajna, jak to tylko możliwe.

– Jasne.

– Mam już w głowie pewien plan, ale żeby się udał, ty musiałbyś polecieć za nimi, w jakimś niewielkim stateczku bez systemu podtrzymywania życia.

– Ja? – Ta myśl wydała się Nikko zarówno pociągająca, jak i przerażająca. Nigdy przedtem nie opuścił Domu Lata. W każdym razie nie fizycznie.

– Ale co ja mogę zdziałać? – przypomniał sobie. – Jestem tylko widmem.

– Z tym można sobie poradzić. Wiesz przecież, że zapisałem twój wzorec. – Brwi Foxa uniosły się, nadając twarzy wyraz niepewności. – Nie. Nie wiesz. To widmo powstało wcześniej...

Znowu zaczął spacerować. Pot na jego czole zbierał się w brzdach zamyślenia.

– Czy to znaczy, że możesz mnie wskrzesić? – naciskał Nikko.

Fox sprawiał wrażenie poirytowanego.

– Biogeneza – odparł. – Pamiętasz?

– Zachowałeś mój kod, zgoda. Ale wyhodowanie fizycznego klona zajmie całe miesiące.

– Góra półtorej doby.

– Powiedziałeś półtorej doby?

Fox zmarszczył brwi.

– Może nie tak długo – przyznał. – Może wystarczy trzydzieści godzin.

– Ależ to niemożliwe! W zbiornikach mauzoleum wyhodowanie klona zajmuje pół roku.

– Funkcja biogenetyczna zawiera regulatory systemu rozrostu. Testowaliśmy to na różnych gatunkach zwierząt. Tajemnica tkwi w tym, żeby najpierw w niskich temperaturach budować osobne segmenty. Oczywiście, obszar roboczy jest wtedy olbrzymi i cały proces wymaga stałego dopływu substancji odżywczych.

– Zatrzymał się, żeby spojrzeć na Nikko. – Ale pozwalam sobie na zbyt dużą pewność siebie. Nie chcę, żeby to cię zmyliło. Nigdy dotąd nie tworzyliśmy klona w taki sposób, w jaki

zamierzam zrobić to teraz, z tobą. Widzisz, po tym jak Dom Lata wczytał twój wzorzec, dane zostały podzielone na drobne pakiety i rozproszone, aby utrudnić ich wykrycie. Oczywiście, kody scalające z konieczności są bardzo rozbudowane, ale nie powinno być żadnych problemów z odtworzeniem wzorca. Niemniej faktem jest, że system jako całość nie jest jeszcze sprawdzony.

– Dzięki za szczerość, Fox. Czy potrafisz usunąć tę przeklętą drzączkę? – Nikko wskazał na swoje ręce.

– Będziesz dokładnie taki sam, jaki byłeś w momencie zapisywania wzorca. Nie chcę wprowadzać żadnych modyfikacji, zanim w całości nie odtworzę twojego ciała. Ale potem... – Wzruszył ramionami. – Chyba nie ma potrzeby dłużej się z tym wstrzymywać, co?

– Moim zdaniem nigdy nie było takiej potrzeby. – Nikko zastanowił się przelotnie, czy Fox zawracałby sobie głowę ściganiem uciekającego statku, gdyby to on znajdował się na jego pokładzie, a do Domu Lata wróciłby Sandor. Zaraz sam się za to zgnił – to nie było w porządku. W końcu Fox zachował jego wzorzec, mimo że to było niezgodne z prawem. Chociaż... faktem jest, że niewiele przy tym ryzykował.

– Powiedz mi, tato – zapytał, bębniąc palcami o udo – jak długo trzymałbyś mnie w uśpieniu, gdyby nie pojawiło się tutaj to widmo?

Fox wzruszył ramionami.

– Aż przestałoby ci zagrażać niebezpieczeństwo.

Jego odpowiedź wywołała w Nikko uczucie bliżej niesprecyzowanego dyskomfortu. Zaledwie to sobie uzmysłowił, natychmiast odepchnął od siebie i w tej samej chwili o nim zapomniał.

– A jak długo mogłoby to twoim zdaniem potrwać? – chciał wiedzieć. – Rok? Pięćdziesiąt lat? Kilka wieków?

Przez twarz Foxa przemknęła nagle obudzona czujność.

– Jeszcze nie opracowałem projekcji.

– Nie, pewnie że nie. Przecież gliniarze mogliby ci zajrzeć przez ramię. Jeszcze by coś zwęszyli. Słusznie, Fox!

– Nie musisz być tak uszczypliwy, Nikko. Nie wobec mnie, w każdym razie. Jestem po twojej stronie.

Ale Nikko tak długo nie doświadczał reakcji fizjologicznych, nawet symulowanych – że teraz nie potrafił nad nimi zapanować. Gorycz. Gniew. Tak silne, że nie sposób było postawić im

tamy. Czuł, jak się w nim rozpychają, jak zmuszają go do ataku.

– O tak, ty jesteś po mojej stronie. Ale tylko dopóty, dopóki to jest bezpieczne dla ciebie i dla Domu. Zawsze tak było.

Fox spojrzał na niego, jego twarz była dziwnie spokojna.

– Wiem, że uważasz mnie za tchórza. Jednak ty nie masz dzieci, Nikko. Nie wiesz, co to znaczy naprawdę się bać.

– Słusznie. Dlatego nie walczyłeś zbyt ostro w mojej obronie. I teraz, kiedy nie ma również Sandora, wreszcie nie masz już dzieci, prawda Fox? Już ich nie masz.

Te słowa podyktował mu gniew, ale raz wypowiedziane, nie dały się cofnąć.

Fox zamarł.

– To prawda, Nikko, mogłem zrobić dla ciebie więcej – powiedział, zadzierając brodę. – Podejrzewam, że powinienem, ale rewolucje mają to do siebie, że lubią pożerać tych, którzy je wzniecili. Bałem się o swoją skórę. Bałem się o Dom.

– Dom. To Dom jest twoim pierwszym dzieckiem, prawda?

Fox nie zaprzeczył. Zamiast tego, wrócił do swoich czynności, jakby można było uniknąć bólu, zignorować jego istnienie.

– Jak tylko tkanka mózgowa wykształci się na tyle, żeby wytrzymać obciążenie, będę musiał wpisać cię do kopii fizycznej.

Jeżeli policja zacznie podejrzewać, że któreś z twoich widm przetrwało, moje atrium będzie pierwszym miejscem, w którym będą cię szukać.

ROZDZIAŁ 21

Widma nie mają prawa do swobody. W czasie gdy Dom Lata konstruował jego fizycznego klona, Nikko mógł żyć jedynie odbiciem życia Foxa. Była to niezręczna sytuacja. Obaj zwykle z trudem znosili swoje towarzystwo dłużej niż było to konieczne, ale teraz usilnie starali się zapomnieć o wzajemnych animozjach, przynajmniej do czasu, kiedy Fox zaprojektuje statek, który uda się na spotkanie z pojazdem Phousity. Kiedy tylko było to możliwe, Nikko zaglądał ojcu przez ramię i dzielił się z nim sugestiami.

Jako widmo w dalszym ciągu cierpiał na przykre drżenie rąk, które dosięgło jego nie istniejące w tej chwili ciało, co nie dawało mu zapomnieć, dlaczego w pierwszym rzędzie musi dotrzeć do struktora Bohra.

Na krótko przed planowaną podróżą, udali się windą do góry, wzdłuż rdzenia łącznika, do centralnego pierścienia doków. Tam zastali kapitana miejscowej policji, lecz ten pracował dla Foxa i był tam po to, żeby wyczyścić teren z wszelkich struktów należących do policji.

Dzięki ojcu Nikko mógł przyjrzeć się statkowi. Był to niewielki pojazd, napędzany sklecony z trzech trumien z mauzoleum, szczepionych końcami, z dołączonym do nich silnikiem jądrowym, który Nikko mógł kontrolować poprzez swoje atrium. Wszystkie części zostały połączone za pomocą silnego kleju, który wiązał je ze sobą na poziomie molekularnym. Pojazd miał być czasowo połączony z zatrzymanym w doku na dobę, automatycznym statkiem towarowym, który posłuży mu za taksówkę i dostarczy do magnetycznego tunelu startowego, w którym obydwa pojazdy zostaną poddane gwałtownemu przyspieszeniu. Potem ich więź wygaśnie i od tej chwili Nikko będzie zdany tylko na siebie.

Obserwowanie własnego bezwładnego ciała, pakowanego do ołowianej trumny, było doświadczeniem przyprawiającym o zawrót głowy. Przyglądał się, jak jego błękitną skórę pokrywa stopniowo gruba warstwa podbarwionego różem, półprzezroczystego żelu antyprzeciążeniowego. Szybka kontrola systemu nie ujawniła żadnych nieprawidłowości. Wieko zostało zamknięte i zapieczętowane.

– Wciąż pracuję nad tym struktorem, którego użyto do sabotowania twojego atrium – odezwał się Fox.

Nikko zdążył już o tym niemal zapomnieć. Wydawało się, że minęło tyle czasu.

– Nie złamałeś go jeszcze?

– Wciąż mi się wymyka. Był bardzo wyrafinowany, miał wbudowaną funkcję samozachowawczą. Oczywiście, oryginalna próbka dawno nie istnieje. Próbuję wywnioskować coś z danych środowiskowych.

Podszedł jeden z pracowników.

– My już skończyliśmy. Reszta należy do Nikko. Chyba że się rozmyślił.

O powrocie Nikko wiedziała tylko garstka współpracowników Foxa. Cała sytuacja wyzwalala w nich ambiwalentne reakcje – z jednej strony żywili skrytą urazę, że narażają się policji, z drugiej ów akt nieposłuszeństwa dostarczał im nieklamanej radości. To był cały Dom Lata: mocny w gadaniu o rewolucji, niechętny, gdy przychodziło do działania.

– Powiedz mu, że się nie wycofam – polecił Nikko. – Powiedz, że jak ktoś zaczyna robić w portki, zawsze może zreformtować sobie pamięć i zapomnieć, że w ogóle istniałem.

Fox uśmiechnął się niewesoło.

– Uważaj na siebie, Nikko.

– Jasne, tato.

Czyżby to było wszystko, co mieli sobie do powiedzenia?

Atmosfera między nimi była tak napięta, że każdy gest, każde słowo groziło iskrą wyładowania, ale było już za późno, aby to zmienić. Nikko wpisał się w swój adres domowy.

Najpierw nastąpiła pustka, a po niej narastająca świadomość skrępowania ciałem, uczucie powolnego nabierania powietrza w płuca oraz wypuszczania go i klaustrofobiczne wrażenie spętania żelem antyprzeciążeniowym, który obezwładniał kończyny, odmawiając im prawa do poruszania się.

Pamiętał ostatnie chwile swego cielesnego życia w Domu Lata, kiedy przyszła do niego Kirstin. Pamiętał tygodnie spędzone z Phousitą. Czyli widmo już się zasymilowało. Jakiś czas musiał być nieprzytomny, ale wyglądając przez przeźroczystą pokrywę trumny, nadal widział nad sobą światła komory załadunkowej.

Serce zabiło mu gwałtowniej. Nigdy jeszcze nie podróżował poza granice Domu Lata. Nie miał zielonego pojęcia o podróżowaniu statkiem.

Fox zapukał w przejrzyste wieko. „W porządku?” – zapytał niemo, samymi ustami. Nikko skinął głową. Nie mogli porozumiewać się drogą radiową.

Malejąca zawartość tlenu w trumnie pobudziła do życia jego kiszer, który wysliznęła się spod

warstwy żelu i połączywszy się z licznie rozsianymi w nosie, ustach oraz uszach brodawkami, jeszcze spotęgował przytłaczające uczucie izolacji. Atmosfera w pojeździe przestała istnieć. Oddychając przez kiszer, będzie w stanie przetrwać, póki jego stateczek nie połączy się ze statkiem towarowym. Albo do czasu, kiedy zginie.

Fox cofnął się. Lekki wstrząs zasygnalizował uruchomienie ciągnika. Zawyla pompa, lecz zaraz stopniowo ucichła. Następnie delikatne pchnięcie nadało statkowi przyspieszenie, wypychając go z komory załadunkowej. Po kilku minutach dryfowania niewielki stateczek dobił do korpusu automatycznego statku towarowego, który miał go na swoim grzbiecie przenieść przez tunel startowy.

Oczekiwanie na transport do magnetycznego tunelu startowego trwało niemal dwie godziny. To bardzo długo, jeśli jest się zmuszonym czekać i nie można wykonać żadnego ruchu. To bardzo dużo czasu na przemyślenie tego, co zamierza się zrobić.

Przyspieszenie nadeszło bez ostrzeżenia. Nikko nie miał pojęcia, że oba statki znalazły się już w tunelu, póki nie poczuł, że jakaś siła próbuje rozsmarować mu mózg. Ogromny ciężar zmiażdżył serce. Płuca poddały się. Umysł pograżył się w mroku.

Kiedy doszedł do siebie, wieko trumny było zaporowane. Żel antyprzeciążeniowy zniknął, wessany przez system konserwujący trumny i Nikko odzyskał swobodę ruchów. Uniósł ramię, aby przetrzeć wieko. Na zewnątrz widać było gwiazdy, ciasne wewnątrz trumny wypełniał gęsty mrok. Sprawdził zegar w swoim atrium.

Od chwili opuszczenia Domu Lata minęły już cztery godziny.

Bolała go głowa.

Poleciał trumnie, by się otworzyła. Wnętrze rozhermetyzowało się, wieko odskoczyło. Nikko poczuł przenikający go na chwilę chłód, ale wrażenie zimna zaraz minęło. Ostrożnie wygramolił się na zewnątrz.

Postępujący paraliż sprawił, że drżenie rąk stało się już trudne do opanowania. Fox wyposażył go w struktor, który miał złagodzić tę dolegliwość, ale jak dotąd niczego nie zdziałał. W tej sytuacji zaciśnięcie dłoni na uchwyty okazało się nie lada wyzwaniem.

II Na szczęście w Domu Lata wyposażono go w uprząż i pętle.

Używając ich jako zabezpieczenia, jakoś dotarł do następnej trumny. Otworzył wieko i wydobyl plecak z kamerą, który poleciał tutaj zapakować. Założył go na siebie, po czym powoli dryfując na luźnej linie, pozełgował w przestrzeń. Kamera unosiła się na cienkim wąsie,

rejestrując obraz niewielkiego statku.

Kiedy przybył do Domu Lata, Fox pomógł mu odzyskać dane z kamery, której używał przed swoją „śmiercią”. Po połączeniu tych danych z danymi z kamery na statku Phousity mógł już odtworzyć sobie pełną wersję wydarzeń, towarzyszących uwolnieniu struktora Bohra.

– Oto mój statek – powiedział, kontynuując dokumentowanie zdarzeń. Atrium przełożyło jego słowa na zapis cyfrowy i przesłało jako podkład dźwiękowy do kamery. – Prawda, że wygląda absurdalnie? Ale jest funkcjonalny. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Następnie przystąpił do omówienia historii powstania statku.

Po pewnym czasie długotrwałe oddziaływanie promieniowania słonecznego zaczęło zakłócać system termoregulacji i Nikko zmuszony był podciągnąć się na linie z powrotem w pobliże statku, aby poszukać schronienia w cieniu jednej z ołowianych trumien, możliwie najdalej od silnika. Co prawda Fox upierał się, że promieniowanie jądrowe nie powinno stanowić zagrożenia, poza tym wyposażył go w struktury, które naprawią ewentualne zniszczenia, ale Nikko czuł instynktowną niechęć do przebywania blisko silnika.

Był głodny. Odsunął wieko trumny i wyciągnął długą rurkę.

Następnie wsunął palce w uchwyt i tak długo walczył ze swoim paralizem, aż udało mu się wetknąć końcówkę rurki w gniazdko, które Fox specjalnie w tym celu wbudował mu w przedramię. W żyły zaczęły sączyć się substancje odżywcze. Kiedy wreszcie odłączył rurkę, jego nastrój uległ zdecydowanej poprawie, ale uczucie głodu stało się jeszcze dotkliwsze niż przedtem. Domagał się swoich praw wyłączony z procesu odżywiania żołądek.

Nikko bezzwłocznie przystąpił do zapisu:

– Pustka i cisza kosmosu zaczęły mnie przytłaczać. Czuję się przeraźliwie samotny, boleśnie świadomy dzielącej mnie od Domu Lata niewyobrażalnie dużej odległości.

Wypowiadane słowa otworzyły furtkę dla emocji. Nagle, każdy kilometr przestrzeni dzielącej go od Domu Lata zaczął mu się jawić jako odcinek czasu, który raz przemierzony, nie może zostać przebyty powtórnie.

Ale jego odczucia szybko ulegały zmianie.

– Godzina po godzinie zacząłem przywykać do izolacji.

Stawała się coraz mniej przerażająca, a coraz bardziej zbawienna.

Z wolna zacząłem pojmować, dlaczego Fox upierał się przy tym, aby statek był jak najmniejszy. Ponieważ wobec ogromu otaczającej mnie pustki, ja i mój statek jesteśmy niemal

niewidoczni.

Praktycznie nie ma szans, żeby ktoś mnie tutaj zobaczył, nawet kiedy w końcu nastąpi zaplanowany rozruch silnika. Jestem tak daleko od wszelkich siedzib ludzkich, że jedynym zagrożeniem są dla mnie czułe instrumenty astronomiczne. Któryś z nich może przypadkiem złowić mój obraz. Ale czy ktokolwiek kiedykolwiek zobaczy ten zapis?

Sprawdził godzinę. Zostało niewiele czasu.

Miał już wrócić do trumny i zacząć szykować się do kolejnej porcji przyspieszenia, kiedy w atrium pojawiło się widmo.

– Znowu ty?! – syknął Nikko, rozpoznając gibkiego, małego dżentelmena, który wiele tygodni temu zablokował jego atrium.

Gość siedział z nogą na nodze, zawieszony w pustce jakiś metr od prawego ramienia Nikko. Jego jasne włosy powiewały, jakby znajdował się pod wodą; nie miał na sobie skafandra próżniowego.

– Sukces – powiedział. – Moje struktory bojowe zostały odtworzone razem z twoim ciałem. Najwyraźniej Fox niczego nie zauważył.

– Czego ode mnie chcesz? – zażądał wyjaśnienia Nikko.

Pokurcz wysunął gniewnie dolną wargę.

– Chcę, żebyś trzymał się z dala od struktora! – rzekł. – Ostrzegałem cię, ale nie chciałeś mnie słuchać. Och, byłeś dobry, lecz teraz zmusiłeś mnie do działania. Przykro mi, że muszę ci to zrobić. Atrium niewolnicze napawa mnie wstrętem. Jednak właśnie ty, lepiej niż inni, wiesz, jakie bywa przydatne. Nie mogę kontrolować tego twojego prymitywnego stateczku, ale mogę kontrolować ciebie. Mogę powstrzymać cię przed przyjęciem na pokład jakichś pasażerów.

Brutalne słowa małego człowieczka wprawiły Nikko w stan skrajnego przerażenia. Kiszer natychmiast zareagował na stres, do tego stopnia obrzmiewając dokoła szyi, że groziło to uduszeniem.

– Atrium niewolnicze? Nie możesz...

– Bardzo mi przykro. Nie blefuję. Nie zostawiłeś mi wyboru.

Moje struktory właśnie modyfikują twoje atrium.

– Ale ty nie rozumiesz, o co tutaj chodzi! – zaprotestował Nikko, a atrium interesująco załamało jego głos, wydobywając z niego tony paniki.

– Przepraszam, lecz nie masz racji. Doskonale rozumiem.

Na pokładzie tamtego statku znajduje się Phousita, dziewczyna która nosi w sobie mój struktor.

– Twój struktor?

Nikko zamrugął ze zdumienia. Czyżby ten przykurcz naprawdę był...?

– Phousita nie może opuścić statku, którym leci! – kontynuował przybysz. – Dzięki temu dostanie się w ręce policji Kirstin w końcu odkryła, w jaki sposób wydostałeś struktor z Zamku. Od Marevic dostała kody statku, a przynajmniej ich większą część...

– Kirstin? – powtórzył głucho Nikko. – Marevic?

– Twój plan upadł – rzekł Bohr. – Chociaż trzeba przyznać, że był bardzo śmiały.

Zatem Marevic została aresztowana. Do tej pory pewnie już nie żyje. A Kirstin...

– Kirstin każe Phousitę stracić – rzekł Nikko, zastanawiając się, jak wzbudzić w tym kurduplu ludzkie uczucia. – Znasz phousitę? Spotkałeś ją kiedyś? W tej dziewczynie nie ma cienia zła. Nie zasługuje na śmierć.

Widmo zaczęło nagle sprawiać wrażenie niespokojnego.

– Życie bywa niesprawiedliwe – przyznało. – Ale nie ma innego wyjścia. Powiedziała mi, że podzieli się struktorem z każdym, kto tego zechce. Nie mogę jej na to pozwolić.

– Dlaczego nie?

Można było odnieść wrażenie, iż Bohr cały się skurczył, przypominając strąconego z pajęczyny pająka.

– Popatrz na siebie – wymamrotał, odwracając wzrok, jak gdyby krępowало go mówienie o tych rzeczach. – Naprawdę, osobiście nie mam nic do ciebie. Ale, rozumiesz, nie jesteś dzieckiem bogini. Nie należysz do Ziemi. Nie jesteś częścią unikalnego łańcucha bytów zrodzonych przez Matkę Ziemię. Co będzie, jeśli struktor stanie się powszechnie dostępny? Kto zapobiegnie powstaniu dziesiątków takich jak ty? Linia rodu ludzkiego zostanie złamana. Boska ciągłość ewolucji zaprzepaszczone.

– To idiotyczne! – zasyczał Nikko. – Natura jest ślepa i głucha, bezduszna maszyna, nic więcej. Nie ma znaczenia, czy ją zmienimy! To, co robimy, jest dobre. Popatrz na Dom Lata.

Dzięki technologii, która go stworzyła, moglibyśmy wypełnić próżnię życiem. To nie może być złe.

Bohr zadarł brodę do góry, w typowym geście upartego dziecka.

– Idiotyczne – powiedział – są nasze pretensje do odgrywania roli władców ewolucji.

– Ale...

– Przepraszam – przerwało mu widmo.

– Ale na statku jest wzorzec mojego brata. Jeżeli znajdzie go policja...

– Przepraszam – powtórzył Bohr. Sprawiał wrażenie szczerze poruszonego. – Doprawdy, cała ta sprawa przybrała bardzo nieprzyjemny obrót.

Kiszer Nikko trzepotał mu wokół twarzy. Musiał dołożyć nie lada starań, żeby go uspokoić.

– Ale Phousita umrze i...

– Phousita już dokonała wyboru... Co to? Co się dzieje?

O, psiakrew! Twój tatko wyposażył cię w nowy struktor. Atakuje atrium. Sprytnie posunięcie. Zostanę usunięty skuteczniej, niż gdyby atak został wymierzony we mnie.

Widmo zniknęło.

Co jest?! Na Miłość i Naturę!

Nikko zdrętwiał. Miał zamiar wymówić te słowa na głos, lecz pozostały one myślą. Nie miał już głosu. Wysłał rozkaz sprawdzenia atrium, lecz sygnał pozostał bez odpowiedzi. Spróbował dostać się do pamięci podręcznej atrium. Spróbował sprawdzić odczyt czasu. Atrium nie odpowiedziało. Zakreśliło mu się w głowie, pod czaszką wezbrała fala bólu. Co to było? Co Fox mu zrobił?

Przycisnął czoło do lodowatego boku trumny, próbując utrzymać się na powierzchni świadomości.

Fox zniszczył jego atrium.

Fox uratował go przed niewolnictwem.

Fox pogrzebał go pośród nieskończonej pustki, ponieważ bez atrium nie da rady skierować tej śmiesznej imitacji statku na kurs prowadzący z powrotem do domu.

Stracił przytomność. Kiedy odzyskał ją ponownie, znajdował się w trumnie. Nie pamiętał, żeby tu się wdrapywał. Ale ponieważ silnik znajdował się na chodzie, cieszył się, że tego dokonał.

Sprawdził atrium. Bez rezultatu. Zaaplikował sobie trochę odżywki i zaczął roztrząsać w myśli swoje problemy, lecz głód stawał się coraz dokuczliwszy, aż wreszcie nie mógł myśleć o niczym innym, jak tylko o pustym żołądku. Była to reakcja psychofizjologiczna, którą dzięki atrium bez trudu by zlikwidował...

Tylko, że atrium nie było.

Nie wychodził na zewnątrz. Czuł się słaby, dręczyły go zawroty głowy. Dygotanie rąk zaczęło udzielać się palcom. Nie mógł nic na to poradzić. Nie było niczego, co mógłby jeszcze zrobić.

Nie mógł nawet dyktować swoich myśli kamerze.

Sytuacja była żalosna, jednak mogło być jeszcze gorzej. Fox pomajstrował trochę przy jego funkcjach biologicznych. Nie musiał oddawać stolca, gdyż jedzenie nie zalegało mu w jelitach, nie musiał oddawać moczu, ponieważ jego organ płciowy kierował mocz do wtórnego obiegu, nadmiar zaś płynu oraz substancje toksyczne były wydzielane w postaci cienkiej warstewki lodu.

Po upływie doby statek zaczął zwalniać i mechanizmy sterujące obróciły go o sto osiemdziesiąt stopni. Zaczęło się hamowanie. Nikko był tylko źle zapakowanym bagażem. Minął kolejny dzień podróży. Silnik wyłączył się po raz ostatni, a Nikko z wyczerpania ponownie stracił przytomność.

Ocknął się z chwilą, gdy jego niewielki pojazd uderzył w burtę statku docelowego. Powłoka trumny natychmiast przywarła do powłoki statku Phousity i tak już została. Klej, który związał pojazdy ze sobą, powinien trzymać tak długo, póki Nikko nie rozerwie więzi rozpuszczalnikiem. Niewielką ilość tego specjału przechowywał w specjalnej puszcze, schowanej we wnętrzu środkowej trumny.

Sięgnął niezdarnie do piersi z zamiarem uruchomienia kamery. Tym gestem wywołał w rękach gwałtowne fale skurczów.

Szarpane skurczami palce drgały boleśnie i wykrzywiały się, zakreślając szerokie kręgi. Bardzo ostrożnie Nikko poddał je gimnastyce, powoli zamykając oraz otwierając dłonie. Początkowo jego długie palce plątały się ze sobą, ale po dziesięciu czy dwunastu powtórkach zaczęły przypominać sobie, po co istnieją.

Przy włączonej kamerze otworzył wieko trumny i wygramolił się na zewnątrz, wyciągając szyję, aby rzucić okiem na statek, który wywiózł jego widmo z Zamku.

Był to brzydki, pękaty cylinder, dostatecznie duży, aby pomieścić trzy pokłady. Silniki pracowały, poddając pojazd łagodnemu hamowaniu. Powłoka usiana była cofniętymi w głąb burty czujnikami sensorycznymi, ale nie było żadnych okien. Nikko poluzował nieco swoją linę asekuracyjną i wspiął się po burcie statku, korzystając z uchwytów zainstalowanych dla pracowników technicznych. Znalazł służę powietrzną. Drzwi zewnętrzne były zamknięte i kontrolowane przez zamek cyfrowy, niezbędny jako zabezpieczenie w razie postoju w jednym

z zatłoczonych miast wewnętrznych. Nikko zapisał sobie kod dostępu w pamięci podręcznej atrium – która teraz oczywiście uległa zniszczeniu.

Wystukał na oślep kilka kombinacji, ale żadna z nich nie została przyjęta. Zastanawiał się, czy ktoś pomyślał o zainstalowaniu dzwonka. W końcu zdecydował się zapukać.

Phousita siedziała w niedbałej pozie na fotelu w saloniku statku, nieuważnie śledząc losy bohaterów jakiejś opery mydlanej.

Dźwięk był ściszony, gdyż na podłodze leżał pogrążony we śnie Arif. Obserwowała jego przystojną twarz, o rysach wygładzonych przez sen. Wydawał się taki spokojny. Co robić? Co robić?

Wciąż oczekiwała, że ponownie zjawi się widmo złego czarownika. Już niemal trzy dni minęły od jego wizyty i zaczęła się zastanawiać, czy nie zniknęło na zawsze. Być może nigdy już się nie zjawi?

Co robić?

Doszła do wniosku, że mądrzej będzie – przynajmniej na razie, póki nie zbierze więcej informacji – posłuchać rady czarownika. Toteż wycofała się z obietnicy podzielenia się struktorem z Arifem. Ten oczywiście wpadł w furję. Znowu ją pobił.

Jednak zrobił to po raz ostatni. Utknęła zakłęcie, które za każdym razem, gdy Arif weźmie się do rękoczynów, sprowadzi na niego sen – absurdalne rozwiązanie, które w żaden sposób nie uleczy jego głębokich ran. Takiej sztuki mógłby dokonać jedynie struktor, którego mu odmówiła. Pragnęła podzielić się nim z Arifem, lecz obawiała się złego czarownika, dlatego czekała na powrót widma.

Gdy tak trwała zatopiona w myślach, jakaś część jej świadomości odnotowała dalekie, głuche bębnienie. Poderwała głowę nasłuchując uważnie. Ledwie uchwytny łomot zdawał się dochodzić od strony pomostu. Wciągnęła powietrze, lecz w jego woni nie pojawił się ani jeden nieznaną odcień. Arif poruszył się niespokojnie przez sen. Bębnienie nie cichło, powtarzając się w wolnym, nieregularnym rytmie. Zdawało się dochodzić od strony śluzy, od drzwi. Przełknęła z trudem ślinę, czując ogarniający ją irracjonalny lęk. Tam nie miało prawa rozlegać się stukanie, po drugiej stronie drzwi niczego nie było. I nie będzie, dopóki statek nie znajdzie się w dokach Domu Lata.

Łomot trwał nadal.

Uniosła się z ociąganiem na nogi i ruszyła w stronę śluzy.

Same drzwi były tylko namalowanym na ścianie konturem. Materiał, z którego były wykonane, wiązał się z wewnętrzną powłoką statku w jednolitą taflę. Używając słów, których nauczył ją Nikko, poprosiła grzecznie, by śluza zechciała się otworzyć. Kontur zniknął. Zamiast niego, w popielatej powierzchni ściany pojawiło się pęknięcie. Kilka sekund trwało, zanim stało się odpowiednio głębokie, po czym drzwi rozsunęły się, znikając z zasięgu wzroku.

Kiedy Phousita wsiadała do statku, śluza składała się z dwojga drzwi połączonych krótkim korytarzykiem. Teraz korytarzyk wypełniony był dziwną, półprzezroczystą substancją. Wyciągnęła rękę, aby jej dotknąć. Była chłodna w dotyku, ale nie zimna, a jej powierzchnia pod naciskiem dłoni ugięła się. Dziewczyna widziała prześwitujące z drugiej strony mgliste punkciki gwiazd. To znaczy, że drzwi zewnętrzne również zostały otwarte. Nacisnęła mocniej i powierzchnia ustąpiła, wpuszczając jej dłoń w głąb półprzejrzystej masy. Dziwna ściana była bardzo gruba, ale gdyby się nieco pochyliła, mogłaby dotrzeć do jej końca...

Nagle poczuła na swojej ręce lodowato zimny uścisk czyjejś dłoni, która odepchnęła jej ramię z powrotem do wnętrza statku.

Krzyknęła zaskoczona, zataczając się do tyłu. W chwilę potem ujrzała przeciskającego się przez półprzejrzystą masę Nikko. Mimo kilku tygodni spędzonych w towarzystwie jego widma, nigdy właściwie nie widziała go osobiście, jednak rozpoznała go na podstawie wspomnień Sandora. Patrzyła, jak wynurza się z żelu, a nad jego ramieniem unosi się znajoma macka kamery.

Jego własne oczy były niewidoczne pod osłoną ciemnych soczewek. Soczewki nagle rozjaśniły się i Phousita zobaczyła prawdziwe oczy Nikko, intensywnie błękitne. Wysokie, niebieskie ciało przybyłego górowało nad nią jak porcelanowa rzeźba.

Na gładkiej skórze perlily się krople wody – to skraplała się para wodna zawarta w powietrzu. Żywa chusta, która chroniła jego usta, nos oraz uszy zadrzała i opadła, spoczywając miękko na ramionach niczym wiotka peleryna. Obca woń Nikko przyprawiła ją o dreszcze.

Patrzył na coś za jej plecami.

Podążyła za jego wzrokiem, dostrzegając kucającego na podłodze Arifa. Odwróciła się szybko do Nikko i położyła mu dłoń na ramieniu. Jego gładka skóra była lodowato zimna. Czula drgające pod nią mięśnie. Palce przybysza trwały w bezustannym ruchu.

– Proszę, nie zabijaj go, Bracie Nikko – szepnęła.

– Nie potrzebuję twojej obrony! – wrzasnął Arif. Zerwał się na równe nogi, jego ciało

wygięło się w gotowości do walki.

Phousita wyczuła, że nie miał nic przeciwko ewentualnej śmierci.

Nikko wypełnił pomieszczenie cierpką wonią swej wzdargy, ale nie był zainteresowany walką. Wzruszył ramionami, wywołując tym ruchem spływającą w dół ciała falę migotliwego błękitu.

– Policja przejęła kontrolę nad statkiem – powiedział. – Nie leci już w stronę Domu Lata, prawdopodobnie ściągają go z powrotem na Zamek. Jeżeli chcecie umknąć glinom, musicie udać się ze mną.

Phousita spojrzała na ścianę żeluzi. Nie wyczuwała w słowach Nikko fałszu. Jednak...

– Jak mamy stąd odejść? – zapytała. – Na zewnątrz nic nie ma. Chyba że śmierć. – Posłała mu zdziwione spojrzenie. – Masz jakiś statek?

– Można by to tak nazwać. W każdym razie damy radę dotrzeć tym do Domu Lata. Masz jeszcze Sandora?

Spuściła wzrok, zdjęta nieoczekiwanym wstydem. Nie była u Sandora od czasu zniknięcia Nikko. Czuła się zbyt upokorzona, aby spojrzeć mu w twarz. Ale okazało się, że Nikko żyje. Jest tutaj.

Cały i zdrowy.

– Phousita? – W jego głosie pojawiło się zaniepokojenie, podszyte rodzącym się gniewem. – Masz ten wzorzec Sandora, czy nie?

– Oczywiście, że mam – wyszeptała.

– I pójdziesz ze mną?

Ponownie spojrzała na niego. Czuła wzbierające w oczach łzy.

Jej duszę przepelniał smutek.

– Bracie Nikko, chcę wrócić do domu. Pomożesz mi wrócić do domu?

Wszystkimi zmysłami odczuła przepelniający go żal.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek będziesz mogła wrócić do domu – odparł. – To zależy od ciebie, od tego jak skutecznie potrafisz ukrywać się przed gliniarzami.

Skinęła na znak, że rozumie.

– Gliny jeszcze mnie nie namierzyły, za to miałam innego gościa. W moim atrium zjawilo się widmo złego czarownika. – Wyczuła jego trwogę i powtórzyła skinienie. – Bracie Nikko, czarownik dał mi swój adres i powiedział, że bym go odwiedziła.

Wysłałam tam swoje widmo, ale nie wróciło.

Chłód w głosie Nikko przyprawił ją o dreszcze.

– Phousita, czy ten człowiek powiedział ci, jak się nazywa?

– Leander Bohr.

W gardle mężczyzny zasyczał gniew.

– Masz jeszcze jego adres?

– Tak, Bracie Nikko. – Podała mu adres, prosto w oko kamery.

Zaraz potem zapach nastroju Nikko uległ nieoczekiwanej zmianie: gniew ustąpił miejsca czemuś, co mogło być zawstydzeniem. Odwrócił się do Arifa.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedział.

Arif zeszywniał. Jego rysy stwardniały, twarz zastygła w wyrazie zaciętości, który Phousita tak dobrze знаła. Aż za dobrze.

Zdawało się, że Nikko również to zauważył. W powietrzu czuć było gęsty obłok przepelniającej go niechęci.

– Moje atrium zostało zniszczone – rzekł. – Nie mam jak uruchomić autopilota. Ty mógłbyś to zrobić.

– Znowu chciałbyś dostać się do mojego atrium, co? – warknął Arif.

– Nie. Potrzebuję ciebie, żebyś poprowadził mój statek.

Arif milczał chwilę. Potem na jego twarzy z wolna rozlał się szeroki uśmiech.

W jednej z łazienek, w szafce, Nikko znalazł dwa skafandry próżniowe. Z obydwu wytrząsnął dwa długie, białe kombinezony, za duże tak na Phousitę, jak i na Arifa.

– Zanim to ubierzecie, musicie zdjąć z siebie ubrania – powiedział.

Phousita skinęła głową i zaczęła się rozbierać. Po krótkim wahaniu Arif poszedł za jej przykładem i wkrótce oboje mieli na sobie workowate stroje. Phousita spojrzała na siebie.

Skafander okrywał jej ciało od stóp aż po szyję. Nawet jej dłonie były ukryte w luźnych rękawicach, kończących zbyt długie rękawy. Źle się czuła w takiej izolacji. Jej zmysły pod grubą tkaniną skafandra zdawały się usychać z pragnienia. Potem Nikko nacisnął coś na znajdującej się na wysokości piersi tablicy i ubiór zaczął się kurczyć. Wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Nie bój się – uspokoił ją Nikko.

Skafander kurczył się tak szybko, że w ciągu kilku sekund miała na sobie idealnie dopasowany strój.

Phousita trzymała się sztywno, pragnąc ograniczyć do minimum kontakt z odstręczającą tkaniną. Jej ciało czuło się gwałcone, jak gdyby ktoś obciągnął je cudzą skórą. Serce gwałtownie tłukło się w piersi. Wysłała małych służących, aby zbadali denerwujący materiał, ale szybko wrócili, niezdolni zbadać skafandra, bez uszkodzenia go. Arif, który śledził uważnie ruchy Nikko, powtórzył proces kurczenia tkaniny u siebie.

– To jest twój hełm – powiedział Nikko. W jego dłoniach zobaczyła plastikową kulę, z jednej strony białą, z drugiej przezroczystą. – Trzeba go włożyć na głowę.

Poczuła wzbierający w żołądku tępy strach. Hełm dopełni zamknięcia i ostatecznie odgrodzi ją od świata. Zauważyła, że Arif nałożył już swój hełm na głowę. Nikko przypiął go do reszty skafandra i odwrócił się do niej. Przełknęła swój lęk. Nie mogła wrócić i nie mogła zostać na statku. Kto inny wytyczył jej ścieżkę i nie miała innego wyjścia, jak tylko podążać przed siebie. Nałożyła hełm. Nikko przypiął go swoimi niezdarnymi, drżącymi dłońmi. Syk powietrza, nagła zmiana ciśnienia. Potem cisza.

Dla uspokojenia zaczerpnęła głęboki oddech. Powietrze różniło się nieco w smaku od tego, które wypełniało statek. Pomyślała o tych wszystkich małych służących, którzy tułali się po pokładach. Nie będzie mogła już przyjąć ich z powrotem. Nikko skinął swoim długim, wijącym się palcem.

– Chodźmy – warknął jej prosto w uszy Arif, w oba naraz, jakby stał po obu stronach, z ustami tuż przy jej skórze.

Wziął ją za rękę i pociągnął w stronę przezrzystej membrany, paląc się do wyjścia na zewnątrz. Nikko nauczył go, jak komunikować się ze statkiem za pomocą atrium. Będzie mógł nim sterować. Wydawało się, że z tej prostej roli Arif czerpie nowe siły do życia.

Nikko krzątał się kilka sekund wokół swojej kamery, po czym rozpostarł kisser na twarzy i zanurzył się w ścianę żelu. Półprzezrzysta masa otworzyła się, przyjmując go skwapliwie do swojego wnętrza, zaraz potem równie skwapliwie się za nim zamknęła.

Arif wszedł jako następny. Phousita patrzyła na niego, a kiedy był już w środku, chwyciła jego dłoń i zaczęła przeciskać się w ślad za nim. Gdy wynurzyła się na zewnątrz, skafander stał się nieco sztywniejszy, uwierając jej delikatne ciało.

Nikko już na nią czekał. Pokazał jej, jak się wspinać, używając do tego uchwytów. Przez całą drogę do małego stateczku unosił się u jej boku, pilnując, by wszystko przebiegało pomyślnie.

Po dotarciu na miejsce, pomógł jej ułożyć się w trumnie. Potem zamknął wieko.

ROZDZIAŁ 22

Kirstin wracała z egzekucji Marevic zmęczona jak pies, mimo to płonąca uczuciem triumfu. Struktor Bohra znowu był jej – jeszcze nie dosłownie, ale miała go już pod kontrolą. Jej zespół ekstrapolował brakujące fragmenty kodów podanych przez Marevic. Natychmiast skontaktowali się ze statkiem, otrzymując przekaz audiowizualny, który potwierdził identyfikację dwojga pasażerów, byli to Arif i Phousita.

Zadbała o to, żeby statek nigdy nie wrócił na Zamek. Statek policyjny „Galapagos”, który zmierzał do Domu Lata, zajmował już pozycję do wystrzelenia pocisku. Wkrótce desperacki wyskok Nikko znajdzie swój finał.

Jej triumf na moment przygasł, przesłonięty mrocznym wspomnieniem. Na pokładzie statku znajdowało się widmo Nikko. Nie miała na to żadnego dowodu, ale czuła to każdym nerwem. Żałowała, że nie może złożyć mu wizyty, powiedzieć, że nie jest tak cwany, jak mu się zdawało, że jego zdrada nie popłaciła.

Ale systemy komunikacyjne statku zostały zablokowane, aby przeszkodzić w ucieczce widmom, i nie mogła tego obejść.

Uśmiechnęła się, stając pod drzwiami mieszkania. Nie, nie pozwoli, by myśl o Nikko zepsuła jej radość. Jedyne prawdziwe rozczarowanie w tej sprawie to brak w zeznaniu Marevic informacji obciążających Foxa.

Przekroczyła próg, witana miło przez program odźwierny, który natychmiast poinformował ją, iż czeka na nią dwieście dziewięćdziesiąt siedem widm i wezwań, z czego sto trzydzieści cztery jest oznaczonych kodem „pilne”. Odpowiedziała na pozdrowienie, dodając kilka wyszukanych epitetów.

Po kąpieli i obiedzie odegrała zapis jednej z wizyt Nikko w jej atrium, po czym zapadła w pełen zadowolenia sen. I tym sposobem minął jeszcze cały dzień, zanim Kirstin zajęła się zaległymi wezwaniami oraz widmami. Mimo to nawet wtedy nie zauważyła jego obecności, póki nie dotarła do połowy listy spraw pilnych.

Program odźwierny nie podał tożsamości widma w żaden wyróżniający się sposób. Treść etykiety przypadkiem wpadła Kirstin w oko, z miejsca wprawiając ją w osłupienie.

Leander Bohr!

Zamrugnęła zdumiona, lecz jej zdumienie szybko zaczęło przeradzać się w gniew, a potem w cyniczne rozbawienie.

To, oczywiście, był żart.

Niemniej, skoro już zwróciła na nie uwagę, przywołała widmo do atrium, ciekawa, cóż to za pewny siebie gnojek śmiał przybrać imię Leandera.

Widmo pojawiło się przed nią.

– To ty! – syknęła.

Skłonił się z uszanowaniem. Te jasnoblonde włosy, te chłodne błękitne oczy, ta mlecznobiała skóra... dokładnie taki, jakim go pamiętała. Dokładnie taki sam.

Tylko że to było niemożliwe. Tak dawno temu umarł. Niemożliwe, żeby tak długo potrafił ukrywać się przed nią.

Czuła ogarniającą ją furję. Zrobił z niej idiotkę! Ale na tym koniec. Teraz wiedziała, że Bohr wciąż istnieje, teraz go odnajdzie. Spojrzała na niego, dbając o to, by zatrzymać swoje myśli dla siebie.

– Leander – stwierdziła chłodno. – Albo cholernie dobra imitacja Leandera.

Sprawiał wrażenie zakłopotanego, lecz to zawsze była jego metoda.

– Kirstin. Świetnie wyglądasz. Jeszcze wspanialej niż pamiętam. Och, trzymałaś mnie w tym pojemniku tak długo! Czy oni dotarli do Domu Lata? Dobrze ich obserwujesz?

Stał przed nią niczym upiór przeszłości, sprawiając, że przeszywały ją dreszcze. Ale to musiał być Leander Bohr. To jego zmanierowanie – nikt nie potrafiłby tego tak doskonale podrobić.

– Mój widok trochę cię zaskoczył, co? – kontynuował, kiedy nie odpowiedziała. – Przepraszam. Nie miałem zamiaru wtykać nosa w twoje sprawy. Ale prawda jest taka, że zacznę w ciebie wątpić. Pozwoliłaś, żeby zabrali struktora.

– Co wiesz na ten temat?

– Rozmawiałem z Phousitą.

-Ty...

– Rozmawiałem z Nikko.

Poprawiła spokojnie:

– Masz na myśli widmo Nikko. Marevic powiedziała nam o nim.

– Nie, mam na myśli człowieka. Nie wiesz o tym? To źle.

W takim razie niewykluczone, że do tej pory zdążył odebrać ci struktor. Próbowałem go powstrzymać, ale Fox zmontował mu atrium-pułapkę.

– Ty cholerny idioto! Zaczynj w końcu gadać z sensem.

Uśmiechnął się do niej, jakby była jedynie kłopotliwym dzieckiem.

– Nikko odbiera ci struktor. To wszystko. Potrafisz go powstrzymać?

To było widmo tranzystorowe. Odpowiedziało na jej pytania dotyczące Nikko oraz niewielkiego stateczku, którym wybrał się po Phouisę, po czym zniknęło bez śladu, nie pozostawiając żadnego tropu, który wskazywałby miejsce, z którego przybyło, ani nawet wzorca, którym dałoby się nakarmić Bramy.

Kirstin była całkiem roztrzęsiona. Niczego już nie była pewna, straciła wiarę w swoją potęgę. Leander od lat bawił się z nią w ciuciubabkę. Miałaby pozwolić, aby Nikko również wystrychnął ją na dudka? Jej zwątpienie przerodziło się w gorący gniew.

Sprawdziła czas. Krążownik policyjny wystrzelił pociski kilka godzin temu. Zgodnie z planem powinny dotrzeć do celu za jakieś dwadzieścia trzy minuty. Zarządziła odblokowanie połączenia ze statkiem. Musiała sprawdzić ostrzeżenie Bohra.

Maszyna nie może odtworzyć zmysłów człowieka. To nie było ani twierdzenie filozoficzne, ani fakt naukowy, a jedynie prawo ustanowione przez Wspólnotę, srogie prawo, o czym Kirstin wielokrotnie przekonywała się sama, wysyłając widmo na któryś ze statków policji. „Słyszała” przez czujniki audio, „patrzyła” przez kamery, „wąchała” za pośrednictwem filtrów molekularnych statku, i niczego nie czuła. Nie miała ciała, nie znajdowała się w określonym punkcie przestrzeni, ani fizycznie, ani psychicznie.

Widziała cały statek naraz, słyszała go i czuła jego zapach. Od razu wiedziała, że jest pusty.

Pragnęła napełnić płuca powietrzem.

Zamiast tego, przejrzała zapis podróży statku, błyskawicznie przeskakując dni mijające od startu, póki nie natrafiła na pierwsze znaki świadczące o czyjejs wizycie. Wtedy zwolniła tempo odtwarzania. Widziała przybijający do burty statku dziwny pojazd, a potem wynurzającą się z niego znajomą postać. Słyszała toczącą się na pokładzie statku rozmowę.

Marzyła o zaczerpnięciu oddechu.

Nikko Jiang-Tibayan zakpił sobie z niej. Wyglądał bardzo kwitnąco jak na trupa. Zrobił z niej idiotkę, podobnie jak Leander.

Musiała zaczerpnąć oddechu.

Wróciła do domu.

Natychmiast zwołała zebranie za zamkniętymi drzwiami wybranych członków Kongresu, wchodzących w skład komisji nadzorującej pracę policji.

– To biogeneza – oświadczyła. – Kilka tygodni temu złożyłam raport, w którym wskazywałam na jej ukryty potencjał.

Teraz moje najgorsze obawy potwierdziły się. Fox przemycił do funkcji biogenetycznej nielegalne kody i używa jej do odtwarzania zakazanych form życia.

– Nie może pani być tego pewna – sprzeciwił się jeden z polityków.

Kirstin spiorunowała go wzrokiem.

– Właśnie dlatego potrzebny mi nakaz – warknęła. – Będę mogła przeprowadzić śledztwo. Muszę mieć nakaz, który pozwoli mi prześledzić każdą linijkę kodu funkcji biogenetycznej. Potrzebuję nakazu, żeby zaarrestować Foxa bez precyzowania zarzutów. Nie mam żadnego dowodu, że Fox bierze w tym udział, ale jeżeli zaniecham aresztowania, on z pewnością postara się zniknąć. Nie mówimy teraz o zwykłym obywatelu. Mówimy o Foxie Jiang-Tibayanie. Do tej pory mógł już uzbroić się w struktor Bohra. Nie możemy pozwolić sobie na zwłokę.

Kongresmeni sprawiali wrażenie zaniepokojonych. Dobrze. Jeżeli wystarczająco mocno ich przerazić pozwolą jej na wszystko.

– W porządku – odezwał się przewodniczący komisji. – Będzie pani miała swoje nakazy. Jednak nie wolno pani podjąć żadnej akcji karnej bez uzyskania naszej aprobaty.

Kirstin otwarcie okazała im swoją pogardę.

– Doceniam wasz delikatny zmysł moralny – rzekła – ale sytuacja jest krytyczna. Zrobimy, co będzie konieczne.

– Byle w granicach prawa!

– Postaramy się.

ROZDZIAŁ 23

W miarę jak statek zbliżał się do Domu Lata, stan Nikko systematycznie się pogarszał. Nie mógł się dłużej łudzić. Struktor Foxa, który miał powstrzymać degenerację jego systemu nerwowego, po prostu przestał działać. Domyślał się dlaczego. Podróż w próżni była bardzo żmudnym przedsięwzięciem. Jego metabolizm wspiął się na wyżyny, byle zapewnić mu odpowiednią ciepłość ciała, podtrzymać reakcje chemiczne w kiszerze i utrzymać funkcje motoryczne organizmu, przynajmniej na minimalnym poziomie letargu. Jego organizm znajdował się w stanie permanentnego wyczerpania, toteż nie był w stanie wykrzesać z siebie ani odrobiny energii, żeby zaspokoić potrzeby struktora leczniczego. Pozbawiona dopływu energii maszyna nie działała.

Pogrążony w stanie pośrednim między jawą a snem, odniósł wrażenie, że nie minęło wiele czasu, a już dało się dostrzec migoczącą błękitną gwiazdę, która w miarę zbliżania rosła, przekształcając się w dobrze znany kształt Domu Lata. Opuścił swoją trumnę i zaczął wędrować wzdłuż statku, podciągając się na lince asekuracyjnej. Jego mięśnie były bardzo osłabione. Poruszał się powoli i ostrożnie, koncentrując się na każdym geście, aż wreszcie dotarł do tablicy kontrolnej na trumnie Arifa. Tutaj musiał stoczyć ciężką walkę z palcami, aby wystukać krótki kod inicjujący budzenie. Sterowana przez Inteligencję Niższego Rzędu kamera cały czas unosiła się nad jego ramieniem, wszystko starannie rejestrując.

Następnie udał się do trumny Phousity i tam zrobił to samo.

Tymczasem Dom Lata urósł do wyraźnie widzialnych kształtów, dzieląc się na bezkształtną bryłę asteroidu macierzystego oraz połączoną z nim niemal niewidoczną szprychą łącznika, błękitną kroplę oceanu, który otulał pomieszczenia mieszkalne. Całość wirowała majestatycznie, do złudzenia przypominając młot, złowieszczo opadający na głowę Nikko.

Ten widok podziałał na niego hipnotyzująco. Potrząsnął głową i zmusił się do koncentracji. Spoza Domu dobiegł go słaby odblask złotej powierzchni wyrzutni magnetycznej. I coś jeszcze. Niewielki szary punkcik. Statek. Właśnie wynurzał się z cienia tunelu magnetycznego. Nowy transport. Automatyczne statki transportowe przybijały do Domu Lata raz na dwa tygodnie, czasem nawet częściej.

Powoli, ostrożnie, wrócił do trumny Arifa. W środku dało się wyczuć jakieś poruszenie,

zatem uniósł pokrywę. Światła obrzeżające wnętrze trumny padły na pokrywę hełmu Arifa, wydobywając ukryte pod nią rysy twarzy. Spoglądające z niej oczy były spokojne i uważne. Zwężyły się, kiedy Nikko sięgnął po kable sztucznej pępowiny i chybił, potem sięgnął ponownie i znowu chybił. Jiang-Tibayan przeklął swoje ciało. Wstyd sprawił, że kisser silniej napiął się wokół jego twarzy. Zacisnął zbuntowaną dłoń w pięść i z całej siły rąbnął nią o powłokę trumny... jak gdyby bólem można było zmusić odporne mięśnie do posłuszeństwa.

Ale prawie nie odczuł ciosu i to jeszcze bardziej go przeraziło.

Ponownie sięgnął w głąb trumny i tym razem, mobilizując całą siłę woli, udało mu się zamknąć wiązkę sztucznych pępowin w niezgrabnym uchwycie. Dłoń Arifa spoczęła na jego i razem zdołali odłączyć skafander od trumny.

Nikko cofnął się, czując, że cały drży z wyczerpania. Arif wygramolił się z trumny. Wyprostował się sztywno, sprawdzając jak bezpieczna jest jego uprząż. Następnie wskazał wzrokiem trumnę Phousity. Nikko skinął głową. Zgiął parę razy ręce, po czym wyruszył w żmudną podróż do znajdującej się jakieś trzy, cztery metry dalej dziewczyny.

Phousita ocknęła się, głęboko świadoma swojego wieku. Tak bardzo się postarzała. Czula dotkliwy ciężar doświadczeń wielu żywotów, zewsząd napierały na nią wspomnienia. Jej wiedza o naturze człowieka stała się większa niż kogokolwiek kiedykolwiek przedtem. Żyła życiem wielu kobiet, życiem wielu mężczyzn, poznała nędzę i bogactwo, radość i cierpienie, była frywolna, melancholijna, oddana, podstępna, zrozpaczona, ciekawa, rozdrażniona... Doznała wszystkiego, czego kiedykolwiek mógł doznać człowiek. Przedestylowała te doświadczenia, przetrawiła, aż stała się paradygmatem człowieczeństwa, orędownikiem świata, jedynym sędzią godnym ocenić drogę, którą zmierza ludzkość.

Zaledwie to sobie uświadomiła, zrozumiała coś jeszcze... To nie były jej doświadczenia. Nie, wszystkie należały do kogoś innego, do Leandera Bohra. Składając na jej barki ten ciężar, uczynił z niej mniejszą kopię samego siebie. W ten sposób ją torturował.

Zażkała z gniewu. Waliła pięścią w oddzielającą ją od próżni przezroczystą pokrywę trumny i krzyczała. Jej sfalszowane widmo musiało wrócić kiedyś podczas snu, wśliznąć się cicho przez atrium. Z początku nawet nie zauważyła jego istnienia, póki fałszywa osobowość nie rozpuściła się w jej umyśle. Podczas gdy spała, fałszywe wspomnienia splotły się z jej własnymi, obca osobowość zapuściła korzenie tak głęboko, że teraz nie sposób już było powiedzieć, gdzie kończy się prawdziwe, a zaczyna sztuczne. Leander Bohr zaraził ją sobą. Zaraził ją swoim

cierpieniem.

Uderzyła plastikową powierzchnię pokrywy. Ta zadygotała pod pięścią. Uderzyła ponownie. Odgłos, jakim odpowiedziała pokrywa, pogłębił się. I jeszcze raz. Pękło. Niewielki otworek.

Powietrze z wyciem zaczęło cisnąć się na zewnątrz. Phousita poczuła eksplodujący w uszach ból. Skafander zareagował, wytwarzając wewnętrzne ciśnienie. Ponownie uderzyła pięścią w pokrywę.

Niejasno zdała sobie sprawę z czyjejs, przesłaniającej gwiazdy, obecności na zewnątrz. Przez warstwę plastyku spojrzała na nią pozbawiona wyrazu twarz Nikko. Zza jego ramienia wychylała swój łeb podobna do inteligentnej żmii kamera. Ujrzawszy go, Phousita skuliła się ze strachu. Obecność Nikko działała na nią odstręczająco. To stworzenie jest nienaturalne, pomyślała. Nie stworzyła go Matka Ziemia.

W miarę jak na niego patrzyła, narastało w niej irracjonalne uczucie wściekłości. Najchętniej wyłaby z gniewu razem z uchodzącym przez otwór powietrzem. Wyrwała pęk sztucznych pępowin i jeszcze raz rąbnęła pięścią w wieko, akurat w momencie, kiedy Nikko zaczął je unosić. Natychmiast wystrzeliła na zewnątrz.

Widząc nurkującą w jego stronę Phousitę, Nikko instynktownie uchylił się, jednak nie był dość szybki. Trafiła go twardym hełmem prosto w pierś i oboje odpadli od statku. Phousita uczepliła się Nikko. Szybowali tak długo, aż skończyła się linka i silne szarpnięcie skierowało ich z powrotem. Uderzyli w spojenie między trumnami. Zanim zdążyli odbić się z powrotem, Nikko niepewnie przytrzymał się uchwytu. Rzucił okiem na twarz Phousity.

Rysy dziewczyny wykrzywiała dzika furia. Odnalazła palcami kischer i zaczęła szarpać go, drzeć, jak gdyby zamierzała zerwać go z jego karku. Teraz i w gardle Nikko wezbrał pomruk wściekłości. Oszalały z bólu, próbował wymierzyć dziewczynie cios, odepchnąć od siebie, ale trzymała się jak kleszcz. Zdumiała go jej niespodziewana siła. Przed twarzą Phousity pojawił się nikły obłok drobnych, czerwonych kryształków. Jednocześnie silne ukłucie chłodu w kischerze poinformowało Nikko, że jest ranny.

Odepchnął napastniczkę, używając do tego obu rąk.

Odleciała. Sam również poleciał, odrzucony w przeciwną stronę, tak długo szorując po powierzchni statku, aż dotarł do jego przedniej części. W kischerze pulsował palący ból. Serce waliło na alarm, z trudem łapał oddech. Oparł czoło o powierzchnię trumny i całą siłą woli próbował opanować narastające głęboko w trzewiach mdłości oraz wyrywający się z gardła

krzyk.

Kiedy nareszcie uniósł głowę, powierzchnia statku ginęła pod cienką warstwą czerwonego szronu.

Spojrzał wzdłuż naprędcy skleconego statku. Jakies pięć metrów dalej, uczone końca linki asekuracyjnej, wisiały dwie postaci w skafandrach kosmicznych.

– Co się ze mną dzieje? Co się ze mną dzieje? – zanosiła się łkaniem Phousita. Jej wysoki głos rezonował w sztucznym zamknięciu hełmu. Unosili się na końcu liny asekuracyjnej, Arif trzymał ją w ramionach, w mocnym, pewnym uścisku. – Nienawidzę go. Chciałabym go zabić. On nie jest naturalny, musi umrzeć. Nie chcę myśleć w ten sposób. Nienawidzę go. Puść mnie.

Puść mnie!

Nawet w jej własnych uszach brzmiało to nie do zniesienia, lecz nie potrafiła przestać. Jedna po drugiej zalewały ją kolejne fale nienawiści. Leander Bohr ją zatruł, splugawił. Nie była już sobą. Jej myśli nie były jej myślami. Jej uczucia były obce. Oparła się o Arifa i jęczała, pogrążona w autentycznym cierpieniu.

– Już dobrze – uspokajał ją Arif, a słowa wlewały się do jej uszu ciepłym szmerem. – Dasz sobie radę. To był tylko zły sen, nic więcej. Uspokój się. Wszystko będzie dobrze.

– Nie będzie – załkała. – Nie będzie. Nie, dopóki on żyje.

Jakaś część Nikko szeptała, że musiał źle zrozumieć atak Phousity. To musiał być wypadek, jakiś koszmar senny przeniesiony na jawę, to wszystko, teraz powinien zbliżyć się do niej i sprawdzić, czy nie stała jej się jakaś krzywda. Ale głębszy instynkt trzymał go twardo na miejscu. Mówił mu, że widoczna na twarzy dziewczyny nienawiść była skierowana przeciwko niemu, i tylko przeciw niemu.

Obracając się, omiatał spojrzeniem otoczenie. Gigantyczny, wirujący młot Domu Lata wyraźnie zbliżał się. Toczył się wolno naprzód, a jego dwa gigantyczne obuchy wznosiły się i opadały, upodabniając całość do budzącej grozę maszyny z piekła rodem, zdecydowanej za wszelką cenę zmiażdżyć niewielki stateczek: pięść ze skały, pięść z oceanu, padały jedna po drugiej w sennym rytmie, który budził tym większą grozę, im bliżej lądowały ciosy.

Statek transportowy również znajdował się już zdecydowanie bliżej. Mógł rozróżnić jego budowę: sczeplone w kształt rombu lindry. To nie jest statek automatyczny, nieoczekiwanie zdał sobie z tego sprawę. To statek obsadzony ludźmi. I nie był to transportowiec. Przyjrzał się chińskim znakom identyfikacyjnym na burcie – to „Galapagos”, pojazd należący do sił

policyjnych Wspólnoty.

Chciałby wierzyć, że jego obecność tutaj była jedynie zwykłym zbiegiem okoliczności, ale nie mógł. Takie rzeczy się nie zdarzają.

Zalała go fala bezsilnej wściekłości. Tak bliski był dostarczenia struktora Bohra do domu. Tak bliski! Przyłapali go. Dowiedzieli się. Jak?! I nagle wiedział. To widmo Bohra na niego doniosło. Ta miękka, biadoląca glista.

Pięść ze skały zaczęła opadać w dół, przesłaniając mu nadlatujący statek. Asteroid przepłynął majestatycznie obok, tym razem chybiając nie więcej jak o kilometr. Można było dostrzec kaleczącą powierzchnię skały płataninę rur, wczepionych w warstwę sztucznego lodu kometarnego niczym dziesiątki ceramicznych szponów. Potem asteroid zaczął się oddalać. Statek policyjny zwrócił się dziobem w stronę Nikko. W jego korpusie rozbłysło białe światło.

Nikko szarpnął się, wstrząśnięty. Te skurwysyny zamierzały strzelać! Pogmerał przy uprzęży, próbując zmusić poplątane palce do posłuszeństwa. Przerazenie jakby przywróciło jego ruchom nieco pewności. Klamra rozpięła się. Zanurkował w kierunku rufy. Arif i Phousita nadal unosili się na końcu liny asekuracyjnej, nie zauważyli, co się dzieje. A nawet gdyby zauważyli i tak pewnie nie zrozumieliby, co to oznacza.

Trzymając się palcami stóp, Nikko przysiadł na brzeżku środkowej trumny i zajął się urządzeniem mocującym uprzęży Arifa.

Odczepił ją od trumny. To samo zrobił z uprzężą Phousity.

Uwagę Phousity zwróciło nagle pociągnięcie liny. Obróciła się w ramionach Arifa. Koniec liny znajdował się w rękach Nikko.

Nad jego głową niebiesciła się gigantyczna pięść oceanu, osuwająca się w dół szybciej od spadającej gwiazdy.

– Arif! – wrzasnęła, owładnięta paralizującą mieszanką furii i przerażenia.

Nikko pociągnął linę do siebie. Sam trzymał się w miejscu dzięki zaciśniętym na brzegu trumny palcom u stóp. Poczula wyrywające dech z piersi szarpnięcie i oboje z Arifem poszybowali w stronę Nikko. Ten puścił linę i uchylił się, umykając wyciągniętym drapieźnie ramionom Phousity. Arif wrzeszczał w amoku, wypływając z siebie nierealne groźby. Minęli Nikko, potem zostawili za sobą jego statek. Szybowali wprost na spotkanie błękitnej pięści oceanu, a liny asekuracyjne podążały majestatycznie za nimi, niby zerwane sznurki latawców. Skrajne przerażenie wyrwało z gardła Phousity przeszywający krzyk istoty świadomej, że zaraz

opadnie na nią pięść Boga i raz na zawsze strzaska jej nędzną egzystencję.

Ale pięść przeszła obok. Dziewczyna westchnęła zdumiona.

Perspektywa uległa zmianie. Srebrne szramy na powierzchni oddalającej się ściany wody okazały się odległymi drzewami. Rozpoznała pozbawione atmosfery lasy ze wspomnień Sandora.

W dalszym ciągu uczipiona Arifa, obróciła się, żeby spojrzeć do tyłu.

Nikko również skoczył. Mknął w ślad za nimi niczym prująca próżnię błękitna strzała.

Ten skok był samobójstwem, Nikko zdawał sobie z tego sprawę. Mimo to skoczył. W końcu, czy miał inny wybór? Statek wystrzelił raketę. Fala światła oraz liźnięcie ciepła powiedziały; mu, że pocisk trafił do celu. Zwinął się w kłębek, podczas gdy wszędzie dokoła śmigły roje odłamków. Drobniejsze z nich posiekały mu plecy i ramiona, rozpalając w nich niezliczone igielki chłodu. Porażający ból omal nie pozbawił go przytomności.

Kątem oka uchwycił widok splątanych ciał Phousity i Arifa.

Otaczał ich obłok zamrożonej pary. Czyli co najmniej jedno z nich było ranne. Skafandry powinny się zregenerować.

Teraz zamierzała się na nich pięść ze skały. Jej ogrom przyprawiał o zawrót głowy, można było odnieść wrażenie, że na ich głowy wali się cały świat. Nikko nigdy nie widział Domu Lata z takiej perspektywy. Była to skondensowana potęga, porażająca w swoim pędzie, bezlitosna. Zdjęty dławiającym przerażeniem, czekał na chwilę, w której kamienna pięść zgniecie go na miazgę, zdusi pod sobą jak robaka.

Ale kamienna pięść chybiła. Przetoczyła się pod nim, albo on stoczył się po niej. Przeturlał się błyskawicznie po lodzie i skale, po czym ponownie odbił się w otwarty kosmos, bezradnie wirując jak bąk. Mignęli mu Phousita i Arif. Znajdowali się teraz daleko za nim, dwie białe, splecione ze sobą figurki oddalone co najmniej o pół kilometra. Na chwilę zniknęli w strefie cienia, aby zaraz pojawić się ponownie, tym razem jako dwa czarne przecinki na tle błękitnego oceanu. Zmierzali w stronę powierzchni, zderzenie było nieuniknione. Wiedział to. Wiedział, że tym razem gigantyczna pięść nie chybi. Jego ciało obracało się dalej.

Mimo że stracił z oczu Dom Lata, czuł za plecami jego obecność, sygnalizowaną wielokrotnym wzrostem siły grawitacji.

Ponowny obrót ustawił go twarzą do wielkiej ściany błękitu.

Dostrzegał gąbczastą powierzchnię Domu. Nie mogła być dalej niż jakieś dwadzieścia metrów od niego. Zdawała się wypełniać sobą cały Wszechświat. Dom. Tylko piętnaście metrów

od niego.

Potem dziesięć. Nie do wiary, tylko pięć. Wyciągnął się cały w jej stronę, pragnąc dosięgnąć błękitnej tafli, wiedząc, że zderzenie może go zabić, ale nie dbał o to, pragnąc tylko natychmiast, od razu wrócić do domu.

Jego długie palce zanurzyły się w wodzie, nie napotykaając przy tym większego oporu, niż gdyby trafiły na powietrze. Przekoziółkował w głąb pozbawionego treści błękitu. Błękit rozgorzał dokoła eksplozją jaskrawego światła. Potem nagle zrobiło się ciemno. Woda błyskawicznie zgęstniała. Ruch obrotowy ciała zmalał, aż całkiem wygasł, jednocześnie z pojawieniem się galaretowatej macicy, która owinęła się dookoła niego z całym ciepłem oraz troskliwością matczynego łona.

ROZDZIAŁ 24

Widmo Kirstin zjawiło się w atrium dowódcy „Galapagos”.

Beryl była zatwardziałą policjantką, słynącą na cały system ze swego braku tolerancji dla inżynierii molekularnej. Przebyły razem długą drogę i teraz powitały się serdecznym uściskiem. Kiedy Kirstin wypuściła ją ze swoich objęć, Beryl cofnęła się i poczęstowała naczelnik policji szerokim uśmiechem.

– Odstrzeliłam mu ten porcelanowy tyłek – oświadczyła.

– Nikko Jiang-Tibayan? – zapytała Kirstin z ożywieniem.

– Dostałaś go?

Beryl przytaknęła.

– Był już blisko. Namierzyliśmy go ledwie kilka kilometrów od stacji, musieliśmy wystrzelić raketę podczas ruchu obrotowego. Bardzo interesujące doświadczenie. Dostał prosto w jądra.

Kirstin triumfowała. Mało brakowało, a Nikko znów byłby jej się wyśliznął. Ale nie tym razem.

– Matko Naturo, chciałabym to zobaczyć! Rada pewnie już skrzeczy o radioaktywności?

Beryl zmarszczyła brwi.

– Powinni, prawda? Tymczasem poza niewielkim psioczeniem służb kontroli ruchu, Dom Lata nie odezwał się ani słowem.

Można odnieść wrażenie, że to oni najęli nas do tej roboty.

Kirstin poczuła ukłucie niepokoju. To nie było w stylu rady nadzorczej, żeby przegapić okazję do złożenia skargi na policję.

– Jesteś pewna, że ich trafiłaś?

– Absolutnie. Wyparowali.

Pocałowała Beryl w policzek.

– No to odstaw statek do doków. Pokrzepiłaś mnie, mogę teraz wybrać się do Foxa, mam nakaz aresztowania. Spotkamy się w mieście.

Zaledwie Kirstin opuściła mauzoleum, natychmiast wezwała do siebie stacjonujący w Domu Lata oddział policji. Póki „Galapagos” nie ukończy dokowania, mogła rozpocząć dochodzenie z zespołem, który miała pod ręką.

– Przede wszystkim trzeba odnaleźć Foxa – poinformowała niechętnie nastawionego kapitana, tego samego, którego odwiedziła podczas pierwszej inspekcji w Domu Lata, parę tygodni temu. Jego służba dobiegała już końca. Przedłożył zwierzchnikom rezygnację i przyjął pełne obywatelstwo Domu. Obecna sytuacja z pewnością była mu nie w smak.

– Oni go ukrywają – powiedział policjant. – Dom nie chce powiedzieć, gdzie on jest.

Oczy Kirstin zwięzły się z irytacji.

– Mamy nakaz – poinformowała mężczyznę. – Wszystkie Bramy danych otrzymały już polecenie złowienia widma Foxa.

Kapitan policji przytaknął nerwowo.

– W porządku. Będziemy musieli wybrać się z nim do biur korporacji i znaleźć kogoś, żeby otworzył dla nas systemy zabezpieczeń Domu Lata.

Grymas na twarzy naczelnik pogłębił się.

– Mamy struktory gończe. Sami damy sobie radę.

Policjant unikał jej wzroku.

– Możliwe – powiedział. – Jednak prościej trzymać się drogi urzędowej.

– Czy chce pan powiedzieć, że nasze struktory gończe nie będą tutaj działać? – zapytała Kirstin, już nie kryjąc oburzenia.

Zerknął na nią i natychmiast uciekł spojrzeniem w bok.

– Nie, oczywiście że nie chcę. Przecież w takim przypadku musiałbym złożyć raport, prawda?

– Jak cholera.

Jeżeli rzeczywiście nie doniósł o tym w raporcie, sam szybko znajdzie się pośród oskarżonych.

– To ten organiczny charakter Domu Lata – wyjaśnił. – Nie możemy po prostu rozprzestrzenić struktorów gończych w powietrzu. Wokół znajduje się zbyt wiele niezróżnicowanych tkanek. Sprawdzanie każdej z nich trwałoby godzinami.

Nie była przekonana, ale na razie zgodziła się pójść za jego radą.

– W porządku – rzekła. – Zatem, do biur korporacji.

Korytarze wydawały się dziwnie opustoszałe. Gdziekolwiek napotykali bawiące się w berka albo chowanego dzieci. Kilkoro napotkanych dorosłych odnosiło się do oddziału policji z nie skrywaną wrogością.

Biura korporacji były opustoszałe. W zewnętrznych pokojach bawiła się garstka dzieci. Na widok policji rozpięchły się na wszystkie strony. Konsole na biurkach były pozamykane, żadna nie zareagowała, kiedy Kirstin na próbę wprowadziła kilka komend reaktywujących. Posłała pytające spojrzenie kapitanowi, lecz ten wzruszył jedynie ramionami, z twarzą ściągniętą niepokojem.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem – rzekł. – Zwykle te biura są nabite ludźmi. Przez okrągłą dobę.

Poprowadził ich dalej. Mijali jeden po drugim gabinety, z których każdy stał przed nimi otworem i każdy okazywał się pusty, z nieczynnymi konsolami na biurkach. Na koniec stanęli pod drzwiami gabinetu dyrektora, dawną siedzibą Foxa. Tutaj drzwi były zamknięte, lecz na wezwanie kapitana policji rozsunęły się.

Za biurkiem siedziała rudowłosa postać i leniwie w tę i z powrotem kręciła się w fotelu. Przez chwilę Kirstin myślała, że znalazła Foxa. Otworzyła szeroko oczy, postąpiła krok naprzód.

Wtedy rudzielec podniósł głowę i spojrzał jej w twarz.

To był kolejny dzieciak, nastolatek. Ich spojrzenia spotkały się. W oczach chłopaka lśniło rozbawienie. Jego twarz mogła służyć za studium bezczelnej pewności siebie, jak gdyby właśnie odkrył, że wielki zły wilk nie ma zębów. Ten widok wywołał u Kirstin nagły skurcz niepokoju.

– Szukamy Foxa – powiedział kapitan policji.

Chłopak nie spuszczał wzroku z Kirstin.

– Fox odszedł. – Miał nawet czelność wyszczerzyć się w uśmiechu.

Kirstin starannie zamaskowała obrazę.

– Dokąd odszedł? – spytała przez zaciśnięte zęby.

– Właściwie nikt tego nie wie. Po prostu odszedł. Jeżeli to was interesuje, zniknęły też wszystkie jego pliki osobiste. – Bachor odchylił się na oparcie fotela i zarzucił nogi na blat biurka.

– Czy nie wygląda to na samobójstwo?

Dłuższą chwilę Kirstin świdrowała rudzielca lodowatym wzrokiem.

– Gdzie cały personel? – zapytała. – Kto pełni obowiązki dyrektora?

– Jak zapewne zauważyliście, personel na jakiś czas wybył, ale przecież ja jestem na miejscu. Ja jestem nowym dyrektorem.

Ponownie pozwolił sobie na rechot, po czym głośno strzelił gumą do żucia.

Minęły kolejne dwie godziny, a poszukiwania Foxa lub któregokolwiek z pozostałych członków Rady Nadzorczej nie dały najmniejszych efektów. Tymczasem gdzieś zawieruszył się również kapitan policji. Po odkryciu jego nieobecności Kirstin rozkazała pozostałym policjantom zameldować się na pokładzie „Galapagos”, który wreszcie zakończył dokowanie w centralnym łączniku Domu. Cała procedura odbywała się bez nadzoru personelu, ponieważ doki oficjalnie były nieczynne. Podobno wszyscy mieszkańcy miasta obchodzili dzień żałoby z powodu samobójstwa Foxa, ojca założyciela korporacji. Nigdzie jednak nie było widać żadnych oficjalnych uroczystości.

Policja kontynuowała obławę. Kiedy pojawiło się kilku członków zespołu Foxa, Kirstin natychmiast wezwała ich na przesłuchanie na pokład „Galapagos”. Żaden z nich nie potrafił wskazać miejsca pobytu członków Rady Nadzorczej ani podać nazwiska osób nadzorujących wskrzeszenie Nikko. Nie wydusiła z nich ani jednej pożytecznej informacji, a kiedy próbowała im grozić, nie okazywali strachu.

Rozpuściła więc w mieście struktury gończe – trzema falami, w odstępach powyżej dziewięćdziesięciu minut. Sześć godzin później żaden z nich nie podporządkował się zaprogramowanym ograniczeniom i nie powrócił, zmuszając Kirstin do nieuniknionej konkluzji, że coś je pożera. To nie miało prawa się zdarzyć. Sprzęt, którym dysponowała miał być najlepszy z możliwych, tymczasem jej supersprawne maszyny molekularne zapomniały wrócić.

Poszukiwania zaczęły przybierać zdecydowanie niekorzystny obrót. Dom Lata nie był taki, jak inne miasta. Nie mogła po prostu wypuścić na korytarze psów. Korytarze dawały dostęp do niewielkich fragmentów Domu. Większość obszarów produkcyjnych oraz ściśle strzeżonych laboratoriów naukowych znajdowała się z dala od poziomów mieszkalnych i nie można było dostać się do nich inaczej, jak za pomocą systemu transportowego. Rozbudowany, wielopoziomowy kompleks leśny dostępny był jedynie na piechotę. Lecz tym, co martwiło ją najbardziej, był nie zamieszkanym i nie zagospodarowanym obszarem pomiędzy zewnętrznym oceanem a wewnętrznym miastem. W całości wypełniał go lekki, nieodróżnicowany żel, pocięty liniami systemu transportowego.

Gdyby Fox miał taki kaprys, zdołałby ukryć tam cały świat.

Jednak bez strukturalistów gończych nie miała sposobu, żeby to sprawdzić.

W miarę upływu godzin frustracja Kirstin wzrastała. Instynkt mówił jej, że gdzieś w Domu Lata wrze gorączkowa aktywność, ale nie potrafiła jej wytropić. Sytuacja zaczęła wymykać się

spod kontroli.

ROZDZIAŁ 25

Phousita kołysała się, zawieszona w ciepłym, gęstym mroku.

Była sama. Arif został wyrwany z jej objęć w chwili, kiedy zginęła. Bo musiała zginąć... I ponownie się narodzić lub przynajmniej począć w łonie nowej matki. Ze zdumieniem odnotowała fakt, że wkroczyła w nowe życie z całym dotychczasowym bagażem wspomnień. Ciemność wokół niej poruszyła się, w głowie rozległ się głos. Nie, to nie był głos. Raczej jego wspomnienie, wspomnienie kogoś zadającego pytanie: kim jesteś? Kogoś o głosie równie ciepłym i niosącym w sobie poczucie bezpieczeństwa, jak otulająca ją ciemność.

– Phousita – szepnęła. Ale nie mogła mówić. Jej głos był generowany przez atrium. W tej samej chwili, w której wymówiła swoje imię, zrozumiała, że wcale nie narodziła się na nowo. Nadal była tą samą bezwartościową istotą co przedtem.

– Gdzie ja jestem? – szepnęła bezgłośnie, lecz ciemność zrozumiała pytanie.

Zagłębiła się w ciele Domu Lata: ta informacja nie dotarła do niej za pomocą głosu, ale zjawiała się jako wspomnienie, właśnie wyłowione z pamięci.

Dom Lata.

Musiała dowiedzieć się czegoś więcej. Zaczęła tkać zakłęcie dla małych służących, lecz przerwała. Nadal miała na sobie skafander, hełm i pozbawiające czucia rękawice.

– Mogę zrzucić z siebie ten strój? – zapytała.

To mogło być możliwe. Dom mógłby opróżnić zamykający ją w swoim wnętrzu bąbel transportowy. Delikatny nacisk mroku zauważalnie osłabł. Wyczuwała pod dłońmi formujące się miękkie ściany, podobne gładkiemu, pozbawionemu kości ciału. Zaczęła tonąć, aż jej obute stopy zatrzymały się na wygiętej ku górze podłodze. Wtedy dokoła niej rozgorzała słaba błękitna poświata, która stopniowo przybierała na sile, ukazując jej oczom wewnątrz kulistej komory o wymiarach ledwie wystarczających, by pomieścić w sobie jej ciało.

Męczyła się chwilę z zatraskaniem hełmu, ale wreszcie oporny mechanizm ustąpił i z ulgą pozbyła się uciążliwego nakrycia głowy. Powitał ją podmuch ciepłego, wilgotnego powietrza. Wciągnęła je głęboko w płuca. Och, co za ulga, po tym wstrętnym, zimnym powietrzu wewnątrz skafandra.

Następnie kilka razy stuknęła próbnie w tablicę kontrolną na piersiach, aż udało jej się

sprawie, że skafander stracił swój sztywny, trzymający kształt ciała fason. Teraz zwisał na niej bezkształtnie jak szmata. Zrzuciła go z siebie, pozostawiając zwinięty w kłębek na podłodze. Jej dłonie lśniły plamkami wilgoci. Klasnęła i mali służący ochoczo skoczyli w nieznane, przenikając otoczenie falą mikroskopijnej mgiełki. Wyczuła pewne zaniepokojenie Domu, ale postanowiła nie zwracać na to uwagi.

– Gdzie jest Arif? – zapytała.

Arif... Dom nawiązał z nim kontakt. Przybył w uszkodzonym skafandrze i został odtransportowany na leczenie do szpitala.

Przewidywany całkowity powrót do zdrowia.

Phousita z wysiłkiem przełknęła ślinę, zwalczając nagły ucisk w gardle.

– A gdzie jest... – jeszcze raz przełknęła, nawet wymówienie znieawidzonego imienia kosztowało ją wiele wysiłku. – Gdzie jest Nikko?

Mignął jej tuż przed tym, jak wpadła do oceanu. Dostał odłamkami i dziko wirując, zniknął za krawędzią Domu Lata.

Dom potrzebował uściślenia. Czy Phousita ma na myśli obywatela korporacji Nikko Jiang-Tibayana?

– Tak. – Oczekując odpowiedzi, czuła sączącą się w żyły mieszaninę radości i obawy.

Dom nie potrafił wskazać obecnego miejsca pobytu Nikko Jiang-Tibayana.

Opadła na podłogę, składając nagie ciało na porzuconym skafandrze. Więc Nikko nie wrócił do Domu Lata. Minął swój wymarzony azyl i pomknął wprost w lodowatą pustkę.

Jego przerażający wypadek wzbudził w niej uczucie nabożnej radości, jak gdyby zatriumfowała w słusznej sprawie. Ale dlaczego? Dlaczego tak bardzo nim pogardzała?

Nagle wyczuła czyjąś narastającą obecność. Usiadła, obserwując, jak duży fragment kulistej powierzchni bąbla ciemnieje, a potem staje się coraz cieńszy i wreszcie kurczy się jak żywa tkanka, odsłaniając wnętrze innego bąbla transportowego, z siedzącym w środku starszym mężczyzną o poprzecinanych pasmami siwizny rozwichrzonych włosach, którym zimna błękitna poświata nadała kolor starej krwi.

– Fox – szepnęła.

Nie patrzył wprost na nią, być może zażenowany jej nagością.

Żłobiące jego twarz zmarszczki były głębsze, niż pamiętała...

Nie, to były wspomnienia Sandora. Sprawiał wrażenie wymizerowanego, jego ramiona

pochyliły się. Otaczała go aura klęski.

– Dokonałaś tego – powiedział, jakby sam z trudem mógł w to uwierzyć. – Obserwowaliśmy was. Próbowaliśmy was ostrzec, ale Nikko nie odpowiadał.

– Jego atrium nie działało – powiedziała Phousita.

Fox gapił się na nią skonsternowany. To on zaprogramował zniszczenie atrium Nikko. Phousita miała ochotę powiedzieć coś, co go pocieszy, ale powstrzymała ją przed tym zaszczepiona z zewnątrz pogarda. Leander Bohr nie darzył Foxa ani trochę cieplejszym uczuciem niż jego syna Nikko.

Fox przełknął z wysiłkiem. Widać było jak bierze się w garść.

– Nie sądzę, żebyś... w tym całym zamieszaniu... żeby udało ci się... – Jego wargi drżały. Czoło lśniło od potu. – Sandor? – zakrakał.

Phousita na wpół odwróciła się od Foxa, tak odpychająca wydała jej się myśl o oddaniu temu człowiekowi Sandora. Zaraz potem uświadomiła sobie jednak, że mężczyzna nie poprosił jej o struktora. Fox nie chciał od niej struktora, chciał Sandora. Był pierwszym napotkanym człowiekiem, który nie wykazał zainteresowania jej talentem. Zamrugła zdumiona i szybko wróciła spojrzeniem do rozmówcy.

– Potrafisz wrócić mu życie?

– Jeżeli kod okaże się dobry, będzie to możliwe. Możliwe, ale czas goni. Funkcja biogenetyczna została zainicjowana. Musimy zaraz dostarczyć Sandora, natychmiast, zanim będzie za późno.

Phousita skinęła powoli, wciąż niepewna jego intencji.

– Zrobiło się bardzo niebezpiecznie – cichym głosem wyjaśnił Fox. – Gliny zaczęły podejrzewać, że Nikko jest tworem funkcji biogenetycznej. Zdobyli nakaz, żeby prześledzić kod i oczywiście poddać mnie przesłuchaniu. Nie zrobili tego tylko dlatego, że nie dałem im okazji, zniknąłem. Musimy utrzymać ich w niepewności tak długo, jak to możliwe, inaczej nici z naszej ucieczki.

– Naszej ucieczki? – zdziwiła się Phousita. Myślała, że Dom Lata to rodzaj bezpiecznego azylu.

Fox kilkakrotnie skinął głową.

– Tak zdecydowało głosowanie – rzekł. – Nie możemy zaprzepaścić tego, co udało nam się osiągnąć. Funkcja biogenetyczna jest naszą jedyną polisą ubezpieczeniową, nie możemy

pozwoić, żeby nam ją odebrano. Proszę. Tutaj masz adres elektroniczny, pod który trzeba wysłać wzorzec Sandora.

Zapisała adres w swoim atrium. Zapanowało niezręczne milczenie.

– Wyślesz go szybko? – zapytał wreszcie.

Skinęła głową.

Wydawał się gotów do odejścia, ale zawahał się.

– Twój przyjaciel Arif został zraniony przez odłamek – poinformował ją. – Jest w szpitalu, nic mu nie będzie. Gliny nie rozpoznają go. Lepiej jednak, żebyś została tutaj. Policja myśli, że nie żyjesz. Nie wiedzieli, że opuściłaś statek, nie będą ciebie szukać, więc nic ci tutaj nie grozi, jeśli nie będziesz pchać im się przed oczy.

Znowu zdawał się gotów do odejścia. I ponownie coś go powstrzymało.

– Nie możemy odnaleźć Nikko – rzekł.

Natychmiast cała zeszywniała.

– Wiem.

– Oczywiście, mogę go odrodzić. Jego kod nadal jest wpisany w funkcję biogenetyczną, ale wtedy nie będzie już taki sam.

Nie będzie pamiętał tego, co wydarzyło się ostatnio. A szkoda, bo trochę się zmienił. Wiele nauczył się od ciebie.

Wzdrygnęła się. Nikko próbował ją zamordować. Tak w każdym razie sądziła, kiedy odrzucił ją i Arifa od statku. Ale chwilę potem statek eksplodował. Więc tak naprawdę Nikko uratował jej życie. I był bratem Sandora. Kochała go. Wiedziała o tym. Nie czuła do niego nienawiści. Cała wzdrgała, która ją zalewała, należała do Leandera, nie do niej. Pochyliła głowę, próbując poradzić sobie z szalejącymi w jej duszy emocjami.

Nie mogła dalej żyć w ten sposób.

Nie była w dolinie od czasu, gdy przewaliła się tędy gwałtowna burza. Teraz zdumiała ją skuteczność, z jaką las wyleczył się z zadanych przez wicherę ran. Gałęzie drzew obsypany się nowymi liśćmi. Powietrze stało nieruchome. Przez zielono-złote sklepienie sączyły się ożywcze promienie słońca.

Wynurzyła się z gęstego obłoku mgły, stając naprzeciwko wejścia do niewielkiej grotki, na gładkim stoku skalnym. Była naga. Słońce czule pieściło jej odkrytą brunatną skórę, długie włosy spadały luźną falą na plecy, łaskocząc ją w krzyż. Czuła się silna, ale zbrukana.

Sandor natychmiast to wyczuł. Siedział po turecku przy wejściu do grotty, trochę bardziej osmalony słońcem niż to zapamiętała. Ujrzawszy ją, poderwał się na równe nogi.

– Phousita! – Zamierzał wziąć ją w ramiona, ale powstrzymał się, być może odepchnięty wyrazem jej oczu.

– Zostałaś zraniona – powiedział. – Zmieniłaś się.

Cofnął się o krok. Jego głos drżał.

– Co się z tobą stało?

Jej twarz wydłużyła się. Tych kilka słów sprawiło, że krucha równowaga rozpadła się w proch i pył. Spodziewała się gniewu.

Czyż nie zasłużyła na wyrzuty? Zostawiła go tutaj samego i nie pojawiała się przez szereg dni. Tymczasem w jego oczach nie było gniewu. Był tylko strach, tym większy, im dłużej studiował jej twarz, dostrzegając ciężące na jej duszy piętno złego czarnoksiężnika, dostrzegając przed sobą żywego Leandera Bohra. Już nie sługę, ale pana – osobiście.

Jego wahanie zabolalo bardziej, niż kiedykolwiek mógłby to sprawić jego gniew.

– Zostałam opętana – szepnęła. – Zły czarnoksiężnik zamieszkał we mnie. Nie jestem już sobą. – Uniosła niezobowiązująco dłonie. – Czy ty mnie pamiętasz? Pamiętasz, kim byłam?

Przyjął wreszcie jej dłonie i przyciągnął do siebie, otaczając dziewczynę ramionami. Zanurzyła się w obłoku odurzającej woni jego ciała. Chciała się kochać. Pragnęła fałszywych obietnic, jakie niósł z sobą orgazm, pragnęła złudnej pewności, że wszystko będzie w porządku, że się jeszcze ułoży. Ale wiedziała, że dopóty, dopóki będzie nią rządził duch Leandera, nic nie będzie w porządku.

Przywarła do Sandora. Przyciągnęła go do siebie, używając całej swojej siły, jak gdyby mogła w ten sposób stopić ich ciała w jedno, wlać duszę Sandora w swoją i rozcieńczyć wpływ Leandera.

– Pomóż mi, Sandor, proszę. Przywróć mi moją duszę.

Spraw, żebym była taka jak dawniej. Ty najlepiej mnie znałeś. Ty mógłbyś tego dokonać.

Nieznaczenie potrząsnął głową, muskając ustami jej policzek.

Jego ciepły i pełen życia oddech owiewał jej skórę. Był tylko widmem, a jednak miał w sobie więcej życia niż niejeden mężczyzna z krwi i kości. Przepelniający go żal zdawał się wyciekać z niego każdym porow. Mogła go skosztować, miał smak gorzkiej herbaty.

– Nie wiem, co się z tobą stało – szepnęła – ale wiem, że tego nie da się cofnąć. W końcu to

zrozumiałem. To ty mnie tego nauczyłaś. Ty pomogłaś mi przebrnąć przez ten horror. I, na Boga, tylko ty możesz nas z tego wyciągnąć.

– Ale ja nie potrafię – jęknęła. – Nie potrafię uwolnić się od niego.

Żadne egzorcyzmy nie mogły wypędzić z niej Leandera. Zbyt gruntownie wrósł w jej umysł, wplątał się we wspomnienia. Nigdy nie zdoła go stamtąd usunąć.

– To prawda – rzekł Sandor. – Nie dasz rady się tego pozbyć. To wszystko stało się częścią ciebie. Pamiętam... – zaczął i przerwał. Nie mógł o tym mówić, lecz ona wiedziała. Ona również wtopiła się w jego wspomnienia. – Możesz to obejść – kontynuował. – Oddzielić siebie od swoich wspomnień, zbudować siebie od nowa. To jedyny sposób, żeby przetrwać.

Zbudować siebie od nowa? Przyłgnęła do niego, delektując się tym pomysłem.

Czy to możliwe, żeby po prostu...

...zostawić Leandera za sobą?

Lecz jeśli się zdecyduje, jaką ma gwarancję, że wraz z Leanderem nie zgubi zbyt dużej części samej siebie? Sandor ciasniej oplótł ją ramionami. Czującym powonieniem łowiła zapach jego strachu. On również zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Wsparała głowę na jego piersi.

– Muszę cię odesłać – szepnęła. – Jesteśmy w Domu Lata.

Czekają na ciebie. Chcą ci przywrócić rzeczywiste życie.

Chrapliwie wciągnął powietrze. Jego uścisk stał się jeszcze ciaśniejszy.

– Chodź ze mną.

– Przyjdę. Obiecuję.

Nie uwierzył jej.

– Phousita! – zawołał błagalnie, głosem przesyconym zwątpieniem. – Przychodzisz i odchodzisz, odchodzisz, odchodzisz. Nie potrafię cię zatrzymać.

– Nie – zgodziła się. – I nie ma sensu próbować.

Byli tylko pozbawionymi ciała widmami, mglistym oparem miotanym przez wichry czasu, zbyt słabi w swoim człowieczeństwie, by chwycić się czegoś, co na tym świecie trwało.

– Ale będę za tobą podążać – obiecała. – Naprawdę.

Ucałowała go gorąco, namiętnie, i pozwoliła, żeby zniknął.

Zeszła ze skalnej półki, aby udać się na przechadzkę wśród drzew. Szorstka warstwa próchna masowała stopy, ciepła i pełna żyłatek. Ukłękła i zaczerpnęła jej pełną garść. Dmuchnęła, by

zmieść drobne śmieci, po czym przyglądała się chwilę pozostałym na dłoni, drobnym pełzającym stworom, które krzątały się wokół swoich spraw, bez reszty posłuszne instynktowi. Ona musiała działać wbrew instynktowi, wbrew zakodowanym w jej genach wzorcom. Sama musiała nakreślić swoją przyszłość. Czy to w ogóle jest możliwe?

Wpatrywała się w drobne żyjątka, z ich niezliczonymi nogami i nieskomplikowanymi żywotami i na próbę, niezobowiązująco, zaczęła snuć swoje zakłęcie. Robiła to odruchowo, bez udziału rozumu. Zakłęcie rodziło się gdzieś głęboko w trzewiach, kształtowane uczuciem, bez jakiegokolwiek planu. Bo i jak miałyby je planować? Nie wiedząc kiedy, ześliznęła się w głąb próchna, stała się jednym z robaków, ślepym i głuchym, żyjącym w mroku, przeżuwającym próchnicę oraz karmiącym się nieskomplikowanymi doświadczeniami, własnymi i swoich pobratymców.

Przetrawiając wspomnienia. Zakręciła jedwabną nicią zakłęcia i zaczęła oplatać nią swoje ciało tak długo, aż jedwabne opakowanie zamknęło ją w bezruchu. Stała się poczwarką, z zewnątrz nieruchomą, ukrytą w głębokim mroku. Ulegając zmianom.

Z poczwarki wylęgła się mała, brunatna ćma. Co sił w drobnym ciałku zaczęła przepychać się w górę, ku powierzchni leśnego podłoża, by tam otrząsnąwszy się z próchna, rozwinąć skrzydła.

Wtedy wzdrygnęła się. Wszystko dokoła było tak jasne, tak intensywne. W powietrzu rozmywał się zapach miłości, wspomnienie Sandora. Chwyliła go i wciągnęła w głąb siebie, czując, jak w zetknięciu z jej wnętrzem zapach pęcznieje i rozdyma się, wypełniając ją sobą, aż odniosła wrażenie, że zaraz eksploduje; rozległą równinę jej duszy zalało zimne światło księżyca, esencja straszliwego cierpienia, dotykając wszystkiego, co kiedykolwiek знаła, wszystkiego, czego doświadczała.

A potem, równie nagle jak się zaczęło, doznanie skończyło się.

Uniosła powieki, wciągnęła łapczywie powietrze. Jej dusza była małą, brunatną ćmą i wszystko dokoła stało się jaśniejsze, intensywniejsze. Wiedziała: tak musi być. Skoro wzniosła się ponad swoje doświadczenia, każde wrażenie zapadało w nią z siłą pierwszego razu. Lecz jaskrawe potoki doznań nie trwały wiecznie, spływały niczym deszcz ze skrzydeł ćmy, gromadząc się niżej, na pustynnej równinie jej duszy.

Wysoko nad powierzchnią ziemi jej skrzydła obeschły nagle w promieniach słońca. Stawała się coraz lżejsza, wznosiła się coraz wyżej. Nie miała już pana. Z pewnością nie był nim Leander

Bohr, chociaż stanowił teraz część jej jestestwa. I nie był nim Arif, ani stara kobieta, ani rajfurka, do której należała dawno temu. Ani nawet Sandor. Wszyscy byli daleko, w dole. Mogła ich tam zobaczyć, wyczuć smak, jaki każde z nich nadało jej życiu, ale żadne z nich nie mogło jej już zatrzymać. Była małą, brunatną ćmą, która wzniosła się tak wysoko, że nie potrafili jej dostrzec.

Była wolna.

ROZDZIAŁ 26

Funkcja biogenetyczna okazała się gigantycznym zbiornikiem informacji. Kirstin, obserwująca na pokładzie „Galapagos” pracę zespołu badawczego, który z mozołem przedzierał się przez zawilosci kodu, nie mogła odpędzić myśli, że równie dobrze mogli usiłować rozwikłać całą historię życia na Ziemi. A godziny mijały.

Nikommu nie pozwalano zejść ze służby, w pomieszczeniu krążyły niwelatory snu, posiłki serwowano na mostku. Praca trwała.

Z Domu Lata zaczęły napływać dziwaczne raporty. Rozproszone patrole donosiły o znikaniu żyjących w lasach zwierząt.

Drzewa zaczęły obumierać, światła przygasaly. Zniknęła też większość dorosłych mieszkańców Domu Lata, pozostawiając biegające po korytarzach, pozbawione nadzoru dzieci. Te zaś unikały kontaktu z policjantami, nie chciały z nimi rozmawiać. Były jak pozostawione w ulegającym degeneracji środowisku, dzikie zwierzątka, które odrzucają pomocną dłoń człowieka. Kilku oficerów próbowało złapać małych włóczęgów, ale dzieciaki umykały im z pola widzenia i znikaly. Po prostu znikaly. Niemożność wyjaśnienia tych zniknięć była trudna do zniesienia. Policjanci mogli to sobie wytłumaczyć; przekonać samych siebie, że dzieciom nie stało się nic złego, ale wątpliwości pozostawały. I w końcu patrole dały małym dzikusom spokój. Nikt nie chciał brać na swoje sumienie kolejnego zniknięcia.

Dom Lata kontynuował współpracę z policją, póki w swoich dociekaniach nie wkraczała na ścieżkę ostemplowaną hasłem „dostęp zastrzeżony”. Tyle że w miarę upływu czasu takich ścieżek stawało się coraz więcej i więcej, a wkrótce niemal nie było już innych.

Kirstin nie potrafiła sobie wyobrazić pomyślnego rozwiązania tej sytuacji.

Oglądała serwisy informacyjne spoza Zamku. Jak większość dużych korporacji, Dom Lata prowadził własny publiczny kanał informacyjny. On również został przejęty przez dzieci, które wypełniły program nie kończącym się ciągiem obrazów z przerażająco pustych korytarzy Domu. Nie było żadnej narracji. Nic tylko szereg ujęć milczących dzieci i zamierającego miasta, pozostawiający widza w zwątpieniu, zdumieniu i ponownym zwątpieniu. Niewidzialny reżyser spektakularnego upadku Domu Lata wyraźnie uwielbiał grać na ludzkich wątpliwościach.

Wiadomości ogólne upodobały sobie ten program. Powielały go w serwisach

ogólnodostępnych i zaopatrywały we własne komentarze – bezczelne spekulacje na temat roli policji w tym „incydencie”.

Incydent: to termin, jaki ukuto w mediach na określenie tajemniczego exodusu mieszkańców Domu Lata, równie niejasny jak samo wydarzenie, którego nikt spoza Domu nie potrafił racjonalnie wyjaśnić.

Kolejne serwisy zdobywały sobie coraz liczniejszą publiczność. Miliony ludzi w napięciu śledziło coraz bardziej sensacyjne spekulacje, które kierując się jakąś pokrętną logiką, w coraz większym stopniu obarczały winą policję, ogłaszając ją moralnie odpowiedzialną za rozgrywającą się na oczach całego świata katastrofę. Oglądając kolejne serwisy, Kirstin czuła, że jej akcje spadają. Nastroje antypolicyjne nie ominęły nawet Zamku, samego serca Wspólnoty. Ludzie bali się reakcji policji, bardziej niż dziwnych wydarzeń w Domu Lata. Nawet Kongres wystosował publicznie apel do policji o rozważne reagowanie, jak gdyby to siły policyjne, a nie Dom, były stroną podejrzaną. Był to kawałek mistrzowskiej propagandy, utkany czyjąś niewidzialną ręką. I to niepokoiło Kirstin. Czy kiedy nadejdzie czas, by spełniła swój obowiązek i stanęła w obronie Wspólnoty, nie okaże się, że ma związane ręce?

Po trzydziestu godzinach dochodzenia, spędzonych na takich i innych rozmyślaniach, Kirstin znajdowała się na mostku „Galapagos”, ustalając z dowódcą statku strategię dalszego postępowania. Otaczał ich zespół dwudziestu badaczy, pracujących bez wytchnienia przy trzech rzędach konsol, którymi zabudowane było podium dowódcy. Nagle nad wypełniający pomieszczenie ogólny szmer głosów, wzbil się jeden, triumfujący:

– Mamy twoją nemezis, szefowo!

Na mostku natychmiast zapanowała cisza. Kirstin uniosła spojrzenie, odszukując wzrokiem autora okrzyku.

– Co za nemezis? – warknęła.

– Nikko Jiang-Tibayana – obwieścił mężczyzna. – To ten, od którego się wszystko zaczęło.

Nikko? Kirstin wyprostowała się i ledwie ważąc się oddychać, podeszła do konsoli.

– Znaleźliście go? – Spojrzała na ekran, ale ujrzała jedynie długi łańcuch kodu genetycznego.

– Aha, to on – odparł policjant. – To kod genetyczny emalii na jego pancerzu, lub przynajmniej jego główna część. Jak tylko rozszyfrujemy znaczniki końca, będziemy w stanie wyłowić całą sekwencję i odtworzyć jej skład. Dostaliśmy go.

Odwróciła się, czując ciężącą w piersiach bryłę lodu. Nie zawracała sobie głowy

tłumaczeniem oficerowi, że Nikko nie żyje, trafiony dzień wcześniej rakieta wystrzeloną z pokładu „Galapagos”, że znalezione fragmenty kodu opisują trupa, a tym, kogo naprawdę chciałaby dostać, jest rudowłosy autor tego opisu. Nie, nie zwracała sobie tym głowy. Niecałą godzinę temu Kongres rozpoczął swoje codzienne posiedzenie, więc skoro ten głupiec nie potrafi dostarczyć jej Foxa, wykorzysta jego „sukces” do zamydlenia oczu kongresmenom.

– Za pięć minut ma być gotowy raport dla Kongresu – poleciła. – Przesłać go mojemu mułowi na Zamku.

Po powrocie na podium przywitało ją uważne spojrzenie dowódcy statku, Beryl.

– Co planujesz Kirstin?

– Właśnie udowodniliśmy, że Dom Lata używa funkcji biogenetycznej jako płaszczyka dla ukrywania nielegalnych danych.

Mam zamiar wystąpić do Kongresu o zgodę na zniszczenie funkcji. W ten sposób albo wykurzę Radę Nadzorczą z ukrycia, albo zmuszę ich do jawnego przeciwstawienia się.

Tak czy siak, ten krok powinien przynieść jakieś rozstrzygnięcie.

Odpowiedź Kongresu nadeszła w dwadzieścia minut później w formie rozkazu przystąpienia do akcji. Kirstin przeczytała go ze zmarszczonymi brwiami, po czym otworzyła kanał łączności z urzędującym prezydentem Domu. Na ekranie konsoli pojawił się żujący gumę małolat. Na jego biurku leżała już kopia rozkazu.

– Idziemy tam – poinformowała go Kirstin.

Sądząc po zimnym refleksie w jego twarzy, bachor zaczął traktować policję bardziej serio. Strzelił balona, a jego spojrzenie rozbłysło takim ładunkiem gniewu, jaki potrafi z siebie wykrzesać tylko dorastający młodzieniec.

– Nic nam nie możecie zrobić – powiedział.

Kirstin stłumiła w sobie chęć wygłoszenia ciętej riposty, pamiętając, że nie ma przed sobą żadnego z przedstawicieli Domu Lata. Jej rozmówcą był tylko głupi dzieciak, posadzony przed kamerą wyłącznie po to, żeby ją irytować. Równie dobrze mogłaby podjąć dyskusję z jego biurkiem.

– Idziemy tam – powtórzyła, wypełniając nakazany prawem obowiązek powiadomienia go.

Odpowiedział jej wzruszeniem ramion.

– No to chodźcie. Nie będziemy was powstrzymywać. I tak nic nam nie możecie zrobić. Nie dobierzecie się do funkcji biogenetycznej. Niezle się ubawimy, patrząc, jak będziecie próbować.

Guma wydeła się w balon i pękła. Małolat posłał Kirstin spojrzenie fanatycznego rebelianta i przerwał połączenie.

Na mostku wybuchło nagłe zamieszanie. Kirstin obróciła się, spostrzegając, że kilku członków zespołu badawczego zerwało się na równe nogi. Pozostali młócili pięściami w konsole.

– Zgubiliśmy ją! – krzyknął któryś. Jego głos wybił się czystą nutą ponad ogólną kakofonię dźwięków.

– Cisza! – szczerknęła ostro Kirstin. Umundurowana na czarno hałastrą posłusznie zamarła, ale z oczu nadal wyczierała im furia. Naczelnik policji skinęła na starszego oficera.

– Meldować.

– Zgubiliśmy funkcję biogenetyczną – rzekł. – Zniknęła ze splotu Domu Lata. Po prostu zniknęła, jak wszystko inne w tym cholernym domu strachów.

– Na Miłość i Naturę! – zakłęła pod nosem Kirstin. – Dlaczego posunęli się tak daleko? Czy myśleli, że nie zareagujemy?

Oficer chrząknął, wyrażając tym swoją pogardę.

– A czego mieli się obawiać? – zapytał sucho. – Nasze struktory szturmowe posłużyły im za przekąskę, jak kawior. Dysponują wystarczającym arsenałem molekularnym, żeby podjąć walkę.

Gapiała się przed siebie, usiłując zebrać myśli. Sytuacja wymknęła się spod kontroli, możliwości zaczynały się kurczyć.

ROZDZIAŁ 27

Umysł Sandora budził się stopniowo, poczynając od uświadomienia sobie prostego faktu istnienia, a kończąc na przytomnym postrzeganiu otoczenia. Tuż przed oczami, nie dalej jak kilka centymetrów, miał zakrzywioną powierzchnię ściany bąbla transportowego. Gapił się na nią zakłopotany. W jaki sposób się tutaj znalazł?

Uniósł głowę i rozejrzał się. To był duży bąbel, miał co najmniej cztery metry średnicy. Sandor leżał wyciągnięty na podłodze. Obok, ze skrzyżowanymi nogami siedział Fox. W oczach starego człowieka lśniły łzy.

Sandor wlepił w niego spojrzenie. Nie potrafiłby powiedzieć, czy jest zaskoczony widokiem Foxa. W każdym razie nie powinien być. Phousita powiedziała, że w Domu Lata czekają na jego powrót. Mimo to, gdzieś w głębi duszy, tkwiło irracjonalne zdumienie. Emocjonalne rozchwianie. Być może wynikające z braku poczucia rzeczywistości.

– Fox! – wypalił, siadając. – Nigdy nie myślałem, że... że...

Słowa zawiodły go, więc zwyczajnie rozłożył ramiona i obaj z Foxem padli sobie w objęcia.

– Fox, z tego wszystkiego zupełnie straciłem poczucie rzeczywistości. Tak się cieszę, że jestem w domu.

Wydawało się, że starzec zeszywniał nieco na te słowa. Zaraz potem Fox czule pogłaskał syna po głowie. Dopiero teraz Sandor uświadomił sobie, że zapomnieli wyhodować mu włosy. Jego głowa była łyśa jak księżyc. Podobnie jak reszta ciała, gładka, bez cienia zarostu. Pozbawione paznokci palce u rąk i nóg przywodziły na myśl różowe kikuty.

– Wyrosną w swoim czasie – zapewnił go Fox. – O, popatrz. – Ponownie przejechał dłonią po łysej czaszce Sandora. – Można już wyczuć załączki.

– Gdzie jest Phousita?

Chwilowy dobry nastrój Foxa przysł.

– W pobliżu.

– Cała i zdrowa?

Obejmujące Sandora ramiona Foxa opadły. Mężczyzna cofnął się nieco.

– Niezupełnie. Jest nieprzytomna. Ona.. – Przerwał z nieszczęśliwą miną. – Prawda jest taka, że Phousita zapadła w śpiączkę. To trwa od chwili, kiedy przesłała twój wzorzec. Nie wiem,

dlaczego.

– Ale ja wiem. Gdzie ona jest, tato?

– Niedaleko.

– Już to mówiłeś. Co się tutaj dzieje? Dlaczego jesteśmy w bąblu transportowym?

Fox westchnął.

– No więc, jest tutaj policja. Ukrywamy się. Dom się zbuntował.

– Co takiego?!

– Tak. Policja podejrzewała, że wzorzec Nikko jest elementem funkcji biogenetycznej.

Zaczęli go szukać i w końcu znaleźli.

Oczywiście, wiedzieliśmy, że jeśli naprawdę się uprą, to może im się udać.

– Wymazali go?

– Chcieli wymazać cały projekt.

– O!

– Chyba rozumiesz, że nie mogliśmy im na to pozwolić.

– Nie?

– Podjęto pewne decyzje. Ludzie wyrazili zgodę.

– Nie rozumiem. O czym ty mówisz, Fox?

Fox na moment zapatrzył się w bok. Wydawał się trochę zaniepokojony, a trochę zadowolony, jak mąż wobec zaczynającego się porodu żony.

– Wiedzieliśmy, że prędzej czy później do tego dojdzie.

Stało się nieco wcześniej, niż przewidywaliśmy, ale jesteśmy gotowi.

Po krótkiej pauzie wyjaśnił:

– Sandor, Dom się rozpada. Na tym polega rola funkcji biogenetycznej. W tej chwili Dom jest w fazie absorbowania wszystkich wewnętrznych struktur. Po jej zakończeniu rozpadnie się na tysiące propagul, małych nośników życia, z których każdy będzie zdolny odrodzić Dom Lata, o ile napotka odpowiednie warunki.

Sandor zamrugał, oszołomiony. Fox nigdy przedtem nie mówił o tym projekcie.

– A ludzie? – zapytał, zbyt skołowany, by poddawać słowa ojca w jakąkolwiek wątpliwość.

Fox skinął z uśmiechem.

– Większości mieszkańców nie zachwyciłoby zredukowanie do postaci czystego kodu. Sam przez to przeszedłeś. Sądzę, że to bardzo deprymujące uczucie.

Sandor wzruszył ramionami. W postaci cielesnej również nie czuł się najlepiej.

– W każdym razie takie są generalne odczucia. Tak więc większość z nas będzie mieszkała w tkance co większych propagul. – Uśmiechnął się szeroko. – Jak legendarne homunculusy, ukryte w jajnikach płodnej kobiety.

Sandor popatrzył na niego bez wyrazu.

– Cóż – stwierdził Fox z rezygnacją – nigdy nie przepadałeś za biologią. W każdym razie będzie nas zbyt wielu, policja nie będzie w stanie wyłapać wszystkich i zachować status quo. Na tym polega całe piękno tego pomysłu. – Jego oczy błyszczały, kiedy to mówił, jednak szybko się opanował. – Niemniej gliny depczą nam po piętach. Jeżeli ta Kirstin Adair zwącha, co się święci, gotowa zakończyć wszystko jedną rakieta.

– Spotkałem ją – rzekł Sandor. Na chwilę zapadło milczenie. Wreszcie Sandor zdecydował się spytać:

– Wziąłeś od Phousity struktor Bohra?

Fox wzruszył ramionami.

– Nie potrzebujemy go. Dom może działać więcej, niż Bohr kiedykolwiek potrafił sobie wyobrazić. Dużo więcej.

Sandor spojrzał na ojca z pewną dozą podejrzliwości. Zawziętość, z jaką gliny usiłowały wytropić struktor Bohra sugerowała jego niepospolite znaczenie. Tymczasem Fox zbywa to cudo jednym wzruszeniem ramion.

– Nie, nie podważam jego znaczenia – wyjaśnił starzec, kiedy został mocniej przyciśnięty. – Z tego, co o nim słyszałem, struktor Bohra jest zadziwiającym urządzeniem. Ale, widzisz, Dom Lata to zupełnie inne rozwiązanie podobnego problemu: jak ujarzmić i wykorzystać ogromny potencjał technologii molekularnej? Dom to rozwiązanie zewnętrzne. Może być używany przez dużą liczbę osobników jako dodatkowy organ zewnętrzny, obdarzony ogromną mocą obliczeniową i stwórczą, który z racji swoich olbrzymich rozmiarów i złożoności potrafi dojrzałe dysponować bogatymi zasobami, jakie posiada. Dlatego rozwiązanie takie jak Dom Lata zawsze będzie nadrzędne wobec urządzenia wewnętrznego, takiego jak struktor Bohra, którego zdolności obliczeniowe i stwórcze będą ograniczone znikomością zasobów ludzkiego ciała.

– Kosztem ograniczenia wolności jednostki – zauważył Sandor.

– Tak. To prawda. Jestem konserwatystą. Nie mam nic przeciwko ograniczeniom, jeżeli sam je sobie nakładam. I pod tym względem jestem typowym członkiem tutejszej społeczności.

– Phousita chciałyby wrócić na Ziemię.

– Naprawdę? – Fox wydawał się lekko zdziwiony. Nigdy nie rozumiał ludzi, którzy tego pragnęli.

– Możliwe, że zechce zabrać struktora Bohra ze sobą.

– Tak. Sądzę, że zechce.

Sandor niemal czuł bijące z głowy Foxa gorąco, kiedy jego mózg przeżuwał nową informację.

– Nie będziesz jej tego utrudniał, prawda? – naciskał Sandor. – Nie jesteś po stronie policji?

Fox wydawał się wstrząśnięty.

– Nie. Jasne, że nie. Może zrobić ze struktorem co zechce.

Jej sprawa. To może nawet okazać się korzystne... – Zamilkł, jego policzki oblały się rumieńcem.

– Co, tato?

– Czasami mam wrażenie, że rozwiązałem w życiu zbyt wiele równań – rzekł. – Cokolwiek wpływa do mojego mózgu, opuszcza go, sprowadzone do kategorii zysków lub strat. Nie chciałem tak tego potraktować, to stało się samo. Ale powiem o co mi chodzi. Jest szansa, iż udając się ze struktorem na Ziemię, Phousita odciągnie od nas uwagę policji. Jeżeli uda jej się uniknąć uwięzienia i pozostać przy życiu, status quo ulegnie zmianie.

Każdy nowy Dom, który rozwinie się z którejś z propagul, okaże się beznadziejnie konserwatywny wobec społeczeństwa, które zostanie po niej.

– A więc pomożesz jej?

– Omówię to z resztą Rady – odparł Fox.

Sandor spojrzał na niego spode łba. To była typowa odpowiedź Foxa.

– Przekonanie ich nie powinno stanowić problemu – próbował bronić się Fox. – Zakładając oczywiście, że którykolwiek z nich żyje.

Milczeli chwilę. Wreszcie Sandor zapytał ostrożnie:

– Tato? Nikko nie wiedział o tych planach więcej niż ja, prawda?

Przez kilka długich sekund Fox wpatrywał się w swoje dłonie.

– Utrzymanie tajemnicy było takie ważne – mruknął. – Jeszcze kilka dni temu o projekcie wiedziała ledwie garstka osób.

– Gdybyś wprowadził Nikko w swoje plany, nigdy nie próbowałby zdobyć struktora. Ale ty

mu nie ufałeś, prawda?

– Nikko chodził własnymi ścieżkami. Ja... – Głos mu się załamał. Dłońmi o palcach napiętych jak szpony podtrzymał chwiejącą się głowę. – To by niczego nie zmieniło – wymamrotał. – Nikko i tak próbowaliby zdobyć struktor Bohra. Chciał żyć. Nie chciał istnieć sprowadzony do kodu. Sięgnął po struktor i... zmusił nas do działania.

Sandor nie potrafił wykrzesać z siebie gniewu. Awanturniczy charakter brata drogo go kosztował. Jednak to dzięki niemu spotkał Phousitę.

– Gdzie ona jest? – zapytał Foxa.

Stary człowiek pokiwał głową. Było mu ciężko na duszy, jak gdyby przeczuwał, że wkrótce znowu utraci swoje młodsze dziecko.

– Zaprowadzę cię do niej.

Jak powiedział Fox, Phousita leżała wyciągnięta na podłodze bąbla transportowego, pogrążona w stanie śpiączki. Sandor tak długo całował ją i wołał jej imię, aż na ustach dziewczyny pojawił się błydy uśmiech. W chwilę potem jej powieki zatrzepotały i uniosły się.

Phousita wyprostowała się i rozejrzała, stwierdzając, że znajduje się w jednym z tych dużych bąbli transportowych, dostatecznie wysokich, by pomieścić stojącego człowieka i dostatecznie długich, by wykonać w nich pięć, sześć kroków. Sandor wpatrywał się w nią pytająco. Odwróciła dłonie wnętrzem do góry i wzruszyła ramionami.

– Miałaś rację – rzekła. – Nauczyłam się, jak żyć dalej.

Gruczoły na jej dłoniach lśniły zimno w błękitnej poświacie.

Wyciągnęła ramię, aby dotknąć twarzy Sandora, rozkoszując się jego fizyczną obecnością. Nie wszystko zostawiła za sobą.

Przycisnął jej dłoń do swojego policzka.

– Słyszałem, że długo byłaś po tamtej stronie. Cieszę się, że wróciłaś.

– To było trudne. Sandor? Chcę wrócić do domu.

– Wiem. Mówiłem Foxowi. Dom ci pomoże. – Ucałował jej dłoń. – Idę z tobą.

Uśmiechnęła się. Spodziewała się tego, ale zawsze miło było usłyszeć potwierdzenie.

– Zwiedziłam sobie Dom.

– Więc wiesz, że zamierza się podzielić. Trudno mi w to uwierzyć. Fox nigdy nawet nie wspomniał, że coś takiego jest możliwe. Wiedziałem, że funkcja biogenetyczna służy odtworzeniu Domu, ale nie sądziłem... Cóż, to mój dom. To był mój dom, bo teraz rozpada się na

kawałki. Trudno mi o tym myśleć bez zawrotów głowy. Mam wrażenie, jakbym trafił do zaczarowanej krainy fantazji. Chwilami zastanawiam się, czy cokolwiek z tego dzieje się naprawdę.

Zamknęła oczy i westchnęła. Sama czuła namacalną obecność każdej molekuly przenikającej jej ciało. Czasami świat wydawał jej się aż nazbyt realny.

– Zabawne – kontynuował Sandor – że nie czuję lęku.

Wszystko dzieje się niezależnie od nas. Nie pozostaje nam nic innego, jak dać się ponieść biegowi zdarzeń. Żałuję tylko, że nie ma tutaj Nikko.

ROZDZIAŁ 28

– Tam dzieje się coś naprawdę poważnego.

Kirstin stała na mostku „Galapagos”, studiując twarz składającego raport młodego oficera. Wrócił właśnie z terenu miasta – lub tego co z niego zostało – a w jego oczach widniał strach.

– Dom ulega jakiemuś rozkładowi. Lasy umierają. Różne rzeczy po prostu... znikają! Żywe istoty wtapiają się w ściany. – Strach rozszerzył mu oczy. – Nawet ludzie. Spotkaliśmy gromadkę dzieci, próbowaliśmy nakłonić je, żeby poszły z nami, ale uciekły. Wiem, że powinniśmy zostawić je w spokoju, ale... tam wszystko się rozpadało! Puściliśmy się w pogoń. Dzieciaki nie miały żadnych szans. Kiedy to zrozumiały, po prostu weszły w ścianę i zniknęły.

Potrząsnął głową, uśmiechając się z niedowierzaniem.

– Nie pojawiły się z powrotem. Ściana w tym miejscu zamknęła się i stwardniała. A potem korytarz zaczął się zwężać.

Ściany napierały na nas ze wszystkich stron. Rzuciliśmy się do ucieczki. Biegliśmy. A korytarz zamykał się za naszymi plecami.

Wszystko dokoła zmieniło się. Przejścia, które jeszcze kilka sekund temu łączyły różne rejony Domu, przestały istnieć. Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy, ani dokąd zmierzamy. Było jasne, że jesteśmy celowo prowadzeni, bez możliwości zmiany kierunku, bez odwrotu, aż w końcu dotarliśmy do wielkiej groty, wysokiej na jakieś pół kilometra, ale nie szerszej niż sto metrów. Tam spotkaliśmy pozostałe patrole. Ich historie były podobne do naszej.

Razem ruszyliśmy w głąb groty. Co kilka minut podłogę przebiegało drzenie. Pojawiło się paru cywilów, byli oszołomieni i zaleknieni. Żaden z nich nie był członkiem korporacji. Wszyscy mieli wizy. Wzięliśmy ich pod ochronę. Nie żebyśmy byli w stanie przeciwstawić się potędze tego miejsca. W każdej chwili ściany wokół nas mogły zamknąć się i zgnieść nas jak muchy. Dom pozwolił nam odejść, jestem o tym przekonany. Po prostu zostaliśmy wyrzuceni.

W końcu dotarliśmy do windy. Była to pierwsza od wielu godzin znana rzecz, jaką spotkaliśmy. I, dzięki Świętej Matce, winda była na chodzie. Bez przeszkód dotarliśmy w górę łącznika.

Oddech policjanta stał się ciężki, chrapliwy. Zamilkł na chwilę, z wysiłkiem odzyskując spokój. Kiedy ponownie podjął meldunek, jego wzrok spoczywał na Kirstin.

– Nie wiem, czy możemy tam wracać. To miejsce nie życzy sobie naszej obecności. Przypomina rozdrażnioną bestię, która wymknęła się spod kontroli.

Kirstin wycofała się na godzinę do niewielkiej kabiny, jaką zajmowała na pokładzie „Galapagos”. Zgasła światło i zasiadła w ciemnościach, rozważając warianty dalszej kariery. Czekał ją niechybny koniec, jeśli nie uda jej się pomyślnie rozwiązać sytuacji w Domu Lata. Ciarki przeszły ją na myśl o politycznych konsekwencjach ewentualnego użycia, wchodzących w skład uzbrojenia krążownika, głowic nuklearnych. Niemniej, w razie konieczności była do tego uprawniona.

W serwisach informacyjnych nadal pokazywano nie kończące się ujęcia z Domu Lata, lecz teraz obrazy zdawały się pochodzić: kamer automatycznych. Oglądała je jakiś czas, próbując zrozumieć, co tam się właściwie dzieje. Dlaczego Dom zareagował tak gwałtownie, skoro w przestępstwo wplątanych było tylko kilku, niechby i bardzo wpływowych, obywateli korporacji? W Domu ta panowała wzorcowa demokracja. To nie miało sensu.

Chyba że... Czy to możliwe, że któreś z jej założeń jest błędne?

Serce zabiło jej żywiej. Podsumujmy fakty... Przybyła tutaj w pogoni za struktorem Bohra. Wymykał jej się od miesięcy, w końcu dopadła go rakieta „Galapagos” i struktor zginął w powodzi ognia, większej niż ta, która pochłonęła Leandera... a w każdym razie tak ją poinformowano. Nie sprawdzała zapisów Osobiście. Być może nadszedł czas, żeby to zrobić.

Przywołała wideo i rzuciła na ścianę zapis całej akcji, krzywiąc się na niską jakość obrazu. W momencie wystrzelenia pocisku, krążownik policyjny dzieliło od absurdalnie małego stateczku blisko sto kilometrów. Powiększenie sprawiło, że obraz uległ nieznacznemu rozmyciu. W dodatku pasażerowie znajdowali się w cieniu. Mimo to zdołała rozróżnić unoszące się na końcu liny zabezpieczającej dwie małe figurki. Nie miała też problemów z rozpoznaniem charakterystycznej pajęcznej sylwetki Nikko.

„Galapagos” wystrzelił pocisk. Rakieta mknęła tak szybko, że niemal nie dało się nadażyć za nią wzrokiem. A jednak Nikko wiedział, że się zbliża. Kirstin widziała, jak skoczył w kierunku dziobu, odczepił linę z towarzyszymi i cisnął ich w stronę stacji.

Sam skoczył w ślad za nimi.

W sekundę potem rakieta doszła celu i statek wyparował w spektakularnej kuli ognia, ale pasażerowie byli już daleko.

Spadając ku stacji, wkrótce znaleźli się poza kadrem.

Nie mogła stwierdzić z całą pewnością, że udało im się dotrzeć do celu, lecz to, co widziała, wystarczyło, by przeszył ją dreszcz przerażenia. W nagłym olśnieniu ujrzała wizję struktora Bohra, który osiedla się w sterującej Domem Lata organicznej sieci neuronowej. Skoro z prostolinijnej dziwki potrafił uczynić sprytną wiedźmę, grającą na nosie całej usiłującej ją pochwycić policji Wspólnoty, to czego gotów jest dokonać, kiedy dostanie do swojej dyspozycji sieć neuronową o nieporównywalnie większych rozmiarach i stopniu złożoności, taką, jaka steruje fizjologią Domu Lata? Doprawdy trudno o lepsze wyjaśnienie katastrofalnego rozkładu, jaki nagle dotknął tę znakomicie prosperującą jednostkę korporacji.

Ale czy jej domysły były zgodne z prawdą?

Możliwe, że nigdy się tego nie dowie. Dotychczasowe wysiłki zespołu, próbującego przełamać kordon obronny struktorów chroniących niektóre rejony Domu Lata spełzły na niczym. Nie umiała skutecznie ocenić sytuacji, ale już sama możliwość, że struktor Bohra opanował sieć neuronową Domu Lata, wystarczyła, żeby wywołać instynktowne przerażenie.

Jej myśli zwróciły się ku pozostałym w arsenale „Galapagos” rakietom jądrowym. Nagła eksplozja jądrowa w Domu Lata spowodowałaby taką lawinę domysłów i plotek, że nikt, absolutnie nikt, nie wyłowiłby z tego prawdy.

„Sterylizacja” to słowo rzadko pojawiające się w wypowiedziach policji. Źle brzmi w uszach cywilów, lecz naczelnik policji rozumiała, że w pewnych sytuacjach sterylizacja to środek niezbędny.

Jeszcze raz obejrzała zapis wideo, z niechętnym podziwem obserwując Nikko, który z całą świadomością zanurkował w otchłań kosmosu. Któż inny niż Nikko potrafiłby pociągnąć za sobą na stos dziesięć tysięcy niewinnych istnień ludzkich?

Ale gra jeszcze się nie skończyła. Kirstin mogła wykonać swój ruch, jeszcze był na to czas. Mogła przekonać niektórych mieszkańców Domu, aby pod groźbą ataku policji porzucili swoje straceńcze przedsięwzięcie. Mogła przynajmniej spróbować. Taki pokaz wielkoduszności w ekstremalnej sytuacji powinien przedstawić ją w korzystnym świetle. Kongres z pewnością zarządzi dochodzenie, zatem będzie dobrze, jeśli potrafi wykazać, że zrobiła wszystko, co mogła, aby uchronić życie mieszkańców Domu Lata, że to oni sami wybrali swój los.

Wezwała do siebie dowódcę krążownika. Beryl przybyła niezwłocznie, sprawiając wrażenie zmęczonej, zmartwionej i starszej niż wypada obywatelowi Wspólnoty. Jeszcze kilkanaście minut temu to samo można było powiedzieć o Kirstin. Teraz, kiedy rozpoznała sytuację, ze

zdwojoną energią wzięła się do pracy.

Myślami wybiegała już kilka godzin naprzód.

– Odwołaj wszystkich członków załogi, którzy są jeszcze na terenie miasta – poleciła. – Za pół godziny „Galapagos” opuści doki. Zabierzesz statek na odległość co najmniej stu kilometrów od stacji i tam zaczekasz, z całym kompletem rakiet gotowych do strzału.

– Dowiedziałaś się czegoś? – spytała Beryl, nadając twarzy wyraz wystudiowanej obojętności. Jednak Kirstin niemal czuła bijącą od niej woń strachu.

– Mam dowody, że struktor Bohra opanował sieć neuronową Domu.

W rzeczywistości jej „dowody” były jedynie czystą spekulacją, ale musiała być pewna, że w decydującym momencie Beryl nie zawaha się. W końcu nie każdego dnia komandor policji dostaje rozkaz zniszczenia całego miasta.

Wieloletnia przyjaciółka natychmiast zrozumiała w czym rzecz.

– Jeżeli rozważasz sterylizację, musimy wystąpić o zgodę Kongresu – powiedziała.

– Już to zrobiłam, nieoficjalnie. Odpowiedź była przychylna, ale wiesz jak wolno pracuje komitet. Sytuacja może zmusić nas do działania, zanim nadejdzie oficjalna odpowiedź. Może zabraknąć czasu.

Nikt nie znał komitetu lepiej niż Kirstin. Reprezentanci Kongresu nie mieli dość ikry, żeby zarządzić niezbędne posunięcia.

Co innego, kiedy zostaną postawieni przed faktem dokonanym.

Gdy sprawa zostaje załatwiona i nie ma już powodu do obaw, wtedy komitet staje się otwarty na współpracę. Podtrzymywanie dobrego imienia Sił Policyjnych Wspólnoty leży w jego interesie.

Ale komendant statku nadal nie była przekonana.

Kirstin nachyliła się w jej kierunku.

– Nawet jeżeli oficjalna zgoda nie nadejdzie na czas, pamiętaj, że w pierwszym rządzie ślubowałyśmy chronić Wspólnotę, a dopiero potem trzymać się litery prawa. Jeżeli tak jak ja jesteś przekonana, że postępujesz słusznie, powinnaś bez wahania ryzykować naganę w imię racji stanu. – Przez moment myślała, że posunęła się za daleko. Jednak okoliczności wymagały mocnych argumentów.

– W porządku – powoli odpowiedziała Beryl. – Skoro ty cały czas będziesz ze mną... To ty wydasz rozkaz.

Kirstin poczęstowała ją czarująco uległym uśmiechem.

– Ja wydam rozkaz – zgodziła się. – Ale nie będzie mnie z tobą. Wybieram się na dół zobaczyć, czy nie uda się namówić paru mieszkańców do opuszczenia miasta. Będziemy przeciągać sprawę tak długo, jak się da. W końcu w grę wchodzi życie tysięcy ludzi.

Beryl zmarszczyła z powątpiewaniem brwi.

– Przecież już próbowaliśmy perswazji. Nie było żadnej reakcji. Możesz zostać tam uwięziona.

Kirstin wzruszyła ramionami.

– To ciało zastępcze. Zostanę tam do chwili, kiedy będziemy musieli wystrzelić pociski. Wtedy prześlę na zewnątrz swoje widmo.

Przyjaciółka skinęła powoli.

– Niech będzie, jak chcesz, Kirstin. Ale... Cholera, źle się to wszystko kończy!

ROZDZIAŁ 29

Gdyby ktoś zapytał Nikko, jak długo trwa w stanie uśpienia, nie potrafiłby odpowiedzieć, ale uwierzyłby nawet w to, że na świecie minęły stulecia. Dom odżywiało jego ciało, które powoli, częściowo wracało do zdrowia. W rozciągającym się dokoła mroku wyczuwał ulotną obecność Phousity, nie więcej niż subtelny prąd świadomości. Śnił mu się Sandor. Palce, dłonie i ramiona zdawały się odzyskiwać utraconą sprawność. Chyba, że to również był tylko sen.

Potem wokół niego następowały zmiany. Jego ciało drgnęło, targane niewidzialnym prądem i popłynęło w mrok. Od czasu do czasu mijał jakieś światła: mgliste plamki błękitu, zbyt oddalone, żeby je dosięgnąć.

Wreszcie, daleko w przędzie, ciemność zaczęła się rozpraszać.

Czerń przeistoczyła się w gęstą szarość, która niespodziewanie ustąpiła miejsca jaskrawej bieli. Nicość pod jego stopami ścięła się w twardey grunt, niewidzialny prąd porzucił go i wycofał się.

Kiszer zadrżał i oderwał się od jego twarzy. Na skórze poczuł delikatne muśnięcie powietrza. Wciągnął je w płuca: było lodowate i przeraźliwie rzadkie. Zaraz potem ogarnęło go przekonanie, że coś tu nie gra.

Spróbował spojrzeć. Światło raniło jego przywykłe do ciemności oczy. Mrugając powiekami, usiłował zbadać otoczenie.

To, co ujrzał, wprowadziło go w zdumienie. Znajdował się w rozległym, całkowicie pustym hallu. Najbliższe ściany wznosiły się co najmniej pięćdziesiąt metrów od niego, pnąc się pionowo w górę, aby wysoko nad głową wygiąć się w łuk i uformować półkoliste sklepienie. Nikko wątpił, by nawet w niskiej grawitacji Domu Lata zdołał dosięgnąć piłką zawrotnie odległego stropu.

Gigantyczne ściany biegły równolegle do siebie i nie sposób było dostrzec ich końca. Daleko w przędzie i w tyle hali łagodnie zakręcał.

Powierzchnia ścian miała kolor podbarwionego brązem mięsa, pociętego żyłkami czerni. Wnętrze hallu rozjaśniały jarzące się wysoko w górze prostokątne płytki. Oczy Nikko zdążyły się już przystosować i okazało się, że rzekoma jasność była złudzeniem wywołanym przez kontrast z głębokim mrokiem, z którego się wynurzył. Hali był słabo oświetlony, w dodatku z każdą

minutą światło zdawało się jeszcze przygasać.

Zza ramienia wysunęła mu się kamera, sumiennie rejestrując tę scenę. Nikko wlepił w nią nieprzytomne spojrzenie, podczas gdy serce biło mu w piersi na trwogę. W tym hallu było coś znajomego.

Wtedy przypomniał sobie. To było ledwie parę dni temu.

W gabinecie Foxa widział symulację holograficzną. Dom Lata wchłaniał swoje wewnętrzne struktury, dzieląc się na setki odrębnych komórek, połączonych jedynie tymczasowymi kanałami.

Wyglądało na to, że znalazł się w samym sercu tej symulacji.

Tyle że to, co widział, działo się naprawdę. Gigantyczny hali był jednym z kanałów łączących nowo powstałe komórki. Niewykluczone, że kiedy proces dobiegnie końca, przestronna jaskinia otworzy się w próżnię.

Obrócił się i rzucił na ścianę, z której dopiero co wyszedł. Nie była już miękka ani giętka. Odchyłona do tyłu kamera chłodno obserwowała jego palce, które w panice drapały błyskawicznie twardniejącą powierzchnię. Rąbnął pięścią w ścianę, zostawiając niewielkie wgłębienie.

– Weź mnie z powrotem! – zawył. – Weź mnie z powrotem.

Przestraszył się zwielokrotnionego echa swojego głosu.

– Fox! – załkał. – Posłuchaj mnie.

Lecz jak Fox miałby go usłyszeć? Nikko nie miał atrium. Jego głos nie mógł wydostać się poza te ściany.

Zwiesił ciężko ramiona. Bez atrium stał się niewidzialny, Dom Lata nie potrafił go rozpoznać. A skoro nie wiedział o nim Dom Lata, tym bardziej nie mógł dowiedzieć się Fox...

Zalało go poczucie wyobcowania. Miał wrażenie, że wszechświat wypluł go ze swych granic i zamknął w jakimś przerażającym odosobnieniu.

W pole widzenia wdarła się dryfująca leniwie kamera. Wlepił w nią spojrzenie. Soczewki kamery skupiły się na nim. Sztuczna Inteligencja musiała poczuć się znużona filmowaniem pogrążającego się w mroku hallu. Gapił się na nią, czując jak wzbiera w nim lodowata wściekłość. Zaciśnął nerwowo dłonie, błękitne palce bębniły z furją o udo, podczas gdy zwalczał w sobie irracjonalną chęć chwycenia węża kamery i oderwania go od reszty ciała, ciśnięcia go precz!

Nagle, jego dłonie uspokoiły się.

Kamera. Czy kamera mogłaby przesłać transmisję do splotu Domu Lata?... O ile splot nadal istnieje... I porozumieć się z Foxem?

Sięgnął do tabliczki na piersi. Nie mógł przypomnieć sobie adresu Foxa, który zniknął razem z atrium. Mniejsza o to. Nadał transmisji kod alarmowy, przekaz ciągły. Kamera zawisła na wprost jego twarzy, przekazując obraz każdemu, kto zechce go odebrać.

– Fox – powiedział. – To ja, Nikko.

Wielki hali zatrzęsł się nagle. Podłoga wybrzuszyła się pod jego stopami, rzucając go na czworaki. Jęknęły ściany. Grunt obniżył się, a może to urosły ściany, nie potrafił powiedzieć.

Wyniosły strop jeszcze się oddalił.

Wygląd ścian również uległ zmianie. Czarne smugi zdawały się rozlewać szerzej. Nikko dotknął jednej z nich. Była gładka i bardzo, bardzo twarda.

Podczas symulacji zakończenie procesu podziału zajęło Domowi ledwie kilka sekund. W rzeczywistości powinno potrwać dłużej. Tylko ile? Zapewne rozpad nastąpi wkrótce po tym, jak ściany staną się zupełnie czarne.

Zatrwożona Phousita otworzyła oczy.

– Nikko? – szepnęła.

Sandor wpatrywał się w nią rozszerzonymi ze zdumienia oczami. On również odebrał przekaz brata.

– To musi być jakaś lipa! – syknął. Jego spojrzenie stało się nieobecne, kiedy ponownie spojrzał w głąb siebie, na wizerunek Nikko. – Gliny wymyśliły jakąś sztuczkę, żeby nas wywabić.

Ale Phousita miała wątpliwości. W chwili, gdy ujrzała przekaz, doznała silnego wrażenia deja vu, jak gdyby na jakimś poziomie świadomości dobrze wiedziała o obecności Nikko w Domu Lata. Przetrzaśnięła pamięć i rzeczywiście, odnalazła pakiet danych, który musiał dotrzeć do niej w czasie snu. Nie było wątpliwości. Mówił o Nikko, który dryfował w tkance bazowej Domu Lata i powoli leczył się z odniesionych ran. Spojrzała w ściągniętą niepokojem twarz Sandora.

– Dom go nie rozpoznał.

– Dom Lata! – Sandor wysłał wezwanie ze swojego atrium.

– Zlokalizuj obywatela korporacji Nikko Jiang-Tibayana.

Odpowiedź dotarła jednocześnie do atrium każdego z nich.

Nikko Jiang-Tibayan nie przebywa obecnie w Domu Lata.

– Więc kim jest ta istota, która posiada identyczny wzorec jak on? – miękko zapytała Phousita.

Dom nie potrafił jej odpowiedzieć.

– On nie ma atrium – powiedziała dziewczyna. – Dlatego Dom go nie zna.

– Więc Nikko cały czas tutaj jest? Musimy się do niego dostać!

Phousita potrząsnęła głową.

– Za późno! – jęknęła. – Ściany poszły w górę.

Nikko dobrych kilka minut mówił do kamery, mając nadzieję na odpowiedź, albo chociaż jakiegokolwiek potwierdzenie odbioru.

Łudząc się, że któraś ze ścian zmięknie i wpuści go z powrotem.

Nic się nie wydarzyło. Wreszcie odsunął obiektyw kamery i powrócił myślami do swojego kłopotliwego położenia.

Być może coś w tym odcinku hallu blokuje dostęp do splotu.

Powinien spróbować w innym miejscu. Prędzej czy później musi znaleźć się w zasięgu czyjegoś atrium. Gdzieś muszą czuwać jacyś ludzie, to niemożliwe, żeby całe miasto zdążyło zapaść w sen.

Jeszcze nie do końca tę myśl sformułował, a już sadził długimi susami w głąb korytarza. Chociaż szybkie, jego ruchów nie ogarnęła panika, a jedynie energia i zdecydowanie. Idąc, lustrował wzrokiem zakręcające łukiem ściany w poszukiwaniu jakiejś przerwy. Kontynuował transmisję, lecz teraz mamrotał długi monolog, którym jednocześnie uzupełniał swoje prywatne archiwum:

– Jest coraz ciemniej. Lampy znikają, wchłaniane przez obsydianowy sufit. Proszę, Fox, jeżeli mnie słyszysz, zrób coś. Tu Nikko Jiang-Tibayan. Żyję i jestem zamknięty w jednym z korytarzy. Na Miłość i Naturę! Światło zgasło!

Potknął się, ale odzyskał równowagę. Ponownie przyspieszył kroku, zanurzając się w ciemność.

– Nic nie widzę. Ta ciemność jest gęsta jak smoła. I cisza.

Słysząc tylko odgłos moich własnych kroków i mój ciężki oddech.

Wydaje się, że gwałtownie zaczęło ubywać powietrza. Czy to dobrze? To znaczy, wydaje mi się, że ściany tutaj nadal są aktywne. Czy ktoś mnie słyszy? Proszę, zabierzcie mnie stąd. Tu

Nikko Jiang-Tibayan.

Gardło paliło go od wdychania haustów lodowatego powietrza. Na policzkach zaczął niezdecydowanie układać się kisser.

Niski poziom O₂ zakłócił pracę jego czujników i wahał się zagubiony, niepewny interweniować czy nie.

– Poruszam się po omacku. Czy ten korytarz nie ma końca?

Czy ktoś mnie słyszy? Czy jestem tu sam?

Potknął się, tknięty straszliwym podejrzeniem. Nagle wydało mu się, że nastął koniec świata, a on sam jest ostatnim żyjącym człowiekiem.

– Gdzieście się wszyscy podziali? – zakrzyknął w ciemność. – Dlaczego o mnie zapomnieliście? Odpowiedzcie!

Sandor wezwał Foxa. Fox zwołał zebranie oficerów korporacji. Wszyscy nastawili swoje atrium na odbiór transmisji Nikko i stłoczeni w bąblu transportowym debatowali, co robić.

– To musi być jakaś sztuczka policji – upierała się Caroline Bukey, wiceprezydent korporacji odpowiedzialna za bezpieczeństwo. Choleryczne usposobienie nadawało jej twarzy wyraz przesadnej zawziętości. – Nie mamy potwierdzenia, że transmisja rzeczywiście pochodzi od Nikko.

– Nie słuchasz, co się do ciebie mówi! – zirytował się Sandor. – Phousita dostarczyła niezależnego dowodu, że Nikko żyje.

Bukey obrzuciła Phousitę sceptycznym spojrzeniem.

– Po fakcie – rzekła. – Poza tym chciałabym zauważyć, że ona nie jest członkiem korporacji. Nie wiemy, jakie kierują nią motywy.

– Nikko żyje – powtórzył Sandor, z trudem panując nad sobą. – Phousita nie kłamie.

– Ale to wydaje się nieprawdopodobne – odezwał się Fox.

– Gdyby Nikko przeżył, Dom poinformowałby o tym.

– Tato, Dom nie rozpozna go bez atrium! A jego atrium zostało zniszczone. W dodatku nigdy nie podróżował, więc nie ma chipu identyfikacyjnego. Nikko nie posiada tożsamości, Dom wydalil go jak obcego. Nie da się z nim nawet porozmawiać.

– Nikko jest w jednym z kanałów śródmiąższowych – rzekła Phousita.

Fox wzdrygnął się jawnie przerażony.

– Te korytarze pomyślane są jako szwy, wzdłuż których będą przebiegać pęknięcia.

– Tato, musimy go stamtąd wyciągnąć! Przecież wiesz, że to on. Posłuchaj tylko tego monologu. To cały Nikko. Policja nie mogłaby tego podrobić.

Fox sprawiał wrażenie niezdecydowanego; bał się.

– Gdzie dokładnie się znajduje?

– Porusza się równoległe do szeregu komór od numeru czterysta dwanaście do czterysta trzydzięci trzy – poinformował szybko Sandor.

Fox zbladł.

– Na Miłość i Naturę! – wyszeptał. – Dzieli nas od niego blisko trzysta ścian. Trzeba wielu godzin, żeby się przez nie przedostać.

– A mamy tylko dwadzieścia trzy minuty – rzekła Bukey.

– Nie musimy pokonywać tych ścian – nalegał Sandor. – Wystarczy, jeśli otworzymy jedną ze ścian korytarza i wpuszczymy Nikko do środka.

Ale Fox potrząsnął głową.

– To nie takie proste. Tam nikogo nie ma! Te komórki to niewielkie, niezamieszkałe jednostki. Zresztą i tak nie byłyby w stanie podtrzymać przy życiu jakiegokolwiek materialnej istoty, bo ich masa została zredukowana do postaci zwartej, niezróżnicowanej matrycy. Nawet ich struktury przemysłowe zostały uśpione.

Sandor zmarszczył brwi i kiwając powoli głową, w bezsensownym geście potakiwania, szukał w myślach rozwiązania.

– Ale wszyscy obcy zostali ewakuowani w pobliże szybu głównej windy, prawda? Czy Nikko nie mógłby się tam dostać?

Czy winda jeszcze działa? Mogłaby zabrać go do komór, które są zamieszkałe?

Caroline Bukey uniosła dłoń, nakazując wszystkim ciszę. Tradycyjna srogość na jej twarzy pogłębiła się, nadając jej wyraz posępnej powagi.

– Splot Domu donosi, że „Galapagos” rozpoczął procedurę wyjścia z doku – zakomunikowała. W ciasnym bąblu transportowym zapanowało nagle poruszenie. – Sytuacja staje się krytyczna. Chyba nikt z was nie wątpi, jakie będzie ostateczne rozwiązanie?

– Chcesz porzucić Nikko? – zapytał Sandor.

Bukey spojrzała na niego jak na dokuczliwe dziecko.

– Nie wiemy nawet, czy to rzeczywiście jest Nikko.

– Ja wierzę, że to on – odezwał się Fox. Ich oczy spotkały się. Patrzyli chwilę na siebie,

jakby dokonywali bezgłośnej wymiany zdań. – Jasne? – zapytał Fox.

Bukey nachmurzyła się i skinęła głową.

– Przekaz bezwzględnie priorytetowy – powiedziała głośno, chociaż jej nieobecny wzrok świadczył o tym, że komunikuje się z atrium. – Zmodyfikować procedurę podziału: dopóki nie będzie nowych rozkazów, wstrzymać demontaż szybu windy głównej. Jeżeli jakieś fragmenty zostały zniszczone, odtworzyć je.

Lodowate spojrzenie pani wiceprezydent spoczęło na Sandorze.

– W pobliżu dna szybu windy znajduje się grupa dużych komórek. Nie są zamieszkałe, ale wystarczy niewielka korekta programu struktorów przemysłowych, a stworzą tam środowisko umożliwiające życie – o ile uda nam się doprowadzić tam Nikko.

Kirstin była przygotowana na to, że winda nie będzie działała.

Ale kiedy wysiadła z „Galapagos”, winda okazała się nadal sprawna. Wzięła ze sobą dwa psy policyjne, obydwie zamieszkałe przez widma policjantów. Ich sztuczne oczy będą rejestrowały przebieg wydarzeń na dole. Ponieważ splot Domu nie mógł dłużej przekazywać transmisji policyjnych, kładła za sobą linię lądową, ultra cienki kabel, zdolny przekazywać transmisję na zewnątrz nieprzepuszczalnych dla fal radiowych murów Domu Lata. Kabel był przyczepiony do jednego z psów. Gdyby komunikacja urwała się, krążownik miał strzelać, nie czekając na rozkaz.

Kirstin weszła do kabiny i pomknęła w dół, pozwalając kablowi rozwijać się błyskawicznie wzdłuż szybu. Opuściła windę w pobliżu pomieszczeń, które kiedyś były biurami korporacji, i odkryła, iż znalazła się w samym sercu egipskich ciemności.

Włączyła reflektor na hełmie skafandra i ustawiła snop światła na maksimum.

Światło rozbiegło się półkoliście, wydobywając z mroku coś w rodzaju gigantycznego korytarza. Od najbliższych ścian dzieliła ją odległość co najmniej stu metrów. O ile mogła ocenić, ich powierzchnia była gładka i twarda, podobnie jak podłoga, a barwą przypominały obsydian.

Odchyliła głowę do tyłu i snop lampy przesunął się w górę.

Jednak światło rozmyło się i zniknęło, zanim zdążyło wydobyć z mroku jakiś sufit. Powtarzające się, słabe wstrząsy świadczyły o niestabilności otoczenia.

Psy nerwowo skamlały.

– Boże, to wygląda jak koniec świata – w atrium Kirstin rozległ się głos któregoś z policjantów. Jeden z psów węszył głośno, łowiąc zapachy dobiegające spoza granicy światła.

Drugi wydawał się nasłuchiwać. Kirstin nie słyszała niczego poza własnym nierównym oddechem. W płucach czuła żywy ogień. Powietrze musiało być bardzo rozrzedzone, a z całą pewnością było lodowato zimne.

– Widzicie tam coś? – spytała widma policjantów.

– Nee – odparł ten sam głos, który krzyczał o końcu świata.

-Całkowicie pusto. Najbardziej upiorne miejsce, jakie kiedykolwiek widziałem. Jak gdyby coś wyssało stąd wszystkie cząstki bardziej złożone od dwutlenku węgla.

Drugi z gliniarzy milczał.

– Spróbuję nawiązać kontakt – oświadczyła Kirstin.

Tylko z kim? Czy naprawdę jest tutaj jeszcze ktoś żywy?

Dostroila swoje atrium i wysłała w głąb Domu Lata wezwanie:

– Tu Naczelnik Policji Kirstin Adair. Chcę nawiązać kontakt z władzami korporacji Dom Lata.

Nie otrzymała odpowiedzi. Nie przyniosła efektów również zmiana pasma nadawania. Udali się w głąb korytarza, ale nie zobaczyli niczego prócz czarnych, nieprzepuszczalnych dla fal radiowych ścian. Kilka minut później natknęli się na koniec korytarza: poprzeczną ścianę obsydianu, w której mimo najlepszych chęci nie udało im się odnaleźć żadnych drzwi, ani innego przejścia.

– Biedne, durne skurwysyny – mruknął ten sam gliniarz co przedtem. – Tym razem załatwili się na cacy!

Pobiegli z powrotem do windy, po drodze zbierając kabel.

Kirstin zbadała kolejny poziom, kolejny hali, równie rozległy i pusty jak poprzedni. Próby nawiązania kontaktu, zarówno z władzami Domu Lata, jak i z jego mieszkańcami (o ile jacyś istnieli jeszcze cieleśnie) wciąż nie przynosiły rezultatów.

Kiedy po raz kolejny wkraczała wraz z depczącymi jej po piętach psami do jasno oświetlonej kabiny windy, zaczęła żałować porywu wielkoduszności, który ją tu przywiódł. Niczego nie osiągnęła. W dodatku, w miarę upływu czasu perspektywa spotkania z własną śmiercią nabierała w jej oczach coraz czarniejszych kolorów. To prawda, że jej widmo mogło opuścić Dom Lata i katastrofa nuklearna nie zagrażała jej jako osobie. Ale ciało, w którym przebywała, musiałoby tutaj zostać i stawić czoło uderzeniu.

Przez chwilę rozważała wezwanie „Galapagos”, ale byłoby to równoznaczne z wycofaniem

się. Zła prasa murowana, a przecież po zniszczeniu miasta będzie musiała zgromadzić największe poparcie społeczne jakie tylko się da, żeby utrzymać posadę. Tak więc nie miała innego wyjścia, musiała tutaj zostać.

Nie było sensu badać wszystkich tych pustych korytarzy. Beryl doniosła, że błękitne oceany, które niegdyś chroniły Dom Lata przed promieniowaniem kosmicznym, teraz szerniały i zakrzepły w tę samą podobną do obsydianu substancję, z której zbudowane są ściany wewnątrz stacji. To oznaczało definitywny koniec wielkiej metropolii, koniec budzący grozę swoją tajemniczością – jak wszystko tutaj. Kirstin nie wiedziała, co się dzieje, ale czuła, że transformacja dobiega końca. Jeżeli chciała zniszczyć ten mały świat, który tak przerażająco skutecznie wymknął się spod kontroli, musiała działać szybko.

Ale najpierw musiała do końca zagrać swoją rolę, wielkodusznego Naczelnika Policji, który do ostatniej chwili bohatersko stara się dotrzeć do zasklepionych w lochach mieszkańców Domu Lata.

Podrapała jednego z psów za uchem.

– Chodźmy na niższy poziom – powiedziała.

Jeżeli zastaną tam tę samą sytuację co wyżej, nie będzie powodu, żeby dalej zwlekać. Wyśle Beryl rozkaz otworzenia ognia.

Zaledwie znaleźli się we wnętrzu windy, odezwało się to samo widmo, co wcześniej:

– Wychwyciłem ślady aktywności radiowej.

Kirstin zakłęła. Wcale nie chciała kogokolwiek znaleźć. Nie chciała niczego, co mogłoby opóźnić atak.

– Ktoś chce się z nami skontaktować? – spytała podejrzliwie.

– Prawdopodobnie nie – przyznał policjant. – Możliwe, że to tylko przeciek ze splotu.

Ciągnąca się za nimi niczym cienka pajęczka nić linia lądowa trwała cierpliwie, oczekując dalszego przebiegu zdarzeń. Kirstin znała swoją rolę w tym przedstawieniu.

– Zjedźmy niżej – powiedziała, usilnie starając się sprawić na niewidocznej publiczności jak najlepsze wrażenie. – Może jeśli zmienimy położenie, sygnał stanie się wyraźniejszy.

Fox, Sandor, Phousita, a nawet Caroline Bukey, milcząc, przysłuchiwali się transmisji nadawanej przez Nikko. Starszy mężczyzna i jego syn uśmiechali się. Nawet Phousita, mimo apokaliptycznego nastroju Nikko, czuła, że robi jej się lżej na sercu. Nikko biegł w stronę windy! Sam znalazł drogę wyjścia. Za kilka minut znajdzie się w kabinie, a ta zawiezie go prosto

w bezpieczne miejsce.

Nagle dziewczyna zeszywniała. Podobnie jak inni, cały czas monitorowała kolejne komunikaty Domu. Jeden z nich przykuł jej uwagę.

– Słyszałeś? – szepnęła do Sandora. – W mieście są psy policyjne.

Sandor uśmiechnął się z roztargnieniem.

– To dobrze – rzekł. – Skoro policja wciąż próbuje nas stąd wykurzyć, to znaczy, że nie zamierza jeszcze szczuć na nas swoich raket-zabójców.

Ale Phousita drżała. W Spili psy policyjne zawsze były zwiastunami śmierci. Przed oczami stanęły jej płonące budynki, w uszach rozbrzmiały krzyki ginących w pożarze dzieci.

– To zły znak – wyszeptała.

Sandor zdawał się jej nie słyszeć. Uniosła dłonie i przyjrzała się lśniącem gruczołom. Tamtego strasznego dnia nauczyła się wzorca psów. Sprowadziła na nie sen. Niemal instynktownie zaczęła snuć to samo zaklęcie.

Zaraz jednak dopadły ją wątpliwości. Jakim cudem mieliby mali służący przedrzeć się przez niemal trzy setki nieprzepuszczalnych ścian?

Płuca Nikko z trudem pompowały rozrzedzone powietrze, przy każdym oddechu lodowate palce orały mu gardło. Było mu coraz trudniej mówić. Ale co to? Jego wzrok wyłuskał coś daleko w przdzie.

– Co to... jest? – wysapał. – W mroku widać... małe zielone światełko.

Wzrok płatał mu figle już wcześniej, reagując na brak bodźców malowaniem mroku nie istniejącymi barwami. Jednak to światełko ani nie pływało, ani nie rozmywało się. Trwało niezmiennie, mały zielony punkt, rosnący w miarę zbliżania, dopóki jednolita zieleń nie rozpadła się w ponumerowaną kolumnę przycisków. Nikko czuł takie zdumienie, że wyciągnął ostrożnie palce i dotknął panelu, na chwilę zapominając o mowie. Winda! – zdał sobie sprawę. Do tego czynna!

Kamera zajrzała mu przez ramię, przypominając o swojej obecności.

– Widzisz to Fox? – zawołał. – Jestem na poziomie dwudziestym pierwszym. Obok szybu windy. Fox, zabierz mnie stąd.

Wyślij kogoś po mnie.

Przekaz Nikko dotarł do zjeżdżającej windę Kirstin. Uderzyła przycisk stopu i zaśmiała się niedowierzająco.

- Nikko? – zapytała głośno, studiując rozmyty obraz, jaki pojawił się w jej atrium.
- Źródło transmisji znajduje się ledwie kilkaset metrów stąd – powiadomiło ją jedno z widm.
- Pewnie – rzekła Kirstin. – Na poziomie dwudziestym pierwszym.

Wdusiła odpowiedni przycisk, zmieniając miejsce przeznaczenia, i winda pomknęła z powrotem w górę.

– Gliniarz! – krzyknęła Phousita. – Na tropie Nikko jest jakiś gliniarz. Patrzcie! Patrzcie na komunikaty Domu. On jedzie mu na spotkanie.

Powiodła oszalałym spojrzeniem po stłoczonej w bąblu transportowym niewielkiej grupce ludzi. Fox wyglądał jak ogłuszony.

Sandor był zbity z tropu. Caroline Bukey stała się upiornie blada.

– Nikko wie dostatecznie dużo, żeby rozpoznać funkcję biogenetyczną, prawda? – zadała pytanie Bukey.

– On nas nie wyda – rzekł Fox.

– Może to i dobrze – mruknęła wiceprezydent. – Odciągnie uwagę policji, a w tym czasie Dom dokończy podziału.

– Nie możecie go poświęcać – odezwał się Sandor. – Nie wolno wam!

ROZDZIAŁ 30

Nikko cofnął się, oślepiiony potokiem światła, który wylał się z otwartej kabiny windy. Z pochyloną głową czekał, aż oczy przejdą bolesny proces przystosowania. Kiedy uniósł wzrok, ujrzał stojącą przed sobą Kirstin, skąpaną w białej poświacie, podobną do przybyłej wprost z piekieł, odrażającej bogini.

– Ty tutaj! – warknął.

Przyglądała mu się ostrożnie, z lekkim półuśmiechem.

– A kogo się spodziewałeś, Nikko? Może Foxa?

Światopogląd Nikko uległ gwałtownemu przewrotowi. Wędrówka po gigantycznych korytarzach wprawiła go w stan psychicznej izolacji. I oto nagle w tę fantastyczną wizję apokalipsy wdarła się Kirstin. Świat zewnętrzny na powrót stał się brutalnie realny. Skoro była tutaj Kirstin, to w pobliżu musiał być również „Galapagos”, a wraz z nim gotowe do wystrzelenia rakiety. Jeżeli zostaną odpalone, Dom Lata czeka prawdziwa apokalipsa.

Obok jego twarzy unosiła się kamera, studiując Kirstin swoim pozbawionym powieki okiem. W wejściu do windy mignęła zwisająca z góry pajęczna nić linii lądowej. Więc Naczelnik Policji miała kontakt ze światem. Mogła rozkazać krążownikowi odpalić rakiety...

Albo wstrzymać ogień?

Jego ciężki oddech nie wynikał tylko z wysiłku ani ze spadającego wciąż poziomu tlenu. Tak bardzo chciałby ominąć stojącą na drodze Kirstin, przedrzeć się przez jej psy, wpaść do windy i zagubić się gdzieś w czeluściach Domu Lata! Ale wiedział, że jest już za późno. Nie mógł zostawić Kirstin, nie teraz, kiedy trzymała dłoń na uruchamianym głosem spuście broni jądrowej, wycelowanej prosto w serce Domu.

Jedyne co mu pozostało, to wytargować tyle czasu, żeby Dom zdołał doprowadzić proces podziału do końca. To nie powinno potrwać długo.

Zaczerpnął głęboko powietrza, z trudem uspokajając drżący kisser.

– Więc przechwyciłaś moją transmisję – zauważył spokojnym, choć nieco zachrypniętym głosem.

Dłonie Kirstin drgnęły w ledwie dostrzegalnym geście. Psy zareagowały natychmiast, zajmując miejsca po obu stronach mężczyzny.

– Co tu się dzieje, Nikko? – zapytała, na użytek kamer nadając głosowi starannie wyprany z emocji ton. – Co się stało z obywatelami korporacji? Nie żyją?

– Nie, są żywi, ale musisz im pomóc. – Sam był zaskoczony własnymi słowami. Wypowiedział je instynktownie, jednak chwila namysłu upewniła go, że wybrał właściwą strategię. Jeżeli zasieje w umyśle Kirstin wątpliwości, będzie musiała wstrzymać swoje atomowe pociski. Dzięki linii lądowej ta rozmowa przekazywana jest bezpośrednio na statek. Możliwe, że zostanie udostępniona szerokiej publiczności. Kirstin nie będzie mogła unicestwić Domu, skoro istnieje jeszcze szansa na uratowanie jego mieszkańców...

– Gdzie oni są? I dlaczego nie odpowiadają?

– To długa historia. – Podniósł ręce, zamierzając odpiąć plecak z kamerą, ale psy źle zrozumiały jego intencje i wydały z siebie ostrzegawcze warknięcia. Zamarł.

– Chcę zdjąć plecak – rzekł. – Chcę przekazać ci wszystko, co wiem.

Spojrzała na niego spode łba, podejrzliwie.

– Twierdzisz, że mieszkańcy Domu żyją?

– Tak. Chociaż do tej pory pewnie wszyscy zostali już zahibernowani.

– Dlaczego?

– To reakcja obronna – odrzekł. – Nie wiem, co ją spowodowało, ale kiedy zagrożenie minie, Dom ulegnie regeneracji. Tak działa funkcja biogenetyczna. Chyba o niej słyszałaś?

Przeszyła go swoim lodowatym wzrokiem.

– Czy to może być reakcja na struktora Bohra?

Nikko narzucił sobie spokój. A więc Kirstin wiedziała, że Phousita żyje.

– Niewykluczone – skłamał. – Możliwe, że tym sposobem Dom usiłuje chronić się przed podbojem ze strony struktora. Tak, to może być to. Kiedy struktora próbował zakazić system nerwowy Domu, ten mógł uruchomić reakcję obronną.

Wyglądała na nieprzekonaną, lecz co mogła zrobić? Zasugerował, że Dom Lata po prostu się broni. Jako Naczelnik Policji miała moralny obowiązek to zbadać.

Szybkim ruchem sięgnął do zapięcia plecaka i nie bacząc na powarkiwanie zwierząt, ponownie zaczął się z nim mocować.

– Słuchaj, Kirstin. Wiem, że nie mam szans wydostać się stąd żywy. Na pewno przyda ci się w przyszłości wiedza o tym, jak uciekłem ze struktorem Bohra. I, jako historyk... chcę żeby wszystko zostało utrwalone. Wszystko. Łącznie z adresem Leandera Bohra.

Kirstin szerzej otworzyła oczy i wiedział, że trafił ją w czułe miejsce. Zapytała cicho:

– Co wiesz o widmie Bohra?

– Wiem, że ten łajdak mnie zdradził. To on ostrzegł cię przede mną, prawda? Dlatego tutaj jesteś.

W jej oczach rozbłysła pożądliwość. Nikko dostrzegł w nich także wątpliwości.

– Skąd masz adres Leandera?

Zachichotał.

– Nawet najlepsi popełniają błędy. Dał swój adres Phousicie, a ona przekazała go mnie. – Podniósł plecak z kamerą. – Kirstin, odłącz na chwilę swoją linię i podłącz ją do kamery. Dane powinny przepłynąć w ciągu kilku minut. – Kiszler zmarszczył się, kiedy wyciągnął rękę i złożył plecak w dłonie Kirstin. Czynił to z krwawiącym sercem. Plecak zawierał kompletną historię uwolnienia struktora Bohra. Zawarte w nim informacje były silnym dowodem na to, że Wspólnotę da się podejść. Trzymał w dłoni serce potencjalnej rewolucji... i za kilka minut miał je przehandlować.

Czy te kilka minut wystarczy?

– Trzeba ich zaatakować – rzekł Sandor.

– Nie! – Bukey uniosła dłoń. – Żadnych struktów ofensywnych! Tym policjantem jest Kirstin Adair, Naczelnik Policji.

Jeżeli zorientuje się, że jest atakowana, natychmiast prześle na „Galapagos” rozkaz wystrzelenia rakiet.

– No to uderzymy mocno i zniecka! – nie ustępował Sandor. – Nie damy jej szansy...

– Dzięki linii lądowej „Galapagos” śledzi każdy jej ruch – przerwała mu Bukey. – Idę o zakład, że dowódca ma rozkaz strzelać jak tylko zobaczy, że coś jest nie w porządku.

Phousita zamknęła oczy. Kamera Nikko nie przestawała nadawać, dzięki czemu mogła zobaczyć jak jest zdejmowana i przekazywana w ręce policjantki. Usłyszała głos Nikko:

– Dane powinny przepłynąć w ciągu kilku minut...

– Dlaczego on jej pomaga? – zapytał Sandor głosem pobrzękującym nutkami zakłopotania.

– Nikko nienawidzi Bohra – rzekł Fox. – Chce zemsty.

Phousita potrząsnęła głową.

– Tu chodzi o coś więcej. On próbuje... – Mrugając powiekami, szukała w pamięci właściwego słowa. – Oślepić ją? Nie.

On próbuje oślepić „Galapagos”.

– Na Miłość i Naturę! – jęknął Fox. – To jest to! Gdyby udało mu się namówić na odłączenie linii, miałby kilka minut, żeby...

– Żeby co? – zapytała Bukey. – Rzucić się z gołymi rękami na dwa psy i uzbrojoną policjantkę? Nawet Nikko nie jest na tyle szalony, żeby tego próbować. On po prostu kupuje ten czas dla nas. To wszystko.

– Nie możemy mu jakoś pomóc? – zapytała Phousita.

Uniosła swoje pokryte gruczołami dłonie. – Znam zakłęcie, które uspiłoby psy i tę policjantkę, ale nie mam jak go tam przesłać.

Oczy Foxa rozszerzyły się.

– Jest na to sposób! – zawołał. – Możesz przesłać kod struktorom przemysłowym w szybie windy. Sprzęt molekularny łatwo jest montować. Wystarczy jeśli prześlesz kod któremuś ze struktorów nadzorczych. Ja autoryzuję przekaz. Masz adres.

Szybko. Nie mamy wiele czasu!

Wątpliwości Kirstin były tak widoczne, że niemal można było ich dotknąć – powietrze trąciło kwaśną wonią podejrzliwości.

Mimo to przyjęła kamerę. Jej dłonie były śliskie od potu. Bez wątpienia pragnęła tych danych, jednak był tylko jeden sposób, żeby je zdobyć. Spojrzała na psa, który niósł kabel.

– Mam zamiar to zrobić – rzekła. Nie zwracała się do Nikko. – Przez kilka minut będę poza zasięgiem, ale nic nie rób.

Tylko bądź czujna. Mam ochronę. Nic się nie stanie.

Nikko przyglądał się, jak Kirstin zwalnia zapięcie i wyjmuje kabel z plecaka psa. Później znalazła odpowiednie miejsce w plecaku z kamerą i włożyła wtyczkę, a na panelu kontrolnym wystukała odpowiednią komendę. Uczyniwszy to wszystko, przysiadła na piętach i uśmiechnęła się chłodno. Oko kamery chwiało się niepewnie niczym niezdecydowana kobra, studiując jej twarz.

Otworzyła usta, jakby zamierzała coś powiedzieć, ale spomiędzy warg nie wydostało się ani jedno słowo. Jej oczy stały się szkliste. W tym samym momencie jeden z psów osunął się ciężko na podłogę. Tuż po nim drugi. Leżały dysząc, a z ich dużych, wywalonych jęzorów strużkami ściekała ślina.

Spoglądający ze zdumieniem Nikko poczuł w żołądku lodowatą bryłę strachu. Czy to już

koniec podziału? Czy Dom Lata zaczął eliminować wszystko, co nie jest zarejestrowane?

Nagle wyprężył się, podrywając brodę do góry, jak po celnym ciosie. Ogarnęło go nieprzeparte pragnienie, by natychmiast rzucić się do windy. Mimo to nie uległ podejrzanemu impulsowi, choć jego gwałcone ciało miało mięśnie napięte jak postronki.

Spojrzał na windę, potem na Kirstin. Wpatrywała się w podłogę, usta miała otwarte, wzrok nieobecny.

Oddychał z wysiłkiem, zwalczając w sobie chęć ucieczki.

Kiszer przebiegały drżenia. Co tu się dzieje?

I nagle zrozumiał. Zaatakował go wirus behawioralny. Cóż innego mogłoby wytłumaczyć tę nagłą, paraliżującą wolę, intensywność pragnienia ucieczki?

Ale kto wprowadził wirusa do jego systemu nerwowego? Kto go uwolnił? Na pewno nie Kirstin. Ta nadal gapiała się w podłogę, równie nieruchoma, jak jej psy.

Przeszył go dreszcz. Pamiętnego dnia w Spili Phousita znalazła sposób na obejście struktorów obronnych psów. Udowodniła tym samym, że potrafi dać sobie radę z najlepszymi struktorami policji.

– Kirstin – szepnął.

Nie było odpowiedzi.

Zaczerpnął spazmatycznie powietrza. Phousita... Więc to ona rzuciła zaklęcie, które uśpiło Naczelnik Policji i jej psy.

Ruszył w stronę windy, ale zawahał się. Zawrócił i schylił się, chwytając paski swojego plecaka. Wtedy przypomniał sobie o kablu. Jeżeli go odłączy, „Galapagos” gotów otworzyć ogień.

Przykucnął, żeby obejrzeć przymocowany do grzbietu jednego z psów bęben. Pociągnął na próbę kabel. Wyśliznął się gładko na zewnątrz. Stłumił ponury chichot i podniósł swój plecak. Następnie wkroczył do oczekującej kabiny.

Spojrzał w górę. Drugi koniec kabla wpadał do wnętrza windy dzięki znajdującej się w suficie klapie wyjścia awaryjnego. Był cieńszy niż najcieńsza pajęczyna. Z łatwością mógł przeniknąć przez drzwi, nawet kiedy będą zamknięte.

– Zabierz mnie na dół – polecił Nikko. – Na najniższy...

Kolejna konwulsja wstrząsnęła umierającym miastem. Chroniąc się przed upadkiem, Nikko kurczowo chwycił się poręczy.

Przy otwartych drzwiach winda opadła prawie metr niżej. Korytarzem przeszła wysoka do kolan fala, przewracając Kirstin na bok. Nikko widział, jak kobieta sztywnieje, odzyskując przytomność. Psy poderwały się. Kirstin przewróciła się na brzuch i kręcąc głową, usiłowała ocenić sytuację.

– Nie! – ryknęła, nurkując w zamykające się drzwi windy.

Nikko skoczył, żeby ją powstrzymać. Jeżeli dotknie drzwi, te znowu się otworzą, a wtedy do windy gotowe wpaść psy!

Spotkali się w wejściu. Było już za późno, żeby odepchnąć Kirstin. Zamiast tego, chwycił ją jedną ręką za włosy, drugą za kołnierz i wciągnął do środka, podczas gdy drzwi cicho zamknęły się za nią, o włos mijając jej nogi. Kabina jęknęła pod ciężkim uderzeniem z zewnątrz i zaczęła opadać w dół.

Kirstin doczołgała się do plecaka z kamerą. Obróciła go, sięgając do mechanizmu zwalniającego kabel linii.

Nikko zwałił się na nią. Długie niebieskie palce zacisnął na jej nadgarstku.

– Tym razem jestem prawdziwy – warknął jej do ucha.

Chwycił drugi nadgarstek. Jego palce porażały swą siłą.

– Za późno! – krzyknęła Kirstin. – Transmisja skończyła się. Jeżeli nie dam znaku życia, „Galapagos” otworzy ogień.

– Jak romantycznie – rzekł Nikko. – Umrzesz w moich ramionach.

Pęd kabiny nagle został wyhamowany. Na chwilę zawiśli, jakby znaleźli się w zerowej grawitacji, a potem ściany zatrzeszczały i zwały się na nich. Nikko obijał się od jednej ściany do drugiej, Kirstin była raz nad nim, raz pod nim. Zaraz potem winda znieruchomiła.

Nikko puścił Kirstin. Podniósł się na nogi. Czuł przygniatającą go do podłogi pseudograwitację Domu Lata. Jej źródłem była siła odśrodkowa wywołana przez obrót dookoła osi. Lecz jak długo jeszcze można będzie na nią liczyć? Miał wrażenie, że otaczające go ściany wstrzymują oddech, czekając na swoją szansę.

Kirstin rzuciła mu z podłogi nienawistne spojrzenie.

– Wszystko skończone, kochanie – warknęła, i wyrwała kabel z gniazdka kamery.

Drzwi windy zaskrzypiały, otwierając się na odległość kilku centymetrów, po czym zamaryły. Nikko przywarł do szczeliny i wsunąwszy w nią palce, próbował poszerzyć przejście. Drzwi niechętnie poddawały się jego wysiłkom. Udało mu się wsunąć w szparę całe ramię, ale więcej

nie dał rady. W rozsunięciu drzwi przeszkadzały ściany. Obserwująca jego wysiłki Kirstin roześmiała się.

– Za późno – jej głos był cichy i groźny. – Czeka cię śmierć.

– Nie, dopóki ty żyjesz – syknął. Czuł, że ściana pod jego ręką jest miękka i ustępliwa; widomy znak, że Fox słuchał i przygotował mu drogę ucieczki. Jego noga wystrzeliła do przodu, chwytne palce złapały plecak z kamerą i szybkim ruchem wcisnęły go w ścianę. Natychmiast pogąrzył się w ciemnej, podobnej do żelu substancji, tak że na zewnątrz pozostała jedynie soczewka.

Inteligencja Niższego Rzędu obserwowała podrywającą się na nogi Kirstin.

– Dom Lata zwyciężył – ogłosił Nikko. – Wspólnota przegrała.

Kamera zdążyła jeszcze zarejestrować grymas przerażenia, jaki wykrzywił twarz naczelnik Adair, kiedy Nikko zanurzył się w ścianie. A tam czekała na niego znajoma kraina mroku, gęsty żel otoczył go ciasno i utulił, niczym bezpieczne łono matki.

Kirstin wciąż jeszcze była otępiała po ataku struktorów, które dosięgły ją na poziomie dwudziestym pierwszym. Jej reakcje uległy spowolnieniu, toteż wahała się sekundę dłużej niż zwykle, zanim rzuciła się w ślad za Nikko. Za późno! Ściana zdążyła już stwardnieć. Staranowała ją ramieniem, wrzasnęła z bólu i upadła na podłogę, uderzając się z bezsilnej złości pięściami po udach.

Dlaczego Beryl nie wystrzeliła rakiet? Na co ona czeka?

„Czeka na mój rozkaz!” – pomyślała Kirstin i usta wykrzywiła jej wściekłość. Beryl nie miała odwagi wziąć na siebie odpowiedzialności za unicestwienie Domu Lata.

Kabiną ponownie straszliwie zatrzęsło. Kirstin, miotana niczym piłka, bezskutecznie usiłowała wczepić się palcami w gładką powierzchnię podłogi. Nagle w głowie eksplodował jej krzyk Beryl:

– KIRSTIN! Co tam się dzieje?!

Możliwe, że mówiła coś jeszcze, ale Kirstin nie słyszała. Jej nerw słuchowy został zawładnięty przez ogłuszająco piskliwe, przeciągłe wycie, które dobywało się ze ścian, zakończone nagłym potężnym hukiem. Czuła pękające w uszach bębni. Coś wysssało jej z płuc powietrze. Wczepiła się w podłogę, ale ta zniknęła. Zamiast niej widać było gwiazdy. Ciało Kirstin przeszył straszliwy mróz, każdy nerw eksplodował bólem. Ostatnim wysiłkiem woli odesłała swoje widmo...

...i pojawiła się na mostku krążownika, gdzie krzyżąc, upadła na kolana. Przekonana, że z jej uszu bucha krew, młóciła dłońmi powietrze wokół głowy. Nie mogła przestać krzyżeć. Wtedy interweniowała Beryl. Chwyciła ją za nadgarstki.

– Już po wszystkim! – huknęła. – Jesteś widmem. Nie jesteś ranna. Już po wszystkim. Kirstin, oprzytomnij. Potrzebuję twojego rozkazu. Potrzebuję twojego upoważnienia, żeby otworzyć ogień.

Kirstin odrzuciła głowę do tyłu. Oddychała głęboko, walcząc o odzyskanie spokoju. Jej zęby były zaciśnięte, rysy wciąż jeszcze zastygłe w grymasie śmierci.

Zebrawszy całą siłę woli, skupiła wzrok na ekranie i głośno wciągnęła powietrze.

Część mieszkalna Domu Lata pokryła się siatką pęknięć, przypominając trójwymiarową układankę. Poszczególne kawałki oddzielały się od siebie, widać było przebłyskujące między nimi Słońce. Kiedy uwolniły się wszystkie elementy, nagle pękł łącznik i wielka kosmiczna układanka rozprysła się na wszystkie strony, wypełniając próżnię rojem odłamków, z których każdy był równie czarny jak próżnia i momentalnie wtapiał się w tło.

– OGNIA! – zawyła Kirstin. – Ognia, ognia, ognia. NATYCHMIAST!

Na ekranie pojawiły się mknące jak strzały rakiety, tak szybkie, że trudno było nadążyć za nimi wzrokiem. Minęła sekunda, potem następna. Rakiety jednocześnie dotarły do celu i eksplodowały, zalewając krążownik falą promieniowania jonizującego.

Wśród załogi zapanowała głęboka konsternacja.

– Co trafiliśmy? – zadała pytanie Beryl.

– Dwa małe fragmenty – odparł z goryczą jeden z oficerów. – Z grubsza szacując, jakieś dziewięćset innych zostało nietkniętych.

EPILOG

(1)

„Wiadomości Biuro Informacyjne Kongresu:

W toku postępowania wyjaśniającego ustalono, iż zniszczenie Domu Lata nastąpiło wskutek niekontrolowanego procesu molekularnego. Choć szczegóły prawdopodobnie na zawsze pozostaną tajemnicą, ustalono, że do splotu Domu rozmyślnie wprowadzono program do zapisu i przechowywania informacji biogenetycznej, bez poddania go odpowiednim testom. W wyniku wady oprogramowania, cała żywa tkanka została przeistoczona w kod elektroniczny, pogromu uniknęli jedynie nie figurujący w zapisach przybysze z zewnątrz. Na koniec program zaatakował tkankę bazową Domu Lata, co doprowadziło do katastrofalnego w skutkach rozpadu.

Mimo że przebadano liczne odłamki Domu Lata, w żadnym z nich nie stwierdzono śladów dalszej aktywności funkcji biogenetycznej. Prowadzący śledztwo są przekonani, iż agresywne struktury wystawione na działanie próżni uległy dezaktywacji.

Nie znalazły potwierdzenia pogłoski o ocalałych z katastrofy”.

Nikt nie przeżył. Tak brzmiała oficjalna wersja policji.

W pewnym sensie była ona zgodna z prawdą, ponieważ po paru dniach nawet najbardziej uparci mieszkańcy rozrzuconych w kosmosie komórek musieli przyznać, że zgromadzone na ich arkach zapasy energii są niewystarczające, aby dało się długo przetrwać w postaci cielesnej. I tak jeden po drugim porzucali swoje ciała, włączając się w liczną rzeszę widm. Każda komórka wracała w przyszłość w całkowitej izolacji od pozostałych.

Z wyjątkiem Nikko. Był sam i nie posiadał atrium, toteż świat elektroniczny był dla niego zamknięty. Jednak ponieważ był sam, nie czynił wielkich spustoszeń w zapasach, którymi dysponowała jego komórka.

Czas mijał; abstrakcyjne minuty składały się w abstrakcyjne godziny, a te w abstrakcyjne dni. Większość czasu trwał pogrążony we śnie. Nie miał zbyt wiele do roboty. Albo mówił do kamery, albo odtwarzał sobie na małym monitorze zapisy z przeszłości, albo medytował dla rozproszenia depresji i każdą chwilę czuwania poświęcał na rozmyślania: Co się dzieje?

Aż wreszcie, po trzech tygodniach, jego pytanie znalazło odpowiedź. Wiedza wypełniła go z chwilą, gdy jego nowo powstałe atrium nawiązało łączność z Inteligencją Niższego Rzędu,

która nadzorowała komórkę. W splocie komórki oczekiwało go widmo Foxa.

– Tato... – powitał go Nikko.

Fox uśmiechnął się w odpowiedzi. Sprawiał wrażenie spiętego, ale szczęśliwszego niż ostatnim razem.

– Karty zostały odkryte – powiedział.

Nikko skinął głową. Na zewnątrz wciąż jeszcze czekały na nich gliny. Ale jak długo?

– Odbudujemy Dom, prawda?

Oczy Foxa zdawały się rzucać światło.

– Oczywiście. W każdym razie ci, co zostaną. – Wzruszył ramionami. – Część postanowiła wyruszyć poza granice Układu.

Żagle słoneczne są już postawione.

Kiedy to mówił, z jego postaci biła duma. Patrzący na niego Nikko poczuł się tak samotny, jak jeszcze nigdy w swoim pełnym samotności życiu.

– Ty też, Fox?

– Nie. – Mężczyzna potrząsnął głową. – W każdym razie nie teraz. Na razie chciałbym jeszcze raz spróbować szczęścia na miejscu. – Uśmiechnął się nieśmiało. – Mamy na oku pewien asteroid o nazwie Apollo. Kilka komórek zdecydowało się wziąć kurs w tamtą stronę. Ale przy spieszeni a są tak niewielkie, że minie dobrych parę lat, zanim nawiążemy kontakt. Jednak im dłużej to potrwa, tym lepiej. Na zewnątrz działa struktor Bohra. On wiele zmieni. – Spuścił wzrok. – Pozwoliliśmy sobie, hmm, skierować na asteroid także twoją komórkę. – Podniósł szybko wzrok, w jego oczach widniał niepokój. – Oczywiście możesz to zmienić. Jeżeli chcesz wyruszyć poza Układ, albo... albo cokolwiek innego. Nikko, jesteś wolny.

Wolny. Wolny... Smakował w ustach to słowo, obracając je jak cukierek. Pozwolenie na badania było teraz niczym. Żadna skąpa ręka nie będzie wydzielała mu życia, choć wciąż wisiał nad nim wyrok śmierci wydany przez Wspólnotę. Teraz jednak najpierw będą musieli go złapać!

Wolny.

Nagle, jakby tylko czekał w ukryciu, rozwinął mu się przed oczami wachlarz potencjalnych możliwości. Kiszler zadrżał mu na ramionach i po raz pierwszy w życiu ta reakcja wydała mu się niewystarczająca. Marzył, by móc się uśmiechnąć. Zamiast tego potrząsnął głową.

– Niczego nie zmieniaj Fox.

Obrócił się, aby spojrzeć w oko kamery. Teraz, kiedy wiedział, że to nie będzie jego ostatnia,

śpieszył się, by zakończyć dokumentację historii uwolnienia struktora Bohra. Teraz, kiedy wiedział, że może rozpocząć nową.

Zaczerpnął głęboko powietrza i kisser gładko spłynął mu na ramiona.

– Tu Obywatel Korporacji Domu Lata, Nikko Jiang-Tibay an – rzekł – z powrotem na linii.

(2)

Phousita ocknęła się w ciemnościach, przeszywanych jedynie pionową smugą słonecznego światła. Stała wyprostowana i otulona gładkim, mocnym kokonem, który szczelnie przylegał do jej ciała. Poruszyła nieco ramionami. Smuga światła poszerzyła się.

Wciągnęła powietrze i odkryła w nim intensywną woń dżungli oraz wszechobecnego rozkładu. Zawołała przez atrium Sandora, potem powtórzyła wołanie. Po drugim wezwaniu dobiegła ją jego słaba odpowiedź.

– Co...? Sita, nic... ci nie jest?

– Wszystko w porządku – zapewniła. Smuga światła zdecydowanie poszerzała się. Pęknięcie w kokonie było już tak widoczne, że można było wsunąć w nie palce. Z oddali dobiegł ją trzask nieznanego ptaka. Sporządziła szybko zakłęcie i wypuściła je przez szczelinę (która była już tak szeroka, że dałoby się włożyć w nią całe ramię), aby dowiedzieć się czegoś o śpiewaku.

Skoro szczelina stała się dostatecznie szeroka, włożyła w nią ramię, a potem głowę. Kiedy tego dokonała, reszta jej ciała wysliznęła się już gładko, niczym dziecko z kanału rodnego.

Czując na twarzy dotknięcie słońca, wybuchnęła śmiechem.

Następnie odwróciła się i przytuliła do masywnego pnia drzewa, tej wielkiej, starożytnej maszyny, która ją wyprodukowała. Przez dwieście lat rodziła jedynie własne nasiona. Wtedy, zmyliwszy czujne strażę policji, na Ziemię przybył niewielki meteoryt.

A w nim struktory biogenetyczne, niosące jej uśpiony wzorzec.

Struktory zmieniły program biologiczny drzewa, każąc mu przez trzy lata produkować nowe ciało, ciało Phousity. Pełna wdzięczności uniosła spojrzenie do góry, tam, gdzie tysiące liści codziennie wysysało ze słońca energię, aby sprostać nowemu zadaniu. Cofnęła się przerażona. W twarz zaświeciło jej słońce.

Rozłożysta korona drzewa była martwa. Tworzyła ją płatanina suchych gałęzi, odartych z liści, wycieńczonych wysiłkiem, jakim było dla nich wyprodukowanie jej ciała. Phousita była ostatnim owocem, jaki wydało gigantyczne drzewo. Wszędzie dokoła, w powodzi słonecznego

blasku eksplodowały w górę pędy młodego lasu.

Przygnębiona dokonaniem odkryciem, Phousita ponownie wezwała Sandora. Wreszcie po kilku godzinach błąkania się po leśnym rezerwacie oboje jakoś się odnaleźli. Sandor miał teraz ciemnobrązową karnację. Dla lepszej ochrony przed słońcem, jak wyjaśnił.

Poza tym był sobą, jego włosy po staremu błyszcząły złotem, a oczy były niebieskie. Potem całowali się i kochali, a Phousita z zadowoleniem odkrywała zalety swojego nowego, średniego wzrostu.

– Wieczorem pójdziemy do wioski – powiedziała, kiedy nad lasem zaczął zapadać zmierzch. Zwęszyła tę osadę już wcześniej. Niewielka osada przycupnęła u stóp wyniosłego zbocza, tuż przy granicy rezerwatu. Na granicy czekała na nich chmura jadowitych struktorów, mających za zadanie chronić rezerwat przed ludźmi i ich maszynami, ale wiedzieli, jak sobie z nimi poradzić.

– Nikogo nie będziemy zmuszać – powiedział Sandor – Oczywiście, że nie.

Kiedy przybyli do wioski, było już po północy. Niebem żeglował księżyc w pełni. Powitały ich szczekające zajadle psy. Phousita uciszyła je dotknięciem ręki. Zza obszarpanych słomianych mat, które w nędznych plastikowych chałupach służyły za drzwi, zaczęły wychylać się niespokojne twarze mieszkańców. Sandor skinął ku nim. Nie używał zakłéc, mimo to przyszli wszyscy.

Kobiety, mężczyźni i dzieci, mówiący narzeczem, którego Phousita nigdy dotąd nie słyszała. Oferowała im swoje myśli, a oni słuchali. Oferowała im swoją wizję, a oni ją zaakceptowali. Nędza dodała im odwagi.